

Szczeniara

ALICE

D
L
O
B
E
S



ALICE SEBOLD

Szczęściara

Z angielskiego przełożyła
MAŁGORZATA GRABOWSKA



WARSZAWA 2004

Dla Glena Davida Golda

Od autorki

Pragnąc uszanować prywatność osób występujących na kartach tej książki, zmieniłam niektórym z nich imiona i nazwiska.

W tunelu, gdzie zostałam zgwałcona — w tunelu służącym dawniej jako podziemne wejście do amfiteatru, z którego aktorzy wyłaniali się jak spod ziemi wśród widowni — zamordowano kiedyś i poćwiartowano dziewczynę. Historię tę opowiedzieli mi policjanci, zapewniając, że w porównaniu z tamtą ofiarą miałam szczęście.

Ale wtedy, gdy to wszystko mi się przydarzyło, czułam jednak, że mam więcej wspólnego z zamordowaną niż z potężnymi, muskularnymi policjantami czy oszołomionymi koleżankami z pierwszego roku. Obie — ona i ja — byłyśmy w tym samym miejscu. Obie leżałyśmy pośród zwiędłych liści i potłuczonych butelek po piwie.

Podczas gwałtu dostrzegłam wśród liści i odłamków szkła różową frotkę. Kiedy usłyszałam opowieść o zamordowanej, wyobraziłam sobie, że błagała oprawcę tak jak ja, i zastanawiałam się, w którym momencie jej związane włosy zostały rozrzucone. Czy zrobił to sam morderca, czy też, ponaglana przez niego, sama je uwolniła, aby oszczędzić sobie trochę bólu w tamtej chwili — na pewno myśląc z nadzieją, że jeszcze dostąpi luksusu rozważania skutków „pomagania napastnikowi”. Nigdy się tego nie dowiem, podobnie jak tego, czy różowa frotka należała akurat do niej, czy też ktoś ją zgubił i spadła na ziemię w sposób naturalny. Zawsze będę myślała o tamtej dziewczynie, kiedy przypomni mi się różowa frotka. Będę myślała o dziewczynie przeżywającej ostatnie chwile swojego życia.

1.

Oto co pamiętam. Miałam rozcięte wargi. Przygryzłam je, gdy złapał mnie od tyłu i zakrył mi usta ręką.

– Zabiję cię, jeżeli zaczniesz wrzeszczeć – powiedział.

Zamarłam.

– Rozumiesz? Jeżeli zaczniesz wrzeszczeć, koniec z tobą.

Pokiwałam głową. Ręce miałam unieruchomione po bokach, bo ścisnął mnie prawym ramieniem, a usta przykryte jego lewą dłonią.

Puścił moje usta. Wrzasnęłam. Szybko. Krótco. Zaczęła się walka.

Znow zatkał mi usta. Kopnął mnie od tyłu kolanem w nogi, żebym się przewróciła.

– Nie zrozumiałaś, suko. Zabiję cię. Mam nóż. Zabiję cię. Zwolnił uchwyt. Upadłam z krzykiem na brukowaną alejkę. Stał nade mną okrakiem i kopnął w bok. Wydawałam dźwięki, ale bardzo nikłe, jak ciche kroki. Były dla niego zachętą, upewniły go, że postępuje słusznie. Rzuciałam się. Nogami obutymi w mokasyny na miękkich podszewkach usiłowałam ostro kopać. Nie trafiałam do celu, najwyżej trącałam go brzegiem stopy. Nigdy przedtem się nie biłam, na WF-ie byłam najslabsza.

Nie pamiętam jak, ale udało mi się stanąć na nogach. Pamiętam, że go gryzłam, popychałam, sama już nie wiem, co mu robiłam. Potem rzuciłam się do ucieczki. Jak wszechmocny olbrzym wyciągnął rękę i chwycił mnie za końce moich długich włosów. Szarpnął tak mocno, że padłam przed nim na kolana. Pierwsza nieudana próba ucieczki, włosy, długie kobiece włosy.

– Sama się o to prosiłaś – powiedział i wtedy zaczęłam go błagać o litość.

Sięgnął do tylnej kieszeni i wyciągnął nóż. Wciąż się szamotałam, czując ból przy wyrywaniu włosów z głowy, gdy usiłowałam wyszarpnąć się z jego uchwytu. Rzuciłam się do przodu i złapałam go oburącz za lewą nogę. Zachwiał się.

Dowiedziałam się później, że w tym momencie nóż wysunął mi się z rąk i przepadł – policjanci znaleźli go w trawie, niedaleko moich stłuczonych okularów.

Potem doszło do walki na pięści.

Może zezłościła go utrata broni, a może moje nieposłuszeństwo. Niezależnie od powodu, gra wstępna dobiegła końca. Leżałam twarzą do ziemi. On siedział mi na plecach. Uderzał moją głowę w bruk. Przeklinał mnie. Po chwili obrócił mnie i usiadł mi na brzuchu. Bełkotałam. Błagałam. Wtedy objął dłońmi moją szyję i zaczął ścisnąć. Na krótko straciłam przytomność. Kiedy się ocknęłam, zrozumiałam, że patrzę w oczy człowiekowi, który gotów jest zabić.

W tym momencie dałam za wygraną. Byłam pewna, że nie przeżyję. Nie miałam już siły stawiać oporu. Mógł ze mną zrobić wszystko, co chciał. To był koniec.

Wszystko uległo zwolnieniu. Wstał i zaczął mnie ciągnąć po trawie za włosy. Przekręciłam się i na wpół się czołgając, usiłowałam za nim nadążyć. Jeszcze z alejki dojrzałam jak przez mgłę ciemne wejście do tunelu pod amfiteatrem. Gdy się do niego zbliżyliśmy i zorientowałam się, że tam właśnie zmierzamy, sparaliżował mnie strach. Zrozumiałam, że umrę.

Parę kroków przed wejściem do tunelu zachowało się stare metalowe ogrodzenie, mniej więcej metrowej wysokości, tworzące wąskie przejście, przez które można się było przedostać do tunelu. Kiedy mnie ciągnął, a ja odpychałam się od trawy, dostrzegłam ogrodzenie i nabrałam głębokiego przekonania, że jeżeli wciągnie mnie tam, nie przeżyję.

Na krótką chwilę, gdy włókł mnie po ziemi, uczepiłam się osłabłymi rękoma dołu ogrodzenia, ale jedno brutalne szarpnięcie oderwało mnie od niego. Ludzie myślą, że kobieta przestaje walczyć, kiedy jest wyczerpana fizycznie, ale ja miałam dopiero rozpocząć prawdziwą walkę – walkę na słowa i kłamstwa, walkę mózgu.

Opowiadając o wspinaniu się na górę lub płynięciu rwącą

rzeką, ludzie często mówią, że stanowili jedno z ziemią lub z wodą, że ich ciała dostosowały się do żywiołu i zwykle trudno jest im dokładnie wyjaśnić, jak to się stało.

W tunelu zaśmieconym potłuczonymi butelkami po piwie, zwiędłymi liśćmi i innymi śmieciami, których jeszcze nie rozróżniałam, stałam się jednością z tym mężczyzną. Miał w ręku moje życie. Kobiety, które mówią, że broniłyby się do ostatka i wolałyby umrzeć, niż paść ofiarą gwałtu, są głupie. Ja tysiąc razy wolałabym zostać zgwałcona. Robi się to, co jest konieczne.

– Wstań! – rozkazał.

Wstałam. Nie mogłam zapanować nad drzeniem ciała. Z zimna, ze strachu i wyczerpania dygotałam od stóp do głów.

Rzucił moją torebkę i książki w kąt ślepego tunelu.

– Rozbieraj się!

– Mam w kieszeni osiem dolarów. Moja matka ma karty kredytowe. Siostra też.

– Nie chcę twoich pieniędzy – odparł i roześmiał się.

Popatrzyłam na niego. Zajrzałam mu w oczy, jakby był człowiekiem, jakbym mogła się z nim porozumieć.

– Proszę, nie gwałć mnie.

– Rozbieraj się!

– Jestem dziewicą – powiedziałam. Nie uwierzył. Powtórzył polecenie.

– Rozbieraj się!

Trzęsły mi się ręce i nie mogłam nad nimi zapanować. Przyciągnął mnie za pasek, aż przylgnęłam do niego – opartego o tylną ścianę tunelu.

– Pocałuj mnie! – rozkazał.

Przygarnął moją głowę i nasze usta się spotkały. Swoje zacisnęłam mocno. Szarpnął mocniej za pasek, dociskając moje ciało do swojego. Chwycił mnie za włosy i zebrał je w garści. Odciągnął mi głowę w tył i popatrzył. Zaczęłam płakać, błagać.

– Proszę, nie rób tego. Proszę.

– Zamknij się!

Znów mnie pocałował i tym razem wsunął język do moich ust.

Naraziłam się na to, kiedy go błagałam. Znow brutalnie odciągnął moją głowę.

– Pocałuj mnie! – zażądał. Pocałowałam go.

Gdy już był usatysfakcjonowany, przestał i zabrał się do rozpinania mojego paska. Nie mógł się z tym uporać, bo pasek miał dziwną sprzączkę.

– Ja to zrobię – powiedziałam, żeby tylko mnie puścił, żeby zostawił mnie w spokoju.

Przyglądał mi się.

Rozpięłam pasek, a on rozsunał suwak w moich džinsach.

– A teraz zdejmij bluzkę.

Miałam na sobie rozpinany sweterek. Zdjęłam go. Próbował mi pomóc porozpinać guziki bluzki. Gmerał przy nich niezręcznie.

– Ja to zrobię – zaproponowałam znowu.

Rozpięłam bawełnianą bluzkę i, podobnie jak przedtem sweter, ściągnęłam ją z siebie. Jakbym zrzucała pióra. Albo skrzydła.

– A teraz stanik. Zdjęłam.

Wyciągnął ręce i chwycił moje piersi. Ugniatał je i ścisnął, manipulował nimi tak, że czułam żebra. Skręcał je. Chyba nie muszę dodawać, że mnie to bolało.

– Proszę, nie rób tego, proszę – mówiłam.

– Fajne białe cycki – rzekł.

Zrezygnowałam z nich, słysząc te słowa. Odrzucałam kolejno każdą część ciała, którą zawładnął – usta, język, piersi.

– Zimno mi – powiedziałam.

– Kładź się.

– Na ziemi? – spytałam głupio, bezradnie. Zobaczyłam swój grób wśród liści i szkła. Moje ciało wyciągnięte, rozczłonkowane, uduszone, martwe.

Najpierw usiadłam, a raczej chwiejnie przybrałam pozycję siedzącą. Złapał za nogawki spodni i pociągnął. Usiłowałam ukryć swoją nagość – miałam przynajmniej na sobie majtki – a on oglądał moje ciało. Do tej pory czuję, jak pod jego spojrzeniem moja skóra w ciemnym tunelu zajaśniała chorobliwym blaskiem. Całe moje ciało wyglądało w tamtej chwili okropnie. „Brzydkie”

byłoby zbyt łagodnym określeniem, choć najbliższym prawdy.

– Jesteś najgorszą dziwką, z którą to robiłem – stwierdził z obrzydzeniem po dokonaniu oględzin. Nie podobała mu się zdobycz.

Nieważne, i tak zamierzał dokończyć, co zaczął.

Od tej chwili zaczęłam łączyć prawdę z fikcją, czepiając się wszystkiego, byle tylko przeciągnąć go na swoją stronę. Chciałam, żeby zobaczył we mnie kogoś godnego pożalowania, kogoś, kto jest w gorszym od niego położeniu.

– Jestem przybranym dzieckiem – skłamałam. – Nie wiem nawet, kim są moi rodzice. Proszę, nie rób tego. Jestem dziewczicą.

– Kładź się!

Położyłam się. Trzęsąc się, podczołgałam się i położyłam na zimnej ziemi twarzą do góry. Gwałtownym ruchem ściągnął ze mnie majtki i zmiął je. Potem odrzucił daleko, do jakiegoś kąta, gdzie znikły mi z oczu.

Patrzyłam, jak rozpina spodnie. Opadły mu wokół kostek u nóg.

Położył się na mnie i zaczął prężyć grzbiet. Już to znałam. Robił to na mojej nodze Steve, kolega z liceum. Lubiłam go, ale nie pozwoliłam mu zrobić tego, czego pragnął najbardziej, to znaczy kochać się ze mną. Kiedy leżałam ze Steve'em, oboje mieliśmy na sobie ubranie. On poszedł do domu sfrustrowany, a ja czułam się bezpiecznie. Moi rodzice byli cały czas na górze. Mówiłam sobie, że Steve mnie kocha.

Napastnik gimnastykował się na mnie, sięgając w dół i poruszając penisem.

Patrzyłam mu prosto w oczy. Robiłam to ze strachu. Bałam się, że jeżeli zamknę oczy, zniknę. Żeby przetrwać, musiałam być cały czas obecna.

Nazwał mnie suką. Powiedział, że jestem sucha.

– Przepraszam – powiedziałam. Ciągłe go przepraszałam. – Jestem dziewczicą – powtórzyłam.

– Nie patrz na mnie – rozkazał. – Zamknij oczy. Przestań się trząść!

– Nie mogę.

– Przestań, bo pożałujesz.

Przestałam. Wyostrzył mi się wzrok. Wpatrywałam się w niego jeszcze uporczywiej. Zaczął ugniatać pięścią wejście do mojej pochwy. Wtykał w nią palce, po trzy, cztery naraz. Coś się rozdarło. Zaczęłam krwawić. Stałam się mokra.

To go podnieciło i zaintrygowało. Kiedy wcisnął mi do pochwy całą pięść i pompował, udałam się do swojego mózgu. Czekwały tam na mnie wiersze zapamiętane ze szkoły: wiersz Olgi Cabral, którego później nie mogłam znaleźć, *Krzesto Liliany*, i wiersz Petera Wilda, *Szpital dla psów*. Gdy dolną połowę mojego ciała ogarnęło kłujące odrętwienie, próbowałam recytować w myślach te wiersze. Poruszałam ustami.

– Przestań się na mnie gapić – rzekł.

– Przepraszam – powiedziałam. – Jesteś silny – spróbowałam zmienić taktykę.

To mu się spodobało. Zaczął znów się nade mną prężyć jak szalony. Wgniatał mi krzyż w ziemię. Odłamki szkła kaleczyły mi plecy i pośladki. Ale jemu ciągle coś nie odpowiadało. Nie wiedziałam co.

Ukląkł.

– Podnieś nogi! – polecił.

Ponieważ nie wiedziałam, o co mu chodzi, nigdy tego nie robiłam ani nie czytałam książek na ten temat, uniosłam nogi prosto do góry.

– Rozłóż je!

Rozłożyłam. Moje nogi były jak nogi lalki Barbie – blade i sztywne. Ale on nie był zadowolony. Położył ręce na moich łydkach i rozsunął je tak daleko, że nie byłam w stanie ich utrzymać.

– Trzymaj je tak – polecił.

Znów spróbował. Ugniatał pięścią. Chwytał moje piersi. Skręcał w palcach sutki, lizał je.

Łzy ciekły mi z kącików oczu. Już odpływałam, gdy raptem usłyszałam głosy. W alejce. Przechodzili obok jacyś ludzie,

grupka roześmianych chłopców i dziewcząt. W drodze do parku widziałam jakieś przyjęcie z okazji ostatniego dnia nauki. Popatrzyłam na mężczyznę; nie słyszał ich. Miałam szansę. Wrzasnęłam nagle, ale on natychmiast wepchnął mi dłoń do ust. Jednocześnie usłyszałam wybuch śmiechu. Tym razem skierowany w stronę tunelu w naszą stronę t. Okrzyki i docinki. Radosną wrzawę.

Leżeliśmy. Jego dłoń kneblowała mi usta i uciskała gardło, dopóki grupka dobrze nam życzących nie oddaliła się. Druga szansa ucieczki przepadła.

Sytuacja nie rozwijała się po myśli napastnika. Trwało to zbyt długo. Kazał mi wstać. Pozwolił włożyć majtki. To słowo w jego ustach zabrzmiało obrzydliwie.

Myślałam, że to już koniec. Dygotałam, ale łudziłam się, że już ma dosyć. Wszędzie była krew, więc sądziłam, że zrobił to, po co przyszedł.

– Pociągnij mi druta! – rozkazał. Stał. Ja leżałam na ziemi, wymacując w śmieciach części garderoby.

Kopnął mnie. Zwinęłam się z bólu.

– Chcę, żebyś mi pociągnęła druta. – Trzymał w ręku swojego kutasa.

– Nie wiem jak.

– Jak to nie wiesz jak?

– Nigdy tego nie robiłam – odparłam. – Jestem dziewicą.

– Weź go w usta. Klęknełam przed nim.

– Czy mogę włożyć stanik? – Chciałam się ubrać. Widziałam przed sobą wybrzuszące się nad kolanami uda, grube mięśnie, krótkie czarne włosy i obwisły penis.

Złapał mnie za głowę.

– Bierz go w usta i ssij! – polecił.

– Jak słomkę? – spytałam.

– Tak, jak słomkę.

Wzięłam go do ręki. Był mały. Gorący, lepki. Zadrgał odruchowo pod moim dotykiem. Mężczyzna pchnął moją głowę do przodu i włożył mi penisa do ust. Penis dotknął mojego języka.

Smakował jak brudna guma albo przypalone włosy. Zaczęłam go mocno ssać.

– Nie tak – skarcił mnie i odciągnął moją głowę. – Nie wiesz, jak ssać kutasa?

– Nie, już mówiłam. Nigdy przedtem tego nie robiłam.

– Suka – warknął.

Przytrzymując obwisły członek dwoma palcami, nasikał na mnie. Troszeczkę. Ostra woń, wilgoć na nosie i na ustach. Jego zapach – mocny, uderzający do głowy, przyprawiający o mdłości – przywarł do mojej skóry.

– Kładź się na ziemię i rób, co każę! – polecił. Położyłam się. Kiedy kazał mi zamknąć oczy, powiedziałam, że zgubiłam okulary i właściwie go nie widzę.

– Mów do mnie! – rozkazał. – Wierzę ci, jesteś dziewicą. Jestem twoim pierwszym.

Zaczął się o mnie ocierać coraz mocniej, a ja paplałam, że jest silny, potężny, że jest wspaniałym mężczyzną. Penis stwardniał na tyle, że wsunął się we mnie. Mężczyzna kazał mi objąć się nogami, a gdy to zrobiłam, wbił mnie w ziemię, przygwoździł. Niezawładnięty pozostał tylko mój umysł. Patrzył, obserwował i rejestrował. Twarz gwałciciela, jego zapamiętanie, to, jak mogłabym mu pomóc.

Znów usłyszałam w alejce rozbawione towarzystwo, ale byłam teraz daleko. Napastnik stękał i walił mnie. Walił mnie, walił, a tamci w alejce pozostali w innym świecie, w świecie, w którym i ja kiedyś żyłam, i byli dla mnie nieosiągalni.

– Tak trzymaj, posuwaj! – krzyknął ktoś w stronę tunelu.

Słyszając ten głos świętującego członka studenckiej korporacji, poczułam, że chyba już nigdy nie znajdę dla siebie miejsca na uniwersytecie w Syracuse.

Tamci poszli dalej. Patrzyłam memu prześladowcy prosto w oczy. Byłam z nim.

– Jesteś taki silny, ach, jaki z ciebie mężczyzna, dziękuję, dziękuję, tego pragnęłam.

Zaraz było po wszystkim. Miał wytrysk i zwiotczał we mnie.

Leżałam pod nim. Serce biło mi dziko. Mój mózg myślał o Oldze Cabral, o poezji, o matce, o czymkolwiek.

Potem usłyszałam jego oddech. Lekki i regularny. Chrapał. Pomyślałam o ucieczce. Poruszyłam się pod nim, a on się obudził.

Popatrzył na mnie. Nie wiedział, kim jestem. Naszły go wyrzuty sumienia.

– Tak mi przykro – rzekł. – Jesteś dobrą dziewczyną. Tak mi przykro.

– Czy mogę się ubrać?

Zsunął się na bok, wstał, podciągnął spodnie i je zapiął.

– Oczywiście, oczywiście. Pomogę ci. Zaczęłam się znowu trząść.

– Jest ci zimno – powiedział. – Proszę, włóż to. – Podał mi majtki, tak jak robi to matka ubierająca dziecko: trzymając z dwu stron. Miałam wstać i wsunąć nogi w wycięcia.

Podczołgałam się do swoich ubrań. Włożyłam stanik, siedząc na ziemi.

– Nic ci nie jest? – spytał.

Zdumiał mnie zatroskany ton. Ale wtedy się nad tym nie zastanawiałam. Wiedziałam tylko, że głos męczyzny jest miłszy niż przedtem.

Wstałam i wzięłam od niego majtki. Wkładając je, zachwiałam się i omal nie przewróciłam. Musiałam usiąść na ziemi, żeby wciągnąć spodnie. Martwiłam się o swoje nogi. Nie panowałam nad nimi.

Mężczyzna obserwował mnie. Kiedy powoli zmagalam się z nogawkami spodni, raptem zmienił ton.

– Będiesz miała dziecko, suko. Co z tym zrobisz? Uzmysłowiłam sobie, że mógłby mnie zabić z tego powodu.

Zacieranie śladów. Skłamałam.

– Proszę, nie mów nikomu. Zrobię sobie aborcję. Proszę, nie mów nikomu. Moja matka zabiłaby mnie, gdyby się o tym dowiedziała. Proszę, nikt nie może się o tym dowiedzieć. Moja przybrana rodzina by mnie znienawidziła. Proszę, nie rozmawiaj o tym z nikim.

Roześmiał się.

– Dobrze – odparł.

– Dziękuję – powiedziałam. Na stojąco włożyłam bluzkę. Lewą stroną na wierzch.

– Czy mogę już iść? – spytałam.

– Chodź tu – rzekł. – Pocałuj mnie na pożegnanie. Dla niego to była randka. Dla mnie jakby wszystko zaczynało się od nowa.

Pocałowałam go. Czy mówiłam, że miałam wolną wolę? Czy nadal w nią wierzycie? Jeszcze raz mnie przeprosił. Nawet zapłakał.

– Tak mi przykro – bąknął. – Jesteś dobrą dziewczyną, dobrą dziewczyną, jak mówiłaś.

Poruszyły mnie jego łzy, ale był to kolejny okropny niuans, którego nie rozumiałam. Musiałam wybrać odpowiednie słowa, żeby nie robił mi już krzywdy.

– W porządku – powiedziałam. – Naprawdę.

– Nie. To, co zrobiłem, nie jest w porządku. Dobra z ciebie dziewczyna. Nie kłamałaś. Przepraszam za to, co zrobiłem.

Zawsze mnie gniewało, kiedy w filmie albo sztuce od kobiety, którą gwałtem rozprawiczono, wymaga się, aby do końca życia okazywała wszystkim dokoła miłość i przebaczenie.

– Wybaczam ci – powiedziałam. Powiedziałam, bo musiałam. Byłam gotowa umierać po kawałku, byle uratować się od prawdziwej śmierci.

Ożywił się. Popatrzył na mnie.

– Jesteś piękną dziewczyną – rzekł.

– Czy mogę wziąć torebkę? – spytałam. Bałam się poruszyć bez jego pozwolenia. – Książki?

Coś mu się przypomniało.

– Mówiłaś, że masz osiem dolarów, tak? – Wyciągnął mi je z dzinsów. Banknoty były owinięte wokół mojego prawa jazdy. Dokumentu z fotografią. W stanie Nowy Jork jeszcze takich nie wprowadzono, ale w Pensylwanii owszem.

– Co to jest? – spytał. – Czy to karta żywnościowa, z której mogę skorzystać w McDonalddie?

– Nie – odparłam. Zdrętwiałam z przerażenia, że ma mój dokument tożsamości. Zabrał mi do tej pory całą mnie oprócz mózgu i rzeczy osobistych. Chciałam wyjść z tunelu z tym, co mi pozostało.

Oglądał jeszcze przez chwilę dokument, aż upewnił się co do jego charakteru. Nie zabrał mi pierścionka z szafirem po prababce, choć niewątpliwie zauważył go na moim palcu. W ogóle się nim nie zainteresował.

Podał mi torebkę i książki, które tego popołudnia kupiłam razem z matką.

– Dokąd idziesz? – spytał. Wskazałam kierunek.

– Dobrze. Uważaj na siebie.

Obiecałam, że będę uważać. Zaczęłam iść. Wycofałam się przez ogrodzony skrawek ziemi, przez bramę, której ponad godzinę temu się czepiałam, i wyszłam na brukowaną alejkę. Jedyne drogi do domu wiodły przez park.

– Hej, mała! – zawołał za mną w chwilę później. Odwróciłam się. Byłam, tak jak jestem, pisząc te strony, jego.

– Jak ci na imię?

Nie umiałam skłamać. Nie mogłam przypomnieć sobie żadnego imienia oprócz własnego.

– Alice – odparłam.

– Miło było cię poznać, Alice! – krzyknął. – Może się jeszcze spotkamy.

Pobiegł w przeciwnym kierunku, wzdłuż metalowej siatki ogrodzającej budynek przy basenie. Odwróciłam się. Dopięłam swego. Przekonałam go. Teraz zaczęłam iść.

Nie widziałam żywej duszy, dopóki nie doszłam do trzech kamiennych schodków, prowadzących z parku na chodnik. Po drugiej stronie ulicy stał dom korporacji. Szłam dalej. Pozostałam na chodniku przy parku. Na trawnikach przed domem korporacji kręcili się ludzie. Akurat dobiegała końca piwna impreza. Tam gdzie uliczka z moim akademikiem wychodziła ślepym końcem na park, skręciłam i ruszyłam w dół, mijając inny, większy akademik.

Czułam wlepione we mnie spojrzenia. Imprezowicze wracali do domu, a kujony wychodziły zaczerpnąć powietrza po raz ostatni na trzeźwo przed latem. Gadali. Ja byłam jakby nieobecna. Słyszałam ich dokoła, lecz niczym ofiara udaru tkwiłam uwięziona w swoim ciele.

Podchodzili do mnie. Niektórzy podbiegali, a potem cofali się, gdy nie reagowałam.

– Hej, widziałeś ją?! – mówili.

– Cholernie sponiewierana.

– Popatrz, ile krwi!

Zeszłam ze wzgórza, mijając tamtych ludzi. Wszystkich się bałam. Na tarasie przy drzwiach wejściowych do akademika Marion stali ludzie, którzy mnie znali. Przynajmniej z widzenia, jeśli nie z nazwiska. W Marion były trzy piętra – piętro dziewczyn pomiędzy dwoma piętrami chłopców. Akurat teraz wyszli przed akademik prawie sami chłopcy. Jeden otworzył zewnętrzne drzwi, żeby mnie przepuścić. Drugi przytrzymał wewnętrzne. Przyglądano mi się; czyż mogło być inaczej?

Przy małym stoliku nieopodal drzwi siedział strażnik-rezydent. Był nim absolwent studiów licencjackich. Drobny, pracowity Arab. Po północy sprawdzano dokument tożsamości każdego, kto chciał wejść. Spojrzał na mnie i szybko wstał.

– Co się stało? – spytał.

– Nie mam dokumentu tożsamości – odparłam. Stałam przed nim z obitą twarzą, z rozciętym nosem i wargą, ze łzą spływającą po policzku. Miałam liście we włosach. Ubranie zakrwawione i wywrócone na lewą stronę. Oczy szkliste.

– Nic ci nie jest?

– Chcę pójść do swojego pokoju – odparłam. – Nie mam dokumentu tożsamości – powtórzyłam.

Zachęcił mnie gestem, żebym poszła.

– Obiecuj, że o siebie zadbasz – rzekł.

Na klatce stali chłopcy. Trochę dziewczyn też. Prawie cały akademik był jeszcze na chodzie. Minęłam ich. Milczenie. Wpatrzone oczy.

Poszłam korytarzem i zapukałam do drzwi pokoju mojej przyjaciółki, Mary Alice. Nikogo. Zapukałam do swojego pokoju, mając nadzieję, że zastanę współlokatorkę. Nikogo. W końcu zapukałam do drzwi Lindy i Dianę, dwóch koleżanek z sześćosobowej paczki, którą w tym roku utworzyłyśmy. Najpierw nic. Potem obróciła się gałka u drzwi.

W pokoju było ciemno. Linda klęczała na łóżku, przytrzymując uchylone drzwi. Wyrwałam ją ze snu.

– Co się stało? – spytała.

– Lindo, zgwałcono mnie i pobito w parku. Opadła w tył, w ciemność. Zemdlała.

Drzwi miały sprężynowe zawiasy, więc same się zatrzęsły.

Pomyślałam o strażniku, który się o mnie zatroszczył. Zawróciłam i zeszłam na dół, do jego biurka. Wstał.

– Zgwałcono mnie w parku – powiedziałam. – Zadzwonisz na policję?

Strażnik zaczął szybko mówić po arabsku, a kiedy się opamiętał, rzekł:

– Tak, och, tak, proszę tutaj.

Z tyłu za nim znajdowało się przeszklone pomieszczenie, które w założeniu miało chyba służyć za biuro, ale nigdy nie było używane. Wprowadził mnie tam i kazał usiąść. Z braku krzesła usiadłam na biurku.

Chłopcy, którzy stali przed budynkiem, zeszli się i gapili na mnie, przysuwając twarze do szyb.

Nie pamiętam, jak długo to trwało – niedługo zapewne, bo szpital był sześć przecznic na południe od terenu uniwersytetu. Pierwsza przyjechała policja, ale w ogóle nie pamiętam, co wtedy mówiłam.

Potem znalazłam się na noszach na kółkach, przypięto mnie pasami. Wyjechałam na korytarz. Przesłuchiwany właśnie strażnik obejrzał się na mnie.

Policjant przejął kontrolę nad sytuacją.

– Proszę usunąć się z drogi – rzekł do moich zaciekawionych rówieśników. – Ta dziewczyna została zgwałcona.

Byłam jeszcze na tyle przytomna, że usłyszałam, jak te słowa padają z jego ust. Ja byłam tą dziewczyną. Wieść zaczęła rozchodzić się falą po korytarzach. Sanitariusze znieśli mnie po schodach do ambulansu. Kiedy znalazłam się w środku i popędziliśmy z rykiem syren do szpitala, odpuściłam sobie. Schowałam się gdzieś głęboko, skulona wewnątrz własnego ciała, odgradzona od tego, co działo się wokół.

Wwieziono mnie szybko przez drzwi oddziału ratunkowego. Potem do gabinetu. Gdy pielęgniarka pomagała mi zdjąć ubranie i przebrać się w szpitalną koszulę, wszedł policjant. Nie wydawała się zachwycona jego przybyciem, on zaś odwrócił wzrok i przerzucił kartkę w kieszonkowym notesie na czystą stronę.

Przypomniały mi się telewizyjne programy detektywistyczne. Pielęgniarka i policjant kłócili się nad moją głową – policjant zaczął zadawać mi pytania i zbierać części garderoby, które miały posłużyć jako dowód rzeczowy, a pielęgniarka przetarła mi twarz i plecy alkoholem, po czym zapewniła, że zaraz przyjdzie lekarz.

Pamiętam pielęgniarkę lepiej niż policjanta. Osłaniała mnie przed nim własnym ciałem jak tarczą. Podczas gdy on zapisywał wstępne zeznanie – moją podstawową relację – ona mówiła do mnie różne rzeczy, gromadząc materiał dowodowy.

– Musiałaś nieźle dać mu w kość – powiedziała, pobierając mi próbki spod paznokci. – Dobrze, masz kawałek drania.

Przyszła doktor Husa, ginekolog.

Zacząła wyjaśniać, co będzie robić, a tymczasem pielęgniarka wyprosiła policjanta. Leżałam na stole. Zastrzyk demerolu miał zrelaksować mnie na tyle, żeby doktor Husa mogła pobrać materiał dowodowy. Uprzedziła, że może mi się po zastrzyku zachcieć siusiu. Miałam się od tego powstrzymać, ponieważ siusianie mogłoby zaburzyć kulturę bakteryjną mojej pochwy i zniszczyć potrzebne policji dowody.

Otworzyły się drzwi.

– Ktoś chce się z panią widzieć – poinformowała pielęgniarka.

Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam, że to może być moja matka. Wpadłam w popłoch.

– Jakaś Mary Alice.

– Alice? – usłyszałam głos Mary Alice. Cichy, wystraszony.

Wzięła mnie za rękę i uścisnęła ją mocno.

Mary Alice była piękna – naturalna blondynka ze wspaniałymi zielonymi oczami – i tamtego dnia, bardziej niż kiedykolwiek, przypominała mi anioła.

Doktor Husa pozwoliła nam porozmawiać, czyniąc przygotowania.

Mary Alice, tak jak wszyscy, nieźle sobie popiła na kończącej rok balandze w pobliskim domu korporacji.

– Nie mów, że mój widok cię nie otrzeźwi – powiedziałam i dopiero teraz się popłakałam, gdy Mary Alice dała mi to, czego najbardziej potrzebowałam: mały uśmiech kwitujący mój żart. To pierwsza rzecz z mojego starego życia, którą rozpoznałam, będąc po drugiej stronie. Okropnie zmieniony uśmiech mojej przyjaciółki. Już nie swobodny i otwarty, zrodzony z głupiej wesołości, jak wszystkie nasze uśmiechy przez cały rok, a jednak podniósł mnie na duchu. Mary Alice wypłakała więcej łez niż ja, twarz miała spuchniętą, pokrytą plamami. Opowiedziała mi, jak razem z Dianę, równie rosłą jak ona, prawie podniosły w górę niewysokiego strażnika, żeby wydobyć z niego informację o tym, gdzie mnie zawieziono.

– Nie chciał powiedzieć nikomu oprócz twojej współlokatorce, ale Nancy gdzieś się zapodziała.

Uśmiechnęłam się, wyobrażając sobie, jak Dianę i Mary Alice podnoszą strażnika, który wymachuje nogami w powietrzu niczym głupkowaty policjant z niemego filmu.

– Jesteśmy gotowe – oświadczyła doktor Husa.

– Zostaniesz ze mną? – spytałam Mary Alice. Została.

Doktor Husa i pielęgniarka pracowały razem. Co chwila musiały masować mi uda. Poprosiłam, żeby objaśniały, co robią. Chciałam wszystko dokładnie wiedzieć.

– Będzie inaczej niż w czasie zwykłego badania – uprzedziła doktor Husa. – Muszę pobrać próbki, które posłużą jako dowody rzeczowe w sprawie o gwałt.

– Żebyś dorwała tamtego drania – dodała pielęgniarka.

Wycinały mi włosy z łona, wyczesywały je, pobierały próbki krwi, nasienia i wydzieliny z pochwy. Gdy się wzdrygałam, Mary Alice ścisnęła mocniej moją dłoń. Pielęgniarka podtrzymywała rozmowę – spytała Mary Alice, co studiuje, a zwracając się do mnie powiedziała, że to szczęście mieć oddaną przyjaciółkę, i jeszcze, że po takim pobiciu policjanci uważniej mnie wysłuchają.

– Tyle krwi – zmartwiła się doktor Husa, gdy wraz z pielęgniarką wyczesywała mi włosy. – O, proszę, jest jego włos! – krzyknęła uradowana.

Pielęgniarka otworzyła torebkę na dowody i doktor Husa strząsnęła do niej to, co udało się wyczesać.

– Dobrze – rzekła pielęgniarka.

– Alice – powiedziała lekarka. – Pozwolimy ci teraz zrobić siusiu, ale potem będę musiała założyć szwy w środku.

Pielęgniarka pomogła mi usiąść i podsunęła przede mną basen. Tak długo robiłam siusiu, że pielęgniarka i Mary Alice zaczęły to komentować i śmiać się za każdym razem, kiedy myślały, że już skończyłam. Gdy wysikałam się do końca, zobaczyłam basen pełen krwi, nie uryny. Pielęgniarka zakryła go szybko papierem ze stołu do badań.

– Nie powinnaś na to patrzeć. Mary Alice pomogła mi się położyć z powrotem/Doktor Husa kazała mi się podsunąć bliżej, żeby mogła założyć szwy.

– Przez kilka dni, może przez tydzień, będziesz w tym miejscu obolała – wyjaśniła. – W miarę możliwości unikaj wysiłku.

Nie potrafiłam ogarnąć myślą nadchodzących dni i tygodni. Potrafiłam skupić się tylko na upływających minutach, w nadziei, że każda następna okaże się lepsza, że wszystko stopniowo przejdzie.

Zabroniłam policji zawiadamiać moją matkę. Nie zdając sobie sprawy ze swojego wyglądu, sądziłam, że ukryję gwałt przed nią i przed całą rodziną. Matkę przyprawiały o ataki paniki korki drogowe; byłam pewna, że gwałt na mnie zniszczy ją psychicznie.

Po badaniu pochwy przewieziono mnie do jasnej, białej sali. Przechowywano w niej ogromne, nieprawdopodobne maszyny zdolne uratować ludzkie życie, błyszczące nierdzewną stalą i nieskazitelnym włóknem szklanym. Mary Alice wyszła do poczekalni. Widziałam maszyny w najdrobniejszych szczegółach – wydawały się takie czyste i zupełnie nowe – bo po raz pierwszy, odkąd ruszyła akcja ratowania mnie, byłam sama. Leżałam na łóżku na kółkach, naga pod szpitalną koszulą, i trzęsłam się z zimna. Nie wiedziałam, dlaczego tu jestem, odstawiona na przechowanie razem z maszynami. Dużo czasu upłynęło, zanim ktoś się zjawił.

Przyszła pielęgniarka. Spytałam, czy mogę wziąć prysznic w kabinie w kącie sali. Zajrzała do karty w nogach łóżka – nawet nie zauważyłam, że tam wisi. Ciekawiło mnie, co w niej napisano, i wyobraziłam sobie słowo GWAŁT, biegnące na skos dużymi czerwonymi literami.

Leżałam nieruchomo i oddychałam płytko. Demerol działał silnie uspokajająco, ale przeciwstawiałam się mu, bo byłam brudna. Czułam klucie i palenie na całej skórze. Chciałam zmyć z siebie tamtego mężczyznę. Chciałam wziąć prysznic i wyszorować się tak, aż zedrę naskórek.

Pielęgniarka poinformowała mnie, że czekam na psychiatrę, który ma dyżur na telefon. Potem wyszła z pokoju. Po zaledwie piętnastu minutach – chociaż mnie ten czas bardzo się dłużył, bo czułam rozpełzające się po ciele skażenie – do sali wszedł zabiegany psychiatra.

Od razu pomyślałam, że temu lekarzowi, który przepisał mi valium, bardziej jest ono potrzebne niż mnie. Znać było po nim wyczerpanie. Powiedziałam mu, dobrze to pamiętam, że znam się na valium, więc nie musi mi nic wyjaśniać.

– To panią uspokoi – zapewnił.

Moja matka uzależniła się od valium, kiedy byłam mała. Robiła mnie i siostrze wykłady na temat narkotyków. Gdy podrosłam, zrozumiałam jej lęk – że się upiję albo naćpam i stracę dziewictwo z jakimś niezdarnym chłopcem. W czasie tych wykładów

widziałam moją pełną życia matkę jakoś pomniejszoną, uszczuploną – jakby przesłonięto jej wyrazistość gazą.

W moim odczuciu valium nie działało tak łagodnie, jak opisywał lekarz, ale on moje obawy skwitował machnięciem ręki. Po jego wyjściu zrobiłam to, co niemal natychmiast postanowiłam zrobić – zmięłam receptę, żeby ją później wyrzucić do kosza. Od razu poczułam się lepiej. Jakbym powiedziała „pieprz się” wszelkim próbom zatuszowania tego, co przeszłam. Już wtedy przeczuwałam, co by się stało, gdybym pozwoliła innym zająć się mną. Zniknęłabym z pola widzenia. Nie byłabym już Alice, cokolwiek to znaczyło.

Przyszła pielęgniarka i zaproponowała, że podeśle mi którąś z moich przyjaciółek. Po środkach przeciwbólowych potrzebowałam kogoś do pomocy, żeby nie przewróciła się pod prysznicem. Najchętniej widziałabym Mary Alice, ale nie chciałam jej wykorzystywać, więc poprosiłam o Tree, współlokatorkę Mary Alice i jedną z naszej sześciuosobowej paczki.

Czekając na nią, zastanawiałam się, co powiedzieć matce – jaką historyjkę tłumaczącą moją senność. Lekarz wprawdzie mnie ostrzegął, lecz skąd miałam wiedzieć, jaka będę rano obolała i że elegancka koronka siniaków pojawi się na moich udach i piersi, po wewnętrznej stronie rąk i wokół szyi, na której wiele dni później, w domu, w swojej sypialni zacznę rozróżniać pojedyncze punkty ucisku – motyla z dwóch kciuków gwałciciela schodzących się na środku gardła i odbitki pozostałych palców rozkładające się dokoła szyi. „Zabiję cię, suko. Zamknij się. Zamknij się. Zamknij się!”. Przy każdym powtórzeniu moja głowa uderzała o bruk, przy każdym powtórzeniu ucisk się nasilał, odcinając dopływ powietrza do mózgu.

Mina Tree i jej nagłe westchnienie powinny mi uświadomić, że nie ukryję prawdy. Tree szybko się opanowała i zaczęła mnie prowadzić do kabiny z prysznicem. Czuła się przy mnie niezręcznie; nie byłam już podobna do niej, byłam inna.

Wydaje mi się, że te pierwsze godziny po gwałcie przetrwałam

dzięki temu, że obsesyjnie uczepliłam się jednej myśli – jak ukryć wszystko przed matką. Przekonana, że prawda by ją zniszczyła, przestałam roztrząsać to, co przydarzyło się mnie, a martwiłam się o nią. Zamartwianie się matką stało się moją tratwą ratunkową. Chwytałam się jej, kiedy traciłam i odzyskiwałam przytomność w drodze do szpitala, podczas badania ginekologicznego, kiedy zakładano mi szwy i kiedy psychiatra dał mi receptę na te same pigułki, które przed laty wprowadzały moją matkę w stan odrętwienia.

Prysznic był w kącie sali. Szłam chwiejnie jak staruszka, a Tree mnie podtrzymywała. Skupiłam się na zachowaniu równowagi i nie zauważyłam lustra po prawej stronie, dopóki nie podniosłam wzroku, znalazłszy się prawie na wprost niego.

– Alice, nie patrz – ostrzegła Tree.

Ale ja stanęłam zafascynowana, jak niegdyś w dzieciństwie, gdy w specjalnej, słabo oświetlonej sali w Muzeum Archeologicznym przy Uniwersytecie Pensylwańskim zobaczyłam eksponat o przydomku „Niebieski Malec”. Mumia miała twarz w stanie rozkładu i ciało dziecka zmarłego przed setkami lat. Teraz spostrzegłam łączące mnie z mumią podobieństwo – byłam, tak jak dawno temu „Niebieski Malec”, dzieckiem.

Ujrzałam w lustrze swoją twarz. Uniosłam rękę i dotknęłam skaleczeń i sińców. To jednak ja. Zrozumiałam, że prysznic nie zmyje śladów gwałtu. Nie miałam wyboru, musiałam powiedzieć matce. Jako osoba doświadczona życiowo, nie uwierzyłaby w żadną zmyśloną przeze mnie historyjkę. Pracowała w gazecie i zawsze podkreślała z dumą, że nikomu nie uda się zamydlić jej oczu.

Kabina była mała, wyłożona białymi kafelkami. Poprosiłam Tree, żeby odkręciła wodę.

– Zrób jak najgorętszą – dodałam.

Zdjęłam szpitalną koszulę i podałam ją Tree.

Musiałam przytrzymać się kurka i uchwytu z boku, żeby ustać. Trzymając się oburącz, nie mogłam się samodzielnie umyć. Pamiętam, jak powiedziałam Tree, że chciałabym mieć drucianą

szcnotkę, ale nawet druciana by mi nie wystarczyła.

Tree zaciągnęła zasłonkę. Stałam w środku, pod bijącym we mnie strumieniem wody.

– Pomożesz mi? – spytałam.

Tree odchyliła zasłonkę.

– Co mam zrobić?

– Boję się, że upadnę. Czy mogłabyś wziąć mydło i pomóc mi się umyć?

Sięgnęła przez wodę po dużą, kanciastą kostkę mydła. Przeciągnęła nią po moich plecach – nic, tylko dotknięcie mydła. Poczułam słowa gwałciciela „najgorsza dziwka”, tak jak miałam je czuć przez długie lata, rozbierając się przed innymi ludźmi.

– Już nie trzeba – powiedziałam. Nie mogłam nawet patrzeć na Tree. – Sama to zrobię. Odłóż mydło.

Odłożyła, zaciągnęła zasłonkę i wyszła.

Usiadłam pod prysznicem. Namydliłam myjkę. Szorowałam mocno szorstką tkaniną, pod strumieniem tak gorącej wody, że moja skóra przybrała buraczany odcień. Na koniec przyłożyłam myjkę do twarzy i obiema rękami tarłam raz po raz skaleczenia, aż sącząca się z nich krew zabarwiła białą szmatkę na różowo.

Po gorącym prysznicu włożyłam ubranie wybrane pośpiesznie przez Tree i Dianę spośród niewielu moich czystych rzeczy. Zapomniały o bieliźnie, więc nie miałam ani majtek, ani stanika. Miałam natomiast parę starych dżinsów, na których, jeszcze w szkole średniej, wyhaftowałam kwiaty, a potem, kiedy rozerwały się na kolanach, naszyłam wymyślne łąty – długie paski fałdowanego materiału w „łezki” i ciemnozielonego aksamitu. Babcia nazwała je „spodniami buntu”. Od góry włożyłam cienką koszulową bluzkę w biało-czerwone pasy. Wyrzuciłam jej poły na dżinsy, żeby chociaż trochę je zamaskować.

Gorący prysznic razem z demerolem oszołomiły mnie i w takim stanie jechałam na posterunek policji. Pamiętam, że pod strzeżonymi drzwiami na drugim piętrze zobaczyłam Cindy, naszą starościnię, studentkę drugiego roku. Nie byłam przygotowana na

to, że ujrzę kogoś o tak jasnej twarzy, uosobienie amerykańskiej koedukacji.

Mary Alice została z Cindy w holu, a mnie policjanci wprowadzili przez strzeżone drzwi. Spotkałam w środku ubranego po cywilnemu niskiego detektywa o dość długich ciemnych włosach. Przypominał Starsky'ego z serialu *Starsky i Hutch* i różnił się od innych policjantów. Był dla mnie miły, ale niestety kończył mu się dyżur. Przydzielił mnie sierżantowi Lorenzowi, który jeszcze nie przyszedł na posterunek.

Sięgając pamięcią wstecz, mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądałam w ich oczach. Opuchnięta twarz, mokre włosy, strój – w szczególności „spodnie buntu” i brak stanika – a na dokładkę demerol.

Złożyłam portret pamięciowy z fragmentów twarzy na mikrofilmie. Pracowałam z funkcjonariuszem i czułam się sfrustrowana, bo nie mogłam dopatrzeć się rysów gwałciciela w żadnym z kilkudziesięciu nosów, par oczu i ust. Opisałam go dokładnie, ale ponieważ nie odpowiadało mi nic spośród przedstawionych do wyboru maleńkich czarnobiałych obrazków, to policjant sam decydował, co będzie najlepsze. W rezultacie stworzony wtedy portret pamięciowy mało przypominał gwałciciela.

Następnie policjanci zrobili mi serię zdjęć, nie wiedząc, że wcześniej tego samego wieczoru zostałam uwieczniona na całkiem innych fotografiach. Ken Childs, chłopak, którego lubiłam, wypstrykał prawie całą rolkę filmu, przyłapując mnie na gorąco w różnych pozach w całym mieszkaniu.

Ken podkochał się we mnie i robił te zdjęcia po to, żeby pokazać je latem swojej rodzinie. Wiedziałam, że będą oglądane i oceniane. Czy jestem ładna? Czy wyglądam inteligentnie? A może jego przyjaciele ograniczą się do komentarza „wydaje się sympatyczna”? Albo gorzej – „ma ładny sweter”?

Ostatnio przytyłam, ale dzinsy, które miałam na sobie, były jeszcze trochę za duże, od matki pożyczyłam białą bawełnianą bluzkę i beżowy rozpinany sweter w warkocze. Przychodzą mi na

myśl słowa „niemodna” i „staroświecka”.

Otóż na zdjęciach zrobionych „przedtem” przez Kena Childsa najpierw pozuję, potem chichoczę, wreszcie śmieję się na całego. Początkowo czułam się nieco onieśmielona, ale szybko poddałam się rozchichotanej beztrosce naszego wzajemnego zauroczenia. Na zdjęciach staram się utrzymać postawione na głowie pudełko rodzynek, gapię się na tekst na odwrocie, jakby mnie szalenie zainteresował, opieram stopy na stole w jadalni. I cały czas się uśmiecham.

Na zdjęciach wykonanych „potem” przez policję jestem w szoku. Słowo „szok” oznacza w tym miejscu, że byłam właściwie nieobecna. Jeżeli oglądaliście kiedyś policyjne zdjęcia ofiar przestępstwa, wiecie, że wydają się albo za jasne, albo za ciemne. Moje były prześwietlone. Cztery ujęcia. Twarz. Twarz i szyja. Szyja. Na stojąco z numerem identyfikacyjnym. Nikt ci wtedy nie mówi, jak ważne są te zdjęcia. Powierzchnowość ofiary gwałtu ma zasadnicze znaczenie dla udowodnienia winy oskarżonego. Na razie za sam wygląd zdobyłam dwa punkty na dwa: miałam luźny, niewyzywający ubiór i najwyraźniej zostałam pobita. Dodajcie do tego moje dziewictwo, a zaczniecie rozumieć, co tak naprawdę liczy się na sali sądowej.

W końcu pozwolono mi opuścić posterunek razem z Cindy, Mary Alice i Tree. Obiecałam policjantom, że wrócę za parę godzin, żeby złożyć pisemne oświadczenie pod przysięgą i przejrzeć fotograficzną kartotekę przestępców. Chciałam ich przekonać, że jestem osobą poważną, że ich nie zawiodę. Ale akurat ci pracowali na nocnej zmianie. Nawet gdybym wróciła – a w ich mniemaniu to nie było wcale pewne – i tak bym ich nie zastała i nie zobaczyliby, że dotrzymałam słowa.

Zostałyśmy odwiezione do akademika Marion wczesnym rankiem. Brzask zakradał się na wzgórze z parkiem Thordena. Musiałam zawiadomić matkę.

W akademiku panowała śmiertelna cisza. Cindy wróciła do swojego pokoju w końcu korytarza, a Mary Alice i ja

umówiliśmy się, że zaraz do niej dołączymy. Żadna z nas nie miała prywatnego telefonu.

Poszliśmy do mojego pokoju, żeby wybrać bieliznę, którą mogłabym włożyć pod ubranie.

Kiedy znów znalazłyśmy się na korytarzu, spotkałyśmy Dianę i jej chłopaka, Victora. Przesiedzieli całą noc, czekając na mój powrót.

Do tego ranka moja znajomość z Victorem ograniczała się do zdziwienia, co może łączyć takiego chłopaka z Dianą, która wydawała mi się zbyt głośna. Victor – przystojny, wysportowany – w naszym towarzystwie prawie się nie odzywał. Wstępując na uczelnię, już miał wybrany główny kierunek studiów. Zdaje się, że elektrotechnikę. Coś bardzo odległego od poezji. Victor był czarny.

– Alice – zaczęła Dianę.

Właśnie z otwartego pokoju Cindy wyszły dziewczyny, które znałam z widzenia, i nieznajome.

– Victor chce cię przytulić – dokończyła Dianę.

Spojrzałam na niego. To było ponad moje siły. Wiedziałam, że nie jest gwałcicielem. Nie o to chodziło. Ale zagrażał mi drogę do czegoś, czego za nic w świecie nie chciałam zrobić, wiedząc jednocześnie, że zrobić to muszę. Zadzwoń do matki.

– Chyba nie dam rady – powiedziałam do Victora.

– Był czarny, prawda? – spytał Victor. Starał się nakłonić mnie, żebym na niego spojrzała, prosto w oczy.

Przytaknęłam.

– Tak mi przykro – rzekł. Rozpłakał się. Łzy spływały mu powoli od zewnętrznych kącików oczu. – Tak mi przykro.

Nie wiem, czy przytuliłam się dlatego, że nie mogłam znieść widoku jego łez (dziwnych u Victora, którego znałam, u tego spokojnego Victora, który albo pilnie się uczył, albo uśmiechał nieśmiało do Diane), czy też dlatego, że zachęcili mnie stojący wokół nas. Trzymał mnie długo, aż poczułam, że muszę się odsunąć – wtedy mnie puścił. Sprawiał wrażenie okropnie nieszczęśliwego, do dziś nie wiem, jakie myśli krążyły mu po

głowie. Może już wtedy wiedział, że zarówno krewni, jak i obcy będą do mnie mówić: „Założę się, że był czarny” i tym podobne, dlatego chciał mi dać coś, co by tamto zrównoważyło, chciał mi dać w ciągu tej samej doby przeżycie, które nie pozwoli mi zaliczać ludzi do z góry określonych kategorii i kierować na nich całą swoją nienawiść. Pierwszy raz od gwałtu przytulił mnie mężczyzna, a ja nie mogłam odwzajemnić uścisku. Otaczające mnie ramiona, mgliste zagrożenie fizyczną siłą, nie, tego było dla mnie za wiele.

Pod koniec Victor i ja mieliśmy już całą widownię. Od tej pory musiałam do tego przywyknąć. Stałam blisko niego świadoma obecności Mary Alice i Diane. One stanowiły część tej sceny. Inni, niewyraźni, trzymali się z boku. Patrzyli na moje życie jak na film. Jaką rolę odgrywali w swojej wersji tej historii? Miałam się w następnych latach dowiedzieć, że w kilku wersjach byłam najlepszą przyjaciółką. Znajomość z ofiarą jest jak znajomość z kimś sławnym. Zwłaszcza gdy przestępstwo otacza aura tabu. Przygotowując się do napisania tej książki, jeszcze w Syracuse, spotkałam kogoś takiego. Początkowo kobieta w ogóle mnie nie rozpoznała, ale wiedząc, że piszę książkę o gwałcie na Alice Sebold, przybiegła z innego pokoju i oświadczyła, że „ofiara była jej najlepszą przyjaciółką”. Nie miałam pojęcia, kto to jest. A kiedy ktoś z obecnych w pokoju zwrócił się do mnie po imieniu, zamrugała, podeszła bliżej i ucisnęła mnie, żeby uratować twarz.

W pokoju Cindy usiadłam na łóżku jak najbliżej wejścia. Towarzyszyły mi: Cindy, Mary Alice i Tree, może jeszcze Dianę. Cindy wyprosiła innych i zamknęła drzwi.

Nadszedł czas. Siedziałam z telefonem na kolanach. Matka znajdowała się zaledwie kilka mil ode mnie, przyjechała poprzedniego dnia do Syracuse, żeby zabrać mnie do domu. Teraz pewnie krzątała się po pokoju hotelowym w Holiday Inn. W tamtych latach podróżowała z własną maszynką do parzenia kawy, bo robiła sobie w pokoju bezkofeinową. Odzwyczajając się od wypijania dziesięciu filiżanek kawy dziennie, a w restauracjach

jeszcze nie podawano bezkofeiny.

Poprzedniego wieczoru podrzuciła mnie do domu Kena Childsa i umówiliśmy się, że przyjedzie do akademika około wpół do dziewiątej rano – dla niej trochę późno, ale poszła mi na rękę, bo miałam posiedzieć dłużej, żegnając się z koleżankami. Popatrzyłam teraz na nie w nadziei, że powiedzą: „Nie wyglądasz najgorzej”, albo podsuną mi jedną jedyną historyjkę, która wyjaśni skaleczenia i siniaki na mojej twarzy – historyjkę, której sama nie potrafiłam wymyślić przez całą noc.

Tree wybrała numer.

Kiedy moja matka podniosła słuchawkę, Tree powiedziała:

– Pani Sebold, tu koleżanka Alice, Tree Roebeck. Może matka odpowiedziała „cześć”.

– Teraz oddam słuchawkę Alice. Musi z panią porozmawiać.

Tree podała mi słuchawkę.

– Mamo – zaczęłam.

Widocznie nie usłyszała drżenia w moim głosie, które mnie wydawało się oczywiste. Była zirytowana.

– O co chodzi, Alice? Wiesz, że zaraz przyjadę. Czy to nie może poczekać?

– Mamo, muszę ci coś powiedzieć. Teraz usłyszała.

– Co, co się stało?

Odpowiedziałam tak, jakbym odczytywała linijkę ze scenariusza.

– Wczoraj wieczorem zostałam pobita i zgwałcona w parku.

– O mój Boże! – Moja matka raptownie westchnęła, zaskoczona, a potem wzięła się w garść. – Nic ci nie jest?

– Czy możesz po mnie przyjechać, mamo? – spytałam. Obiecała, że będzie za mniej więcej dwadzieścia minut, tylko się spakuje i ureguluje rachunek za hotel.

Rozłączyłam się.

Mary Alice zaproponowała, żebyśmy w jej pokoju zaczekały na moją matkę. Ktoś kupił bajgle i pączki.

Tymczasem pobudzili się inni studenci. Dokoła panował ruch. Wielu studentów, w tym także moje przyjaciółki, szło na

śniadanie z rodzicami albo pędziło na dworzec autobusowy lub lotnisko. Ludzie zajmowali się mną przez chwilę, a potem wracali do pakowania. Siedziałam, opierając się plecami o szorstką ścianę akademika. Ludzie wchodzili i wychodzili, drzwi otwierały się i wtedy słyszałam urywki rozmów.

– Gdzie ona jest?... Zgwałcona... Widziałaś jej twarz?... Znała go?... Zawsze taka dziwna...

Nic nie jadłam od poprzedniego wieczoru – od rodzynek w domu Kena Childsa. Patrząc na bajgle i pączki, przypominało mi się, co ostatnio miałam w ustach – penis gwałciciela. Walczyłam z sennością. Nie spałam od przeszło dwudziestu czterech godzin – a zarwanych nocy uzbierało się więcej po tygodniu końcowych egzaminów – i bałam się, że zasnę przed przyjazdem matki. Moje przyjaciółki i starościna – zaledwie dziewiętnastolatka, otoczyły mnie opieką, ale zauważyłam, że znalazłam się teraz po drugiej stronie czegoś, czego nie mogły zrozumieć. I ja też nie rozumiałam.

2.

Czekałam na matkę, a ludzie się rozjeżdżali. Zjadłam krakersa, którego podała mi Tree, a może Mary Alice. Przyjaciele się żegnali. Mary Alice postanowiła wyjechać później. Instynktownie zrobiła to, co robi niewielu ludzi w obliczu kryzysu: zdecydowała się pozostać ze mną do końca.

Czułam, że zanim zobaczy mnie matka i pojedę do domu, muszę się lepiej ubrać. Mary Alice już dwa razy, przed Bożym Narodzeniem i przerwą wiosenną, przeżyła lekki wstrząs, gdy uparłam się, że pojedę autobusem do Pensylwanii w spódnicy i żakiecie. Za każdym razem czekała na mnie przed akademikiem w spodniach od dresu i starej puchowej kurtce, z ustawionymi rzędem przy krawężniku torbami na śmieci wypełnionymi rzeczami do prania, które czekały na załadowanie do samochodu rodziców. Moi rodzice zawsze życzyli sobie, żebym ładnie wyglądała. W czasach liceum nieraz przed moim wyjściem do szkoły komentowali, jak jestem ubrana. Mając jedenaście lat, zaczęłam stosować diety, i wtedy głównym tematem rozmów stało się to, ile ważę i jak to psuje moją urodę. Ojciec był mistrzem wątpliwych komplementów. „Wyglądasz jak rosyjska primabalerina – powiedział kiedyś – tylko jesteś za gruba”. Matka zaś powtarzała: „Gdybyś nie była taka piękna, to nie miałyby znaczenia”. Chcieli mi chyba dać w ten sposób do zrozumienia, że uważają mnie za urodziwą. Tymczasem wywołali skutek odwrotny – myślałam, że jestem brzydka.

Trudno o lepszy sposób, by to potwierdzić, niż gwałt. W liceum dwóch chłopców w Testamencie Ostatniej Klasy zapisało mi wykałaczkę i pigment – wykałaczkę do moich oczu o azjatyckim kroju i pigment dla mojej białej skóry. Byłam blada, od zawsze, i nieumięśniona. Miałam duże usta i małe oczy. Tamtego zaś ranka, po gwałcie, oczy były zapuchnięte, a wargi rozcięte.

Włożyłam szkocką spódnicę w czerwono-zieloną kratę i

specjalnie spięłam ją tą samą agrafą, której matka szukała po sklepach, kiedy już kupiliśmy kilt. Matka kładła mi do głowy, że spódnice zawiązywane w pasie są nieprzyzwoite, i powtarzała to, ilekroć na parkingu albo w centrum handlowym jakiejś dziewczynie, nieświadomej igraszki wiatru, odwinął się brzeg spódnicy, odsłaniając więcej, niż „ktokolwiek chciałby zobaczyć”, jak mawiała.

Matka uważała, że należy kupować luźne ubranie, więc nasłuchiwałam się przez lata dojrzewania narzekań starszej siostry, Mary, że wszystko, co mama kupi, jest wielgachne. W sklepowych przebieralniach matka sprawdzała rozmiar spodni i spódnic, wsuwając rękę za pasek. Jeżeli nie mogła swobodnie wsunąć ręki między bieliznę a rzecz, którą akurat przymierzałyśmy, uznawała ją za ciasną. Na protesty siostry zwykła wtedy odpowiadać: „Mary, nie rozumiem, dlaczego koniecznie chcesz mieć ciasne spodnie, które nie pozostawiają nic, ale to absolutnie nic dla wyobraźni”.

Siedząc, zakładałyśmy nogę na nogę. Włosy miałyśmy starannie uczesane i związane z tyłu. Aż do liceum matka zabraniała nam nosić dżinsy częściej niż raz w tygodniu. Przynajmniej raz w tygodniu musiałyśmy iść do szkoły w sukience. Pantofle na obcasach też były objęte zakazem, z wyjątkiem tych od Pappagallo, przeznaczonych głównie do kościoła, a i te miały obcasy nieprzekraczające czterech centymetrów wysokości. Usłyszałam, że tylko dziwki i kelnerki żują gumę i tylko kobiety drobnej budowy mogą nosić golfy i pantofle z paskiem wokół kostki.

Wiedziałam, że teraz, po gwałcie, powinnam wyglądać jak najlepiej przez wzgląd na rodziców. Ponieważ zdobyłam przewidziane regulaminem dla studentów pierwszego roku piętnaście punktów, spódnica wydała mi się jak najbardziej na miejscu. Usiłowałam dowieść zarówno rodzicom, jak i sobie, że pozostałam tą samą osobą, którą byłam przedtem. Byłam piękna, choć gruba. Inteligentna, choć trochę głośna. Byłam dobra, choć zepsuta.

Kiedy się przebierałam, przyszła Tricia z Centrum Kryzysowego dla Ofiar Gwałtu. Rozdała ulotki moim koleżankom, a oprócz tego zostawiła kilka plików w holu przy wejściu do akademika. Jeżeli ktoś jeszcze się zastanawiał, co wywołało takie zamieszanie wczoraj wieczorem, teraz dowiedział się na pewno. Tricia – wysoka i szczupła – miała jasnobrązowe włosy opadające wokół głowy drobnymi, zwiewnymi falami. Jej wygląd mówił „jestem tu dla ciebie” i miał mnie podnieść na duchu, ale Tricia nie wzbudziła we mnie zaufania. Wolałam być z Mary Alice. Czekałam na matkę. Nie odczuwałam wdzięczności wobec tej osoby z Centrum Kryzysowego za lekki dotyk ręki i nie zamierzałam należeć do jej klubu.

Z dwuminutowym wyprzedzeniem dowiedziałam się, że matka właśnie wchodzi po schodach. Chciałam, żeby Tricia przestała gadać – żadne jej słowa nie mogły mi pomóc w mającym nastąpić spotkaniu – i krążyłam po pokoju, zastanawiając się, czy nie powinnam wyjść i przywitać się z matką w korytarzu.

– Otwórz drzwi – poprosiłam Mary Alice.

Odetchnęłam głęboko i stanęłam na środku pokoju. Chciałam pokazać matce, że nic mi nie jest. Nic nie mogło mi zaszkodzić. Zostałam zgwałcona, ale czułam się dobrze.

Ledwie zobaczyłam matkę, pierzchły obawy, że zemdleje na mój widok, ponieważ od razu spostrzegłam, że wniosła świeżą energię, niezbędną, żebym przetrwała ten dzień do końca.

– Już jestem – powiedziała.

Obu nam drży broda. Dzieje się tak zawsze, kiedy jesteśmy bliskie łez, nie znoszę tego.

Opowiedziałam jej o policji, że muszę tam pójść, złożyć pisemne zeznanie i przejrzeć albumy ze zdjęciami przestępców. Matka porozmawiała z Tricią i z Cindy, podziękowała Tree i Dianę, a najbardziej Mary Alice, którą poznała wcześniej. Patrzyłam, jak przejmuje inicjatywę. Chętnie jej na to pozwoliłam, na razie nie zastanawiając się, jaką za to płaci cenę.

Koleżanki pomogły matce spakować moje rzeczy i znieść je do samochodu. Victor też pomagał. Zostałam w pokoju. Korytarz źle

na mnie działał. Za drzwiami wychodzącymi na ten korytarz byli ludzie, którzy wszystko o mnie wiedzieli.

Przed naszym odjazdem Mary Alice, chcąc na pożegnanie okazać, że mnie kocha, pracowicie zaplotła z moich splątanych włosów francuski warkocz. To było coś, co ona umiała robić, a ja nie. Nabrała w tym wielkiej wprawy, oporządzając konie, którym zaplatała grzywy przed ich startem w zawodach. Czułam ból, kiedy to robiła, ponieważ gwałcieciel szarpał i ciągnął mnie za włosy, ale z każdym wplecionym pasmem starałam się zebrać resztki energii, jakie mi jeszcze pozostały. Zanim Mary Alice i matka sprowadziły mnie na dół do samochodu, gdzie Mary Alice pożegnała się ze mną serdecznie, wiedziałam, że odtąd będę udawała, iż nic mi nie jest.

Pojechałyśmy do centrum miasta, na policję. Musiałam spełnić jeszcze ten jeden obowiązek, a potem mogłyśmy wracać do domu.

Obejrzałam zdjęcia przestępców, lecz nie zobaczyłam wśród nich mężczyzny, który mnie zgwałcił. O dziewiątej przyszedł sierżant Lorenz. Pierwszą sprawą, jaką miał na porządku dziennym, było spisanie mojego zeznania. Tymczasem ciało zaczęło się wyłączać i z trudem broniłam się przed snem. Lorenz zaprowadził mnie do pokoju przesłuchań, gdzie ściany obite były grubą wykładziną. Opowiadałam swoją historię, podczas gdy on siedział przy biurku, za wysoką maszyną do pisania i dziobał w klawisze jak kura szukająca ziarna. Myśli mi uciekały, z wielkim wysiłkiem opanowywałam senność, ale wszystko mu opowiedziałam. Zadaniem sierżanta Lorenza było okrojenie mojej opowieści, tak by zmieściła się na jednej stronie, dlatego rzucał czasem niecierpliwie: „To nieistotne, tylko fakty”. Każdą reprimendę przyjmowałam jako przypomnienie, że specyficzne okoliczności tego gwałtu nie mają znaczenia, jedynie to, czy i w jakim stopniu odpowiadają ustalonej formule oskarżenia. Gwałt, oralizm, i tak dalej. A to, jak napastnik wykręcał moje piersi, jak wepchnął we mnie pięść, moje dziewictwo – było nieistotne.

Walcząc o zachowanie przytomności, oceniłam w duchu

sierżanta Lorenza. Był zmęczony, nie lubił papierkowej roboty, przypadającej nań z racji służby w policji w Syracuse, a przyjmowanie z samego rana zeznania ofiary gwałtu wprawiało go w fatalny nastrój.

Czuł się poza tym niezręcznie w mojej obecności. I to nie tylko dlatego, że byłam ofiarą gwałtu i każdy czułby się niezręcznie, słysząc to, co miałam do opowiedzenia, ale widząc, z jakim trudem odpędzałam senność. Pochylony nad maszyną do pisania, zerkał na mnie, mrużąc oczy.

Kiedy wyznałam, że nie wiedziałam, iż mężczyzna musi mieć erekcję, żeby we mnie wejść, Lorenz podniósł głowę.

– Daj spokój, Alice – rzekł z uśmiechem. – Oboje wiemy, że to nie jest możliwe.

– Bardzo przepraszam – zaprotestowałam spokojnie. – Ja o tym nie wiedziałam, bo nigdy przedtem nie uprawiałam seksu.

Umilkł i spuścił wzrok.

– Dziewica to rzadkość w moim zawodzie – przyznał.

Postanowiłam polubić sierżanta Lorenza i widzieć w nim cechy ojcowskie. Był pierwszą osobą, której dokładnie zrelacjonowałam, co się wydarzyło. Nie przyszło mi nawet na myśl, że mógłby mi nie wierzyć.

Dnia 8 maja 1981 roku około północy wyszłam od przyjaciela, zamieszkałego przy ulicy Westcott 321. Skierowałam się do swojego akademika przy alei Waverly 305, idąc przez park Thordena. Około godziny 24. 05 w alejce koło basenu, w pobliżu amfiteatru, usłyszałam, że ktoś za mną idzie. Przyśpieszyłam kroku. Nagle ktoś zaatakował mnie od tyłu i zacisnął dłoń na moich ustach. Mężczyzna ten powiedział: „Bądź cicho, nie zrobię ci krzywdy, jeżeli będziesz robić, co ci każe”. Puścił moje usta i wtedy wrzasnęłam. Potem przewrócił mnie na ziemię, szarpnął za włosy i rzekł: „O nic nie pytaj, bo . – mogę cię zabić”. Leżeliśmy na ziemi i groził mi nożem, którego nie widziałam. Zaczął się ze mną szarpać i kazał mi przejść do amfiteatru. Po drodze potknęłam się i przewróciłam, a wtedy się rozzłościł, chwycił mnie za włosy i zaciągnął do amfiteatru. Tam rozbierał mnie, aż

zostałam w samych majtkach i staniku. Zdjęłam je i położyłam się, tak jak mi kazał. On zsunął spodnie i odbył ze mną stosunek. Kiedy skończył, wstał i polecił, żebym mu „pociągnęła druta”. Powiedziałam, że nie wiem, co to znaczy, a wtedy wyjaśnił: „po prostu go ssij”. Następnie przytrzymał moją głowę i zmusił, żebym wzięła w usta jego penisa. Potem kazał mi się położyć na ziemi i znów miał ze mną stosunek. Leżąc na mnie, zasnął na chwilę. Kiedy wstał, pomógł mi się ubrać i zabrał mi 9, 00 dolarów z kieszeni džinsów. Gdy pozwolił mi odejść, wróciłam do akademika Marion, skąd zawiadomiłam policję uniwersytecką.

Oświadczam, że mężczyzna, którego spotkałam w parku, jest Murzynem w wieku ok. 16-18 lat, niskim, muskularnej budowy, ważącym ok. 75 kg. Ma krótkie włosy afro. Jest ubrany w ciemnoniebieską bluzę i ciemne džinsy. W razie schwytania tego osobnika pragnę wnieść oskarżenie.

Lorenz wręczył mi złożone dobrowolnie zeznanie, żebym je podpisała.

– Zabrał mi osiem dolarów, nie dziewięć – sprostowałam. – A co z moimi piersiami i jego pięścią? – spytałam. – Było znacznie więcej szamotaniny. – Widziałam tylko te miejsca, w których według mnie popełnił błędy, widziałam, co opuścił, i jakimi słowami zastąpił te, które wypowiedziałam naprawdę.

– To bez znaczenia – odparł Lorenz. – Potrzebny jest nam tylko zwięzły opis. Jak pani to podpisze, może pani jechać do domu.

Podpisałam. Wróciłam z matką do Pensylwanii.

Z samego rana, gdy matka pojawiła się w akademiku, spytałam ją, czy musimy zawiadamiać tatę. Kiedy ruszałyśmy w drogę, już o tym wiedział. Był pierwszą osobą, do której zadzwoniła. Zastanawiali się razem przez telefon, czy od razu powiedzieć mojej siostrze. Pozostał jej jeszcze jeden egzamin do zdania na Uniwersytecie Pensylwańskim. Ale tak jak matka musiała powiedzieć ojcu, tak ojciec musiał powiedzieć mojej siostrze. Zadzwonił do niej, do akademika w Filadelfii, w czasie gdy

jechałam z matką do domu. Mary miała zdawać ostatni egzamin, wiedząc o gwałcie.

Wkrótce potem sformułowałam teorię osób pierwszorzędnych i drugorzędnych. Uważałam, że jest w porządku, jeżeli poznają moją historię ludzie dla mnie pierwszorzędni: matka i ojciec, siostra i Mary Alice. Musieli ją poznać, to naturalne. Ale ci, którym oni ją z kolei opowiadali, to dla mnie ludzie drugorzędni, i nie powinni już rozpowszechniać jej dalej. Zapomniałam niestety o ludziach z akademika... Oni nie mieli powodu liczyć się z moimi uczuciami.

Wracałam do domu.

Moje życie dobiegło końca. Moje życie dopiero się zaczynało.

3.

Paoli w Pensylwanii istnieje naprawdę. To miasteczko z własnym centrum handlowym i linią kolejową noszącą jego imię – Paoli Local. Mówiłam, że jestem stamtąd, choć w istocie pochodzę z Malvern. A przynajmniej taki podawałam adres pocztowy, bo tak naprawdę pochodzę z Frazer. Dorastałam w bezkształtnej dolinie, gdzie pozbawioną drzew ziemię uprawną rozparcelowano i sprzedano firmom budowlanym. Nasze osiedle – Spring Mili Farms – było jednym z pierwszych zbudowanych w tej okolicy. Przez wiele lat wyglądało tak, jakby kilkanaście nowych domów znalazło się raptem dokładnie w tym miejscu, gdzie kiedyś, dawno temu, spadł na ziemię meteor. W promieniu wielu mil nie było nic oprócz równie nowej i pozbawionej osłony z drzew szkoły. Nowe rodziny, tak jak moja, wprowadzały się do piętrowych domów i kupowały darń albo małe wirujące siewniki, z którymi ojcowie przemierzali działki tam i z powrotem niczym zdyscyplinowane domowe zwierzęta. Matka z żalu, że nie może założyć trawnika choć trochę przypominającego te na zdjęciach w magazynach, radośnie powitała pojawienie się krwawego prosa. „Do diabła, przynajmniej odrobina zieleni!” – powiedziała.

Były dwa rodzaje domów do wyboru: z garażem wysuniętym do przodu i z garażem przyklejonym z boku, oraz do wyboru kilka kolorów gontów i okiennic. Oczywiście nastolatki widziały tylko jałową ziemię, która wymagała niekończącego się przycinania, koszenia, sadzenia, pielienia i dotrzymywania kroku sąsiadom. Mieliśmy nawet biały płótek ze sztachet. Znałam każdą sztachetę z osobna, ponieważ obie z siostrą musiałyśmy chodzić koło nich na czworakach i ręcznie wycinać trawę tam, gdzie nie sięgała kosiarka.

Z czasem wyrosły dokoła nas inne osiedla i tylko pierwsi mieszkańcy Spring Mili Farms potrafili poznać, w którym miejscu kończy się nasze osiedle, a zaczyna nowe. Właśnie tam, do tego

przedmieścia rozłożonego jak chiński wachlarz, pojechałam po tym, jak mnie zgwałcono.

Stary młyn, od którego wzięło nazwę nasze osiedle, stał nieremontowany od niepamiętnych czasów, a dom właściciela młyna po drugiej stronie ulicy – jeden z nielicznych starych domów w okolicy – ktoś podpalił. Wielki biały budynek zionął czarnymi dziurami zamiast okien, a zielone drewniane ogrodzenie, mocno osmolone, w paru miejscach się poprzewracało.

Ilekcroć przejeżdżałam tędy z moją matką, patrzyłam na dom zafascynowana jego starością, wybujałą trawą i chwastami, śladami pożaru – jęzory wydobywających się z okien płomieni pozostawiły nad framugami blizny sadzy jak czarne korony.

Požary wydawały się częścią mojego dzieciństwa – mówiły mi o innej, jeszcze nieznannej stronie życia. Były straszne, ale we mnie zrodziły obsesję na punkcie zmian, do jakich nieuchronnie prowadziły. Mieszkająca niedaleko znajoma dziewczynka, w której dom uderzył piorun, przeprowadziła się. Nigdy więcej jej nie widziałam. Pożar domu młynarza otaczała aura zła i tajemnicy, pobudzająca moją wyobraźnię za każdym razem, gdy go mijałam.

Raz, kiedy miałam pięć lat, weszłam do spalonego domostwa w pobliżu starego cmentarza Zook przy Fiat Road. Byłam z ojcem i babcią. Zniszczony przez pożar budynek stał daleko od drogi. Bałam się, ale ojciec myślał, że uda nam się wygrzebać z pogorzelniska jakieś rzeczy przydatne w nowym, podobnym do pudełka domu, do którego dopiero co się wprowadziliśmy. Babcia przyklasnęła temu pomysłowi.

Na podwórku znalazłam nadpaloną szmacianą lalkę Raggedy Andy. Chciałam ją podnieść, lecz ojciec mi nie pozwolił. „Nie! – powiedział. – Weźmiemy tylko to, co da się wykorzystać, a nie jakąś zabawkę”. Pamiętam, poraziła mnie wtedy myśl, że przecież kiedyś mieszkały tu dzieci, a teraz już nie. Teraz nie mogły tu mieszkać.

Ojciec i babka bez zwłoki zabrali się do dzieła. Dom był

kompletnie zrujnowany; jeżeli cokolwiek się zachowało z jego wyposażenia, nie nadawało się już do użytku. Meble, dywany i różne rzeczy wiszące na ścianach były szerniałe i osmalone.

W końcu postanowili zabrać balustradę ze schodów.

– Porządne stare drewno – oceniła babka.

– A na górze? – spytał ojciec.

Babka próbowała odwieść go od tego zamiaru.

– Tam jest ciemno jak w nocy, no i nie ufałabym tym schodom.

Potrafię znakomicie testować schody. Kiedy na filmie wybucha pożar i wbiegają bohaterowie, zawsze zwracam uwagę, czy sprawdzają najpierw schody. Jeżeli nie, tkwiący we mnie krytyk woła: „Oszukaństwo!”.

Ojciec uznał, że ponieważ jestem mała, najmniej ryzykuję. Wysłał mnie na górę i zabrał się razem z babcią do rozmontowywania balustrady.

– Zawołaj, jak coś zobaczysz! – polecił. – Meble albo coś innego.

Zapamiętałam pokój dziecienny z rozrzuconymi na podłodze zabawkami, a zwłaszcza małe samochodziki, które sama zbierałam. Leżały na plecionym dywaniku, przewracane na bok albo do góry kołami; odlewane metalowe karoserie połyskiwały żółto, niebiesko i zielono w ciemnym, wypalonym wnętrzu. W otwartej szafie wisiały dziecięce ubrania ze zwęglonymi rąbkami, łóżko było nieposłane. Ten pożar musiał wybuchnąć w nocy, kiedy wszyscy spali.

Na środku łóżka była mała zwęglona jama sięgająca do samej podłogi. Zapatrzyłam się w nią. Tutaj zginęło dziecko.

Gdy wróciliśmy do domu, matka się wściekła i nazwała ojca idiotą. Przyjechał z czymś, co uznał za zdobycz. „Z tych tralek z balustrady będą świetne nogi do stołu” – oświadczył. Ja pamiętałam samochodziki i szmacianą lalkę. Jakie dziecko porzuca takie zabawki, nawet jeśli były trochę osmalone? Przez cały wieczór, a potem w dręczących mnie koszmarych snach zadawałam sobie pytanie, gdzie są tamci rodzice. Czy przeżyli?

Z pożaru wyrosła opowieść. Stworzyłam owej nieznannej

rodzinie inne życie. Wymyśliłam rodzinę, jaką sama chciałam mieć: mama, tata, chłopczyk i dziewczynka. Idealna rodzina. Po pożarze wszystko zaczynało się od nowa. Nastąpiła zmiana: rzeczy porzucono umyślnie, mały chłopczyk wyrósł ze swoich samochodzików. Ale zabawki nie dawały mi spokoju. Zwłaszcza twarz szmacianego Andy'ego na dróżce przed domem, jego czarne, błyszczące oczy.

Pierwszy raz usłyszałam opinię o swojej rodzinie od sześćioletniej koleżanki, drobnej blondynki, o włosach w tym jasnym odcieniu blond, który z wiekiem zanika. Mieszkałyśmy przy tej samej ulicy. W najbliższej okolicy były tylko trzy dziewczynki w moim wieku, łącznie ze mną, a my dwie bawiłyśmy się, że jesteśmy przyjaciółkami, dopóki nie zagubiłyśmy się w szerszym świecie szkoły podstawowej i gimnazjum.

Siedziałyśmy któregoś dnia na trawniku przed naszym domem i wyrywałyśmy trawę koło skrzynki na listy. Kiedy tak rwałyśmy trawę garściami i rzucałyśmy ją na kupkę koło kolan, moja przyjaciółka powiedziała:

– Mama mówi, że jesteście dziwni.

– Co? – spytałam, wstrząśnięta tak, że niemal stałam się dorosła.

– Nie pogniewasz się, dobrze? – poprosiła. Zapewniłam ją, że się nie pogniewam.

– Moja mama i tata, i mama, i tata Jill mówią, że twoja rodzina jest dziwna.

Rozpłakałam się.

– Ja tak nie myślę – dodała. – Myślę, że jesteście zabawni.

Już wtedy znałam uczucie zazdrości. Chciałam mieć takie same, jasne jak słoma włosy, i nosić je – jak ona – rozpuszczone, zamiast głupich brązowych warkoczyków i grzywki, którą matka przycinała w ten sposób, że najpierw przyklejała mi ją do czoła plastikową taśmą. Chciałam mieć ojca takiego jak jej tata, który wychodził z domu, a gdy z rzadka ją odwiedzałam, mówił: „Co

słysząc, koteczku?” albo „Do widzenia, ślepa Genia”. Jednym uchem słyszałam swoich rodziców: pan Hall jest człowiekiem prostym, ciągnie go do piwa, ubiera się jak robotnik, a do drugiego wpadało to, co powiedziała koleżanka: moi rodzice są dziwni.

Ojciec pracował w domu za zamkniętymi drzwiami, miał wielki stary słownik łaciński, rozłożony na stojaku z kutego żelaza, rozmawiał po hiszpańsku przez telefon, a po piątej jadał surowe mięso pod postacią kiełbasy chorizo. Aż do owego dnia, kiedy bawiłam się z koleżanką na podwórku, sądziłam, że wszyscy ojcowie są tacy. Potem zaczęłam dostrzegać różnice i je rejestrować. Tamci ojcowie przycinali trawniki, pili piwo, bawili się z dziećmi na podwórku, spacerowali po osiedlu z żonami, wchodzili do przyczepy kempingowej i wychodzili z niej ze śmiesznym krawatem albo w koszulce polo, a nie w szytej na miarę kamizelce i z kluczem korporacji Phi Beta Kappa.

Z matką sprawa miała się zupełnie inaczej – kochałam ją tak gwałtowną miłością, że za nic nie chciałam przyznać się do zazdrości. Zauważyłam, że matka jest bardziej nerwowa i mniej niż inne matki dba o makijaż, stroje i gotowanie. Bardzo pragnęłam, aby była normalna i taka jak tamte – uśmiechnięta i troszcząca się tylko o swoją rodzinę.

Któregoś wieczoru oglądałam z ojcem film w telewizji, *Żony ze Stepford*. Ojcu bardzo się podobał, ja zaś byłam przerażona. Myślałam, oczywiście, że moja matka to Katharine Ross, jedyna prawdziwa kobieta w miasteczku, gdzie wszystkie pozostałe żony wymieniono na idealnie wypełniające rolę pani domu roboty. Potem przez wiele miesięcy dręczyły mnie koszmary. Chciałam – wprawdzie, żeby matka się zmieniła, ale nie, żeby umarła, i na pewno za nic w świecie nie chciałam, żeby ktokolwiek ją zastąpił.

Kiedy byłam mała, martwiłam się, że stracę matkę. Często pozostawała ukryta za zamkniętymi drzwiami swojej sypialni. Mary i ja chciałyśmy, żeby zajmowała się nami od rana. Widziałyśmy, jak ojciec wychodzi od niej, więc się zbliżyłyśmy, a

wtedy nam tłumaczył: „Waszą matkę boli dziś głowa” albo „Wasza matka nie czuje się dobrze. Zaraz wyjdzie”.

Nauczyłam się, że jeżeli mimo tego ostrzeżenia zapukam, gdy ojciec zejdzie już na dół i zamknie się w gabinecie, gdzie nie wolno mu było przeszkadzać, matka może mnie wpuścić. Wdrapywałam się wtedy na jej łóżko, wymyślałam różne historie albo zadawałam pytania.

Wymiotowała w tamtych latach. Raz to widziałam, bo ojciec zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Weszłam wtedy do jej sypialni, przy której miała własną łazienkę, i zobaczyłam ojca w drzwiach łazienki, odwróconego do mnie plecami. Słyszałam okropne odgłosy wydawane przez matkę. Wysunęłam nos za framugę i zobaczyłam jasnoczerwoną strugę wymiocin tryskającą z jej ust do umywalki. Spozrzęła w lustrze moją zagapioną twarz – oczy miałam na wysokości bioder ojca. Krztusząc się, wskazała na mnie, a wtedy ojciec wyprowadził mnie z sypialni i zaryglował drzwi. Potem się pokłócili. „Na litość boską, Bud – powiedziała matka. – Przecież wiesz, że drzwi muszą być zamknięte”.

Pamiętam z dzieciństwa, że poduszki mojej matki pachniały czereśniami. Zapach był mdlący i słodki. Taką samą woń poczułam od gwałciciela. Dopiero po latach uświadomiłam sobie, że była to woń alkoholu.

Lubię historię o tym, jak moi rodzice się poznali. Ojciec pracował w Pentagonie, lepszy w robocie papierkowej niż jako żołnierz. (Kiedy podczas szkolenia wojskowego miał razem z kolegą przeleźć przez mur, złamał swojemu partnerowi nos, bo stanął na nim zamiast na złożonych w strzemię dłoniach). Matka mieszkała razem z rodzicami w Marylandzie, w mieście Bethesda, i pracowała najpierw dla „National Geographic Magazine”, a potem dla „The American Scholar”.

Umówiono ich na randkę w ciemno. W ogóle nie przypadli sobie do gustu. Matka uznała, że ojciec jest „pompatycznym osłem”, i po wspólnej randce ze znajomymi, którzy ich ze sobą umówili, postanowiła zakończyć znajomość.

Po roku znów się spotkali. Nie zapalali do siebie uczuciem, ale przynajmniej nie żywili do siebie nienawiści i ojciec ponownie poprosił matkę o spotkanie. „Wasz ojciec był jedynym mężczyzną, który jechał autobusem ze stolicy, a potem szedł na piechotę pięć mil od ostatniego przystanku do naszego domu” – podkreślała matka. Zaskarbił tym sobie życzliwość babci, no i z czasem rodzice się pobrali.

Ojciec miał już wtedy doktorat z literatury hiszpańskiej na uniwersytecie w Princeton i przeniósł się z żoną do Durham w Karolinie Północnej, gdzie objął pierwszą akademicką posadę na Uniwersytecie Duke’a. To właśnie tam moja matka, która siedziała cały dzień sama i nie mogła się z nikim zaprzyjaźnić w nowym miejscu, zmieniła się – zaczęła potajemnie pić.

Matka zawsze była nerwowa, nigdy nie przyzwyczaiła się do przypisanej jej roli gospodyni domowej. Wciąż powtarzała, jakie to mamy szczęście, że należymy do innego pokolenia. Siostra i ja wierzyłyśmy jej. Lata pięćdziesiąte wydawały się nam okropne. Ojciec z dziadkiem nakłonili ją do rezygnacji z pracy, argumentując, że mężatki nie pracują.

Mama piła niecałe dziesięć lat – ale w tym czasie my dwie zdążyłyśmy przyjść na świat i przeżyć nasze dzieciństwo. Ojciec tymczasem pisał się po szczeblach naukowej kariery, a kolejne awanse zaprowadziły najpierw rodziców, a potem całą naszą czwórkę do Madison w stanie Wisconsin, do Rockville w stanie Maryland i wreszcie do Paoli w Pensylwanii.

Kiedy nadszedł rok 1977, matka już od dziesięciu lat nie piła, za to zaczęła mieć „napady”. Tak nazywałyśmy chwile, kiedy mama wariowała. Ojciec był najczęściej nieobecny w naszym życiu – czasami dosłownie, gdy wyjeżdżał na kilka miesięcy do Hiszpanii – natomiast ciągła obecność matki bywała uprzykrzona. Matka зараżała nas swym lękiem, dlatego kiedy sama nie panowała nad sobą, każda chwila wydawała się nam dwa razy dłuższa i dwa razy trudniejsza do zniesienia. W przeciwieństwie do normalnych rodzin nigdy nie miałyśmy pewności, że na przykład jadąc po zakupy do najbliższego supermarketu,

zrealizujemy nasze zamierzenie. Matka mogła wejść do sklepu, zrobić dwa kroki i dostać napadu.

„Złap melona albo coś innego – mówiła, kiedy byłam już starsza, i wpychała mi do ręki banknot. – Spotkamy się w samochodzie”. Podczas napadu kulila się i szybko pocierała mostek, żeby ulżyć „pękającemu sercu”. Pędziłam do sklepu po tego melona albo coś, co wystawiono na sprzedaż w pobliżu wejścia, i cały czas dręczyłam się myślami: Czy dojdzie do samochodu, czy nic jej się nie stanie?

Na filmie i w życiu silni mężczyźni w białych fartuchach, stojący przy umysłowo chorym, niczym szczególnym się nie wyróżniają i nie zapadają w pamięć. Podobnie było z moją siostrą i ze mną. W wielu wspomnieniach brakuje mi Mary, ponieważ zdominowała je matka i jej choroba. Ilekroć przypominam sobie „przecież Mary była wtedy z nami”, widzę ją właśnie tak: jako tę drugą pomocnicę u boku matki, która zawsze mogła się załamać.

Czasami ja i Mary działałyśmy jak zespół opiekuńczy. Mary prowadziła matkę do samochodu, a ja biegłam po melona. Patrzyłam, jak moja siostra się zmienia – z dziecka pełnego obaw, że świat mu się zawali, wyrosła dziewczyna rozgoryczona tym, że napady matki wyróżniają nas z tłumu, przyciągają ciekawskie spojrzenia i wywołują komentarze. „Przestań trzeć cycki” – syczała do matki.

Starłam się rekompensować mamie zanikające współczucie Mary i zostałam emocjonalnym zarządcą – pocieszałam matkę i potępiałam siostrę. Kiedy Mary pomagała mi, cieszyłam się z tego. Kiedy jęczała i wchodziła we wstępną fazę własnego ataku paniki, nie dopuszczałam jej do pomocy.

Jedyne wspomnienie okazanej fizycznie przez ojca czułości wobec matki to lekki pocałunek na pożegnanie, gdy podwieźliśmy go do podmiejskiej linii, mającej połączenie z lotniskiem, skąd wyruszał co roku z wykładami do Hiszpanii. Ten pojedynczy incydent można by zatytułować: „Czego się nie robi, żeby uniknąć sceny”. Mówiąc po prostu, do pocałunku nakłoniła go moja

zachęta, błaganie, a na koniec jęki.

Wtedy już zaczęłam zauważać, że w przeciwieństwie do moich rodziców inne pary dotykają się, trzymają za ręce i całują w policzek. Ludzie robili to w supermarketach, spacerując po osiedlu, na szkolnych spotkaniach i uroczystościach, na które zapraszani są rodzice, no i przy mnie we własnym domu.

Kiedy ojciec złożył ów pamiętny, wyproszony przeze mnie pocałunek, zrozumiałam, że związek moich rodziców, choć trwały, nie jest wypełniony uczuciem. Ojciec opuszczał nas przecież, jak co roku, na kilka miesięcy, czułam więc, że przed tak długą nieobecnością mojej matce należy się jakiś wyraz uczucia.

Matka wysiadła z samochodu, żeby pomóc ojcu z bagażami i pożegnać się. Mary i ja siedziałyśmy z tyłu. Pierwszy raz odprowadzałam ojca przed corocznym wyjazdem. Był zaaferowany, jak zawsze. Matka, niezmiennie nerwowa, też była zaaferowana. Przyszło mi wtedy do głowy, że coś jest nie tak w scenie, która się przede mną rozgrywała. Zaczęłam piszczeć: „Pocałuj mamę”.

Ojciec rzekł coś w rodzaju: „Doprawdy, Alice, to wcale nie jest konieczne”.

Moja reakcja z pewnością rozmijała się z jego oczekiwaniami.

„Pocałuj mamę na pożegnanie!” – krzyknęłam głośniej i wysunęłam głowę przez tylne okno. – „Pocałuj mamę na pożegnanie!”.

„Zrób to, tato” – powiedziała z goryczą siedząca obok mnie siostra. Była trzy lata starsza ode mnie i zapewne wiedziała, jak się sprawy mają.

Pragnęłam potwierdzenia, że moi rodzice są w gruncie rzeczy podobni do innych małżeństw w Spring Mili Farms, a może nawet tacy jak słynna w owych czasach telewizyjna para, państwo Brady, lecz wymuszony pocałunek nie spełnił pokładanych w nim nadziei, natomiast otworzył przede mną drzwi. Dowiedziałam się, że w domu Seboldów miłość jest obowiązkiem. Ojciec pocałował matkę w czoło, ale tak, jakby robił to wyłącznie po to, aby spełnić żądanie dziecka.

Wiele lat później znalazłam czarnobiałe fotografie, przedstawiające ojca zanurzonego w wodzie, po której pływały kwiaty. Miał stokrotki we włosach i uśmiechał się, pokazując zęby, których nienawidził, bo były krzywe, a rodziny nie stać było na ich wyprostowanie. Na tych zdjęciach sprawiał wrażenie szczęśliwego. Nie przypuszczałam, żeby się wtedy przejmował zębami. Kto go fotografował? Na pewno nie moja matka. Pudło z fotografiami trafiło do naszego domu po śmierci babci Sebold. Przeglądałam je, szukając wyjaśnienia. Mimo że matka nie pozwoliła mi wyjmować zdjęć z pudła, jedno zabrałam i wetknęłam za pasek spódnicy.

Już wtedy odczuwałam brak czegoś, czego jeszcze nie umiałam nazwać, i bolało mnie to z powodu matki, która – czułam to instynktownie – bardzo tego potrzebowała, i rozkwitłaby, gdyby to dostała. Nigdy więcej nie błagałam ojca o okazanie uczucia ani nie robiłam z tego powodu sceny, ponieważ nie chciałam doświadczyć pustki ich małżeństwa.

Wkrótce odkryłam, że w naszym domu dozwolony jest tylko mimowolny dotyk. Będąc małą dziewczynką, uciekałam się do rozmaitych wybiegów, żeby tylko zostać dotknięta. Matka siedziała na końcu kanapy, haftując albo czytając książkę. Najlepiej było, jeżeli czytała książkę i jednocześnie oglądała telewizję. Im więcej rzeczy odwracało jej uwagę, tym większą miałam szansę zbliżyć się niepostrzeżenie.

Siadałam na drugim końcu kanapy i powoli przysuwałam się do matki, chytrze planując, że położę głowę na jej kolanach. Gdyby mi się to udało, może dłonią, którą robiła krzyżyki – jeżeli akurat haftowała – odruchowo pobawiłaby się moimi lokami. Pamiętam chłód napastrka na czole i ze złodziejską czujnością poznawałam moment, kiedy zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Mogłam ją wtedy zachęcić, skarżąc się na ból głowy. Ale nawet jeśli dzięki temu podstępowi pogłaskała mnie jeszcze kilka razy, wiedziałam, że już po wszystkim. Zanim wyrosłam z tych gier, zastanawiałam się, czy lepiej odsunąć się od niej, czy czekać, aż sama ściągnie mnie z kolan, każe usiąść prosto albo pójść

poczytać książkę.

Ciepło wnosily do mojego zycia nasze psy: dwa balaganiace, przymilne bassety o imionach Feijoo i Belle. Jedno imie pochodziło od podziwianego przez ojca hiszpańskiego autora, drugie zaś wybrał łaskawie tak, aby zrozumieli je nawet ludzie „niewykształceni”. „To po francusku znaczy piękna” – wyjaśniał.

Nierzadko zdarzało się, że ojciec – wołając mnie lub Mary – mylił nasze imiona z imionami psów, co dawało pewne pojęcie o tym, kto jest nam wszystkim najbliższy oraz jaki ojciec jest zapracowany. Bo gdy pracował, przestawał odróżniać psy od dzieci. Jedne i drugie były małymi stworzeniami zaprzatającymi niepotrzebnie jego uwagę, a zatem należało je wyprowadzić za drzwi.

Psy wiedziały, że w naszym domu są cztery odrębne środowiska, rzadko łączące się ze sobą. Gabinet ojca, sypialnia matki, sypialnia siostry i ten zakątek domu, który akurat wybrałam sobie na kryjówkę. Tak więc Feijoo i Belle, a potem Rosę mogły w czterech miejscach zabiegać o uwagę ludzi. W tych czterech miejscach ludzka dłoń mogła popieścić ich uszy albo porządnie podrapać, gdzie trzeba. Psy były niczym przyczepy pocieszenia, sunące na ciężkich łapach z pokoju do pokoju i kapiące śliną. Były naszymi komikami i spajającym nas klejem, bo ojciec, matka i siostra żyli jakby oddzielnie, każde w świecie swoich książek.

Bardzo się starałam nie zakłócać domowej ciszy. Znajdowałam sobie jakieś zajęcie, kiedy tamtych troje czytało albo pracowało. Eksperymentowałam z jedzeniem. Jak wiewiórka wykradałam opakowanie galaretki i przyrządzałam ją pod moim wysokim łóżkiem z baldachimem. Próbowałam gotować ryż na odwadniaczu w piwnicy. Mieszałam w małych buteleczkach perfumy matki i ojca, żeby stworzyć nowe zapachy. Rysowałam. Wspinałam się po skrzynkach do niskiej niszy w piwnicy i siedziałam godzinami w ciemnej betonowej wnęce, z podciągniętymi pod brodę kolanami. Urządzałam przedstawienia z udziałem Kena i Barbie. Barbie, zanim skończyła szesnaście lat,

zdażyła wyjść za mąż, urodzić dziecko i rozwieść się z Kenem. Na rozprawie sądowej na niby, w sądzie zrobionym z kartonu, Barbie wyjaśniła, dlaczego wystąpiła o rozwód: bo Ken mnie nie dotykał.

Czasem się jednak nudziłam. Po wielu godzinach „znajdowania sobie jakichś zajęć” zaczynałam knuć intrygi. Bassety nieraz stawały się moimi mimowolnymi sprzymierzeńcami. Jak wszystkie psy buszowały w śmieciach i pod łózkami. Unosiły trofea: nieświeże ubranie, śmierdzące skarpetki, niedopilnowane pojemniki na żywność i tym podobne. Im bardziej zdobycz im się podobała, z tym większą zajadłością jej broniły, a najbardziej ze wszystkiego, z istic zwierzęcą pasją, przepadały za wyrzuconymi przez matkę podpaskami. Basset i podpaska to idealna para, której niczego więcej do szczęścia nie trzeba. Nikt nie mógł wyperswadować Feijoo ani Belle, że ten konkretny przedmiot nie jest przeznaczony dla nich. Psy kochały się w podpaskach.

Ach, jaka to była urocza scena. Nie dla jednej czy dwóch osób; uczestniczyli w niej wszyscy i cały dom się trząsał. Z powodu tak „okropnego” zdarzenia ojciec wpadał w histerię, a matka miała mu za złe, że bierze udział w pościgu. Sama myśl o tym wydawała się nieprzyzwoita! Podpaski! Bassety i ja byliśmy szczęśliwi, bo domownicy wychodzili ze swoich pokoi, biegali, skakali i krzyczeli.

Parter naszego domu miał taki rozkład, że można go było obejść wkoło. Bassety szybko się w tym połapały. Goniliśmy je dokoła: z holu od frontu do sieni z tyłu, przez pokój rodzinny, kuchnię, jadalnię i salon. Basset towarzyszący – ten bez podpaski – szczekał zapamiętale i odcinał nam drogę, kiedy próbowaliśmy dopaść szczęściarza. Udoskonaliliśmy taktykę, stosując drzwi jako blokadę, zapędzając psy w kąt pokoju. Ale one były sprytnie i miały tajnego pomocnika.

Przepuszczałam psy. Udawałam, że się na nie rzucam. Dawałam rodzicom i siostrze fałszywe wskazówki. „W sieni, w sieni!” – krzyczałam i troje rozhisteryzowanych ludzi biegło w tamtą stronę. Tymczasem uszczęśliwione bassety chowały się wraz ze zdobyczą pod stołem w jadalni.

Po jakimś czasie zaczęłam brać sprawy we własne ręce. Kiedy matka zeszła na dół do kuchni albo czytała na ganku, prowadziłam tego basseta, który akurat mi się nawinął, do jej sypialni i odwracałam się plecami.

Po kilku minutach rozlegało się wołanie:

– Bud! Feijoo ma koteksa!

– Na litość boską!

– Mamo, on go rozrywa – podpowiadałam uczynnie. Drzwi otwierały się gwałtownie, rozlegał się tupot nóg na schodach i dywanie. Wrzaski, ujadanie, wesoła burda.

Zawsze jednak, gdy awantura ucichła i niezadowolone bassety szły lizać łapy, moja matka, ojciec i Mary wracali do swoich pokoi. I znów mogłam robić, co mi się żywnie podobało. Znów byłam sama.

W szkole średniej na początku uchodziłam za dziwaczkę, bo grałam na saksofonie altowym, a każdy, kto grał – z wyjątkiem szczęśliwych skrzypków i skrzypaczek – maszerował. Należałam do kapeli jazzowej, gdzie jako drugi alt improwizowałam na temat takich melodii, jak *Funky Chicken* i *Raindrops keep falling on my head*. Ale możliwość wyżycia się w ten sposób nie rekompensowała mi etykiety orkiestrowego dziwadła. Po pokazie w przerwie meczu Orłów z Filadelfii – uformowaliśmy wtedy na boisku Dzwon Wolności (o moich umiejętnościach maszerowania niech świadczy fakt, że byłam częścią pęknięcia dzwonu) – rzuciłam orkiestrę. Później, już beze mnie, orkiestra zdobyła mistrzostwo stanu w maszerowaniu. Cieszyłam się, że nie brałam w tym udziału. Radość była obopólna.

Przerzuciłam się z muzyki na sztukę. Nasza pracownia artystyczna była ukierunkowana na rzemiosło, a ja uwielbiałam obrabiać surowce. Dostawaliśmy do obróbki kawały srebra, najlepsi zaś – złoto. Robiłam biżuterię, wycinałam parawany z jedwabiu i wypalałam polewę. Kiedyś przez całe popołudnie razem z panią Sutton, połową małżeńskiego tandemu prowadzącego pracownię, lałyśmy stopioną cynę do puszek z

zimną wodą. Super! Ale kształty! Uwielbiałam Suttonów. Godzili się na wszystkie moje pomysły, nawet te, zdawałoby się, niewykonalne. Zrobiłam jedwabny parawan z długowłosą Meduzą i emaliowany naszyjnik w kształcie dwóch dłoni trzymających bukiet kwiatów. Pracowałam szybko nad parą dzwonek na prezent dla mamy. Zrobiłam głowę damy, której ręce tworzyły obramowanie dla dwóch dzwonek, wydających delikatny dźwięk.

W szkole pozostawałam zawsze w tyle za moją idealną siostrą. Ona – cicha i schludna – dostawała od góry do dołu najlepsze stopnie. Ja byłam głośna, dziwna i niemodna. Ubierałam się tak jak Janis Joplin, choć od jej śmierci minęło już dziesięć lat, i stawiałam się każdemu, kto chciał obudzić we mnie zapal do nauki. Mimo to dawałam sobie radę. Niektórzy nauczyciele – jednostki – poruszali we mnie jakąś strunę. Dzięki Suttonom i kilku nauczycielom angielskiego – tylko nie wolno było tego przy mnie mówić – przejęłam się nauką na tyle, że nie zostałam narkomanką, nie paliłam trawki i nie spędzałam przerw w palarni, chowając skręty z marychą za cholewę buta.

Nie zostałamby nigdy narkomanką, ponieważ miałam swoją tajemnicę. Ostatecznie postanowiłam, że najbardziej ze wszystkiego chcę być aktorką. I to nie byle jaką, bo na Broadwayu. Głośną aktorką na Broadwayu. A konkretnie taką jak Ethel Merman.

Uwielbiałam ją. Moje uwielbienie wzrosło, gdy matka powiedziała o niej, że nie umie śpiewać ani grać, ale siłą swojej osobowości odciąga uwagę widzów od innych aktorów na scenie. Zarzucałam na szyję stare boa i wyszywany cekinami żakiet, który ojciec Breuninger odłożył dla mnie z kościelnej zbiórki odzieży na cele charytatywne. Śpiewałam popisową piosenkę swojej idolki z nadzieją, że robię to tak samo głośno i charyzmatycznie jak ona. Krocząc to w górę, to w dół po naszych spiralnych schodach, z bassetami jako widownią, wyśpiewywałam *There's No Business Like Show Business*. Rozśmieszałam matkę i siostrę, lecz najbardziej podobałam się ojcu. Nie umiałam śpiewać, za to

mogłam rozwijać lub przynajmniej starać się rozwijać to, co miała Merman – siłę osobowości. Bassety u moich stóp. Odrobina nadwagi. Siedem lat noszenia aparatu ortodontycznego i wiązania włosów gumką. Najlepszy moment, żeby rozpocząć karierę piosenkarki.

Moja obsesja na punkcie Broadwayu i kiepskiego, amatorskiego śpiewu spowodowała, że zaprzyjaźniłam się z pedziami w naszej szkole. Przesiadaliśmy razem przed lodziarnią Friendly'ego przy Route 30 i odśpiewywaliśmy całą ścieżkę dźwiękową z filmu z Bette Midler *Róża*. Gary Freed i Sally Shaw, wybrani na najmilszą parę w naszej szkole, zjadali jak zwykle w sobotę wieczorem lody z bakaliami, a potem szli do mustanga 1965 Gary'ego. Śmiali się, kiedy mijali nas, ubranych na czarno i ozdobionych srebrną biżuterią, którą sami zrobiliśmy tanim kosztem na zajęciach plastycznych.

Sid, Randy i Mikę byli gejami. Kochaliśmy Merman, Trumana Capote'a, Odette, Bette Midler i producenta Alana Carra, który pokazał się w programie „Merv” w obszernej kolorowej hawajskiej sukience i rozśmieszał Merva jak żaden inny gość. Chcieliśmy zostać gwiazdami, gdyż będąc gwiazdami, mogliśmy wyrwać się z domu.

Przesiadaliśmy przed lodziarnią Friendly'ego, bo nie mieliśmy dokąd pójść. Pędziliśmy do domu na „Merva”, jeżeli w programie miał wziąć udział Capote albo Carr. Pilnie oglądaliśmy popisy Liberace. Raz, wisząc na linie, przeleciał z rozłożoną peleryną nad fortepianem ze świecznikami. Ojciec przepadał za nim, a mój przyjaciel Sid nie. „Robi z siebie idiotę, chociaż naprawdę ma talent” – mówił, kiedy paliliśmy papierosy przed lodziarnią koło Dumpsterów. Sid zamierzał rzucić szkołę i przeprowadzić się do Atlantic City. Znał tam fryzjera, który w czasie wakacji obiecał mu pomóc. Rodzice Randy'ego wysłali go do szkoły wojskowej po „incydencie w parku”. Zabroniono nam z nim rozmawiać. Mikę zakochał się w piłkarzu i został pobity.

Postanowiłam, że kiedy dorosnę, przeniosę się do Nowego Jorku. Matce bardzo się ten pomysł spodobał. Opowiedziała mi o

Okrążyłam Stole w hotelu Algonquin i o wyjątkowych ludziach, którzy przy nim siadywali. Znała mitologię Nowego Jorku i jego mieszkańców jako osoba z zewnątrz. Ekscytowała ją myśl, że jej córka tam trafi.

Kiedy skończyłam piętnaście lat, matka obiecała mi, że w prezencie urodzinowym zabierze mnie na wycieczkę do Nowego Jorku. Myślałam, że nakręciła się na ten wyjazd, wmawiając sobie, że mój entuzjazm uchroni ją od załamania.

W pociągu Amtrak z Filadelfii zaczęła ją ogarniać panika – zwiastun ataku, którego tak się obawiała. Pędziliśmy w stronę Nowego Jorku, a jej robiło się coraz gorzej. Byłam bardzo podniecona wyjazdem, ale patrząc, jak kołysze się na siedzeniu i jak drżą jej ręce – jedna przyłożona do skroni, a druga pocierająca mostek – postanowiłam, że powinniśmy wrócić do domu.

– Pojedziemy innym razem, mamo – powiedziałam. – Nic się nie stanie.

Nie dawała za wygraną.

– Ale już jedziemy. A tobie tak się marzyła ta wycieczka. Daj mi spróbować.

Zmuszała się. Walczyła o to, żeby normalnie funkcjonować. Powinniśmy zawrócić na stacji Penn. Chyba obie o tym wiedziałyśmy. Mama była w strasznym stanie. Idąc, nie mogła się wyprostować. A chciała dojść na piechotę ze stacji Penn do Muzeum Metropolitan na rogu Osiemdziesiątej Drugiej i Piątej Alei, żeby pokazać mi po drodze sklepy i Central Park. Planowała to tygodniami. Powiedziała, że przy Czterdziestej Czwartej jest hotel Algonquin, że zobaczę Ritza i Plażę, gdzie z pewnością nieraz zatrzymywała się moja idolka Merman. Miałyśmy się też wybrać na przejażdżkę jednokonką dookoła Central Parku i obejrzeć słynną kamienicę Dakota. Miałyśmy zobaczyć Bergdorfa i Lexington. Dzielnicę teatrów, gdzie wystawiano musicale z Merman. Matka chciała stanąć przed pomnikiem Shermana i, jako córka Południa, zmówić cichą modlitwę. Miał jeszcze być staw z kaczkami, karuzela, dziadkowie z modelami żaglówek. Ale matka opadła z sił. Stanęłyśmy w kolejce do taksówek na Siódmej Alei.

Kiedy wreszcie usiadła, schowała głowę między kolana, żeby nie wymiotować.

– Zabieram moją córkę do Metropolitan Opera – powiedziała.

– Dobrze się pani czuje? – spytał kierowca.

– Tak – odparła. Kazała mi wyglądać przez okno. – To jest Nowy Jork – dodała, wpatrując się w brudną podłogę taksówki.

Z tej jazdy nie pamiętam nic prócz tego, że płakałam. Próbowałam dostosować się do jej życzeń, ale ludzie i budynki rozmazywały mi się przed oczami.

– Nie dam rady – zaczęła się tłumaczyć. – Bardzo chcę, Alice, ale nie dam rady.

Kierowca taksówki z wyraźną ulgą podjechał pod gmach opery. Moja matka nie ruszyła się z tylnego siedzenia.

– Mamo, wracajmy do domu – rzekłam błagalnie.

– Panie zostają czy wysiadają? – spytał kierowca. – Co tu jest grane?

Wysiadłyśmy. Przeszłyśmy na drugą stronę ulicy. Stałyśmy przed monumentalnymi schodami prowadzącymi do wejścia do opery. Zaczęłam się rozglądać, próbując zapamiętać ten widok. Miałam ochotę wbiec po schodach, na których pełno było uśmiechniętych i robiących zdjęcia ludzi. Powoli, prowadząc zgiętą w pół matkę, pokonałam dwadzieścia stopni.

– Muszę usiąść – powiedziała. – Nie mogę tam wejść.

Byłyśmy tak blisko.

– Mamo, dojechałyśmy na miejsce, musimy wejść do środka.

– Idź sama.

Moja krucha matka z przedmieścia siedziała w wyjściowej sukience na gorącym betonie, pocierając mostek i powstrzymując wymioty.

– Nie mogę tam wejść bez ciebie – upierałam się. Otworzyła torebkę i wyjęła z portfela dwudziestkę. Wcisnęła mi ją w rękę.

– Pobiegnij do sklepu z pamiątkami i kup sobie coś. Chcę, żebyś miała jakąś pamiątkę z wycieczki.

Zostawiłam ją samą. Nie oglądałam się, żeby nie patrzeć, jaka jest mała na wielkich schodach. W sklepie z pamiątkami dostałam

lekkiego zawrotu głowy – niewiele mogłam kupić za dwadzieścia dolarów. Zobaczyłam książkę *Dada i surrealizm* za osiemdziesiąt pięć. Zapłaciłam za nią i pobiegłam z powrotem do matki. Wokół niej zebrali się ludzie i próbowali pomóc. Nie można już było niczego udawać.

– Czy możemy w czymś pomóc? – dopytywał się jakiś Niemiec z zatroskaną żoną, oboje mówiący świetnie po angielsku.

Matka nie zwracała na nich uwagi. Seboldowie zawsze polegali tylko na sobie.

– Alice – powiedziała. – Musisz złapać taksówkę, ja nie dam rady.

– Nie wiem jak, mamó.

– Podejdź do krawężnika i wystaw rękę. Któraś się zatrzyma.

Zostawiłam ją i wykonałam jej polecenie. Zatrzymał się starszy łyсы mężczyzna w żółtym checkerze. Wyjaśniłam, że na schodach czeka moja matka. Wskazałam ją i spytałam, czy mógłby pomóc.

– A co jej jest? Jest chora? Nie wożę chorych ludzi – zastrzegł się taksówkarz, mówiący z silnym akcentem jidysz.

– Jest tylko zdenerwowana – odparłam. – Nie zwymiotuje. Ale sama jej nie przyprowadzę.

Pomógł mi. Teraz, kiedy pomieszkałam w Nowym Jorku jako osoba dorosła, wiem już, jak rzadko spotyka się taką uczynność. Widocznie obudziła w nim współczucie moja rozpaczliwa prośba, a także, co tu dużo kryć, moja matka. Udało nam się doprowadzić ją do taksówki – położyła się u moich stóp na szerokiej podłodze starego checkera.

Taksówkarz zagadywał do nas najmilej, jak można w takiej sytuacji.

– Niech się pani wygodnie wyciągnie – radził. – W życiu nie siadłbym za kółkiem nowej taksówki. Mogę jeździć tylko checkerem. Dużo w nim miejsca. Pasażerom jest wygodnie. A pani ile ma lat, młoda damo? Jest pani bardzo podobna do matki, wie pani o tym?

W pociągu, którym wracałyśmy, atak paniki minął, pozostawiając wielkie znużenie. Ojciec odebrał nas na stacji.

Ledwie weszliśmy do domu, matka udała się do swojego pokoju. Cieszyłam się, że mam wakacje. Gdybym musiała iść na drugi dzień do szkoły, nie zdążyłabym wymyślić dobrej historii.

4.

W dniu gwałtu leżałam na tylnym siedzeniu prowadzonego przez matkę auta i próbowałam się przespać. Z miernym skutkiem. Samochód był wykończony od środka na niebiesko, więc udawałam, że unoszę się na falach oceanu. Ale im bardziej zbliżałam się do domu, tym częściej myślałam o ojcu.

Wcześniej pojęłam, że jeżeli mam przeszkodzić mu w pracy, muszę mieć w zanadrzu coś, co rozproszy jego gniew z powodu najścia w gabinecie. Często wykorzystywałam w tym celu swoją poważniejszą siostrę. Staralam się grać rolę nieznośnego chłopczyka specjalnie na użytek mężczyzny, który mieszkał w domu „zdominowanym przez kobiety”, jak sam nieraz się skarżył (ojciec cieszył się bardzo z nowego psa, mieszanki pudla, i otwarcie przyznał, jak to dobrze mieć wreszcie w domu kumpla). Chciałam być teraz tym samym dzieckiem, którym zawsze byłam dla ojca.

Wjechałyśmy razem z matką na podjazd i weszłyśmy do domu przez garaż.

Ojciec jest postawnym mężczyzną i znałam go do tej pory najlepiej jako człowieka obsesyjnie zajętego pracą – piszącego, redagującego, rozmawiającego przez telefon po hiszpańsku z kolegami i przyjaciółmi. Tego dnia jednak, kiedy zobaczyłam go w końcu długiego holu przy tylnym wejściu do domu, cały się trząsł.

– Cześć, tato – odezwałam się pierwsza.

Mama szła długim korytarzem. Ojciec rzucił jej szybkie spojrzenie, a potem przeniósł je na mnie, usiłując przyglądać mi się w skupieniu, gdy się do niego zbliżałam.

Uścisnęliśmy się. Czuliśmy się niezręcznie, jakbyśmy do siebie nie pasowali.

Nie pamiętam, żeby coś do mnie powiedział. Gdyby rzekł: „Och, kochanie, jak dobrze mieć ciebie w domu” albo, Alice,

kocham cię”, byłyby to tak nietypowe, że na pewno zapamiętałabym jego słowa, ale może właśnie dlatego ich nie pamiętam. Nie pragnęłam nowych doświadczeń. Chciałam mieć to, co znałam, taki sam dom, który pierwszy raz w życiu opuściłam tej jesieni, i ojca takiego jak zawsze.

– Jak leci, tato? – spytałam.

Nad tym prostym pytaniem zastanawiałam się przez całą drogę do domu. Z nagłą ulgą odpowiedział:

– Kiedy zadzwoniła twoja matka, wypilem pięć kolejek whisky, a jestem trzeźwy jak nigdy w życiu.

Położyłam się na kanapie w pokoju rodzinnym. Ojciec wypełnił sobie przedpołudnie, siedząc w kuchni i szykując lunch.

– Masz ochotę coś zjeść? – zapytał.

Odpowiadając mu, chciałam jak najdobitniej dać do zrozumienia, że twarda ze mnie sztuka i nie ma potrzeby się martwić.

– Bardzo chętnie. Zwłaszcza że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin nie miałam w ustach nic oprócz krakersa i kutasa.

Dla kogoś z zewnątrz mogłoby to zabrzmieć okropnie, ale dla mojego ojca, stojącego w drzwiach kuchni, i dla mojej matki, krzątającej się przy bagażach, to szokujące zdanie oznaczało jedno: że dziecko, które znali, pozostało sobą.

– Jezu, Alice – jęknął ojciec. Stał nad przepaścią i czekał na wskazówki ode mnie.

– Nadal jestem sobą, tato – zapewniłam.

Rodzice wyszli razem do kuchni. Nie wiem, jak długo tam byli, szykując kanapki, które zapewne już były przygotowane. A co naprawdę robili? Czy przytulili się do siebie? Nie mogę sobie tego wyobrazić, ale to możliwe. Czy matka szeptem wyjawiała ojcu, co przeżyłam na policji i w jakim jestem stanie, czy też obiecała, że opowie wszystko, kiedy będę spała?

Siostra przebrnęła przez egzaminy w sesji letniej. Na drugi dzień po powrocie do domu zabrałam się z rodzicami, którzy jechali po moją siostrę i jej rzeczy do Filadelfii.

Twarz miałam nadal posiniaczoną. Ojciec prowadził jeden samochód, a matka drugi. Ustaliliśmy, że gdy dotrzemy na miejsce, ja zostanę w aucie, a oni we trójkę zapakują bagaże. Zdecydowałam się na tę podróż po to, żeby siostra mnie zobaczyła i przekonała się, że nic mi nie jest. A także dlatego, żeby rodzina nie rozmawiała o mnie za moimi plecami.

Siedziałam z przodu, obok matki, w jej samochodzie. Wybrała trasę lokalną. Wprawdzie dłuższą, ale uznaliśmy zgodnie, że będzie bardziej malownicza. Oczywiście prawdziwy powód był taki, że na autostradzie Schuylkill, nieoficjalnie nazywanej Surekill (Pewna Śmierć) przez mieszkańców modnych osiedli na zachód od Filadelfii, matka nieuchronnie dostałaby ataku. Dlatego pojechaliśmy drogą numer trzydzieści, a potem różnymi krętymi drogami podrzędnymi w kierunku celu naszej podróży – Uniwersytetu Stanu Pensylwania.

Nieużywane tory filadelfijskiej kolei nadziemnej z czasem stały się dla mnie symbolem wrót do miasta. Tutaj zaczynał się ruch pieszych na ulicy, gazeciarz stał na środku jezdni i sprzedawał kierowcom gazety, a w kościele baptystów przez cały rok odbywały się śluby i pogrzeby, których uczestnicy w odświętnych strojach wypełniali okoliczne ulice.

Wiele razy pokonywałam tę trasę razem z matką. Spotykałyśmy się z ojcem w jego gabinecie albo dzięki jego wydziałowemu ubezpieczeniu korzystałyśmy z usług szpitala uniwersyteckiego. Każda z tych podróży przebiegała według powtarzającego się scenariusza – niepokój mojej matki wzrastał, im bardziej zbliżałyśmy się do miasta. Po przejechaniu pod torami kolei nadziemnej matka trzymała się zawsze środkowego pasa trójpasmowej, jednokierunkowej ulicy Kasztanowej, ja zaś, siedząc na fotelu dla pasażera, pilnowałam, czy nie dostaje ataku.

W dniu, kiedy jechałyśmy po moją siostrę, nastąpiła zmiana w dramaturgii podróży. Minęłyśmy kwartały domów szeregowych, różniące się między sobą starannością utrzymania, i ulica zrobiła się szersza. Stary przy niej opuszczone budynki, obskurne stacje benzynowe i wybudowane przez rząd ceglane kamienice. Czasami

w środku kwartału przytulały się do siebie ostatnie, jeszcze niewyburzone domy szeregowy.

Dawniej, odbywając tę podróż, przyglądałam się głównie budynkom; podobały mi się ślady po schodach w zachowanych domach szeregowych – widziałam w nich skamieniałe formy dawnego życia. Teraz zwracałam uwagę na co innego. Podobnie moja matka. A jak się wkrótce przekonałam, także ojciec, jadący za nami drugim samochodem. Teraz zwracałam uwagę na ludzi na ulicach. I nie na kobiety ani dzieci.

Był upał. Nieprzyjemny wilgotny upał, jaki panuje latem w miastach Północnego Wschodu. Przez otwarte okna naszego auta bez klimatyzacji wciskał się smród śmieci i spalin. Wyteęzałyśmy słuch, słysząc przypadkowe okrzyki. Nasłuchiwałyśmy, czy w powitaniu znajomych nie zabrzmiała nuta groźby, a moja matka dziwiła się, dlaczego tylu mężczyzn gromadzi się na rogach ulic lub stoi niedbale przed domami. Ta część Filadelfii, jeśli nie liczyć kurczącej się społeczności włoskiej, była czarna.

Minęliśmy róg, na którym tkwiło trzech mężczyzn. Za nimi dwaj starsi mężczyźni siedzieli na rachitycznych składanych krzeselkach, wystawionych na chodnik w ucieczce przed spiekotą panującą w domach. Wyczułam, jak siedząca obok matka się napina. Piekła mnie posiniaczona i pokaleczona twarz. Zdawało mi się, że każdy mężczyzna na ulicy mnie widzi, że każdy wie.

– Niedobrze mi – powiedziałam do matki.

– Jesteśmy już prawie na miejscu.

– To dziwne, mamo – mówiłam dalej, starając się zachować spokój. Wiedziałam, że nie zgwałcił mnie żaden z tych staruszków. Ani ten wysoki Murzyn w zielonym garniturze, siedzący na ławce na stacji autobusowej. Ale wciąż się bałam.

– Co jest dziwne, Alice? – Zaczęła ugniatać pięścią mostek.

– Czuję się tak, jakbym leżała pod każdym z tych mężczyzn.

– To niedorzeczne, Alice.

Stanęłyśmy na światłach. Kiedy zapaliło się zielone, matka dodała gazu. Jechałyśmy jednak na tyle wolno, że mogłam utkwic spojrzenie w zbliżającym się rogu ulicy.

On tam był, przykucnął na betonowej płycie, opierając się plecami o czyste cegły dość nowego budynku. Nasze spojrzenia się skrzyżowały. „Leżałam z tobą” – powiedziałam w myślach.

Wtedy po raz pierwszy uzmysłowiłam sobie coś, z czym miałam się borykać przez wiele lat. Otóż nie dzielę swojego życia z chłopcami i dziewczętami, z którymi dorastałam, ani ze studentami, z którymi studiowałam w Syracuse, ani nawet z przyjaciółmi i z ludźmi, których potem poznałam. Dzielę swoje życie z gwałcicielem. Jest mężem mojego losu.

Opuściliśmy tamtą dzielnicę i wjechaliśmy do świata mojej siostry – na teren Uniwersytetu Pensylwańskiego. Drzwi do wynajmowanych przez studentów domów stały otworem, a wzdłuż krawężnika parkowały w dwóch rzędach przyczepy i ciężarówki. Ktoś wpadł na pomysł uczczenia wyprawki piwną balangą. Wysocy biali chłopcy w obcisłych podkoszulkach albo bez siedzieli na wystawionych na chodnik kanapach i popijali piwo z plastikowych kubków.

Podjechałyśmy z mamą pod akademik siostry i zaparkowałyśmy.

Ojciec dołączył do nas chwilę później i zaparkował nieopodal. Zostałam w samochodzie. Matka, chcąc ukryć przede mną atak, wysiadła i przechadzała się w pobliżu.

Oto, co usłyszałam, nim matka przesłała ojcu ostrzegawcze spojrzenie.

– Widziałaś te przekłete zwierzęta podpierające każdy słup i...

Matka spojrzała szybko na mnie, a potem znów na ojca.

– Cicho, Bud – upomniała go. Ojciec podszedł i nachylił się do okna.

– Dobrze się czujesz, Alice?

– Nic mi nie jest, tato – odparłam.

Był spocony i czerwony na twarzy. Bezradny. Przestraszony. Nigdy przedtem nie słyszałam, żeby w ten sposób wyrażał się o Murzynach lub potępiał jakąkolwiek inną mniejszość.

Ojciec poszedł zawiadomić siostrę o naszym przyjeździe. Siedziałam w samochodzie z matką. Milczałyśmy. Przyglądałam

się wyprowadzkowej krzątaniu. Studenci pakowali rzeczy do płóciennych worków, w jakich przerzuca się listy na zapleczu urzędu pocztowego. Turlali je po parkingu do samochodów rodziców. Rodziny witały się między sobą. Na zdeptanym trawniku dwóch chłopców rzucało talerzem frisbee. Z okien akademika mojej siostry buchały dźwięki radia. W powietrzu unosił się duch oswobodzonej wolności; lato szerzyło się po kampusie jak infekcja.

Wreszcie zobaczyłam moją siostrę. Wyszła z akademika.

Patrzyłam, jak idzie w moją stronę od drzwi oddalonych o jakieś trzydzieści metrów – tyle, ile dzieliło mnie od gwałciciela, gdy spytał: „Hej, mała, jak ci na imię?”. Pamiętam, jak Mary nachyliła się i zajrzała do samochodu.

– Ach, twoja twarz – powiedziała. – Nic ci nie jest?

– Długo to trwało, ale w końcu znalazłam sposób, żeby zakłócić jednostajny ciąg twoich celujących ocen – zażartowałam.

– Alice, twoja siostra spytała, jak się czujesz – upomniał mnie ojciec.

– Wsiadam z auta – oświadczyłam. – Czuję się jak idiotka.

Moja rodzina nie była zachwycona, ale ja wysiadłam i stanęłam obok nich. Oznajmiłam, że chcę zobaczyć pokój Mary i akademik, w którym mieszkała, że chcę pomóc.

Nie byłam poraniona tak, żeby od razu rzucało się to w oczy. Jeżeli ktoś specjalnie się nie przyglądał, mógł nie poznać, że czymkolwiek się wyróżniam. Gdy szłam z rodziną do akademika siostry, ludzie obracali ku nam twarze i widzieli najpierw zwykłą rodzinę – matkę, ojca i dwie córki – a potem, zatrzymawszy na chwilę wzrok, dostrzegali coś jeszcze: moje zapuchnięte oko, rozciętą skórę przy nosie i na policzku, nabrzmiałe wargi, rozkwitające pod skórą fioletowe sińce. Im dłużej szliśmy, tym więcej czułam na sobie spojrzeń, lecz udawałam, że ich nie widzę. Otaczali mnie piękni chłopcy i dziewczęta z dobrego uniwersytetu, mózgowcy i maniacy. Wierzyłam, że robię to wszystko dla mojej rodziny, która nie potrafiła uporać się z sytuacją. Ale robiłam to także dla siebie. Wjechaliśmy na górę

windą zasmarowaną graffiti.

Tego roku jakaś dziewczyna przeszła zbiorowy gwałt w korporacji studenckiej. Wniosła skargę, przedstawiając zarzuty. Próbowwała ścigać winowajców sędownie. Niestety, członkowie korporacji i ich przyjaciele uniemożliwili jej pozostanie na uczelni. Kiedy przyjechałam na kampus, ona już zrezygnowała ze studiów. W windzie akademika mojej siostry ktoś nakreślił długopisem prymitywny rysunek dziewczyny z rozłożonymi nogami i ustawionych do niej w kolejce mężczyzn. Rysunek opatrzone podpisem: „Pociąg do Marcie”. Tłoczyłam się w windzie z rodziną i studentami wracającymi po kolejny worek z rzeczami. Stałam twarzą do ściany, wpatrując się w rysunek przedstawiający Marcie. Gdzie teraz jest, myślałam, i co z nią będzie?

Moje wspomnienia o rodzinie tamtego dnia są chaotyczne. Cały czas grałam i udawałam, uważając, że za to właśnie jestem kochana. Czasem jednak coś ukłuło mnie do żywego. Murzyn przykucnięty na chodniku w zachodniej Filadelfii, piękni chłopcy na Uniwersytecie Pensylwańskim rzucający frisbee – pomarańczowy talerz wzleciał łukiem i spadł przede mną. Stałam jak wryta, a jeden z chłopców podbiegł bez troski. Kiedy podniósł talerz i wyprostował się, spostrzegł moją twarz. „Cholera” – powiedział, patrząc na mnie, poruszony tak, że na chwilę zapomniał o grze.

Potem jest już wyłącznie rodzina. Można obejrzeć pokój siostry w akademiku. Trzeba się zająć matką, która ma atak paniki. A ojciec, no cóż, on nic nie wie, więc dźwigasz ciężar wyedukowania go. Nie wszyscy Murzyni, zaczniesz. Robisz to wszystko, byle tylko nie załamać się pod jasnym słońcem, na oczach pięknych chłopców, gdzie, jak głosi plotka, jechał pociąg do Marcie.

Wracaliśmy do domu we czwórkę. Tym razem zabrałam się z ojcem. Teraz rozumiem, że matka musiała opowiedzieć siostrze

wszystko, co wiedziała, i we dwie zbierały siły na to, co je czekało.

Mary wniosła rzeczy do domu i poszła rozpakować się do swojego pokoju. Czekał nas jeszcze wspólny niewyszukany posiłek, który matka nazywała „szukajcie, a znajdziecie”, a potem ojciec miał zamknąć się w gabinecie, ja zaś mogłam posiedzieć z siostrą.

Kiedy jednak matka zawołała Mary, żeby zeszła na dół, ta się nie odezwała. Matka zawołała jeszcze raz. Wykrzykiwanie w holu imion członków rodziny to u nas codzienna praktyka. Zdarzało się, że trzeba było wielokrotnie kogoś wołać, zanim ściągnęło się go z góry. W końcu matka weszła po schodach, by po kilku minutach wrócić.

– Zamknęła się w łazience – powiedziała do ojca i do mnie.

– Po co? – spytał ojciec. Odkrawał kawałki sera Provolone i ukradkiem dokarmił psa.

– Jest zdenerwowana, Bud – wyjaśniła matka.

– Wszyscy jesteśmy zdenerwowani – wtrąciłam. – Czemu nie dołączy do towarzystwa?

– Myślę, Alice, że bardzo by pomogło, gdybyś poszła i porozmawiała z nią.

Pomarudziłam, ale poszłam. Któryż to raz powtarzało się to samo. Mary się czymś przejęła, a matka prosiła, żebym z nią porozmawiała. Pukałam wtedy do jej pokoju i przysiadłam obok niej na łóżku. Robiłam jej „pobudkę do życia” i czasami udawało mi się zachęcić ją do zejścia na kolację albo przynajmniej rozśmieszyć sprośnymi kawałami, które specjalnie w tym celu zbierałam.

Ale tamtego dnia rozumiałam, że potrzebuje zobaczyć się właśnie ze mną. Nie byłam jedynie wyznaczoną przez matkę pocieszycielką; to przeze mnie zamknęła się w łazience i nie chciała wyjść.

Weszłam na górę i zapukałam lekko do drzwi.

– Mary? Cisza.

– Mary, to ja – powiedziałam. – Wpuść mnie.

– Idź sobie.

Poznałam, że płacze.

– Załatwmy to racjonalnie – zaproponowałam. – W końcu zachce mi się siusiu, a jeżeli mnie nie wpuścisz, zrobię to w twoim pokoju.

Odpowiedziało mi milczenie, a potem szczęknięcie zamka.

Otworzyłam drzwi do „łazienki dziewczynek”. Inwestor wyłożył ją różowymi kafelkami. Mogę sobie tylko wyobrazić, co by było, gdyby wprowadzili się do domu chłopcy, w każdym razie ja i Mary na dobre znienawidziłyśmy różowy kolor. Różowa umywalka. Różowe kafelki. Różowa wanna. Różowe ściany. Nigdzie ulgi dla oka.

Mary stała pod ścianą, pomiędzy wanną a sedesem, jak najdalej ode mnie.

– Hej, co z tobą? – spytałam.

Chciałam ją przytulić. Chciałam, żeby ona mnie przytuliła.

– Przepraszam – rzekła. – Tak dobrze sobie z tym radzisz. Nie wiem, jak się zachować.

Gdy zaczęłam iść do niej, cofnęła się.

– Mary, czuję się parszywie – wyznałam.

– Nie wiem, skąd masz tyle sił. – Patrzyła na mnie z mokrymi od łez policzkami.

– Już dobrze – pocieszyłam ją. – Wszystko będzie dobrze.

Wciąż nie pozwalała mi się dotknąć. Przemknęła nerwowo, jak ptak uwięziony w klatce, od zasłony przy prysznicu do wieszaka na ręczniki. Oświadczyłam, że idę na dół i będę się opychać, a ona powinna do mnie dołączyć. Potem zamknęłam drzwi i wyszłam.

Mary zawsze była ode mnie delikatniejsza. Na dziennym obozie YMCA, kiedy byłyśmy małe, ostatniego dnia rozdawano odznaki. Opiekunowie wymyślali różne kategorie i sami robili znaczki dla każdego dziecka. Ja dostałam odznakę z paletą i pędzlami, symbolizującymi kategorię „sztuka i rzemiosło”. Moja siostra – najspokojniejsza uczestniczka obozu – dostała odznakę z przyklejoną filcową myszką. Przyjęła myszkę jako swój emblemat i z czasem zaczęła dorysowywać ją do litery igrek w swoim

podpisie.

Zszedłszy na dół, uspokoiłam rodziców, mówiąc, że zaraz przyjdzie.

– Jeżeli musiało się to którejs z was przytrafić, cieszę się, że tobie, Alice, a nie twojej siostrze – rzekł ojciec.

– Boże, Bud – wyrwało się matce.

– Chciałem tylko powiedzieć, że z nich dwóch...

– Wiem, co chciałeś powiedzieć, tato – przerwałam mu, dotykając jego przedramienia.

– Sama widzisz, Jane.

Matka uważała, że przez kilka tygodni powinniśmy trzymać się razem w imię jedności rodziny. Trudno było przekonać do tego cztery samotnicze indywidualności, w każdym razie tamtego lata oglądałam więcej kiepskiej telewizji w towarzystwie rodziny niż kiedykolwiek przedtem albo potem.

Pora kolacji stała się święta. Matka codziennie sama szykowała wspólny posiłek, chociaż ma kuchnię ozdobioną obrazkami i sentencjami, które w takiej czy innej formie, w swobodnym tłumaczeniu, mówią: „Kucharz wyszedł”. Siostra z trudem powstrzymywała się, by nie wytykać tacie, że mlaska. Zachowywaliśmy się wszyscy wzorowo. Nie mam pojęcia, o czym myślała moja rodzina. Pewnie byli bardzo zmęczeni. Czy uwierzyli w silną kobietę, którą grałam, czy tylko udawali, że w nią wierzą?

W ciągu tych pierwszych tygodni chodziłam cały czas w szlafrokach. W szlafrokach od Lanza. Specjalnie kupionych przez matkę i ojca. Kiedy ojciec wybierał się do sklepu spożywczego, matka prosiła, żeby po drodze kupił mi nowy szlafrok. Dzięki tej rozsądnej ekstrawagancji mogliśmy się wszyscy poczuć bogaci.

Gdy zatem wszyscy oprócz mnie siedzieli przy kolacji w normalnych letnich ubraniach, ja zasiadałam na swoim krześle w długim białym szlafroku.

Nie pamiętam, w jaki sposób po raz pierwszy wypłynął ten temat, ale skoro już został poruszony, zdominował rozmowę.

Tym tematem była broń gwałciciela. Zapewne opowiadałam o tym, że policja znalazła moje okulary i nóż gwałciciela przy brukowanej alejce.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie miał noża w tunelu? – spytał ojciec.

– Nie miał – odparłam.

– Nie rozumiem.

– Co tu jest do rozumienia, Bud? – zirytowała się matka. Po dwudziestu latach małżeństwa pewnie wiedziała, do czego zmierza. Może już nawet broniła mnie przed nim w cztery oczy.

– Jak mógł cię zgwałcić, jeżeli nie miał noża?

Przy naszym rodzinnym stole bywało głośno przy różnych okazjach. Ulubionym tematem sporów była pisownia lub znaczenie jakiegoś słowa. Zdarzało się, że ściągaliśmy do jadalni duży słownik oksfordzki, nawet w czasie wakacji albo przy gościach. Mieszaniec pudła, Webster, dostał imię po poręczniejszym mediatorze naszych kłótni, słowniku Webstera. Tym razem nastąpił wyraźny podział na stronę męską i damską – dwie kobiety, moja matka i siostra, przeciwko ojcu.

Pomyślałam, że stracę ojca, jeżeli zostanie poddany ostracyzmowi. Chociaż siostra i matka występowały w mojej obronie, krzycząc na ojca, żeby siedział cicho, powiedziałam im, że sama się tym zajmę. Poprosiłam ojca, by poszedł ze mną na górę, gdzie mogliśmy swobodnie porozmawiać. Matka i siostra aż poczerwieniały ze złości na niego. Ojciec przypominał małego chłopca, który myślał, że zna reguły gry, i jest przerażony, kiedy inni wytykają mu błąd.

Poszliśmy na górę do sypialni matki. Posadziłam ojca na kanapie, a sama zajęłam pozycję na stojącym przy biurku krześle.

– Nie będę cię atakować, tato – obiecałam. – Chcę, żebyś powiedział, czego nie rozumiesz, a ja spróbuję ci to wyjaśnić.

– Nie wiem, dlaczego nie próbowałaś uciec – rzekł.

– Próbowałam.

– Ale jak mógł cię zgwałcić, jeżeli mu nie pozwalałaś?

– To tak, jakbyś powiedział, że tego chciałam.

– Ale on nie miał noża w tunelu.

– Tato, zastanów się. Nawet jeżeli jest użyta broń, to w trakcie samego gwałtu dziewczyna nie ma tej broni przytkniętej do twarzy. Zrozum, tato, on mnie obezwładnił. Pobił. Nie mogłabym chcieć czegoś takiego, to niemożliwe.

Wspominając tamtą rozmowę w pokoju matki, sama się sobie dziwię, jak mogłam okazać tyle cierpliwości. Ignorancja ojca nie mieściła mi się w głowie. Byłam nią wstrząśnięta, ale nade wszystko pragnęłam, żeby ojciec mnie zrozumiał. Gdyby on, rodzony ojciec, który miał jak najlepsze chęci, nie zrozumiał mnie, to co dopiero mówić o innych mężczyznach?

Nie pojmował, przez co przeszłam ani jak to się mogło skończyć, gdybym w jakimś stopniu nie współdziałała ze sprawcą. Ignorancja ojca bardzo mnie zabolęła. Boli mnie do tej pory, choć nie winię go za to. Nie zrozumiał wszystkiego do końca, lecz dla mnie najważniejsze było to, że wyszłam z pokoju, wiedząc, jak wiele znaczyła dla niego podjęta przeze mnie próba udzielenia odpowiedzi na jego pytania. Zrobiłam, co mogłam. Kochałam go i on mnie kochał, ale nie mogliśmy się w pełni porozumieć. Nie było więc aż tak źle. Przecież przygotowałam się na to, że wieść o gwałcie zniszczy moich bliskich. Żyliśmy i w tych pierwszych tygodniach to wystarczało.

Mogłam wprawdzie oglądać telewizję razem z rodziną, podczas gdy każde z nas pozostawało osobną wyspą bólu, zajęcie to jednak okazało się problematyczne.

Zawsze lubiłam Kojaka. Ten łysy, cyniczny facet mówił zwięźle, rzucając słowa kątem ust, w których stale trzymał lizaka. Ale miał złote serce, i choć był policjantem w wielkim mieście i trochę pomiatał bratem niezgułą, wydawał mi się niezwykle atrakcyjny.

Oglądałam więc *Kojaka*, polegając w szlafroku od Lanza i popijając czekoladowe koktajle. (Z początku miałam trudności z normalnym jedzeniem. Usta bolały mnie po seksie oralnym i najmniejszy kęs przypominał mi leżący na języku penis

gwałciciela).

Mogłam znieść samotne oglądanie *Kojaka*, bo chociaż nie brakowało scen przemocy, odbierałam tę przemoc jako w oczywisty sposób fikcyjną. (Gdzie zapach? Krew? Dlaczego wszystkie ofiary miały nienaruszone twarze i ciała?). Gdy jednak siostra, ojciec albo matka przychodzili oglądać ze mną telewizję, wzrastało we mnie napięcie.

Pamiętam, jak Mary siedziała na bujanym fotelu przed kanapą, na której odpoczywałam. Zawsze przed włączeniem jakiegoś programu pytała, czy nie będzie mi przeszkadzał. Potem przez cały czas jego trwania, przez godzinę lub dwie, zachowywała czujność. Jeżeli coś wzbudzało jej niepokój, obracała ku mnie głowę, żeby sprawdzić moje reakcje.

– W porządku, Mary – mówiłam, przewidując, kiedy mogłaby się zaniepokoić.

Złościłam się przez to i na nią, i na rodziców. Potrzebne mi było udawanie, że w domu wciąż jestem tą samą osobą co zawsze. Nedorzeczna, lecz podstawowa potrzeba, dlatego odbierałam badawcze spojrzenia członków rodziny jako zdradę, choć rozumiałam, że tak nie jest.

Trochę trwało, zanim zorientowałam się, że programy telewizyjne bardziej niepokoiły ich niż mnie. Nie mieli pojęcia, co wydarzyło się w tunelu, bo im o tym nie opowiedziałam – nie znali szczegółów. Łączyli okropne wizje powstałe w wyobraźni i złych snach, usiłując odtworzyć, co naprawdę przeżyła ich siostra i córka. Ja wiedziałam dokładnie, co się wydarzyło. Czy mogłam opisywać to ludziom, których kochałam? Czy mogłam powiedzieć, że sikano na mnie albo że oddawałam pocałunek, bo nie chciałam umrzeć?

To pytanie wciąż mnie dręczy. Kiedy przedstawiałam nagie fakty komukolwiek, czy to kochankowi, czy przyjaciółce, zmieniałam się w ich oczach. Nieraz odnosili się do mnie z podziwem, a nawet lękiem, czasami z odrazą, a raz czy dwa zostałam zaatakowana z wściekłością, której powody pozostały dla mnie niezrozumiałe. Niektórzy mężczyźni i lesbijki odbierają

moją opowieść jako podniecie lub czują, że mają misję do spełnienia, jakby poprzez przeniesienie związku na płaszczyznę seksualną mogli mnie wyratować z okrucieństwa tamtego dnia. Oczywiście mimo najlepszych chęci ich wysiłki nie na wiele się zdają. Nikt nie może wyratować drugiego człowieka. Każdy musi ratować się sam albo jest stracony.

5.

Matka była zakrystianką w kościele episkopalnym Świętego Piotra. Należeliśmy do tego kościoła, odkąd cała rodzina przeprowadziła się do Pensylwanii, gdy skończyłam pięć lat. Lubiłam pastora, ojca Breuningera, i jego syna, Paula, mojego rówieśnika. W czasach college'u odnajdywałam ojca Breuningera w powieściach Henry'ego Fieldinga; był człowiekiem miłym, choć może o niezbyt przenikliwym umyśle, i skupiał wokół siebie niewielką, oddaną tródkę wiernych, którym jego syn, Paul, co roku sprzedawał wieńce adwentowe. Żona pastora, Phyllis, była wysoka i nerwowa. Moja matka komentowała tę jej nerwowość ze współczuciem, ale jednocześnie tonem wyższości.

Lubiłam po nabożeństwie bawić się na cmentarzu; lubiłam słuchać uwag wygłaszanych przedtem i potem przez moich rodziców w samochodzie; podobało mi się, kiedy członkowie kongregacji pochylali się nade mną czule, no i przepadałam za Myrą Narbonne, kochałam ją po prostu. Była ulubioną starszą panią – moją i matki. Myra zwykła powtarzać, że „zestarzała się, zanim stało się to popularne”. Często przy tym żartowała ze swego grubego brzucha i rzędzących anielskich” włosów. Była niczym powiew świeżego powietrza w kościele, w którym przeważali dystyngowani, nobliwi parafianie, ubierający się co niedziela w te same stroje, świetnie uszyte, lecz cokolwiek podniszczone. Myra mogła się poszczycić znakomitym rodowodem, ale nosiła obszerne, przewiązywane spódnice z lat siedemdziesiątych – „tandetne jak obrusy”, by użyć jej określenia. Brzegi jej bluzek często nie zachodziły na siebie na całej długości, a plecy chyliły się coraz bardziej ku ziemi. Wtykała chusteczki ligninowe do stanika, podobnie jak moja babcia ze wschodniego Tennessee, i podsuwała mi ciasteczka, kiedy przychodziłam z cmentarza, gdzie się bawiłam. Jej mąż, Ed, rzadko przychodził na nabożeństwo, a jeśli już się pojawił, wyglądał, jakby tylko czekał,

żeby móc sobie pójść.

Odwiedzałam ich dom. Mieli basen i lubili, gdy młodzi ludzie przychodzili w nim popływać. Mieli też łaciatego psa Pieguska oraz kilka kotów. Jeden z nich był najgrubszym kotem, jakiego w życiu widziałam. W czasach gdy uczęszczałam do gimnazjum i liceum, Myra podtrzymywała we mnie pragnienie zostania malarką. Sama też malowała i zamieniła oranżerię w pracownię malarską. Chyba rozumiała, choć nigdy ze mną o tym nie rozmawiała, że nie czułam się szczęśliwa w domu rodzinnym.

Kiedy byłam na pierwszym roku w college'u w Syracuse i odwiedzałam z Mary Alice bary studenckie przy Marshall Street, w moim rodzinnym mieście doszło do wydarzeń, z jakimi się wcześniej nie zetknęłam.

Myra nie zamykała drzwi na klucz, wychodząc z domu do ogrodu albo wyprowadzając psa. Nigdy nie zdarzyło się nic złego. Dom wprawdzie stał z dala od drogi, osłonięty drzewami, ale wokół mieszkali bogaci farmerzy, sami porządni ludzie. Dlatego Myra nie mogła sobie nawet wyobrazić, że któregoś dnia trzech zamaskowanych mężczyzn odetnie jej linię telefoniczną, a potem wedrze się do jej skromnego domu.

Napastnicy rozdzielili Myrę i Eda, po czym Myrę związali. Nie spodobało im się, że w domu nie znaleźli pieniędzy. Pobili Eda tak, że spadł po schodach do piwnicy. Jeden z mężczyzn poszedł tam za nim. Drugi przeszukiwał dom. Trzeci, do którego tamci zwracali się „Joey”, został z Myrą i bił ją na odlew, nazywając „staruchą”.

Zabrali, co się dało. Joey przykazał Myrze, żeby nie ruszała się z miejsca ani nie opuszczała domu, i dodał, że jej mąż nie żyje. Włamywacze ulotnili się. Myra, leżąc na podłodze, uwolniła się z więzów, ale nie dała rady zejść po schodach, żeby sprawdzić, co z mężem, bo czuła, że ma złamaną kość w stopie. Miała także połamane żebra, z czego jeszcze nie zdawała sobie sprawy.

Wbrew zakazowi Joeya Myra wyszła z domu. Obawiając się głównej drogi, przeczołgała się przez zarośla za podwórkiem –

pokonując w ten sposób kilkaset metrów – aż dotarła do innej, rzadziej uczęszczanej. Wstała – bosa i zakrwawiona, a kiedy wreszcie nadjechał samochód, pomachała ręką, żeby go zatrzymać.

Podeszła do okna.

– Proszę sprowadzić pomoc – powiedziała do kierowcy. – Trzech mężczyzn włamało się do naszego domu. Chyba zabili mojego męża.

– Nie mogę pani pomóc.

Uzmysłowiła sobie, kto siedzi w samochodzie. To był Joey – sam. Poznała go po głosie. Mogła mu się dobrze przyjrzeć, bo zdjął już z twarzy maskę z pończochy.

– Puszczaj! – rzucił, kiedy chwyciła go za rękę. Odjechał prędko, a Myra upadła. Podniósłszy się, ruszyła dalej, aż dotarła do domu sąsiada, skąd zadzwoniła po pomoc. Eda przewieziono do szpitala. Lekarze powiedzieli później, że gdyby Myra tak szybko nie sprowadziła pomocy, jej mąż wykrwawiłby się na śmierć.

Jakiś czas potem, w zimie, społecznością związaną z kościołem Świętego Piotra wstrząsnęła wiadomość o aresztowaniu Paula Breuningera.

Paul jeszcze w gimnazjum przestał sprzedawać wieńce adwentowe. Zapušcił kędzierzawe rude włosy i bardzo rzadko pokazywał się w kościele. Matka mówiła mi, że Paul korzystał z osobnego wejścia do domu, a ojciec Breuninger obawiał się, iż stracił nad synem kontrolę. W lutym naćpany Paul wszedł do kwaciarni przy drodze numer trzydzieści i poprosił panią Mole o żółtą różę. Razem z kolegą od tygodnia obserwowali sklepik. Paul za każdym razem, gdy tu się pojawiał, prosił o jedną różę i obserwował kasę, na której pani Mole wybijała kwotę do zapłaty.

Wybrali zły dzień na rabunek. Chwilę przedtem mąż pani Mole zabrał tygodniowy utarg. Pani Mole miała w szufladzie z pieniędzmi niecałe cztery dolary. Paul wpadł we wściekłość. Piętnaście razy dźgnął panią Mole w twarz i w szyję, wrzeszcząc:

„Giń, suko, giń!” Pani Mole okazała się nieposłuszna. Wydostała się z kwaciarni i wpadła do zasy. Jakaś kobieta zauważyła krew, spływającą powoli po śnieżnej pochyłości. Podążając śladem krwi, odnalazła nieprzytomną panią Mole.

Tamtego maja, już po gwałcie, powróciłam do wspólnoty wiernych dochodzącej do siebie po wstrząsie, który najbardziej dotknął ojca Breuningera. Moja matka, jako zakrystianka, była świadkiem jego bólu. Paul został aresztowany i mimo siedemnastu lat, a więc nieosiągniętej pełnoletności, miał być sądzony jako dorosły. Ojciec Breuninger nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego syn od ukończenia piętnastego roku życia wypija szklaneczkę whisky dziennie. Nie wiedział nic o narkotykach znalezionych w pokoju Paula i niewiele o nieobecnościach w szkole. Bezcelność syna ojciec Breuninger kładł na karb trudnego wieku dojrzewania.

Matka darzyła ojca Breuningera zaufaniem i powiedziała mu, że zostałam zgwałcona. Ogłosił to w kościele. Nie użył słowa „zgwałcona”, lecz rzekł: „Brutalnie napadnięta w parku przy kampusie uniwersyteckim. To był rozbój”. Każda doświadczona kobieta interpretowała te słowa w jeden jedyny sposób. Opowieść krążyła z ust do ust – skoro nie miałam niczego złamanego, to w czym przejawiała się brutalność? Och... więc to to...

Ojciec Breuninger pokazał się u nas w domu. Pamiętam jego współczujące spojrzenie. Już wtedy czułam, że myśli o swoim synu tak samo, jak myślał o mnie: jako o dziecku, które u progu dorosłości straciło niewinność. Wiedziałam od matki, że ojciec Breuninger nie potrafi pogodzić się z myślą, iż Paul odpowiada za napaść na panią Mole. Zrzucał winę na narkotyki, na dwudziestodwuletniego współnika, wreszcie winił siebie. Nie potrafił obarczyć winą Paula.

Moja rodzina zebrała się w salonie, najmniej ze wszystkich pokoi wykorzystywanym. Siedzieliśmy sztywno na zabytkowych meblach. Matka przyniosła Fredowi, jak nazywali ojca Breuningera dorośli, coś do picia – herbatę. Prowadziliśmy bląhą rozmowę. Ja usadowiłam się na kanapie obitej błękitnym

jedwabiem, dumie mojego ojca, terytorium zakazanym dla dzieci i psów (któregoś roku skusiłam herbatnikiem basseccicę, żeby wskoczyła na jasnoniebieski jedwab, potem napstrykałam jej zdjęć, oprawiłam je i dałam ojcu w prezencie na Boże Narodzenie).

Ojciec Breuninger – w białej koloratce i czarnej sutannie – poprosił, żebyśmy stanęli w kole i wzięli się za ręce. Kiedy wstał, jedwabny kutasik zwisający ze sznura, którym był przepasany, zakołysał się i znieruchomiał.

– Módlmy się – powiedział ojciec Breuninger.

Przeżyłam szok. Nawykałam w mojej rodzinie do komentarzy, ćwiczeń intelektualnych i sceptycyzmu. Odebrałam tę sytuację jako hipokryzję. Gdy ksiądz się modlił, podniosłam głowę i rozejrzałam się. Wszyscy – moja siostra, rodzice i ojciec Breuninger – mieli spuszczone głowy i zamknięte oczy. Nie chciałam zamykać oczu. Modliliśmy się o moją duszę. Wbiłam spojrzenie w krocze ojca Breuningera. Myślałam o tym, kim jest pod tym czarnym strojem. Był mężczyzną. Miał penisa jak każdy mężczyzna. Jakim prawem modlił się za moją duszę?

Pomyślałam jeszcze o jego synu, Paulu. Stałam w kole i myślałam o Paulu, który trafił za kratki i pewnie pozostanie tam długo. Myślałam o Paulu, który nisko upadł, i o tym, że pani Mole musi czerpać z tego powodu satysfakcję. Paul postąpił źle. Ojciec Breuninger, który przez całe życie chwalił Boga, utracił syna, utracił go naprawdę, podczas gdy o mnie nie można było tego powiedzieć. Ja nie postąpiłam źle. Poczułam się nagle silna, poczułam, że to, co robi moja rodzina, ten akt wiary, przekonania czy miłosierdzia, jest głupi. Miałam im za złe, że odgrywają tę szopkę do końca, że stoją na dywanie w salonie – przeznaczonym na specjalne okazje, na święta i uroczystości – i modlą się za mnie do Boga, w którego może nawet nie wierzą.

W końcu ojciec Breuninger się pożegnał. Musiałam go objąć. Pachniał płynem po goleniu i kulkami przeciwmolowymi jak kościelna szafa, gdzie odwieszał szaty liturgiczne. Był czysty i miał dobre chęci. Sam przechodził kryzys, ale w tamtej chwili nie

mogłam być z nim blisko ani za pośrednictwem Boga, ani w żaden inny sposób.

Potem odwiedzały nas starsze panie. Cudowne, serdeczne, doświadczone starsze panie.

Każdą z nich wprowadzano do salonu i sadzano na cennym dla rodziców fotelu babuni. Fotel ten stanowił znakomity punkt obserwacyjny. Siedząca w nim osoba widziała resztę salonu (mając po prawej niebieską kanapę) i jadalnię, a w niej wystawioną na pokaz srebrną zastawę do herbaty. Paniom składającym wizytę podawano herbatę w porcelanowej ślubnej zastawie rodziców, a moja matka obsługiwała je z wszelkimi honorami należnymi niecodziennym gościom.

Pierwsza pojawiła się Betty Jeitles. Betty Jeitles była bogata. Mieszkała w pięknym domu przy Valley Forge, którego moja matka jej zazdrościła, więc żeby tego nie okazać, bardzo szybko tamtędy przejeżdżała. Betty miała twarz pooraną szlachetnymi zmarszczkami. Przypominała psa egzotycznej rasy, jakiegoś rodowodowego shar peia, i mówiła z arystokratycznym akcentem, który moja matka określiła słowami „stara fortuna”.

Dla pani Jeitles ubrałam się w koszulę nocną i szlafrok. Znowu siedziałam na niebieskiej kanapie. Betty Jeitles podarowała mi książkę: *Akienfield: Wizerunek chińskiej wioski*. Pamiętała, że kiedy byłam mała, oświadczyłam paniom gawędzącym przy kawie, że chcę zostać archeologiem. Krótka wizyta upłynęła na błahych rozmówkach. Matka pomagała. Mówiła o kościele i o Fredzie. Betty słuchała. Co kilka zdań kiwała głową albo wtrącała parę słów. Nie zapomnę, jak patrzyła na mnie, wciśniętą w kanapę, podczas gdy moja matka podtrzymywała rozmowę; bardzo chciała coś powiedzieć, ale to jedno słowo nie przechodziło jej przez usta.

Następna przyszła Peggy O’Neil. Rodzice nazywali ją starą panną. Peggy nie pochodziła z dobrze sytuowanej rodziny. Przez całe życie uczyła w szkole i pilnie oszczędzała. Mieszkała daleko od drogi w uroczym domku, przy którym moja matka nigdy się nie zatrzymywała. Farbowała włosy na głęboką czerń i – podobnie

jak Myra – miała inną torebkę na każdą porę roku. Na wiosnę – plecioną, malowaną w arbuzy, a na jesień torebkę z koralików nawleczonych na rzemyki. Ubierała się w zwykłe luźne sukienki z madrasu lub z kory. Materiały, z których były uszyte, służyły najwyraźniej temu, by odwieść patrzącego od zastanawiania się, jakie kryją kształty. Teraz, kiedy sama uczę, wiem, że tak ubierają się nauczycielki.

Nie pamiętam, czy Peggy przyniosła mi jakiś prezent, ale ona w niczym nie przypominała pełnej rezerwy pani Jeitles i nie potrzebowała przynosić mi prezentu. Ja zaś musiałam się pilnować, żeby nie zwracać się do niej po imieniu, tylko miss O’Neil. Żartowała i rozśmieszała mnie. Zwierzała się, że boi się być sama w domu, bo samotna kobieta nie jest bezpieczna. Zapewniła, że jestem wyjątkowa, silna i wkrótce dojdę do siebie. Wyznała też ze śmiechem, choć całkiem serio, że to nie takie złe zostać starą panną.

Na koniec przyszła Myra.

Żałuję, że zatarła mi się w pamięci jej wizyta. A ściślej mówiąc – żałuję, że umknęły mi różne szczegóły, jak to, gdzie siedziałyśmy, w co była ubrana i co mówiła. Pamiętam jednak, że nagle poczułam przy sobie kogoś „wtajemniczonego”. Ona nie tylko wiedziała, co się stało, ale – na ile to tylko możliwe – rozumiała, co czuję.

Siedziała w fotelu babuni. Samą swoją obecnością niosła mi pociechę i podnosiła na duchu. Ed nie wrócił do zdrowia po pobiciu i zapowiadało się, że nigdy nie wróci. Dostał za dużo ciosów w głowę. Miał zmacony umysł, był skołowany. Po Myrze, tak jak po mnie, ludzie spodziewali się, że będzie silna. Jeżeli musiało się to przytrafić którejś ze starszych pań w parafii, to przytrafiło się najbardziej odpornej, myśleli, bo taką cieszyła się opinią. Opowiedziała mi o trzech rozbójnikach. Ze śmiechem powtarzała, że nie przypuszczali, jaka żywotna może być kobieta w jej wieku. Zamierzała zeznawać przed sądem. Joey został aresztowany na podstawie jej opisu. Ale kiedy mówiła o Edzie, jej oczy gasły.

Matka przyglądała się Myrze, szukając dowodu na to, że ja też dojdę do siebie. Ja zaś przyglądałam się Myrze, szukając potwierdzenia, że mnie rozumie. W którymś momencie powiedziała: „To, co przydarzyło się mnie, jest niczym w porównaniu z twoim przeżyciem. Jesteś młoda i piękna. Mną nikt się w ten sposób nie interesuje”.

. – Zostałam zgwałcona – rzekłam.

W pokoju zapanowała cisza. Moja matka poczuła się niezręcznie. Duży pokój, umeblowany starannie zaaranżowanymi i wypolerowanymi antykami, z wyhaftowanymi przez matkę poduszkami na krzesłach, z patrzącymi z ponurych portretów hiszpańskimi szlachcicami, nagle się zmienił. Musiałam wyrzucić z siebie te słowa. Czułam jednocześnie, że ich wypowiedzenie jest czymś w rodzaju aktu wandalizmu. Jakbym wychlusnęła wiadro krwi na niebieską kanapę, Myrę, fotel babuni, moją matkę.

Siedziałyśmy wszystkie trzy i patrzyłyśmy na kapiącą krew.

– Wiem – powiedziała Myra.

– Musiałam wymówić to słowo – usprawiedliwiłam się.

– Ciężko jest je wymówić.

– To nie jest „coś, co mi się przydarzyło” ani „napaść”, ani „pobicie”, ani „ach... to”. Ważne jest dla mnie nazwanie rzeczy po imieniu.

Powróciłyśmy do błażej rozmowy, niewartej zapamiętania. Niedługo potem Myra wyszła. Ale nawiązałam kontakt z inną planetą niż ta, na której mieszkali moi rodzice i siostra. Z planetą, na której akt przemocy zmienił życie.

Tego samego popołudnia zatrzymał się przed naszym domem starszy brat mojej przyjaciółki. Siedziałam na ganku w szlafroku. Mary była w swoim pokoju na piętrze.

– Dziewczęta, przyszedł Jonathan! – zawołała matka z holu.

Obie z siostrą podkochiwałyśmy się w nim po cichu – czy to dla jego płowych włosów, czy dlatego, że już ukończył college i znalazł pracę w Szkocji, a może dlatego, że dzięki jego matce, będącej o nim dobrego zdania, znałyśmy punkt po punkcie życiorys tego złotego chłopaka. Pojawiłyśmy się w holu

równocześnie, ja weszłam od tyłu domu, natomiast Mary schodziła z góry krętymi schodami. Jonathan nie spuszczał z niej wzroku. Moja siostra nie wdzięczyła się. Nie mogłabym jej zarzucić, że jest kokieteryjnie nieśmiała, strzela oczkiem czy w jakikolwiek inny sposób podstępnie ze mną rywalizuje. Była ładna. Jonathan uśmiechał się do niej i zaczęła się wstępna wymiana uprzejmości: „Jak się masz?”, „Dobrze. A ty?”. Potem zauważył mnie, stojącą w drzwiach do salonu. Miał minę, jakby zobaczył kogoś obcego w tym domu.

Rozmawialiśmy chwilę, po czym siostra i Jonathan weszli do salonu, a ja przeprosiłam ich i wycofałam się. Wróciłam na ganek, usiadłam plecami do domu i rozplakałam się. Po głowie krążyły mi słowa „mili chłopcy”. Widziałam, jak Jonathan na mnie patrzył, i nabrałam pewności, że „żaden miły chłopiec nigdy mnie nie zechce”. Pasowały do mnie wszystkie okropne słowa, którymi opisuje się ofiarę gwałtu; byłam zmieniona, zakrwawiona, zepsuta, zrujnowana.

Po wizycie Jonathana Mary była rozanielona.

Niezauważona zbliżyłam się do drzwi salonu. Przez okno wychodzące na ganek słyszałam radosny głos siostry.

– Podobasz mu się – zauważyła matka.

– Naprawdę? – spytała siostra tonem wznoszącym się na drugiej sylabie.

– Jestem tego pewna.

– Mary mu się podoba, bo nie została zgwałcona! – wtrąciłam, ujawniając swoją obecność.

– Co ty mówisz, Alice! – oburzyła się matka.

– To miry chłopak, ale żaden miły chłopak mnie nie zechce.

Siostrze odebrało mowę. Zgasiałam ją jak świeczkę. Była taka uradowana i zasługiwała na tę radość. Przez tydzień po powrocie do domu prawie cały czas siedziała zamknięta w swoim pokoju, samotna i odizolowana od gwaru codziennego życia.

– Alice, to nieprawda – zaoponowała matka.

– Ależ tak, to prawda. Szkoda, że nie widziałaś, jak Jonathan na mnie patrzył. Nie umiał sobie z tym poradzić.

Mówiłam podniesionym głosem. Aż ojciec ruszył się z gabinetu, przerywając naukowe odosobnienie.

– Co to za awantura? – spytał, wchodząc do pokoju. Trzymał w ręku okulary do czytania i wyglądał, co zresztą często się zdarzało, jakby gwałtownie wyrwano go z życia w osiemnastowiecznej Hiszpanii.

– Dzięki, że przyszedłeś, Bud – powiedziała matka – ale nie wtrącaj się.

– Żaden miły chłopak mnie nie zechce.

Ojciec przeraził się, słysząc to zdanie wyrwane z kontekstu.

– Alice, dlaczego mówisz takie rzeczy?

– Bo to prawda! – krzyknęłam. – Bo zostałam zgwałcona, i teraz nikt mnie nie zechce!

– To niedorzeczność. Jesteś piękną dziewczyną, na pewno mili chłopcy będą zapraszali cię na randki.

– Bzdura. Mili chłopcy nie umawiają się z ofiarami gwałtu!

Teraz darłam się na całe gardło. Mary wyszła z pokoju, a ja wrzasnęłam za nią:

– Świetnie, idź i zapisz w dzienniku: „Odwiedził mnie dziś miły chłopiec”. Ja nigdy tak nie napiszę!

– Zostaw siostrę w spokoju – odezwała się matka.

– A niby dlaczego ona ma mieć szczególne prawa? Może sobie sama siedzieć w swoim pokoju, podczas gdy ja jestem pod ciągłą obserwacją jako zagrożona samobójstwem. Tata obchodzi mnie z daleka, jakbym miała się rozsypać od jednego dotknięcia, a ty chowasz się w pralni, kiedy masz atak!

– Ależ, Alice, jesteś zdenerwowana – próbował łagodzić ojciec. Matka zaczęła pocierać mostek.

– Matka i ja robimy, co możemy, tylko że nie wiemy, co mamy robić.

– Może zaczniście od wymawiania tego słowa – odparłam. Uspokoiliam się, ale twarz piekła mnie od wrzasku i czułam napływające łzy.

– Jakiego słowa?

– Gwałt, tato. Gwałt. To właśnie dlatego ludzie się na mnie

gapią, ty nie wiesz, co robić, nachodzą nas różne starsze panie, mama wpada w panikę, a Jonathan Gulick na mój widok wybałuszył oczy, jakby zobaczył jakieś monstrum. Rozumiesz?

– Uspokój się, Alice – rzekł ojciec. – Denerwujesz matkę.

Rzeczywiście tak było. Mama odsunęła się na drugi koniec kanapy – jak najdalej od nas. Siedziała pochylona, trzymając się jedną ręką za głowę, a drugą pocierając środek klatki piersiowej. Nie kryłam niechęci do niej. Moją niechęć i rozgoryczenie wzbudzało to, że uwaga innych zawsze skupiała się na najślabszym.

Zadźwięczał dzwonek u drzwi. Przyszedł Tom McAllister. O rok starszy ode mnie, był chyba najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego znałam. Matka uważała, że jest podobny do aktora Toma Sellecka. Nie widziałam Toma od czasu pasterki. Śpiewaliśmy razem hymn. Pod koniec hymnu obróciłam się w ławce, a wtedy on uśmiechnął się do mnie.

Gdy ojciec otwierał mu drzwi, przemknęłam się przez sień do łazienki. Ochlapałam twarz wodą i przeczesalam palcami włosy.

Poprawiłam szlafrok, żeby zakryć naszyjnik siniaków po rękach gwałciciela. Oczy miałam spuchnięte od codziennego płaczu. Żałowałam, że nie wyglądam lepiej. Tak ładnie jak moja siostra.

Rodzice zaprosili Toma na ganek. Kiedy do nich dołączyłam, Tom wstał z kanapy, na której siedział.

– To dla ciebie – powiedział, wręczając mi bukiet kwiatów. – Mam też prezent. Mama pomogła mi go wybrać.

Przyjrzał mi się. Pod jego spojrzeniem czułam się inaczej niż wtedy, gdy patrzył na mnie Jonathan Gulick.

Matka przyniosła nam wodę sodową i, wypytawszy go o zajęcia w Tempie, zabrała kwiaty, żeby wstawić je do wody. Ojciec także opuścił ganek i wrócił do swoich książek.

Usiedliśmy na kanapie. Rozpakowałam prezent. Był to kubek z rysunkiem kota trzymającego pęk balonów – w innych okolicznościach wzgardziłabym takim prezentem – teraz wydał mi się piękny i szczerze podziękowałam Tomowi. A więc jednak

miałam swojego miłego chłopca.

– Wyglądasz lepiej, niż się spodziewałem – rzekł.

– Dziękuję.

– Wielebny Breuninger mówił, że brutalnie cię pobito. Uzmysłowiłam sobie, że w przeciwieństwie do wszystkich starszych pań nie dostrzegał ukrytej treści tych słów.

– Wiesz o wszystkim, tak? – upewniłam się. Twarz mu się nie zmieniła.

– O czym? – spytał.

– Co naprawdę mi się przydarzyło.

– W kościele mówili, że okradziono cię w parku. Przyglądałam mu się uważnie. Ani drgnęłam.

– Zostałam zgwałcona, Tom – powiedziałam. Był wstrząśnięty.

– Możesz wyjść, jeśli chcesz – dodałam. Wbiłam wzrok w kubek, który obejmowałam dłońmi.

– Nie wiedziałem, nikt mi nie powiedział – rzekł. – Bardzo mi przykro.

Współczuł mi, to pewne, ale jednocześnie odsunął się trochę i wyprostował. Chociaż nie wstał, żeby wyjść, to jednak starał się, by oddzielającą nas przestrzeń wypełniło jak najwięcej powietrza.

– Teraz już wiesz. Czy to zmienia twój stosunek do mnie? Nie mógł wygrać. No bo cóż mógł powiedzieć? Bardzo poruszyła go ta nowina. Nie miałam co do tego wątpliwości, ale wtedy nie chciałam usłyszeć odpowiedzi, którą teraz znam, chciałam usłyszeć to, co powiedział.

– Nie, oczywiście, że nie. Ale, kurczę, nie wiem, co powiedzieć.

Z tamtego popołudnia, oprócz zapewnień, że niebawem do mnie zadzwoni i znów się zobaczymy, wyniosłam to jedno słowo „nie” w odpowiedzi na moje pytanie.

Oczywiście nie wierzyłam mu. Wiedziałam, że mówi to, co powiedziałby każdy miły chłopiec. Wychowano mnie na dobrą dziewczynę; ja też wiedziałam, co i kiedy należy mówić. Ponieważ jednak Tom był moim rówieśnikiem, urósł w moich

oczach na bohatera w porównaniu z innymi odwiedzającymi. Żadna starsza pani, nawet Myra, nie mogła dać mi tego, co dał Tom. Matka to rozumiała. Przez cały tydzień rozmawiała z Tomem, a ojciec patrzył łaskawym okiem, mimo że niegdyś wyśmiewał się z chłopca, który ośmielił się spytać, w jakim kraju mówi się po łacinie. Ja też dopasowałam się do sytuacji, chociaż wiedzieliśmy wszyscy, że czepiamy się wraku; nie było sensu udawać, że się nie zmieniłam.

Kilka dni później miała miejsce kolejna wizyta, niewątpliwie o wiele trudniejsza dla Toma. Znów usiedliśmy na ganku. Tym razem ja słuchałam, a on opowiadał. Wyznał mi, że kiedy ostatnio wrócił ode mnie do domu, opowiedział wszystko matce. Nie okazała zdziwienia, bo sama się tego domyślała, wysłuchawszy ojca Breuningera. Tamtego wieczoru, a może na drugi dzień, już dobrze nie pamiętam, matka Toma wezwała go razem z młodszą siostrą, Sandrą, do kuchni i oznajmiła, że chce im coś powiedzieć.

Stała przy zlewie, obrócona plecami do swoich dzieci. Patrząc w okno, zaczęła mówić o tym, jak ją zgwałcono. Miała wtedy osiemnaście lat. Dotychczas nikomu się z tego nie zwierzała. To się stało na dworcu kolejowym, kiedy jechała w odwiedzinach do uczącego się w innym mieście brata. Najlepiej pamiętam, jak Tom powiedział, że gdy schwytali ją dwaj mężczyźni, wysunęła się z nowego płaszcza i biegła dalej. Ale i tak ją dopadli.

Po twarzy Toma spływały łzy, a ja myślałam o tym, jak mój gwałciciel złapał mnie z włosy.

– Nie wiem, co zrobić ani co powiedzieć – rzekł Tom.

– Nic nie możesz zrobić – odparłam.

Żałuję, że nie da się cofnąć czasu i tych ostatnich skierowanych do niego słów. Żałuję, że nie powiedziałam: „Już coś dla mnie robisz, Tom. Słuchasz mnie”. Zastanawiałam się, jak jego matka mogła żyć dalej ze swoją straszną tajemnicą, wyjść za mąż i założyć rodzinę.

Po tych wizytach na początku lata Tom i ja widywaliśmy się w kościele. Uporałam się już wtedy z obsesyjną potrzebą

pokazywania się w towarzystwie jakiegoś przystojnego chłopca i uwolniłam się od natrętnych myśli, by zwrócić na siebie uwagę Toma. Przyglądałam się jego matce. Wiedziała, że znam jej historię, ona także знаła moją, ale nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Między mną a Tomem wzrósł dystans. Tak czy inaczej doszłoby do tego, ale wieść o gwałcie na mnie wdarła się nieproszona do ich domu. Podziałała jak katalizator, wywołując wyznanie. Jak wpłynęło ono na życie rodziny Toma, nie wiem. Wiem natomiast, że poprzez swojego syna pani McAllister dała mi dwie rzeczy: po raz pierwszy świadomość, że w moim otoczeniu żyje inna ofiara gwałtu, oraz, gdy opowiedziała o sobie dzieciom, dowód na to, że dzieląc się swoją historią, mogę wywierać wpływ na innych.

Chęć mówienia była we mnie bardzo silna. Wypływała z tak głęboko zakorzenionej reakcji, że nawet gdybym próbowała się powstrzymać, gdybym dobrze się zastanowiła, to i tak wątpię, czy zdołałabym nad nią zapanować.

Moja rodzina miała swoje tajemnice, a ja od wczesnych lat uzurpowałam sobie prawo do ich ujawniania. Nienawidziłam tego, że trzeba ukrywać różne rzeczy przed innymi ludźmi. Ciągłego upominania „ciszej, bo sąsiedzi usłyszą”. Odpowiadałam zwykle: „No to co?”.

Ostatnio dyskutowałam z matką o „zachowaniu twarz w pobliskim sklepie Radio Shack, gdzie zamierzała zwrócić telefon komórkowy.

– Sprzedawca ma mnie za wariatkę, jestem o tym przekonana – dowodziła matka.

– Ludzie cały czas coś zwracają, mam – zapewniłam.

– Już raz go zwracałam.

– Więc sprzedawca pomyśli, że jesteś upierdliwa, ale nie weźmie cię z tego powodu za wariatkę.

– Nie mogę tam znowu wejść. Słyszę, jak mówią: „O, znów ta starsza pani, która nie umiałaby bez instrukcji posłużyć się widelcem”.

– Mamo, oni cały czas coś komuś wymieniają.

Teraz wydaje się to zabawne, lecz w czasach, gdy dorastałam, należało się przejmować tym, co pomyślą inni, i dochowywać tajemnic. Brat mojej babki (matki mojej matki) umarł z przepicia. Jego ciało odkrył po trzech tygodniach młodszy brat. Mojej siostrze i mnie stanowczo zakazano mówić babci, że mama jest alkoholiczką i że miewa ataki, które usilnie ukrywa, kiedy odwiedzamy jej rodziców w Bethesdzie. Nie wolno nam było kłać, chociaż nasi rodzice używali sobie, ile wlezie. Słyszałyśmy, co myślą o diakonie u Świętego Piotra („arogancki kretyń”), co sądzą o sąsiadach („ta góra tłuszczu prosi się o zawał”), jakiego są zdania o jednej z córek, gdy druga zamknęła się na górze w swoim pokoju – ale nie mogłyśmy tego powtarzać.

Byłam organicznie niezdolna do wypełniania tych poleceń.

Gdy przeprowadziliśmy się z Rockville w stanie Maryland do Pensylwanii – miałam wtedy pięć lat – siostra musiała powtarzać trzecią klasę, ponieważ według przepisów obowiązujących w okręgu szkolnym wschodniego Whitelandu była za młoda, żeby przejść do czwartej. Z tego jednego powodu pozostawiono ją w trzeciej klasie na cały rok. Bardzo to przeżywała, ponieważ dla ośmiolatki w nowym mieście piętno powtarzającej klasę jest jednym z najgorszych. Matka powiedziała, że nikt nie musi o tym wiedzieć. Nie dodała, że aby to osiągnąć, należałoby zadrutować mi buzię i nie wypuszczać z domu.

Kilka dni po wprowadzeniu się do nowego domu bawiłam się na podwórku z naszym bassetem Feijoo. Spotkałam sąsiadkę, panią Cochran, która nachyliła się i przedstawiła. Miała synka w moim wieku, Briana, i zapewne chciała zdobyć informacje o naszej rodzinie z pierwszej ręki. Chętnie ich udzieliłam.

– Moja mama to ta z dziobami na twarzy – poinformowałam wstrząśniętą sąsiadkę. Mówiłam w ten sposób o bliznach po trądziku. Na pytanie: „Czy jest w domu ktoś podobny do ciebie?”, udzieliłam odpowiedzi: „Nie, ale mam siostrę. Powtarza trzecią klasę”.

I tak to szło. Z czasem buzia zrobiła mi się jeszcze większa, ale

nie biorę całej winy na siebie. Bardzo wyraźnie widziałam reakcje widowni – dorośli przepadali za moimi występami.

Ujmując rzecz najprościej, nie pojmowałam skomplikowanych zasad ujawniania tajemnic. Rodzice mogli mówić, co chcieli, a mnie poza domem nie wolno było puścić pary z ust.

– Sąsiedzi lubią wypytywać – tłumaczyła matka. – Musisz nauczyć się powściągliwości. Nie rozumiem, dlaczego koniecznie chcesz ze wszystkimi rozmawiać.

Nie wiedziałam, co znaczy „powściągliwość”. Przecież brałam z nich przykład. Jeżeli chcieliście mieć ciche dziecko, to może powinnam zacząć palić, wykrzyczałam im w twarz w czasie awantury, kiedy chodziłam już do szkoły średniej. Dorobiłabym się raka płuc zamiast raka ust, przypisywanego mi złośliwie przez matkę.

Pierwszą osobą, która wysłuchała mojej opowieści, był sierżant Lorenz. Ale on wciąż przerywał mi uwagę: „To nieistotne”. Szukał faktów pasujących do poważnych zarzutów. Jak to policjant powtarzał krótko: „Proszę trzymać się faktów”, i nic więcej nie chciał usłyszeć.

Komu miałam o wszystkim opowiedzieć? Siedziałam w domu. Moja siostra nie wytrzymałaby tego psychicznie, a Mary Alice pracowała na wybrzeżu New Jersey, wiele mil stąd. Czułam, że nie mogę tego zrobić przez telefon. Próbowalam zwierzyć się matce.

Dopuszczono mnie do wielu sekretów. Matka rzucała mimochodem: „Ojciec nie wie, co to znaczy prawdziwe uczucie” – kiedy miałam jedenaście lat, i prowadziła ze mną poważne rozmowy w czasie przedłużającej się choroby dziadka i po jego śmierci. Niczego przede mną nie ukrywano. Tak postanowiła matka, i to dosyć wcześnie, przeciwstawiając się własnej matce. Moja babka jest małomówna i pełna stoickiego spokoju. W trudnych chwilach powtarza staroświecką mądrą radę: „Jeżeli przestaniesz o tym myśleć, problem zniknie”. Moja matka na przykładzie własnego życia wiedziała, że to nieprawda.

Istniał więc precedens dla naszej rozmowy. Zanim skończyłam

osiemnaście lat, matka nieraz opowiadała mi o alkoholizmie, jego początkach i skutkach. Dzieliła się z nami swoimi problemami w przekonaniu, że może uda się nam ich uniknąć albo przynajmniej rozpoznać je, jeśli by zaszła taka konieczność. Rozmawiając o tym z dziećmi, przyznawała, że takie bolesne problemy naprawdę istnieją i mają wpływ także na nas, że kształtują życie całej rodziny, nie tylko osoby, której bezpośrednio dotknęły.

Pamięć podpowiada mi, że był wieczór, chociaż nie jestem tego pewna, w każdym razie minęło już kilka tygodni od gwałtu, i siedziałyśmy przy kuchennym stole. Ojciec jak zwykle zamknął się w gabinecie, a siostra w swoim pokoju, ale usłyszałybyśmy zbliżające się kroki, gdyby ktoś do nas szedł.

– Muszę ci opowiedzieć, co wydarzyło się w tunelu – rzekłam.

Na stole pozostały jeszcze maty rozłożone do kolacji. Matka zaczęła się bawić rogiem jednej z nich.

– Spróbuj, choć nie obiecuję, że wytrzymam – odparła. Zaczęłam mówić. Najpierw o domu Kena Childsa, o tym, jak robiliśmy zdjęcia w jego mieszkaniu. Potem, jak weszłam w alejkę w parku i o rękach gwałticiela, o tym, jak mnie schwycił, o szamotaninie na bruku. Kiedy w swej opowieści dotarłam do tunelu, zaczęłam się rozbierać, a on mnie dotknął, matka przerwała mi.

– Nie mogę, Alice – rzekła. – Chcę, ale nie mogę.

– Próbuję o tym rozmawiać, mamo, bo to mi pomaga.

– Rozumiem, ale to nie ze mną powinnaś rozmawiać.

– Nie mam nikogo innego.

– Mogę cię umówić na wizytę u doktor Graham. Doktor Graham to psychiatra matki. A tak naprawdę całej rodziny. Na początku pracowała z Mary, a potem chciała się spotkać ze wszystkimi, żeby zobaczyć, jak wewnętrzna dynamika rodziny wpływa na moją siostrę. Matka nawet mnie posłała kilka razy do doktor Graham po wyjątkowo paskudnym upadku na krętych schodach. Zawsze biegałam po schodach w skarpetkach i nieraz ślizgałam się na gładkim parkiecie. Jeśli się poślizgnęłam, zjeżdżałam, odbijając się na pupie, aż do podestu albo niżej i

zatrzymywałam się z poplątanymi rękami i nogami tuż przed kamiennymi płytami holu wejściowego. Matka uznała, że owa niezdarność może wynikać z autodestrukcyjnych pragnień. Ja zaś wiedziałam, że to nic aż tak wyrafinowanego. Byłam po prostu niezdara i już.

Teraz miałam prawdziwy powód, żeby szukać pomocy u psychiatry. Dawniej szczyciłam się tym, że jako jedyna w rodzinie nie chodzę na żadną terapię – uważałam, że analizowanie moich kłapnięć na pupę jest niepoważne – i zameczałam siostrę, gdy była pod opieką doktor Graham. Mary rozpoczęła terapię w tym samym roku, gdy Talking Heads zaczęli śpiewać piosenkę *Psycho Killer*, nadającą się idealnie do wykorzystania przez młodszą siostrzyczkę. Siostrzana brutalność z melodią. Musieliśmy oszczędzać, żeby starczyło na jej terapię. Sądziłam, że rodzice powinni wydawać na mnie tyle samo, co na nią. Przecież to nie moja wina, że Mary była wariatką.

Odwrócenie ról jest sprawiedliwe, ale Mary nie droczyła się ze mną tego lata. Powiedziałam jej, że matka radzi mi pójść do doktor Graham, i zgodnie uznałyśmy, że powinno mi to dobrze zrobić. Przeważała motywacja estetyczna. Podobał mi się wygląd doktor Graham. Wydawała mi się uosobieniem feministki. Miała prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, nosiła obszerne batikowe hawajskie sukienki, okrywające jej dominującą, lecz wcale nie ciężką figurę, i uparcie nie goliła nóg. Kiedy uczęszczałam do szkoły średniej, śmiała się z moich dowcipów, a po kilku sesjach na temat owych nieszczęśliwych upadków ze schodów powiedziała w mojej obecności do matki, że zważywszy na to, z jakiej rodziny pochodzę, jestem zadziwiająco dobrze przystosowana do życia. I absolutnie nic mi nie jest.

Pojechałyśmy z matką do Filadelfii. Doktor Graham przyjęła mnie nie jak dawniej w szpitalu dziecięcym, lecz we własnym, prywatnym gabinecie.

– Czy chcesz mi powiedzieć, dlaczego tu przyszłaś, Alice? – spytała, gdy usiadłam na kanapie. Już wiedziała. Matka poinformowała ją przez telefon, umawiając mnie na wizytę.

– Zostałam zgwałcona w parku koło uczelni. Doktor Graham znała naszą rodzinę. Wiedziała, że zarówno ja, jak i Mary jesteśmy dziewczycami.

– No to chyba będziesz teraz miała mniejsze zahamowania seksualne, co? – rzekła.

Nie wierzyłam własnym uszom. Nie pamiętam, czy rzuciłam: „Trzeba mieć popieprzone w głowie, żeby tak powiedzieć”. Jeżeli nie, to żałuję, ale pamiętam, że to był koniec sesji, że wstałam i wyszłam.

Doktor Graham, feministce po trzydziestce, wyrwało się coś, czego powiedzieć nie powinna. Przekonywałam się, że nikt – nawet kobiety – nie wie, jak postępować z ofiarą gwałtu.

Opowiedziałam więc wszystko chłopakowi. Nazywał się Steve Carbonaro. Znałam go ze szkoły średniej. Był inteligentny i przypadł moim rodzicom do gustu – podziwiał ich dywany i książki. Pochodził z dużej włoskiej rodziny i chciał się od niej oderwać. Sposobem na ucieczkę stała się dla niego poezja. To ona nas połączyła. Gdy mieliśmy po szesnaście lat, siedzieliśmy pewnego dnia na kanapie rodziców, czytając na zmianę wiersze z „The New Yorker Book of Poetry”. I wtedy Steve mnie pocałował. Był to mój pierwszy pocałunek w życiu.

Zachowałam pamiętnik z wpisem z tego dnia. Po wyjściu Steve’a zanotowałam: „Mama uśmiechnęła się do mnie porozumiewawczo”. Poszłam do pokoju siostry. Jej nie całował jeszcze żaden chłopak. Napisałam w pamiętniku: „Fuj, fuj, fuj, niedobrze się robi. Powiedziała Mary, że francuski pocałunek jest ohydny i nie rozumiem, co ma się w nim tak podobać. Dodałam jeszcze, że zawsze może ze mną porozmawiać, jeżeli też uzna, że jest ohydny”.

W szkole średniej byłam nieśmiałą partnerką Steve’a Carbonaro. Bałam się pójść na całość. Kiedy mnie naciskał, wykręcałam się tak: Nie czuję się zdecydowanie na nie, ale też nie czuję się zdecydowanie na tak, dopóki więc nie przeważy jedno albo drugie, pozostanę przy odpowiedzi przeczącej.

W ostatniej klasie – mieliśmy wówczas po siedemnaście lat – Steve skierował swoje zainteresowanie na dziewczynę, która, jak to się mówi, „dawała”. Na szkolnym balu tańczyłam z Tomem McAllisterem, a Steve pił. Gdy się natknęłam na niego i jego dziewczynę, ona rzekła z goryczą, że czuje się całkiem nieźle, zważywszy na to, że rano poddała się aborcji. Później, na przyjęciu u Gail Stuart, Steve pokazał się z inną, Karen Ellis. Wcześniej odwiózł swoją dziewczynę do domu.

Przed majem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego te wczesne, niezdarne eksperymenty nie miały dla mnie znaczenia. Po dwóch godzinach w ciemnym tunelu wszelkie wahania i rozważania moralnego aspektu chodzenia do łóżka z kolegami ze szkoły wydały mi się co najmniej dziwne.

Steve dostał się do Ursinus College. Po roku wrócił do domu na wakacje zafascynowany swoim nowym odkryciem – musicalem *Człowiek z La Manchy*. Zarówno mojej matce, jak i ojcu, którego serce trudniej było podbić, spodobała się ta „inwestycja” w mit „La Manchy”. Czy można wybrać lepszy utwór niż musical oparty na dziele Cervantesa, żeby zainteresować profesora specjalizującego się w osiemnastowiecznej literaturze hiszpańskiej? Steve Carbonaro – w przybliżeniu do stu lat – nie mógł celniej trafić. Tamtego lata przesiedział wiele godzin na ganku, popijając kawę i rozmawiając z moimi rodzicami o ulubionych książkach i o tym, kim chce zostać w przyszłości. Uwaga, z jaką go słuchali, zapewne była dla niego bardzo ważna, ale też uwaga, jaką poświęcał mnie, była dla moich rodziców darem niebios.

Już przy pierwszych odwiedzinach Steve’a tamtego lata powiedziałam mu, że zostałam zgwałcona. Umówiliśmy się parę razy poza domem jako przyjaciele, zanim wyznałam mu resztę. Siedzieliśmy na kanapie w dużym pokoju. Rodzice stąpali na palcach nad naszymi głowami. Kiedy przychodził Steve, mój ojciec chował się do gabinetu albo dołączał do matki w jej sypialni, gdzie szeptali o tym, co też może się dziać tam na dole.

Opowiedziałam tyle, ile dałam radę. Chciałam opowiedzieć wszystkie szczegóły, ale nie mogłam. Redagowałam po drodze moją opowieść, zatrzymując się na ślepych zakrętach, gdy czułam, że jestem bliska załamania. Trzymałam się jednego wątku narracji. Nie rozwodziłam się na temat tego, co czułam, mając w ustach język gwałciciela albo gdy musiałam odwzajemnić pocałunek.

Steve słuchał z wielką uwagą, a jednocześnie z obrzydzeniem. Oto rozgrywało się przed nim przedstawienie na żywo, prawdziwa tragedia, namacalny dramat, z jakim nie zetknął się w książkach.

Nazwał mnie Dulcyneą. Śpiewał piosenki z *Człowieka z La Manchy*, wioząc mnie swoim białym volkswagenem, i kazał mi wtórować. Wyśpiewywanie tych piosenek miało dla Steve'a wielkie znaczenie. Obsadził siebie w roli głównego bohatera, Don Kichota z La Manchy, człowieka skazanego na niezrozumienie, romantyka, który z miski golibrody robi sobie koronę, a z dziwki Aldonzy czyni damę – Dulcyneę. Ja byłam tą ostatnią.

Po piosence i scenie zatytułowanej „Porwanie”, gdy Aldonza zostaje uprowadzona i przeżywa zbiorowy gwałt, Don Kichot spotyka ją, porzuconą przez porywaczy. Dzięki sile wyobraźni i woli widzi w pobitej i zgwałconej kobiecie swoją słodką i niewinną Dulcyneę.

Steve odłożył trochę pieniędzy i kupił dla nas bilety do Filadelfijskiej Akademii Muzyki na *Człowieka z La Manchy*. W głównej roli musicalu występował wtedy Richard Kiley. Ten wypad do teatru był nieco przedwczesnym prezentem urodzinowym dla mnie. Ubraliśmy się wyjściowo. Mama zrobiła nam zdjęcia. Ojciec powiedział, że wyglądam „jak prawdziwa dama”. Czułam się zażenowana tym szumem wokół mojej osoby, a jednocześnie podekscytowana wyjściem do miasta z chłopakiem, który znał moją tajemnicę, a mimo to mnie nie odrzucił. Pokochałam go za to.

A jednak, kiedy patrzyłam na to, co działo się na scenie, gdzie kilku mężczyzn uganiało się za Aldonzą, obłapiało ją i wykorzystywało, chwytając za piersi jak za kawały mięsa, nie

potrafiłam podtrzymać iluzji, która dla Steve'a Carbonaro stanowiła podstawę naszego związku. Nie byłam dziwką, którą on, dzięki swojej wyobraźni i poczuciu sprawiedliwości mógł wynieść na piedestał. Byłam osiemnastoletnią dziewczyną, która w dzieciństwie chciała zostać archeologiem, a gdy podrosła – poetką albo gwiazdą Broadwayu. Zmieniłam się. Świat, w którym żyłam, nie był tym samym światem, w którym przebywali moi rodzice i Steve Carbonaro. W swoim świecie widziałam wszędzie przemoc.

Wychodząc z *Człowieka z La Manchy*, czułam się zbrukana.

Tamtego wieczoru Steve był wniebowzięty. Zobaczył coś, co uznał za prawdę, zobaczył odegraną na scenie prawdę o romantycznym dziewiętnastolatku. Odwoził swoją Dulcyneę do domu, śpiewał jej w samochodzie, a ona, za jego namową, odpowiadała mu śpiewem. Ten koncert długo się przeciągnął. Od naszych śpiewów zaparowały szyby. Zanim weszłam do domu, zdarzyło się znowu coś bardzo dla mnie cennego tamtego lata: miły chłopiec pocałował mnie na dobranoc. Wszystko było skażone. Nawet pocałunek.

Kiedy teraz spoglądam wstecz, od nowa słucham tamtych piosenek, spostrzegam coś, co wówczas nie zwróciło mojej uwagi: Don Kichot na koniec umiera, natomiast Aldonza żyje, i to ona śpiewa refren piosenki o nierealnych marzeniach, to ona zostaje na placu boju.

Nasza znajomość nie skończyła się wspaniałym finałem, nie zaświeciła nam jasna gwiazda, nie szukaliśmy razem szczęścia. Don Kichotowi trudno było pałać z oddali miłością czystą i niewinną. W końcu znalazł kogoś, kto poszedł z nim na całość. Lato dobiegło końca. Znow nadszedł czas nauki. Don Kichot przeniósł się na Uniwersytet Pensylwański; mój ojciec napisał mu list polecający, nie szczędząc gorących pochwał. A ja, przekonawszy do swojej decyzji rodziców, wróciłam do Syracuse. Sama.

6.

W ostatniej klasie szkoły średniej złożyłam podania do trzech college'ów: na uniwersytet w Syracuse, do College'a Emersona w Bostonie i na Uniwersytet Pensylwański, gdzie miałam zaklepane miejsce jako profesorska córka. Wcale nie chciałam iść na Uniwersytet Pensylwański, z tego, co pamiętam. Obserwowałam moją siostrę, która najpierw wprowadziła się, a potem szybko wyprowadziła z tamtejszego akademika, przywiozła rzeczy do domu i przez cały pierwszy rok dojeżdżała. Skoro musiałam iść do college'u – a przez cztery lata liceum mówiłam, że nie chcę – postanowiłam przynajmniej wyjechać gdzieś daleko od domu.

Rodzice się nie sprzeciwiali – zrobiliby wszystko, bylebym tylko poszła do college'u. Widzieli w tym zasadniczy przełom, coś, co odmieniło ich życie, a zwłaszcza życie ojca. Żadne z jego rodziców nie ukończyło nawet szkoły średniej, co przejmowało go głębokim wstydem; w karierze naukowej napędzała go potrzeba jak najdalszego odejścia od popełnianych przez matkę błędów gramatycznych i sprośnych dowcipów opowiadanych po pijanemu przez ojca.

W pierwszej klasie liceum pojechałam z ojcem do College'u Emersona. Tam długowłosi studenci, nazywani przez ojca „troglodytami”, udzielali mi rad, jak łamać zbyt surowe ich zdaniem punkty regulaminu.

„Nie wolno mieć żadnych urządzeń elektrycznych” – rzekł starosta w akademiku, który zwiedzaliśmy. Miał długie, ciemne, brudne włosy i nieporządną brodę. Przypominał mi Johna, kierowcę szkolnego autobusu, którym jeździłam do gimnazjum. Tamten nie skończył nawet szkoły średniej. Obaj pachnieli autentyczną rebelią. I śmierdzieli marychą.

„Mam elektryczny grill i suszarkę do włosów” – pochwalił się John z akademika, wskazując otłuszczony piecyk wciśnięty między prymitywne półki. „Byle nie włączać ich jednocześnie”.

Chłopak rozbawił mojego ojca, ale też mocno zaniepokoił swoim zaniedbanym wyglądem i tym, że pełnił odpowiedzialną funkcję w akademiku. Ojciec był pewnie rozdarty. College Emersona miał opinię uczelni o pretensjach artystycznych w mieście z takimi monolitami, jak Harvard czy MIT. Nawet Uniwersytet Bostoński, którego kampus także zwiedziliśmy i który ojciec chwalił, znajdował się o wiele wyżej od College Emersona w łańcuchu pokarmowym. Ale mnie się Emerson podobał. Podobało mi się, że podjeżdżając do college'u, zobaczyliśmy jego nazwę pozbawioną dwóch liter. To było coś dla mnie. Czułam, że nauczę się osobno piec grzanek i osobno suszyć włosy.

Tamtego wieczoru bawiliśmy się z ojcem. Niecodzienne wydarzenie. Ojciec nie ma żadnego hobby, gdyby jakaś piłka trafiła go w głowę, nie poznałby, do jakiej gry służy, nie ma też kumpli, jedynie poważnych kolegów współpracowników. Nie pojmuje, czemu może służyć jakiegokolwiek relaksujące zajęcie. „Zabawa jest nudna” – powiedział mi, kiedy, będąc dzieckiem, usiłowałam namówić go na grę planszową, którą rozłożyłam na podłodze. Zdanie to wielokrotnie powtarzał z widocznym upodobaniem. I najzupełniej szczerze.

Ale ja zawsze czułam, że ojciec potrafi być inny, gdy jest z dala od nas i naszej matki. Że świetnie się bawi w innych krajach albo w towarzystwie studentów. Lubiałam przebywać z ojcem sam na sam, a w czasie wypadu do College'u Emersona wynajęliśmy dla oszczędności wspólny pokój.

Wieczorem, po długim dniu spędzonym w Bostonie, położyłam się na podwójnym łóżku od strony łazienki. Ojciec poszedł do holu poczytać i może zadzwonić do matki. Z nadmiaru wrażeń nie mogłam zasnąć. Zanim się położyłam, wzięłam z korytarza kubek z kostkami lodu. Zaplanowałam atak. Włożyłam ojcu część kostek lodu w nogi łóżka. Resztę umieściłam koło siebie, w zasięgu ręki.

Kiedy wrócił, udawałam, że śpię. Przebrał się w łazience w pidżamę, umył zęby, zgasił światło. Widziałam, jak odgarniał

kołdrę, żeby się położyć. Byłam podekscytowana, choć trochę się bałam. Ojciec mógł się po prostu wściec. Zaczęłam odliczać w myślach, aż usłyszałam dziki wrzask, a potem przekleństwa. „Na litość boską, co... ?”.

Nie wytrzymałam. Parsknęłam gromkim śmiechem.

– Alice?

– Mam cię! – rzuciłam zaczepnie.

Z początku się najeżył, ale potem rzucił kostką. To wystarczyło.

Rozpoczęła się bitwa. Nasze łóżka zamieniły się w bunkry. Ojciec rzucał kostki garściami, a ja zbierałam je i ciskałam nimi pojedynczo, serią jak z karabinu, wykorzystując moment, kiedy szykował się do ataku. Śmiał się i ja też. Przez chwilę próbował przywołać mnie do porządku niczym srogi rodzic, lecz nie utrzymał się w roli.

W końcu uznał, że śmieję się zbyt histerycznie i osiągnęłam stan hiperaktywności, jak mówiła matka, więc przestaliśmy w siebie rzucać. Ale przedtem... ach, jaki mój ojciec był wesoły, jak się śmiał. W chwilach beztroski udawałam, że jest starszym bratem, którego nie miałam. Do mnie należało wywołanie wesołości, a gdy już udało mi się wyzwolić stłamszone w nim dziecko, całym sercem pragnęłam, żeby pozostał taki na zawsze.

Jak dziewczyna z małego miasteczka patrzy na Hollywood, tak ja patrzyłam na Syracuse – moją wielką szansę. W przeciwieństwie do siostry znalazłam się daleko od domu rodzinnego. Na tyle daleko, że mogłam przyjrzeć się sobie świeżym okiem i na nowo określić.

Moją współlokatorką była Nancy Pike, pulchna, wiecznie zaaferowana dziewczyna z Maine. Latem dowiedziała się, jak się nazywam, i napisała do mnie list. Na sześciu stronach z wielkim entuzjazmem zanudzała mnie szczegółowym opisem rzeczy, które ze sobą przywiezie: „Mam elektryczny garnek. To nieduży garnek, wygląda jak maszynka do kawy, ale tak naprawdę można w nim tylko podgrzewać wodę, i ma wtyczkę, którą się włącza do kontaktu. Nadaje się do przygotowywania zupek i wody na

herbatę, tylko nie wolno wlewać zupy bezpośrednio do środka”.

Bałam się spotkania z nią.

Kiedy przyjechałam do Syracuse z rodzicami w dniu przeznaczonym na wprowadzanie się do akademika, kręciło mi się w głowie. Oto zaczynam nowe życie, poznam tylu nowych ludzi. Koedukacyjny akademik stwarzał możliwości, które bałam się przedstawić rodzicom. Matka przybrała minę a la Donna Reed – mdły uśmiech przesycony pozytywnym myśleniem. Nie miałam pojęcia, jak się na nią zdobyła. Ojciec chciał wypakować rzeczy z samochodu i szybko uporać się z przeprowadzką. Nie był stworzony „do dźwigania ciężarów”. Podkreślał to wielokrotnie.

Nancy przyjechała pierwsza, wybrała dla siebie łóżko, zawiesiła na ścianie obrazek z tęczą i zaczęła rozkładać rzeczy. Jej rodzice i rodzeństwo specjalnie zostali dłużej, żeby poznać mnie i moją rodzinę. Uśmiech Donny Reed na twarzy mojej matki pękał pod naporem paniki. Ojciec wyprostował się dumnie, jak przystało na profesora elitarniej uczelni, pozując na człowieka, który patrzy z góry na każdego, kto wyrazi zainteresowanie sportem albo życiem codziennym. „Urodziłem się o dwa wieki za późno” – mawiał, albo: „Nie miałem rodziców, wyskoczyłem z Ziemi od razu cały i niepowtarzalny”. Moja matka zawsze potrafiła się zdobyć na ciętą odpowiedź: „Twój ojciec patrzy na wszystkich z góry, licząc na to, że kiedy tak wysoko zadrze głowę, nikt nie zauważy jego kiepskich zębów”.

Dziwna rodzina Seboldów poznaje podekscytowaną rodzinę Pike’ów. Pike’owie jedno po drugim wyszli, zabierając Nancy na lunch. Nosy mieli spuszczone na kwintę. Ich słodka córeczka wylosowała ekstradziwadło.

Przez pierwszy tydzień Nancy i ja prawie ze sobą nie rozmawiałyśmy. Ona coś tam wesoło gadała, a ja leżałam na łóżku i gapiłam się w sufit.

Na radosnych zajęciach zapoznawczych, na które prowadził nas starosta lub starościna z akademika – „Dzisiaj zagramy w grę o nazwie Najważniejsze Cele. Zapiszcie. Studiowanie. Wolontariat. Wybór korporacji studenckiej. Czy ktoś może powiedzieć, co

wybrałby w pierwszej kolejności, i uzasadnić swój wybór?” – moja współlokatorka podnosiła rękę. W czasie jednego, wyjątkowo dłużącego się popołudnia, gdy dziewczyny z naszego piętra siedziały po turecku na trawniku przed jadalnią, słuchając wykładu o tym, jak należy robić pranie, pomyślałam, że rodzice podrzucili mnie na obóz dla tępaków.

Wparowałam do akademika. Od tygodnia nie chodziłam do jadalni na kolację. Kiedy Nancy spytała dlaczego, odparłam, że poszczę. Później, kiedy zgłodniałam, prosiłam, żeby przyniosła mi coś do zjedzenia. „Tylko musi być białe – zażądałam. – Bez żadnych kolorów. Erik Satie jadł tylko białe pożywienie”. Moja biedna współlokatorka przyniosła mi górę białego sera i wielką perłową tapiokę. Leżałam w łóżku, nienawidząc Syracuse, i słuchałam Erika Satie, z którego płyty zaczerpnęłam pomysł na nową dietę.

Pewnego wieczoru usłyszałam dobiegający z sąsiedniego pokoju rumor. Wszyscy byli na kolacji. Wyszłam na korytarz i zobaczyłam uchylone drzwi.

–Cześć – zagadnęłam.

Na podłodze siedziała piękna dziewczyna. To o niej w dniu przeprowadzki do akademika powiedziała moja matka:

Ciesz się, że ta cudowna blondynka z tobą nie mieszka.

Chłopcy będą stali w kolejce pod drzwiami do jej pokoju”.

– Cześć.

Weszłam do środka. Właśnie przesłano jej z domu kuferek z prowiantem. Stał otwarty pod ścianą. Po tygodniu białej żywności trafiłam do oazy. Cukierki M&M, herbatniki, krakersy, suszona pulpa owocowa i inne smakołyki. Produkty, o których nawet nie słyszałam albo których nie pozwalano mi jeść.

Ale moja sąsiadka nie jadła. Zaplatała włosy we francuski warkocz. Wyraziłam swój podziw, dodając, że umiem zaplatać tylko zwyczajne warkocz.

– Też ci zaplotę, jeśli chcesz.

Usiadłam na jej łóżku. Stała za mną i zaczęła chwytać palcami pasemka włosów, zaplatając je ciasno, aż zdrętwiała mi

skóra na głowie.

Kiedy skończyła, podziękowałam i przejrzałam się w lustrze. Usiadłyśmy, a potem położyłyśmy się na dwóch identycznych łózkach. Leżałyśmy cicho, gapiąc się w sufit.

– Mogę ci coś powiedzieć? – spytałam.

– Jasne.

– Okropnie mi się tu nie podoba.

– O Boże, mnie też! – wykrzyknęła, siadając i rumieniąc się z radości, że może to z siebie wyrzucić. – Mnie też się tu okropnie nie podoba!

Zjadłyśmy cały kuferek prowiantu. Zachowałam nawet takie wspomnienie, że siedzę w środku, w tym kufierku, ale to chyba nieprawda, co?

Debbie, współlokatorka Mary Alice, należała do tych, które określa się słowem „doświadczona”. Przyjechała z Brooklynu. Nazywano ją „Podwójna D”. Palila i miała nas za nic. Zostawiła w rodzinnych stronach chłopaka starszego od siebie. Znacznie starszego. Był już po czterdziestce, ale z wyglądu – w wieku trudnym do określenia, podobnie jak Joey Ramonę. Pracował gdzieś jako didżej i mówił schrypniętym głosem palacza. Kiedy przyjeżdżał, chodzili gdzieś po hotelach i Debbie wracała do akademika z rumieńcami i pogardą dla nas. My bawiłyśmy się po swojemu. Mary Alice długimi palcami nóg wygrzebywała krakersy, którymi mnie karmiła. Przebierałyśmy się w idiotyczne stroje i wysłałyśmy kupony z kakao, żeby dostać prawdziwy tekturowy model alpejskiej chaty Małej Szwajcarki.

Debbie rozszerzyła aktywność na drugi front – spotykała się nie tylko ze starym chłopakiem, ale i ze studentem zagrzewającym kolegów do walki sportowej. Ten nowy chłopak nazywał się Harry Weiner. Miałyśmy z Mary Alice niezłą zabawę. Kiedyś, podpuszczona przez nią, schowałam się w tekturowej alpejskiej chacie, czekając, aż Debbie i Harry pójda ze sobą do łóżka. Gdy to zrobili, wytrzymałam trochę, było mi jednak tak niewygodnie, że nie zważając na zakład z koleżanką, przeczołgałam się na

czworakach do drzwi, żeby stamtąd uciec. Tekturowa chata sunęła razem ze mną jak kamuflaż szpiega z filmu rysunkowego.

Debbie się wściekła. Wystąpiła o przeniesienie do innego pokoju. Mary Alice dziękowała mi bez końca.

Po paru tygodniach od rozpoczęcia pierwszego roku grupa dziewcząt zebrała się w łączącym pokoje korytarzu. Usiadłyśmy na podłodze, opierając się plecami o ściany, z nogami wyciągniętymi przed siebie lub skrzyżowanymi.

Dawne królowe szkolnego balu lub przyszłe flirciary podwijały nogi z jednej strony, a entuzjastki na stypendiach, jak moja przyjaciółka Linda, nie zastanawiały się nad tym, jak siedzą ani jak wyglądają w otoczeniu rówieśniczek. Opowiadałyśmy o sobie i stopniowo wychodziło na jaw, która jest, a która nie jest dziewczyną.

Co do niektórych nie było wątpliwości. Na przykład co do Sary, sprzedającej haszysz w pokoju z czarnymi lampami, gdzie miała sprzęt stereo droższy od samochodów większości naszych ojców. Grała na nim klasyczne narkotyczne kawałki zespołów Traffic i Led Zeppelin. „Tam jest jakiś facet” – mówiła czasem jej współlokatorka, a wtedy rzucałyśmy dziewczynie śpiwór i mówiłyśmy, żeby nie chrapała.

Była też Chippie. Nigdy przedtem nie słyszałam tego słowa. Nie wiedziałam, że oznacza dziwkę. Myślałam, że naprawdę ma tak na imię i pewnego dnia, idąc rano pod prysznic, rzuciłam niewinnie: „Cześć, Chippie, jak się masz?”. Rozplakała się i już nigdy potem ze mną nie rozmawiała.

Pamiętam dziewczynę z drugiego roku, która mieszkała przy końcu korytarza. Chodziła z chłopakiem z miasta i pozowała Joelowi Belfastowi, cieszącemu się pewną sławą malarzowi z Wydziału Sztuk Pięknych. Chłopak lubił przykuwać ją łańcuchem do łóżka i potem rano widziałyśmy, jak biegnęła do ubikacji i z powrotem w bieliźnie ze skóry i imitacji zamszu. Chłopak jeździł na motocyklu i miał jedną nogę cieńszą. Którejś nocy, kiedy z powodu hałasu, jaki robiło tych dwoje, zjawiała się straż

uniwersytecka, zobaczyłam na tej jego nodze bliznę: wychodziła z za cholewy buta, biegła w górę aż za biodro i skręcała na plecy. Dziewczyna była nawalona i wrzeszczała, przykuta do łóżka. Wkrótce potem wyprowadziła się gdzieś na kwaterę poza kampusem!

Co do tych dziewczyn oraz Debbie – zaledwie czterech na pięćdziesiąt – miałam pewność, że nie są dziewicami. Reszta musiała nimi być, zakładałam, bo sama byłam dziewicą.

Ale nawet Nancy miała coś do opowiedzenia. Straciła dziewictwo w datsunie ze swoim chłopakiem ze szkoły średniej. Tree straciła je w toyocie. Diane w piwnicy domu chłopaka. W trakcie aktu rodzice chłopaka zastukali w okno. Inne opowieści nie utkwily mi w pamięci, zapamiętałam tylko, że dziewczyny dostawały przewiska od marek samochodów. Znalazło się też kilka wspaniałych historii: chłopak, który ofiarował pierścionek, wybrał szczególny wieczór, przyniósł kwiaty albo miał na cały dzień do dyspozycji mieszkanie starszego brata w centrum miasta. Kiedy dziewczyny opowiadały te historie, i tak im nie wierzyłyśmy. Lepiej było powiedzieć datsun, toyota albo ford; takie uiszczalo się „wpisowe”, aby należeć do rówieśniczej grupy.

Gdy wieczór wyznań dobiegł końca, okazało się, że Mary Alice i ja jesteśmy jedynymi dziewicami w tej grupie.

Niezdarne seksualne wyczyny na tylnym siedzeniu samochodu albo w piwnicy domu rodziców chłopaka wydawały mi się czymś cudownym. Nancy wstydzila się, że straciła dziewictwo w datsunie, ale przecież nie była wyjątkiem.

Z listów, które tamtego roku dostawałam od Tree i Nancy w czasie przerw od nauki, wynikało, że spotykają się co wieczór ze swoimi chłopakami ze szkoły średniej. Tree napomknęła o kupowaniu pierścionka. Te dziewczyny zaczęły dominować na moim horyzoncie.

Otrzymywałam też listy od chłopaków, z którymi pracowałam latem po szkole, zwłaszcza od jednego, starszego, o imieniu Gene. Błagałam go, żeby przesłał mi zdjęcie. Udawałam przed dziewczynami, że jest dla mnie czymś więcej niż przyjacielem, i

chciałam mieć na to jakiś dowód.

Zdjęcie dostałam pod koniec pierwszego semestru i od razu wszystkim pokazałam. Musiało być zrobione kilka lat wcześniej, bo Gene był na nim szczuplejszy, miał więcej włosów na głowie i podkrecone wąsy. Te wąsy krzychały: „mężczyzna!”. Mary Alice trafiła w sedno celną uwagą: „Czyżby jeszcze trwały lata siedemdziesiąte? Czuję atmosferę tamtych dyskotek”. Nancy udała, że jest pod wrażeniem, ale zarówno ona, jak i Tree były bardzo zajęte utrzymaniem kontaktów z prawdziwymi sympatiami – chłopakami, z którymi chodziły do szkoły średniej i którym obiecały, że kiedyś wyjdą za nich za mąż.

Mary Alice wariowała na punkcie kolejno: Bruce’a Springsteena, Keitha Richardsa i Micka Jaggera. Bruce – nasz znajomy – wprowadził ją w apoplektyczny zachwyt. Sprawiał jej na urodziny prezent – podkoszulek z wprasowanym w materiał, rozdętym, ogromniastym napisem PANI SPRINGSTEEN. Spała w nim noc w noc.

Spoglądając w przeszłość, mogę dziś z ręką na sercu przyznać, że na pierwszym roku kochałam się w Mary Alice. Z podziwem obserwowałam, jak uchodzą jej na sucho różne numery i jak z całą paczką wyprawia się na starannie zaplanowane eskapady. Kradzież blachy ciasta ze stołówki stała się operacją godną Jamesa Bonda. Wiązała się z odkryciem tunelu łączącego dwa akademiki i prowadzącego do dziwnych, zawsze zaryglowanych drzwi. Trzeba też było ukraść klucze, odwrócić uwagę paru osób, a wreszcie, późną nocą, przemycić zakamuflowane różowe ciasto do naszych pokoi.

Moje koleżanki z akademika lubiły też bary na pobliskiej Marshall Street, a wiosną regularnie chodziły na piwne przyjęcia organizowane przez męskie korporacje. Nie znosiłam tych korporacyjnych imprez. „Jesteśmy tylko mięsem!” – wrzasnęłam, przekrzykując muzykę, do Tree, która stała przede mną w kolejce do antałka. „I co z tego?! – odkrzyknęła. – Jest fajnie!”. Tree została młodszą siostrą. Mary Alice była zawsze popularna,

niezależnie od tego, co sama czuła. Żadna korporacja nie zabroniłaby wstępu naturalnej blondynce i towarzyszącym jej koleżankom.

Na zajęciach z poezji poznałam dwóch chłopców: Caseya Hartmana i Kena Childsa, zupełnie niepodobnych do mieszkańców mojego akademika. Byli już na drugim roku, więc uważałam ich za dojrzałych. Studiowali sztuki piękne, a zajęcia z poezji wybrali jako fakultatywne. Oprowadzili mnie po pięknym, starym gmachu Wydziału Sztuk Pięknych, czekającym na restaurację. Mieściły się w nim pracownie z podestami dla modeli pozujących do studiów z natury, wyściełane dywanami, oraz stare fotele i kanapy, na których rozsiadali się studenci. Pachniało tam farbą i terpentyną. Budynku nie zamykano na noc, żeby umożliwić pracę tym studentom, którzy nie mogli wykonywać zadań domowych w swoich pokojach, bo na przykład musieli spawać elementy metalowe.

Pokazali mi niezłą chińską restaurację, a Ken zabrał mnie do Muzeum Sztuki Eversona w centrum Syracuse. Zwykle czekałam pod drzwiami na koniec ich zajęć i chodziłam na wernisaże ich wystaw. Obaj pochodzili z Troy w stanie Nowy Jork. Casey utrzymywał się ze stypendium i zawsze brakowało mu pieniędzy. Kiedy się z nim spotykałam, do kolacji zaparzał trzy razy tę samą torebkę herbaty. Historię jego życia znałam wrywkowo. Ojciec siedział w więzieniu. Matka nie żyła.

Właśnie w Caseyu się podkochiwałam. Lecz on nie ufał dziewczętom z wydziałów przyrodniczych i humanistycznych, chociaż one widziały w nim romantyka i chciały go leczyć z urazów, jakie wyniósł z dzieciństwa. Mówił szybko, jak prychająca maszynka do kawy, i czasami od rzeczy. Nie dbałam o to. Był zakręcony i przez to, tak przynajmniej sądziłam, o wiele bardziej ludzki niż chłopcy z korporacji czy z mojej stołówki.

Mnie natomiast bardziej lubił Ken, który, podobnie jak ja, chętnie rozmawiał. We troje tworzyliśmy sfrustrowany trójkąt. Ja narzekałam wciąż, że dziewczyny w Marion są takie doświadczone i czuję się od nich gorsza, jakby upośledzona. Ken i

Casey z początku nie komentowali moich utyskiwań, ale potem wyszło sztych z worka. Oni też czuli się gorsi.

Kiedy w akademiku urządzano zabawę – a wtedy jeszcze pozwalano wnosić do pokoju antałki z piwem – wychodziłam na spacer po głównym placu w kampusie. Trafiałam w końcu do budynku Wydziału Sztuk Pięknych, robiłam kawę instant w suterenie, a potem siedziałam na jakiejś wysłużonej sofie ze sterczącymi sprężynami albo na jednym z foteli, które stały w całym gmachu, i godzinami czytałam Emily Dickinson albo Louise Bogan. Zaczęłam traktować to miejsce jak dom.

Czasami wracałam do Marion w nadziei, że impreza już się skończyła, ale okazywało się, że dopiero się rozkręca. Nawet nie wchodziłam do środka, tylko obracałam się na pięcie. Sypiałam w salach Wydziału Sztuk Pięknych, na podestach przykrytych dywanami, żeby modelom było ciepło w nogi. Na małym podeście nie mogłam się wyciągnąć, więc zwijałam się w kłębek.

Pewnego wieczoru leżałam po ciemku w jednej z klas na posłaniu pod ścianą, które przygotowałam sobie zawczasu. Drzwi zamknęłam, bo w korytarzach zawsze paliły się żarówki osłonięte jedynie drewnianą siatką dla ochrony przed zbiciem lub kradzieżą. Akurat zasypiałam, gdy otworzyły się drzwi i w świetle padającym z korytarza ujrzałam wysokiego mężczyznę w cylindrze.

Pstryknął przełącznikiem. Wtedy zobaczyłam, że to Casey.

– Sebold, co ty tu robisz? – spytał.

– Śpię.

– Witaj, towarzyszko! – rzekł, uchylając cylindra. – Będę dziś twoim cerberem.

Siedział po ciemku i patrzył, jak śpię. Zanim zasnęłam, zastanawiałam się, czy spodobał mi się kiedyś Caseyowi na tyle, żeby mnie pocałował. Pierwszy raz w życiu spędziłam wtedy noc z chłopcem, którego lubiłam.

Spoglądałam wstecz i widzę Caseya jako stróżującego psa. Chciałabym powiedzieć, że pilnowana przez niego czułam się bezpiecznie, ale osoba pisząca te słowa nie jest tą samą osobą,

która w ciemnych pracowniach zwijała się w kłębek na podestach dla modeli. Wtedy świat nie był dla mnie tak podzielony, jak jest podzielony teraz. Dziesięć dni później, ostatniego dnia nauki, miałam wejść do rzeczywistego świata, krainy podziałów, gdzie każdy szlak jest znakowany i nazwany. Dostępne są dwa style życia: bezpieczny i niebezpieczny.

7.

Latem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku obojgu rodzicom bardzo ciążyła rola matki i ojca ofiary gwałtu. Niczym chmura gradowa wisiało nad nimi pytanie, co ze mną zrobić. Gdzie powinnam wyjechać? Jak postąpić, żebym jak najmniej ucierpiała? Czy w ogóle brać pod uwagę powrót do Syracuse?

Najczęściej omawiano możliwość posłania mnie do Immaculata College.

Było za późno, żebym dostała się do normalnego college'u, bo wszędzie już przyjęto odpowiednią liczbę studentów na przyszły rok, zarówno rozpoczynających studia, jak i przenoszących się z innych uczelni. Matka była jednak przekonana, że Immaculata mnie przyjmie. Wyliczała jej plusy: szkoła dla dziewcząt, katolicka, a najważniejsze, że mogłabym mieszkać w domu. Któreś z rodziców podwoziłoby mnie te pięć mil drogą numer trzydzieści, a potem odbierało po zakończeniu zajęć.

Rodzice stawiali na pierwszym miejscu moje bezpieczeństwo i ciągłość nauki. Nie chcieli, żebym straciła rok. Staralam się słuchać matki. Ojcu jej plan zupełnie nie odpowiadał i z trudem zdobył się na jego zatwierdzenie wobec braku innych propozycji. Od samego początku postrzegałam Immaculatę nieodmiennie w jeden sposób. Jako więzienie. Miałam tam uczyć się tylko dlatego, że padłam ofiarą gwałtu.

Pomysł w swojej istocie wydawał się nedorzeczny. „Jak to – mówiłam do rodziców – chcecie, żebym ja, JA, uczyła się do religijnej uczelni?”. Przecież wdawałam się w teoretyczne dysputy z diakonem naszego kościoła, zaczytywałam się w każdej obscenicznej książce, która wpadła mi w ręce, i przedrzeźniałam wygłaszającego kazanie ojca Breuningera, budząc tym zachwyty zarówno mojej rodziny, jak i jego samego. Myślę, że zagrożenie Immaculatą, w większym stopniu niż cokolwiek innego, natchnęło

mnie do wysunięcia nieodpartego argumentu.

Oznajmiłam, że pragnę powrócić do Syracuse, ponieważ nie chcę, żeby gwałciciel odebrał mi coś więcej oprócz tego, co już mi odebrał. Pozostając w domu, nigdy nie dowiedziałabym się, jak mogłoby wyglądać moje życie.

Poza tym dostałam się na warsztaty poetyckie prowadzone przez Tessę Gallagher oraz warsztaty prozatorskie Tobiasa Wolffa. Gdybym nie wróciła, odebrano by mi obie te szanse. Rodzice wiedzieli, że moją pasją są słowa. W Immaculacie nie uczył nikt kalibru Gallagher czy Wolffa. W ofercie tej uczelni nie figurowały warsztaty pisarskie.

Dlatego rodzice w końcu skapitulowali. Matka wspomina mój powrót do Syracuse jako jedną z najcięższych prób, jakim została poddana, o wiele trudniejszą niż najdłuższa podróż przez niezliczone mosty i tunele.

Nie chcę przez to powiedzieć, że się nie bałam. Bałam się. Moi rodzice też. Dlatego wspólnie staraliśmy się zwiększyć moje bezpieczeństwo. Miałam się trzymać z dala od parku, ojciec zaś zamierzał wydzwaniać i pisać listy, żeby zdobyć dla mnie pojedynczy pokój w Haven Hall, jedynym akademiku tylko dla dziewcząt, z zainstalowanym prywatnym telefonem. Miałam prosić o eskortę strażników uniwersyteckich, gdybym musiała gdzieś iść po zmroku, i nie wychodzić sama na Marshall Street po piątej ani w ogóle nie kręcić się poza akademikiem. Obiecałam też unikać barów studenckich. Nie zapowiadało to wolności i swobód, wiążących się niby ze studiowaniem w college'u, ale ja przecież nie byłam wolna. Dowiedziałam się o tym – matka mówiła, że o wszystkim tak się dowiaduje – dostając twardą lekcję od życia.

Akademik Haven był ogólnie znany. Duży i okrągły, osadzony na betonowej podstawie, wyróżniał się wśród kanciastych budynków na planie kwadratu lub prostokąta, tworzących zespół akademików na wzgórzu. Stołówka, w której podawano lepsze niż gdzie indziej jedzenie, stała osobno.

Jednakże to nie dziwna architektura ani dobre jedzenie stały się

głównym źródłem kampusowej sławy akademika, lecz jego mieszkanki. Wieść niosła, że pojedyncze pokoje Haven Hall zajmują jedynie dziewice i miłośniczki koni (czytaj: lesbijki). Wkrótce się przekonałam, że pod ksywą „cnotki i lesby” kryje się całe mnóstwo zakręconych dziewczyn. W Haven znalazły schronienie dziewice, owszem, jak również lesbijki, ale nie tylko, bo pod tym samym dachem mieszkały też kujonki na stypendiach, bogaczki, studentki z zagranicy, świruski i przedstawicielki mniejszości narodowych. Były też dziewczyny pracujące – te na ogół dużo podróżowały i miały na przykład komercyjne kontrakty z produkującą pomadki ochronne firmą Chap Stick, musiały więc co jakiś czas skoczyć na weekend w Alpy szwajcarskie. Córki mniej lub bardziej znanych osób i puszczałskie na odwyku. Studentki z przeniesienia, starsze studentki i w ogóle dziewczyny, które z rozmaitych powodów odstawały.

Nie było to szczególnie przyjazne miejsce. Nie pamiętam, kto mieszkał w sąsiednim pokoju po jednej stronie. Nie przyjaźniłam się z sąsiadką z drugiej strony, Żydówką z Queens – uczęszczała do S. I. Newhouse School of Communications i bez przerwy ćwiczyła swój radiowy głos. Mary Alice i dziewczyny z pierwszego roku: Tree, Dianę, Nancy i Linda, mieszkały w Kimmel Hall, bliźniaku akademika Marion Hall.

Wprowadziłam się do Haven, pożegnałam z rodzicami i zamknęłam w swoim pokoju. Na drugi dzień przeszłam z Haven do Kimmel z rozognioną twarzą. Przyglądałam się po drodze wszystkim, szukając Jego.

Ponieważ w Kimmel mieszkali studenci drugiego roku, siłą rzeczy trafiło tam sporo ludzi z Marion. Znałam większość z nich. Teraz na mój widok reagowali tak, jakby zobaczyli ducha. Nikt się nie spodziewał, że wrócę do kampusu. A ponieważ wróciłam, wydawałam się jeszcze dziwniejsza. W jakimś sensie moja obecność tu dała im prawo osądzania mnie – czyż sama się o to nie prosiłam, przyjeżdżając z powrotem?

W holu Kimmela spotkałam dwóch chłopców, którzy w zeszłym roku mieszkali piętro niżej pode mną. Stanęli jak wryci,

gdy mnie ujrzeni, ale nie odezwali się ani słowem. Spuściłam wzrok, odwróciłam się plecami i nacisnęłam przycisk windy. Kilku innych chłopaków weszło frontowymi drzwiami i przywitało się z tamtymi. Nie obejrzałam się, lecz kiedy przyjechała winda i wsiadłam do środka, zanim drzwi się zamknęły, zerknęłam w stronę pięciu chłopaków, którzy stali w holu i gapili się na mnie. Nie musiałam zostawać, żeby usłyszeć, co powiedzą. „To tę dziewczynę zgwałcono ostatniego dnia nauki” – rzucił pewnie znający mnie student. Wolałam nie wyobrażać sobie, co potem mówili i nad czym się zastanawiali. Wystarczająco ciężko było mi chodzić po kampusie i jeździć windami.

Na pierwszym piętrze mieszkały dziewczęta, więc pomyślałam, że najgorsze mam za sobą. Myliłam się. Wsiadłam z windy i od razu podbiegła jedna, którą ledwie znałam na pierwszym roku.

– Och, Alice – odezwała się płaczącym głosem. Bez pytania wzięła mnie za rękę. – Wróciłaś.

– Tak – odparłam. Stałam i patrzyłam na nią. Przypomniało mi się, że kiedyś pożyczyłam jej pastę do zębów w łazience.

Jak opisać spojrzenie tej dziewczyny? Ze łzami w oczach okazywała mi współczucie, wprost ociekała nim, i jednocześnie była podekscytowana, że ze mną rozmawia. Trzymała za rękę dziewczynę, którą zgwałcono ostatniego dnia nauki na pierwszym roku.

– Myślałam, że nie wrócisz – powiedziała. Chciałam wycofać rękę. Winda zjechała i znów wjechała.

Wsiadła z niej gromadka studentek.

– Mary Beth! – zawołała moja rozmówczyni. – Mary Beth, chodź tu!

Mary Beth, szara myszka, której nie poznałam, podeszła do nas.

– To jest Alice. Mieszkałyśmy razem w Marion w zeszłym roku.

Mary Beth zamrugła.

Czemu tkwiłam w miejscu? Nie ruszyłam korytarzem, żeby od

nich uciec? Nie wiem. Chyba byłam zbyt oszołomiona. Rozumiałam język, przedtem dla mnie nieczytelny. „To jest Alice” znaczyło „to ta dziewczyna, o której ci opowiadałam, no wiesz, ta zgwałcona”. Zdradziło mi to mrugnięcie Mary Beth. A nawet gdybym się tego nie domyśliła, jej słowa rozwiąłyby wszelkie wątpliwości.

– Ojej, Sue mi o tobie opowiadała – rzekła nieładna dziewczyna.

Rozmowę przerwała Mary Alice. Akurat wyszła z pobliskiego pokoju i zobaczyła, co się dzieje. Mary Alice była bardzo ładna, i pewnie dlatego ludzie posądzali ją nieraz o to, że jest snobką, jeżeli nie dokładała starań, by wyjść im naprzeciw. W chwili takiej jak ta dobrze ją było mieć przy sobie. Nadal się w niej podkochiwałam, a teraz dodatkowo podziwiałam za przymioty, których sama zostałam pozbawiona: nieustrasżoność, wiarę i niewinność.

Mary Alice zabrała mnie do pokoju, który dzieliła z Tree. Zostałam tam wszystkie dziewczyny z pierwszego roku, oprócz Nancy. Tree próbowała rozmawiać ze mną, ale po tamtej scenie pod prysznicem, po gwałcie, nigdy już nie czułyśmy się ze sobą dobrze. Wywoływała we mnie skrępowanie. No i jeszcze Dianę. Dianę tak dokładnie wzorowała się na Mary Alice – naśladowała jej sposób mówienia i wyskakiwała z głupimi pomysłami, jakby z nią rywalizowała – że nie miałam do niej zaufania. Powitała mnie miło i ochoczo, a potem patrzyła na naszą wspólną idolkę, jakby czekając na sygnał. Linda stała pod oknem. Zawsze ją lubiłam. Miała dobrze umięśnione i opalone ciało, krótko ostrzyżone loczki na głowie. Widziałam w niej siebie w sportowej wersji – autsajderkę, której życie towarzyskie układało się dzięki temu, że wyróżniała się czymś w grupie. Ona osiągała sukcesy w sporcie, ja zaś byłam dziwadłem na tyle śmiesznym, że mnie akceptowano.

Linda bardzo długo nie mogła spojrzeć mi w oczy. Może dlatego, że dręczyło ją zawstydzające wspomnienie tamtego omdlenia. Nie pamiętam, kto ani w jakich okolicznościach spytał, dlaczego w ogóle wróciłam.

Pytanie zadane agresywnym tonem sugerowało w podtekście, że wracając, popełniłam błąd – zrobiłam coś nienormalnego. Mary Alice usłyszała ten ton. Nie spodobał jej się. Odpowiedziała krótko i słodko: „Ponieważ ma do tego pieprzone prawo”, po czym wyszliśmy z pokoju. Cieszyłam się, że mam Mary Alice, i odsuwałam od siebie zmartwienia. Wróciłam na uczelnię.

Czasami pierwsze wrażenie jest tak silne, że nigdy nie ulega zatarciu. Tak było w przypadku Tessy Gallagher. Zapisalam się na dwa prowadzone przez nią kursy: warsztaty i przegląd literatury dla studentów drugiego roku. Zajęcia z literatury odbywały się dwa razy w tygodniu o ósmej trzydzieści rano, czyli o niezbyt popularnej porze.

Tessa Gallagher wkroczyła do sali i energicznym krokiem podeszła do katedry. Siedziałam z tyłu. Jak zwykle pierwszego dnia rozpoczął się rytuał oględzin i wzajemnego szacowania. Nie wyglądała na dinozaura. To już coś. Miała długie brązowe włosy podpięte na skroniach grzebykami. To wskazywało na ludzki charakter. Najbardziej jednak rzucały się w oczy wysoko uniesione brwi i kształtne usta.

Przyglądałam się jej, ona tymczasem stała w milczeniu przed nami i czekała, aż maruderzy rozsiądą się i ucichnie zgrzyt odsuwanych i zasuwanych suwaków. Przygotowałam ołówki, wyciągnęłam notes.

Tessa Gallagher zaczęła śpiewać.

Zaśpiewała a cappella irlandzką balladę. Głos miała jednocześnie mocny i trwożny. Dzielnie trzymała dźwięki, a myśmy patrzyli. Zdawała się wesoła i smutna zarazem.

Skończyła śpiewać. Byliśmy oszołomieni. Chyba nikt nic nie powiedział, nie padło głupie pytanie, czy pomyliliśmy zajęcia. Pierwszy raz od powrotu do Syracuse moje serce nappełniła otucha. Oto stałam się świadkiem czegoś wyjątkowego; ta ballada potwierdziła słuszność decyzji o powrocie.

– No właśnie – rzekła. – Skoro ja mogę zaśpiewać a cappella balladę o ósmej trzydzieści rano, wy możecie punktualnie przychodzić na zajęcia. Jeżeli ktoś nie czuje się na siłach sprostać

temu wymaganiu, niech w ogóle zrezygnuje.

Tak! Zawołałam w myślach. Tak!

Opowiedziała nam o sobie. O własnej twórczości poetyckiej, o wczesnym małżeństwie, o umiłowaniu Irlandii, o udziale w protestach przeciw wojnie w Wietnamie, o powolnym stawianiu się poetką. Słuchałam oczarowana.

Na koniec zajęć Tessa Gallagher zadała nam pracę domową z *Antologii Nortona*. Wyszła z sali, gdy studenci się pakowali.

– Cholera – zaklął chłopak w podkoszulku z L. L. Bean, zwracając się do swojej dziewczyny w podkoszulku z greckimi literami delta, theta i sigma. – Zmywam się stąd, babka ma zajoba.

Zebrałam książki na stosik, kładąc na wierzchu podaną przez Gallagher listę lektur. Oprócz wymaganego dla studentów drugiego roku *Nortona*, Gallagher poleciła jedenaście tomików poezji, które można było kupić w księgarni przy kampusie. Byłam zachwycona poetką Gallagher. Ponieważ miałam parę godzin przed pierwszymi warsztatami prozatorskimi z Wolffem, kupiłam herbatę w barku pod kaplicą, a potem ruszyłam przez plac. Świeciło słońce, myślałam o Gallagher i wyobrażałam sobie Wolffa. Podobał mi się tytuł jednej z zarekomendowanych książek: *W białym świetle* Michaela Burkarda. Szłam, rozmyślając i przeglądając *Nortona*, aż raptem natknęłam się na Ala Tripodiego.

Nie znałam go. Okazało się jednak – a podobne sytuacje zdarzały się coraz częściej – że Al Tripodi zna mnie.

– Wróciłaś – zagadnął. Zrobił dwa kroki naprzód, żeby mnie uściskać.

– Przepraszam, ale ja ciebie nie znam – rzekłam.

– A, tak, rzeczywiście. Bardzo się cieszę, że cię widzę.

Choć to niewiarygodne – on naprawdę się cieszył. Poznałam to po jego oczach. Był starszym studentem, zaczynał łysieć, a drgające wąsy przykuwały uwagę z równą siłą co niebieskie oczy. Patrząc tylko na twarz, można mu było dać więcej lat, niż miał w rzeczywistości. Podobnie pobrużdżone twarze widywałam później u motocyklistów uczestniczących w zawodach motokrosowych.

Okazało się, że Al ma coś wspólnego z ochroną kampusu i akurat pełnił dyżur tamtego wieczoru, kiedy zostałam zgwałcona. Poczułam się niezręcznie, poczułam się bezbronna, ale polubiłam go.

Jednocześnie ogarnęła mnie wściekłość. Nie mogłam uciec od przeszłości. Zaczęłam się zastanawiać, ilu ludzi wie o tym, co się stało, jak daleko rozeszły się wieści i kto je rozsiewał. Wiadomość o gwałcie podała miejska gazeta, pomijając moje nazwisko i wspominając jedynie o „studentce tutejszego uniwersytetu”. Ale mój wiek i nazwa akademika sprawiały, że stawałam się jedną z pięćdziesięciu. W swojej naiwności nie przypuszczałam nawet, że codziennie będę zadawała sobie to pytanie: Kto wie, a kto nie wie?

Nie można zapanować nad szerzeniem się przekazywanej z ust do ust historii, a moja była dobra. Nawet ludzie z natury pełni szacunku dla innych ośmielali się ją opowiadać, ponieważ zakładali, że nigdy tu nie wrócę. Po moim wyjeździe z miasta policja odłożyła sprawę ad acta; to samo zrobiły moje przyjaciółki – oprócz Mary Alice. Jak za dotknięciem magicznej różdżki przestałam być osobą i stałam się opowieścią, a więc poniekąd własnością każdego z opowiadających.

Pamiętam Ala Tripodiego, bo nie widział we mnie wyłącznie „ofiary gwałtu”. Miał coś takiego w oczach – zniósł między nami wszelki dystans. Rozwinęłam w sobie dodatkowy zmysł, dzięki któremu natychmiast wyczuwałam, czy dana osoba widzi mnie czy gwałt. Pod koniec roku już znałam odpowiedzi na to pytanie. Albo tak mi się zdawało. A przynajmniej udoskonaliłam ten dodatkowy zmysł. Czasami wołałam nie zadawać pytania, gdyż było to zbyt bolesne. W krótkich rozmowach, kiedy wyłączałam ów zmysł, aby zamówić kawę albo poprosić kogoś o pióro, nauczyłam się zamykać część siebie. Nigdy się nie dowiedziałam, ilu ludzi łączyło prasową wiadomość czy też plotki, które wyszły z akademika Marion, z moją osobą. Niejednokrotnie wysłuchiwałam rewelacji o sobie. Opowiadano mi moją historię. „Mieszkałaś w Marion? – pytał ktoś. – Znałaś tamtą

dziewczyne?”. Czasami słuchałam, żeby się przekonać, co wiedzieli, i jak zabawa w głuchy telefon przetworzyła moje życie. Czasami patrzyłam komuś prosto w oczy i mówiłam: „Tak, tamta dziewczyna to ja”.

Na zajęciach Tessy Gallagher ciągle notowałam. Zapisałam na przykład, że powinnam pisać „wiersze, które coś znaczą”. Gallagher oczekiwała, że zmierzymy się z najtrudniejszymi problemami, że okazemy się ambitni. Była twarda. Wymagała, byśmy co tydzień uczyli się na pamięć jednego wiersza i recytowali go, ponieważ tego samego wymagano niegdyś od niej. Musieliśmy czytać i omawiać różne formy, analizować metrum, pisać wiersze o skomplikowanej strukturze stroficznej, villanellę i sekstynę. Potrzęsała nami, stosując rygory, w nadziei, że w ten sposób zachęci nas do pisania wierszy, które coś znaczą, a także rozwieje złudzenia, że dobra poezja może powstać dzięki udawaniu depresji. Gdy Raphael, który nosił spiczastą bródkę i woskował wąsy, tłumaczył, że nie napisał wiersza, bo jest szczęśliwy, a tworzyć może tylko wtedy, gdy jest przygnębiony, Gallagher ściągnęła kształtne usta w dzióbek, uniosła jeszcze wyżej nienaturalnie wysokie brwi i odparła: „Poezja to nie nastrój. To ciężka praca”.

Nie napisałam dotychczas nic o gwałcie oprócz wpisów do dziennika w formie listów do samej siebie. Teraz postanowiłam napisać wiersz.

Wyszło coś strasznego. Pamiętam, że wierszydło ciągnęło się przez pięć stron, a gwałt stanowił jedynie niekształtną metaforę upchniętą do worka słów, które miały dotyczyć społeczeństwa, przemocy oraz różnicy między światem przedstawionym w telewizji a rzeczywistością. Wiedziałam, że nie jest to moje najlepsze dzieło, ale zademonstrowałam, jak sądziłam, moją inteligencję i umiejętność pisania wierszy, które coś znaczą, a w dodatku mają duży format (podzieliłam ten utwór na cztery części i ponumerowałam rzymskimi cyframi!).

Gallagher potraktowała mnie miło. Nie napisałam wiersza po

to, by analizowano go na zajęciach, więc wyznaczyła mi spotkanie w swoim gabinecie. Podobnie jak u Tobiasa Wolffa o drugiej stronie korytarza, jej niewielki pokój był zawałony książkami i drukami, lecz odnosiło się wrażenie, że Gallagher urzęduje tu od lat, podczas gdy gabinet Wolffa wyglądał, jakby gospodarz jeszcze nie całkiem się wprowadził. U niej panowała ciepła atmosfera, na biurku stał kubek z herbatą, z oparcia krzesła spływała kolorowa chusta z chińskiego jedwabiu. Długie falujące włosy Gallagher miała tego dnia podpięte grzebykami z cekinami.

– Porozmawiajmy o twoim wierszu, Alice – zaproponowała.

Skończyło się na tym, że opowiedziałam jej swoją historię. Słuchała uważnie. Nie była zaskoczona, zaszokowana ani nie przestraszyła się studentki z problemami. Nie okazała mi wtedy kobiecego współczucia ani macierzyńskiej troski, chociaż później owszem. Była rzeczowa, kiwała głową ze zrozumieniem. Wsłuchiwała się w ból kryjący się za słowami, nie tylko w samą opowieść. Intuicyjnie wyczuwała, co to wszystko dla mnie znaczy, co jest dla mnie najważniejsze, co może wyłowić z tej płątaniny przeżyć i pragnień, żeby mi potem pomóc.

– Czy już go złapali? – spytała po pewnym czasie.

– Nie.

– Mam pomysł, Alice. Może zaczniesz swój wiersz tak. – I napisała. *Gdyby cię złapali...*

*Gdyby cię złapali
i mogłabym znowu
zobaczyć tamtą twarz,
może poznałabym twoje imię.*

*Nie nazywałabym cię już „gwałcicielem”
, mówiłabym John albo Luke, albo Paul.
Nienawiść moja niech urośnie ogromna.*

*Gdyby cię znaleźli, ujęłabym chętnie
te czerwone kule i oderznęła je*

*na oczach wszystkich.
Zaplanowałam już przyjemne
Zabijanie, powolny, lekki kres.*

*Najpierw
Kopałabym mocno twardym butem
I patrzyła, jak wycieka z ciebie
Krwisto-różowa treść.*

*Potem
Wycięłabym ci język,
Nie mógłbyś krzyczeć ani kląć.
Mówiłaby tylko pełna bólu twarz
Po zdarciu zasłony ignorancji.*

*Wreszcie
Czy powinnam posiekać twoje słodkie krowie
Oczy ostrymi jak brzytwa źdźbłami trawy,
Na której kazałeś mi leżeć? Albo postrzelić cię
W kolano – dokładnie tam, gdzie podobno
Rzepka roztrzaskuje się w drobny mak?*

*Wyobrażam sobie teraz,
Jak przecierasz zaspane oczy,
Żywe i ślepe, a ja wstaję niespokojna.
Chcę zobaczyć na rękach krew
Z twojej grubej skóry.
Chcę cię zabić
Twardym butem, pistoletem i szkłem.
Chcę ci dogodzić nożem.*

*Chodź do mnie, chodź do mnie,
Połóż się i umrzyj obok mnie.*

Kiedy skończyłam wiersz, cała się trzęsłam. Byłam w swoim pokoju w akademiku. Mimo pewnych niedoskonałości, silnie zaznaczonych wpływów Sylvii Plath oraz tego, co Gallagher

nazwała później „przesadyzmem”, udało mi się po raz pierwszy zwrócić wprost do gwałciciela. Rozmawiałam z nim.

Gallagher zachwyciła się moim wierszem. „Tak trzymaj” – powiedziała. Uznała, że napisałam coś na tyle ważnego, że chciałyby to przeanalizować na warsztatach. To był duży krok naprzód. Znaczyło to bowiem, że mam usiąść w jednej sali z czternastoma obcymi osobami – tak się składało, że znajdował się w ich gronie Al Tripodi – i powiedzieć, że padłam ofiarą gwałtu. Zgodziłam się to zrobić za namową Gallagher, chociaż się bałam. Miałam kłopot z tytułem. W końcu się zdecydowałam: *Wyrok*.

Rozdałam wiersz studentom, a potem, zgodnie z przyjętym na warsztatach zwyczajem, odczytałam go na głos. Podczas czytania zrobiło mi się gorąco. Zaczerwieniłam się, czułam krew uderzającą do twarzy i szczypanie w szczytach uszu i w czubkach palców. Czułam obecność otaczających mnie studentów. Siedzieli przykuci do swoich miejsc z oczami utkwionymi we mnie.

Gdy skończyłam, Gallagher poprosiła, żebym przeczytała wiersz jeszcze raz. Zapowiedziała też, że każdy będzie musiał wypowiedzieć się na temat tego, co usłyszał. Powtórne odczytanie wiersza było dla mnie torturą, ponownym, bez chwili przerwy, odegraniem bardzo przykrych przeżyć. Do tej pory zadaję sobie pytanie, dlaczego Gallagher uparła się, żebym czytała *Wyrok* publicznie i żeby każdy student – czego się zwykle nie praktykowało – wygłosił potem swoje uwagi. Według niej wiersz był ważny, ponieważ dotyczył ważnego tematu. Może, postępując w ten sposób, chciała przekonać o tym nie tylko grupę studentów, lecz także mnie?

Większość moich rówieśników nie potrafiła spojrzeć mi w oczy.

– Kto chce zacząć? – zapytała wprost. Gallagher swoim przykładem mówiła klasie: Tutaj właśnie to robimy.

Studenci odpowiadali nieśmiało. Chowali się za słowami: odważny, znaczący, śmiały. Paru uniosło się gniewem, że są zmuszani do wypowiedzi, i odebrało wiersz, w połączeniu z

nakazem Gallagher, jako akt agresji z jej i z mojej strony.

– Ale chyba tak naprawdę nie czujesz tego, co opisałaś? – rzekł z powątpiewaniem Al Tripodi.

Patrzył prosto na mnie. Przypomniiał mi się ojciec. Wszyscy inni nagle gdzieś znikli.

– Na przykład czego?

– Nie chcesz tak naprawdę przestrzelić mu kolana ani ranić nożem. Nie możesz odczuwać takiego pragnienia.

– Ale ja tak czuję – odparłam. – Chcę go zabić.

Zapadła cisza. Tylko Maria Flores, cicha, spokojna Latynoska, jeszcze nie zabrała głosu. Kiedy Gallagher przypomniała, że teraz jej kolej, Maria odmówiła wypowiedzi. Ale Gallagher nie ustąpiła. Maria broniła się, że nie może mówić. Gallagher zaproponowała jej, żeby sformułowała swoje przemyślenia na przerwie, a potem się nimi podzieliła. „Wszyscy muszą się wypowiedzieć – rzekła. – Otrzymaliście od Alice dar. Każdy z was powinien to zrozumieć i w jakiś sposób zareagować. Mówiąc, przysiadacie się do jej stolika”.

Wyszliśmy na przerwę. W holu o kamiennej posadzce, przy gablotce z publikacjami wydziału i nagrodami stojącymi na zakurzonych szklanych półkach, Al Tripodi wypytywał mnie dalej. Patrzyłam na martwe owady, które dostały się do gablotki i już stamtąd nie wyleciały.

Al Tripodi nie rozumiał, jak mogłam coś takiego napisać.

– Nienawidzę go – rzekłam.

– Jesteś piękną dziewczyną.

Pierwszy raz ktoś mi to mówił i jeszcze nie wiedziałam, że spotkam się z tym komentarzem wielokrotnie. Nie można jednocześnie nienawidzić i być piękną. Jak każda dziewczyna chciałam być piękna. Ale naprawdę czułam w sobie nienawiść. Więc jak mogłam być jednocześnie taka i taka dla Ala Tripodiego?

Powiedziałam mu o marzeniu, jakiemu wciąż od nowa się wtedy oddawałam. Mogłam w tym marzeniu dopaść gwałciciela i zrobić mu wszystko, co chciałam. Wyznałam Tripodiemu, że

robiłam to, co opisałam w wierszu, a nawet jeszcze gorsze rzeczy.

– I co można przez to zyskać? – spytał.

– Zemstę – odparłam. – Nie rozumiesz?

– Chyba nie. Współczuję ci.

Przyglądałam się martwym zuczkom leżącym na grzbiecie – ich łapki wystawały w górę, a potem pod ostrym kątem skręcały w dół, czułki zaś opadały znieruchomiałymi delikatnymi łukami niczym zgubione ludzkie rzęsy. Nawet nie drgnęłam, więc Tripodi niczego nie zauważył, a ja cała płonęłam. Nie chciałam niczyjej litości.

Maria Flores nie wróciła na zajęcia. Byłam wściekła. Nie potrafią uporać się z tym problemem, pomyślałam, i to mnie rozzłościło. Wiedziałam, że nie jestem piękna, i w obecności Gallagher przez trzy godziny tamtego dnia nie musiałam w ogóle się przejmować tym, czy jestem piękna, czy nie. Właśnie ona, zapisując pierwszy wers, omawiając utwór na warsztatach, udzieliła mi pozwolenia – mogłam nienawidzić.

Dokładnie tydzień później napisane przez Gallagher słowa *Gdyby cię złapali* okazały się prorocze. Piątego października natknęłam się na swojego gwałciciela na ulicy. Tego samego wieczoru mogłam przestać nazywać go „gwałcicielem” i nadać mu imię i nazwisko: Gregory Madison.

Tego dnia miałam warsztaty z Tobiasem Wolffem.

Wolff, w przeciwieństwie do Gallagher, nie nawiązywał tak łatwo kontaktów ze studentami. Zresztą był mężczyzną, a wtedy mężczyzna musiałby mnie przynajmniej czymś zaskoczyć, zanim zechciałabym pomyśleć o tym, by mu zaufać. Nie starał się nikogo zabawiać. Dał wyraźnie do zrozumienia, że jego osoba nie jest ważna – ważna jest literatura. Ja zaś, ponieważ postanowiłam zostać poetką i zdając się na los szczęścia, trafiłam na zajęcia z literatury, przybrałam pozę wyczekującą. Byłam jedyną studentką drugiego roku w jego grupie i jedyną dziwacznie ubraną. Pisarze chodzili wykrochmaleni i w dzinsach, a ich koszule biły w oczy emblematami klubów sportowych lub kraciastym wzorem. Poeci

ubierali się zwiewnie. Na pewno nie nosili koszul z emblematami klubów sportowych. Uważałam się za poetkę. Tobias Wolff, wyprostowany jak żołnierz na paradzie, a w analizie utworów sztywno trzymający się fabuły, niczym mnie nie zafascynował.

Przed zajęciami chciałam coś zjeść. Poszłam z akademika na Marshall Street. Mieszkałam w Syracuse od miesiąca i, tak jak wszyscy, zaczęłam wyskakiwać na Marshall Street po przekąski i szkolne przybory. Miałam swój ulubiony sklepik. Prowadził go Palestyńczyk po sześćdziesiątce, który opowiadał anegdoty i życzył „miłego dnia” z takim naciskiem, jakby mówił szczerze.

Idąc ulicą, zobaczyłam w pewnej odległości przed sobą Murzyna rozmawiającego z podejrzanym wyglądającym białym. Biały stał w zaułku, za płotem. Miał włosy do ramion i kilkudniowy zarost. Rękawki białego podkoszulka podwinął tak, by podkreślić wypukłości bicepsów. Murzyna widziałam od tyłu, ale obudził moją czujność. W myślach przebiegłam punkty z listy służącej porównaniom: ten sam wzrost, ta sama budowa ciała, coś nieokreślonego w postawie, rozmawia z ciemnym typem. Przejść na drugą stronę ulicy!

Tak też zrobiłam. Drugą stroną ulicy pokonałam resztę drogi do sklepiku, nie oglądając się ani razu. Znów przecięłam jezdnię i weszłam prosto do sklepiku. Tutaj czas płynął wolniej. Zapamiętałam wszystko tak dokładnie, jak mało co. Wiedziałam, że będę musiała znów wyjść na ulicę, i starałam się uspokoić. Wzięłam brzoskwiniowy jogurt i wodę sodową Teem – już sam ten wybór świadczył o mojej zachwianej równowadze. Palestyńczyk wybił zakupy na kasie, ale był naburmuszony i tak się śpieszył, że nawet nie powiedział „miłego dnia”.

Wyszłam ze sklepiku, schroniłam się od razu po przeciwnej, bezpiecznej stronie ulicy i zerknęłam w kierunku zaułka. Mężczyźni znikli. Zauważyłam natomiast po mojej stronie ulicy, i nieco w prawo, policjanta. Wysiadał z wozu patrolowego. Był bardzo wysoki, miał włosy i wąsy rude jak marchewka. Nigdzie się nie śpieszył. Rozejrzawszy się wokół, uznałam, że nic mi nie grozi. Przeżyłam po prostu bardziej intensywnie strach, jaki od

czasu gwałtu odczuwałam w obecności niektórych Murzynów. Spojrzałam na zegarek i przyśpieszyłam kroku. Nie chciałam się spóźnić na warsztaty Wolffa.

Wtem, najzupełniej nieoczekiwanie, spostrzegłam idącego w moją stronę gwałciciela. Przecinał na skos jezdnię, przechodząc z drugiej strony ulicy. Nie zatrzymałam się ani nie zaczęłam krzyczeć.

Podchodził z uśmiechem. Poznał mnie. Dla niego tamto było spacerem w parku; teraz spotkał na ulicy znajomą.

Znałam go, lecz nie mogłam się zmusić do mówienia. Całą energię skupiłam na przekonywaniu siebie, że ten człowiek nie ma nade mną władzy.

– Hej, mała – rzekł. – Czyja ciebie skądś nie znam? – Uśmiechnął się z wyższością, przypominając sobie.

Nie odpowiedziałam. Patrzyłam wprost na niego. Wiedziałam, że to ta sama twarz, którą widziałam nad sobą w tunelu. Wiedziałam, że całowałam te usta, wpatrywałam się w te oczy, wahałam mdły, owocowy zapach na jego skórze.

Byłam zbyt przerażona, żeby krzyczeć. Miałam za plecami pohcjanta, ale nie mogłam wrzasnąć: „Ten człowiek mnie zgwałcił!”. Tak dzieje się w filmach. Wysuwałam jedną stopę przed drugą i robiłam krok po kroku. Usłyszałam za plecami jego śmiech. Wciąż jednak szłam naprzód.

Nie bał się. Minęło prawie sześć miesięcy od tamtej nocy w parku. Sześć miesięcy od czasu, gdy leżałam pod nim w tunelu, na potłuczonym szkle. Śmiał się, ponieważ uszło mu to na sucho, ponieważ już wcześniej gwałcił i nie zamierzał przestać. Moja rozpacz sprawiała mu przyjemność. Chodził ulicami wolny i bezkarny.

Skręciłam w najbliższą przecznicę. Zobaczyłam przez ramię, że podszedł do rudego policjanta. Uciął sobie pogawędkę, tak pewien swojego bezpieczeństwa, że – bez najmniejszego skrepowania – w chwilę potem, jak mnie ujrzał, zaczepił policjanta.

Czułam, że mam obowiązek pójść do Wolffa i wyjaśnić, dlaczego nie wezmę udziału w zajęciach. Byłam jedyną studentką

drugiego roku w jego grupie.

Weszłam na Wydział Filologii i spojrzałam na zegarek. Miałam dość czasu, żeby przed zajęciami Wolffa załatwić dwa telefony. Z budki na parterze zadzwoniłam do Kena Childsa, powiedziałam, co się stało, i poprosiłam, żeby za pół godziny spotkał się ze mną w pobliskiej bibliotece. Chciałam zrobić szkic gwałciciela, a Ken chodził przecież na Wydział Sztuk Pięknych. Zaraz po tym pierwszym telefonie połączyłam się z rodzicami na ich koszt.

Odezwali się oboje.

– Mamo, tato, dzwonię z Wydziału Filologii.

Matka była teraz wyczulona na najmniejsze drgnienie mojego głosu.

– Co się stało, Alice? – zaniepokoiła się.

– Widziałam go przed chwilą, mamo.

– Kogo widziałaś? – spytał ojciec, zostając jak zawsze dwa kroki z tyłu.

– Gwałciciela.

Nie pamiętam reakcji rodziców. Nie mogłam jej zapamiętać. Zadzwoniłam, ponieważ musiałam ich powiadomić tym, co się stało, i poinformować, co w związku z tym przedsięwzięłam.

– Powiem profesorowi Wolffowi, że nie mogę przyjść na zajęcia. Telefonowałam już do Kena Childsa, spotka się ze mną i odprowadzi mnie do akademika. Chcę zrobić szkic.

– Daj znać, kiedy wrócisz do siebie – poprosiła matka. To pamiętam.

– Dzwoniłaś na policję? – spytał ojciec. Nie wahałam się z odpowiedzią.

– Jeszcze nie – odparłam, co nie pozostawiało wątpliwości, że to zrobię i nie popuszczę.

Idąc po schodach tam, gdzie odbywały się warsztaty, natknęłam się na Wolffa, który też zmierzał do sali wykładowej.

Studenci właśnie wchodzili do środka. Podeszłam do Wolffa.

– Panie profesorze, czy mogę z panem porozmawiać? – spytałam.

– Zaraz zaczynają się zajęcia, porozmawiamy później.

– Chodzi właśnie o to, że nie mogę być na zajęciach. Jak przypuszczałam, nie był zadowolony. Nie sądziłam jednak, że okaże aż tak wielkie niezadowolenie. Zaczął mi dowodzić, jakie miałam szczęście, że znalazłam się w jego grupie, podkreślając, iż nieobecność na jednych zajęciach równa się nieobecności na trzech zajęciach na zwykłym studenckim kursie. Wiedziałam o tym. Właśnie dlatego poszłam najpierw na Wydział Filologii, zamiast udać się prosto do akademika.

Poprosiłam Wolffa, żeby mi poświęcił dwie minuty swojego cennego czasu. Żeby porozmawiał ze mną w swoim gabinecie, nie w korytarzu. „Błagam” – powiedziałam. Ton mojego głosu trafił do jakiegoś zakamarka w jego duszy, gdzie nie rządziły obowiązujące w klasie formalne reguły, które bardzo sobie cenił. „Błagam” – powtórzyłam, na co odparł, łaskawie ustępując: „Ale musi się pani mocno streszczać”.

Podążyłam za nim krótkim korytarzem, skręciłam i stanęłam pod drzwiami, czekając, aż je otworzy. Kiedy teraz to wspominam, nie mogę wprost uwierzyć, że przez cały czas – . od chwili, gdy ujrzałam na ulicy gwałciciela, aż do momentu, gdy znalazłam się w gabinecie Wolffa za zamkniętymi drzwiami – zachowałam spokój. Poczułam, że jestem z mężczyzną, który mnie nie skrzywdzi. Dopiero teraz mogłam spokojnie, głęboko odetchnąć. Profesor usiadł naprzeciw mnie, a ja przez chwilę kręciłam się, a potem przysiadłam na krześle dla studenta.

Wybuchłam.

– Nie mogę przyjść na zajęcia. Przed chwilą widziałam człowieka, który mnie zgwałcił. Muszę zadzwonić na policję!

Pamiętam jego twarz, i to wyraźnie. Był ojcem. Wtedy wiedziałam tylko, że ma małych synków. Postąpił ku mnie. W pierwszym odruchu chciał mnie pocieszyć, ale potem instynktownie cofnął się w obawie, jak ofiara gwałtu przyjmie jego dotknięcie. Twarz mu się zapadła, wyrażając bezradne zmieszanie, jakie pojawia się na twarzach ludzi, kiedy mimo chęci nie mogą zrobić nic, by naprawić zło, które się stało.

Wolff spytał, czy ma w moim imieniu powiadomić policję, czy

pomyślałam, jak wrócić do akademika, i co w ogóle może jeszcze zrobić. Wyjaśniłam, że już się umówiłam z kolegą, który będzie mnie eskortował z biblioteki do akademika, skąd zadzwonię na policję.

Wyszliśmy na korytarz. Zanim Wolff mnie zwolnił – w myślach już stawiałam jedną nogę przed drugą, robiąc krok za krokiem, już planowałam telefon na policję, powtarzając jak automat: „Wiśniowa wiatrówka, niebieskie džinsy podwinięte u dołu, sportowe buty Converse AllStar” – zatrzymał się i położył mi ręce na ramionach.

Upewniwszy się, że przez moment skupiłam na nim uwagę, przemówił:

–Alice, będzie się teraz dużo działo i być może to, co powiem, wyda ci się w tej chwili bezsensowne, ale posłuchaj. Staraj się w miarę możliwości wszystko zapamiętywać.

Powstrzymuję się od napisania ostatnich dwóch słów wersalikami. Wolff wypowiedział je z dużym naciskiem. Chciał, żeby odbiły się echem w mojej głowie i kiedyś, w przyszłości, niezależnie od tego, jaką pójde drogą, wybiegły mi naprzeciw. Znał mnie od dwóch tygodni. Miałam dziewiętnaście lat. Siedziałam na jego zajęciach i rysowałam kwiaty na džinsach. Napisałam opowiadanie o manekinach, które ożyły i chciały mścić się na krawcach.

Dlatego krzyczał ponad dzielącą nas przepaścią. Wiedział już wtedy – co odkryłam później, kiedy weszłam do księgarni Doubledaya na Piątej Alei w Nowym Jorku i kupiłam *Życie tego chłopca*, opowieść autorstwa Wolffa – że pamięć może uratować, że ma moc, że nieraz jest jedynym kołem ratunkowym dla bezsilnych, uciskanych, bitych i poniżanych.

Odległość dzielącą mnie od biblioteki – dwieście metrów przez plac, na drugą stronę uliczki biegnącej wzdłuż budynku Wydziału Filologii – pokonałam jak na automatycznym pilocie. Zmieniłam się w maszynę. Chyba tak chodzą na patrolu żołnierze w czasie wojny, czujnie rejestrując każdy ruch czy zagrożenie. Plac nie jest

placem, lecz polem walki, na którym skrywa się żywy wróg. Przyczaja się, żeby zaatakować w momencie, gdy osłabisz czujność. Jedyne wyjście – nigdy, ani na chwilę, nie osłabiać czujności.

Z końcówkami nerwów na wierzchu dotarłam do Biblioteki Birda. Byłam spięta, ale gdy znalazłam się w środku, w świetle fluorescencyjnych lamp, pozwoliłam sobie głęboko odetchnąć. Na początku semestru biblioteka świeciła pustkami. Jeżeli kogoś mijałam, starałam się na niego nie patrzeć. Nie chciałam spotkać niczyjego wzroku.

Nie mogłam czekać na Kena; bałam się zatrzymać, więc przeszłam budynek, który zaplanowano w ten sposób, że można było z niego wyjść z drugiej strony na ziemię niczyją. Biegła tam uliczka, zabudowana starymi domami o drewnianej konstrukcji, zajętych w większości przez męskie i żeńskie korporacje studenckie. Teren ten nie należał do uświęconego tradycją głównego placu kampusu i był słabo oświetlony. Tymczasem – gdy szłam z Marshall Street do Wolffa, by mu powiedzieć, że nie przyjdę na zajęcia – zapadł zmierzch. Miałam jeden cel: wrócić cało do akademika i zapisać wszystko, co pamiętałam, szczegóły ubioru i wyglądu.

Dotarłam na miejsce. Nie pamiętam, czy minęłam kogoś po drodze. Jeżeli nawet tak, to z nikim nie zamieniłam słowa. Ze swojego pokoiku zadzwoniłam na policję. Wyjaśniłam, że w maju padłam ofiarą gwałtu, a teraz wróciłam na uczelnię i zobaczyłam gwałciciela. Spytałam, czy ktoś przyjedzie.

Potem usiadłam na łóżku i wykonałam szkic. Dla pamięci zanotowałam szczegóły. Najpierw włosy, potem wzrost, budowę ciała, nos, oczy, usta. Opisałam głowę i twarz: „Krótka szyja. Nieduża, kulista głowa. Kanciasta szczęka. Włosy opadające lekko na czoło”. I skórę: „Dosyć ciemna, ale niezupełnie czarna”. U dołu strony, w lewym rogu narysowałam go, jak umiałam, a obok wyszczególniłam zapamiętane części jego ubioru: „Wiśniowa kurtka, a la wiatrówka, ale ocieplana. Dżinsy niebieskie. Białe buty sportowe”.

Zjawił się Ken, zdyszany i zdenerwowany. Był drobny, delikatny – rok temu, w przyływie romantycznego nastroju nazwałam go miniaturowym Dawidem. Jak na razie nie potrafił uporać się z sytuacją, w której się znalazłam. Latem raz do mnie napisał. Wyjaśnił – co wtedy przyjął za dobrą monetę – że włożył to, co ze mną się stało, w nowe ramy, żeby tak bardzo go nie bolało. „Będę o tym myślał jak o złamaniu nogi, która z czasem się zrasta. Ty też z czasem się z tego wyleczysz”.

Ken spróbował poprawić mój szkic, ale ze zdenerwowania trzęsły mu się ręce. Siedział na moim łóżku i wydawał mi się taki bardzo mały i wystraszony. Postanowiłam myśleć o nim jak o żywym, ciepłym człowieku, który mnie zna i ma dobre chęci. To mi musiało wystarczyć. Kilka razy próbował narysować głowę gwałciela.

Z korytarza dobiegł tupot ciężkich kroków i odgłosy aparatów walkie-talkie nastawionych głośno, jakby ich właściciele pragnęli dodać sobie ważności. Kiedy pięści załomotały w moje drzwi, otworzyłam je – inne dziewczyny wychodziły właśnie na korytarz.

Ochrona uniwersytetu w Syracuse została zawiadomiona przez policję. Byli podnieceni. Wreszcie, cholera, coś się działo. Dwaj ochroniarze mieli wyjątkowo szerokie bary, co stało się jeszcze bardziej widoczne w moim maleńkim pokoiku.

W chwilę potem przybyła policja miejska Syracuse w sile trzech ludzi. Ktoś zamknął drzwi. Powtórzyłam swoją opowieść, w związku z czym doszło do drobnego sporu kompetencyjnego. Członkowie ochrony uniwersyteckiej byli wyraźnie rozczarowani. Otóż incydent miał miejsce w parku Thordena, sprawcę zaś widziano na Marshall Street, a więc nie ulegało wątpliwości, że sprawą powinny zająć się władze miasta Syracuse, a nie kampusu. Dobrze to o nich świadczyło jako o zawodowcach, lecz tego wieczoru byli nie tyle przedstawicielami uniwersytetu, ile myśliwymi podążającymi świeżym tropem.

Policjanci obejrzelik szkice moje i Kena. Wciąż mówili o nim jako o moim chłopcu, chociaż za każdym razem ich poprawiałam. Spoglądali na niego podejrzliwie. Drobny i nerwowy Ken

wydawał się dziwadłem w pokoju pełnym potężnych mężczyzn uzbrojonych w pistolety i pałki.

– Kiedy widziała pani podejrzanego? Odpowiedziałam.

Ponieważ nie zareagowałam, widząc gwałciciela na ulicy, była szansa, że krąży gdzieś w rejonie Marshall Street. Warto więc było przejechać się tam wozem patrolowym.

Dwóch policjantów wzięło mój szkic, zostawiając rysunek Kena.

– Zrobimy kopie i roześlemy wewnętrzny biuletyn. Wszyscy policjanci w mieście będą mieli ten portret w wozach patrolowych, aż złapiemy drania – zapewnił jeden z nich.

– Czy będę ci potrzebny? – spytał Ken, kiedy zbieraliśmy się do wyjścia.

Spojrzenia policjantów musiały go sparzyć. Poszedł z nami.

Opuściliśmy budynek pod eskortą sześciu umundurowanych mężczyzn. Ken wsiadł ze mną do wozu patrolowego z tyłu; z przodu siedział jeden policjant. Nie pamiętam jego nazwiska, ale pamiętam jego gniew.

– Dostaniemy skurwiela – odgrażał się. – Gwałt to jedno z najgorszych przestępstw. Zapłaci za to.

Zapalił silnik i włączył błyskającą czerwono-niebiesko lampę na wozie. Z rykiem silnika popędziliśmy na oddaloną zaledwie o parę przecznic Marshall Street.

– Proszę uważnie się rozglądać – polecił policjant. Manewrował wozem z siłą i zręcznością, które później podziwiałam u nowojorskich taksówkarzy.

Ken siedział zgarbiony obok mnie. Uskarżał się, że od migającego światła boli go głowa. Osłaniał oczy. Wyglądałam przez okno. Przejechaliśmy kilka razy wzdłuż i wokół Marshall Street, a tymczasem policjant opowiedział o siedemnastoletniej siostrzenicy, zwykłej, niewinnej dziewczynie. Dokonano na niej zbiorowego gwałtu. „Zrujnowane życie – rzekł. – Zrujnowane życie”. Wyciągnął pałkę i zaczął nią tłuc w wolne siedzenie. Ken wzdrygał się przy każdym uderzeniu w winyl. Od początku obawiałam się, że wyprawa będzie daremna, a teraz dodatkowo

zaczęłam się bać nieobliczalnego policjanta.

Ponieważ nigdzie nie dostrzegłam gwałciciela, zaproponowałam, żebyśmy wrócili na posterunek i przejrzeni kartotekę przestępców. Ale policjant musiał się wyładować i tylko szukał okazji. Przejeżdżając ostatni raz Marshall Street, ostro zahamował.

– A tam, o, tam – wskazał. – Czy to nie któryś z tamtych?

Spojrzałam i od razu wiedziałam kto to. Trzech czarnych studentów. Poznałam to po ubiorze. Wszyscy trzej byli wysocy. Za wysocy. Żaden z nich nie mógł być moim gwałcicielem.

– Nie – odparłam. – Jedźmy stąd.

– To łobuzy – rzucił. – Zostańcie tu.

Wysiadł pośpiesznie z wozu i pobiegł do tamtych. W rękę trzymał pałkę.

Ken dostał czegoś w rodzaju ataku paniki, jakie widywałam u matki. Oddychał z trudem. Chciał wysiąść.

– Co on robi? – spytał. Spróbował otworzyć drzwi. Automatycznie się zamknęły. Tym autem jeździli również przestępcy, nie tylko ofiary.

– Nie wiem. Ci faceci ani trochę nie przypominają tamtego.

Nad nami wciąż błyskała lampa sygnałowa. Ludzie zaczęli podchodzić i zaglądać do wozu. Wściekłam się na policjanta, że nas tak zostawił. Wściekłam się też na Kena, że jest takim mięczakiem. Wiedziałam, że człowiek jadący na adrenalinie i szukający zemsty za zgwałconą siostrzenicę nie zdoła nic dobrego. Tkwiłam w samym centrum całej akcji, a równocześnie jakbym nie istniała. Byłam katalizatorem, sprawiającym, że ludzie robili się nerwowi, czuli się winni albo ogarniała ich wściekłość. Bałam się, ale jeszcze silniej odczuwałam obrzydzenie. Chciałam, żeby policjant wrócił. Siedziałam w samochodzie obok popiskującego Kena, trzymając głowę między kolanami, żeby zagląający do środka ludzie zobaczyli „plecy ofiary”, i nasłuchiwałam odgłosów, które musiały dobiegać z zaułka. Kogoś bito, to pewne. Ale nie Jego.

Policjant wrócił. Jednym rzutem ciała usiadł na fotelu kierowcy

i przyłożył pałkę do otwartej dłoni drugiej ręki.

– Mają nauczkę – rzekł. Był spocony i ucieszony.

– Co oni zrobili? – spytał przerażony Ken.

– Otworzyli jadaczkę. Nigdy nie pyskuj policjantowi na służbie.

Nie zamknęłam oczu na to, co stało się tego wieczoru na Marshall Street. Złem było to, że nie mogłam przejść wieczorem przez park. Złem – że padłam ofiarą gwałtu. Złem – pewność gwałtciciela, że jest nietykalny, oraz lepsze zapewne traktowanie mnie przez policję, ponieważ byłam studentką w Syracuse. Złem był gwałt na siostrzenicy policjanta. Ale policjant także postąpił źle, mówiąc o jej zrujnowanym życiu. Źle, że wystawił na dach wozu koguta i paradował z nim po Marshall Street. Źle, że zaczepił na ulicy, a może nawet wyrządził krzywdę trzem niewinnym młodemu Murzynom.

Nie ma żadnego „ale”, jest tylko to: policjant żył na tej samej planecie co ja. Pasowałam do jego świata tak, jak nigdy nie pasowałam do świata Kena. Nie pamiętam, czy Ken poprosił, żebyśmy go wysadzili przed jego domem, czy pojechał ze mną na posterunek. Tak czy owak przestałam się z nim widywać od czasu poszukiwań na Marshall Street.

Wróciliśmy na policję po ósmej. Ostatni raz byłam tu tego wieczoru, gdy zostałam zaatakowana. Wtedy posterunek policji wydał mi się bezpieczny. Podobało mi się, że windą wjeżdża się do poczekalni, a przy jej drugim końcu są wielkie drzwi, które automatycznie zamykają się za wchodzącymi.

Przez kuloodporną szybę można było zajrzeć do holu poczekalni. Nikt nie mógł cię stamtąd dopaść.

Policjant wprowadził mnie do środka. Usłyszałam cichy, hydrauliczny szum i trzaśnięcie zamykających się za nami drzwi. Po lewej stronie, w centrum dowodzenia siedział dyspozytor. W pobliżu stało kilku policjantów w mundurach. Popijali kawę z kubków. Kiedy weszliśmy, ucichli i spuścili wzrok. Tutaj istniały tylko dwie kategorie cywilów: ofiary i kryminaliści.

Mój policjant wyjaśnił dyżurnemu, że jestem przypadkiem gwałtu ze Strefy Wschodniej. Przyszłam przejrzeć kartotekę przestępców.

Posadził mnie w małym archiwum niedaleko dyspozytora. Zostawił otwarte drzwi i zaczął ściągać z półek opasłe czarne tomiska. Było ich co najmniej pięć – czarne okładki kryły mnóstwo małych, portfelowych zdjęć twarzy. Te pięć albumów zawierało wyłącznie podobizny Murzynów, i to w wieku zbliżonym do podanego przeze mnie wieku gwałciciela.

Pokój wydawał się lepiej przystosowany do przechowywania tych tomów niż do oglądania fotografii przez ofiary. Miałam do dyspozycji jedynie stary metalowy stolik pod maszynę, z trudem balansowałam tomami na kolanach i na chwiejnym stoliku, któremu pod ciężarem dokumentacji opadało rozkładane skrzydło. Byłam jednak dobrą studentką, gdy zachodziła taka potrzeba, i starannie oglądałam stronę po stronie. Sześć zdjęć zwróciło moją uwagę ze względu na podobieństwo sfotografowanych mężczyzn do gwałciciela, lecz stopniowo utwierdzałam się w przekonaniu, że ta procedura nie przyniesie spodziewanych skutków.

Jeden z policjantów przyniósł mi słabą, ale gorącą kawę. Wysepka komfortu w nieprzyjemnie obcym otoczeniu.

– Jak leci? Coś pani zauważyła? – spytał.

– Nie – odparłam. – Wszystkie twarze mi się zlewają. Chyba go tu nie ma.

– Proszę nie rezygnować. Ma go pani świeżo w pamięci.

Dochodziłam do końca czwartego tomu, gdy dyspozytor odebrał telefon.

– Dzwonił Clapper! – zawołał do mojego policjanta. – Zna tego człowieka.

Policjant zostawił mnie w pokoiku i podszedł do stanowiska dyspozytora. Otoczyli go mundurowi czekający na zadania. Przez chwilę przysłuchiwałam się zabawnej rozmowie a la Abbott i Costello.

– Mówi, że to Madison – rzekł dyspozytor.

– Który Madison? – spytał mój policjant. – Mark?

– Nie – wtrącił ktoś inny. – Mark jest już postawiony w stan oskarżenia.

– Frank?

– Nie, Hanfy założył mu w zeszłym tygodniu elektroniczny identyfikator. To musi być Greg.

– Zdawało mi się, że on już siedzi.

I tak dalej. Pamiętam, że ktoś wspomniał ze współczuciem starego Madisona – jak ciężko mu samotnie wychowywać synów.

Powrócił mój policjant.

– Mam do pani kilka pytań – powiedział. – Gotowa?

– Tak.

– Proszę jeszcze raz opisać tamtego policjanta, którego pani widziała.

Zrobiłam to.

– Gdzie widziała pani jego wóz? Parkował przy Huntington Hall.

– O! Chyba wreszcie mamy tego, o którego chodzi.

Znów wyszedł, a ja zamknęłam leżącą na stoliku od maszyny księgę ze zdjęciami przestępców. Nagle nie wiedziałam, co zrobić z rękami. Trzęsły mi się. Wsunęłam je pod uda i przysiadłam na nich. Zaczęłam płakać.

Kilka minut później usłyszałam, jak dyspozytor woła:

„O, jest!”, a wszyscy zgromadzeni w pomieszczeniu za zamkniętymi drzwiami zaczęli wiwatować.

Wstałam, próbując gorączkowo znaleźć jakąś kryjówkę w pokoiku. Schroniłam się w kącie za drzwiami. Przycisnęłam twarz do metalowej półki, na której stały tomy ze zdjęciami policyjnymi sprzed lat.

– Dobra robota, Clapper! – pochwalił ktoś. Wypuściłam wstrzymywany oddech. Czyżby przyszedł sam policjant, bez mojego gwałciciela?

– Spiszemy zeznanie ofiary i wystawimy nakaz aresztowania – rzekł ktoś inny.

Tak, byłam bezpieczna. Ale wciąż nie wiedziałam, co robić. Nie czułam się na siłach dołączyć do nich. Dla nich byłam ofiarą,

nie osobą. Usiadłam z powrotem na krześle maszynistki.

Zza drzwi dobiegał radosny rozgwar. Mężczyźni klepali się po plecach i żartowali z rudowłosego policjanta. Nazywali go „tyczką”, „marchewką”, „młodzikiem”.

Clapper wetknął głowę do archiwum.

– Cześć, Alice. Pamiętasz mnie? Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

– Pamiętam.

Policjanci ryknęli śmiechem.

– Jak mogłaby cię zapomnieć? Jesteś najlepszą rzeczą zaraz po Świętym Mikołaju!

Stopniowo się uciszyli. Ktoś zadzwonił. Dwóch policjantów wyszło na wezwanie. Clapper musiał napisać raport. Mój policjant zaprowadził mnie do pokoju, w którym poznałam sierżanta Lorenza dokładnie sześć miesięcy temu bez trzech dni. Spisał moje oświadczenie, przytaczając szczegółowe opisy, które dostarczyłam wcześniej.

– Jest pani przygotowana na to, co nastąpi? – spytał pod koniec.

– Dokonamy aresztowania. Musi pani zadeklarować chęć zeznawania przed sądem.

– Chcę zeznawać – odparłam.

Odwieziono mnie do akademika nieoznakowanym samochodem. Zadzwoniłam do rodziców, żeby powiedzieć, że nic mi nie jest. Policjant złożył ostatni raport w sprawie F362, którą następnie przekazano z powrotem sierżantowi Lorenzowi.

Gwałt pierwszego stopnia
Oralizm pierwszego stopnia
Rozbój pierwszego stopnia

Gdy przebywałam wraz z ofiarą w biurze Wydziału Kryminalnego, nadano do wszystkich patroli komunikat. Zaraz potem zgłosił się policjant Clapper, prowadzący wóz nr 561, stwierdzając, że rozmawiał z osobnikiem odpowiadającym opisowi podejrzanego o gwałt około godziny 18. 27 na Marshall St. Osobnik, z którym rozmawiał, to niejaki Gregory Madison.

Madison jest notowany i ma na koncie odsiadkę w więzieniu. Policjant Clapper miał przeprowadzić okazanie zestawu fotografii w biurze Wydziału Kryminalnego, lecz nie było negatywu. Jest niemal pewne, że podejrzany w tej sprawie to Gregory Madison. Zostały spisane oświadczenia ofiary oraz policjanta Clappera. Aresztowanie nastąpi w najbliższym czasie.

Komunikat z opisem został przesłany trzeciej i pierwszej zmianie. Po zlokalizowaniu podejrzanego obserwować i prosić o wsparcie. Podejrzany może być uzbrojony i niebezpieczny.

Tej nocy śnił mi się sen. Pojawił się w nim Al Tripodi. W celi więziennej on wraz z dwoma innymi mężczyznami przytrzymali mojego gwałciciela. Zaczęłam dokonywać na nim aktów zemsty – bezskutecznie. Wyrwał się z rąk Ala Tripodiego i rzucił na mnie. Zobaczyłam jego oczy, tak jak widziałam je w tunelu. Z bliska.

Obudziłam się z krzykiem i usiadłam w wilgotnej pościeli. Popatrzyłam na telefon. Trzecia rano. Nie mogłam zadzwonić do matki. Próbowałam zasnąć. Znalazłam go. Znów mieliśmy być razem, we dwoje. Przypomniały mi się ostatnie linijki wiersza, który oddałam Gallagher.

Położ się i umrzyj obok mnie.

Wysłałam zaproszenie. W moim umyśle gwałciciel zamordował mnie w dniu gwałtu. Zamierzałam teraz odpłacić mu tym samym. Nienawiść moja niech urośnie ogromna.

8.

W pierwszym miesiącu nauki trzymałam się na uboczu, koncentrując się na dwóch warsztatach pisarskich. Na drugi dzień po przypadkowym spotkaniu z gwałcicielem na ulicy zadzwoniłam do Mary Alice i opowiedziałam jej o całym zdarzeniu. Była bardzo podekscytowana i jednocześnie przestraszona. No i bardzo zajęta. Ona, Tree i Diane ubiegały się właśnie o przyjęcie do żeńskich korporacji studenckich. Mary Alice upatrzyła sobie korporację Alfa Khi Omega – dla dobrych dziewcząt o zacięciu i sportowym, i naukowym. Należały tam same białe. Mary Alice wydawała się pewną kandydatką.

To jej ubieganie się o przynależność do korporacji, mimo że nieustannie wygłaszała cyniczne uwagi o rytuałach i idiotyzmach procesu inicjacyjnego, rozdzieliło nas. Nie widywałam się już z nią codziennie.

Ostrożnie nawiązałam nową przyjaźń. Ta studentka miała na imię Lila i pochodziła z Massachusetts, a przedtem z Georgii. W przeciwieństwie do mojej matki, która pielęgnowała wszystko, co wiązało się z Południem, Lila nie miała tamtejszego akcentu. Powiedziała mi, że pozbyła się go intensywnymi ćwiczeniami, kiedy zapisała się do szkoły średniej w Massachusetts. Na moje ucho świetnie się z tym uporała. Matka zaklinała się, że każdy południowiec poznałby się na niej, wyłowiłby lekką śpiewność i przeciąganie słów.

Mieszkała w moim akademiku, na tym samym piętrze, sześć drzwi dalej. Była blondynką i nosiła okulary tak jak ja. Miałyśmy też podobną figurę, inaczej mówiąc, lekką nadwagę. Lila uważała się za kujonkę, „towarzysko nierozwiniętą”. Uznałam więc za swój obowiązek trochę ją rozruszać. Wyczuwałam w niej zresztą ukrytego kłowna. Lila, podobnie jak Mary Alice, była dziewczicą.

Znalazłam w Liii idealną jednoosobową widownię. W parze z Mary Alice odgrywałam rolę dziwacznej towarzyszki u boku

popularnej dziewczyny. Natomiast w tej parze to ja byłam nieco szczuplejsza, głośniejsza, odważniejsza.

Któregoś wieczoru powiedziałam jej, że musimy wydobyć z niej zwierzę, i kazałam Liii patrzeć na mnie. Wzięłam pudełko rodzynek i zaczęłam je dźgać nożem, robiąc dzikie miny do aparatu, który trzymała w ręku. Potem się zamieniłyśmy i teraz ona miała dźgać rodzynki. Na zachowanych z tamtego dnia zdjęciach wyglądam, jakbym naprawdę się na nich wyżywała. Natomiast Lila nie potrafiła wejść w rolę. Trzyma nóż delikatnie nad podziurawioną torebką. Ma słodkie oczy i wyraz twarzy uczennicy, która bardzo się stara wyglądać na zatrwożoną i przejętą.

Chichotałyśmy namiętnie. Wiedząc, kiedy Lila robi sobie przerwy w nauce, wszelkimi sposobami nakłaniałam ją, żeby je przedłużała, aż przeciągały się na cały wieczór, bo śmiejąc się z nią, nie musiałam myśleć o niczym, co znajdowało się poza czterema ścianami mojego pokoju.

Czternastego października byłam w kampusie. W centrum miasta śledczy Lorenz zadzwonił do młodszej prokurator Gail Uebelhoer, wyznaczonej do zbadania sprawy przed zaprezentowaniem jej sędziemu w celu wydania nakazów. Pani prokurator nie było. Śledczy Lorenz zostawił wiadomość.

„O drugiej po południu aresztowano Gregory’ego Madisona”.

Drugi raz trafiłam na łamy gazet. „Ofiara wskazuje palcem” – głosił tytuł krótkiego artykułiku na pięć akapitów w „Syracuse PostStandard” z piętnastego października. Tricia z Centrum Kryzysowego dla Ofiar Gwałtu przesłała mi go pocztą, jak później wszystkie inne artykuły.

Termin przesłuchania wstępnego wyznaczono na dziewiętnastego października w sądzie w Syracuse. Pozwanym był Gregory Madison, powodem – Stan Nowy Jork. Przesłuchanie miało zdecydować, czy zgromadzono w sprawie dość dowodów, by zwołać wielką ławę przysięgłych. Uprzedzono mnie, że wśród wezwanych świadków zapewne znajdą się lekarze, którzy

sporządzili raport serologiczny w dniu gwałtu, oraz policjant Clapper, który widział Madisona na ulicy. Miałam zeznawać. Madison prawdopodobnie też.

Nie mogłam pójść na przesłuchanie sama, ale Mary Alice nie miała czasu, a Ken Childs z oczywistych powodów się nie nadawał. Lila była moją nową przyjaciółką; nie chciałam tego zaprzepaścić. Zwróciłam się do Tessy Gallagher z pytaniem, czy nie poszłaby ze mną. „Jestem zaszczyczona – odparła. – Zjemy lunch w dobrej restauracji. Ja stawiam”.

Nie pamiętam, w co się ubrałam, pamiętam natomiast, że Gallagher, która słynęła w kampusie z fantazyjnych strojów z idealnie dobranymi kapeluszami, miała na sobie dopasowany kostium i skromne półbuty. Widząc tak przemyślany i zaskakujący u niej strój, zrozumiałam, że przygotowała się do walki. Wiedziała, co świat sądzi o poetach. O sobie pamiętam tylko, że byłam ubrana odpowiednio. W korytarzach sądowych wyglądałyśmy tak, jak powinnyśmy wyglądać: studentka z młodą, zastępującą matkę opiekunką.

Najbardziej bałam się tego, że mogę zobaczyć Madisona. Razem z Tessą przemierzałam korytarze Sądu Powiatu Onondaga pod eskortą detektywa z policji. Prowadził nas na właściwą salę sądową, gdzie miałam spotkać wyznaczonego z urzędu adwokata. Ale przedtem musiałam skorzystać z toalety, a detektyw nie wiedział dokładnie, gdzie ona jest. Poszłyśmy więc z Tessą jej poszukać.

Starą część gmachu sądu wyłożono marmurem, na którym głośno stukały niskie obcasy Tessy. W końcu znalazłyśmy toaletę, gdzie, nie rozbierając się, usiadłam w kabinie i wbiłam wzrok w drewniane drzwi przed sobą. Nareszcie choć przez chwilę byłam sama. Próbowałam się uspokoić. Po przejściu z policji do sądu miałam serce w gardle. Słyszałam ten zwrot wielokrotnie, ale teraz dosłownie czułam, jakby tłukło mi się w przytkanym gardle coś żywego. Krew uderzyła mi do głowy, więc pochyliłam się, żeby nie zacząć wymiotować.

Wyszłam z toalety słaba i blada. Nie chciałam nawet przejrzeć

się w lustrze. Popatrzyłam za to na Tessę, która poprawiała ozdobne grzebyki po obu stronach głowy.

– Teraz dobrze – powiedziała, zadowolona z rezultatu. – Gotowa?

Spojrzałam na nią, a ona mrugnęła do mnie.

Kiedy wróciliśmy do detektywa, stała obok niego Tricia. Tricia była przeciwieństwem Tessy. Reprezentowała Centrum Kryzysowe dla Ofiar Gwałtu i podpisywała listy do mnie „z siostrzanym pozdrowieniem”. Niezbyt jej ufałam. Natomiast Tessa promieniowała innością. Jak żadna z kobiet, które dotychczas poznałam, weszła w takie obszary swego wnętrza, że wyróżniała się spośród otaczających ją osób, i nauczyła się z dumą obnosić swoją indywidualność. Tricia za bardzo chciała wyciągnąć mnie z izolacji. Chciała, żebym dużo czuła. Nie rozumiałam, jak silne odczuwanie mogło mi pomóc. Sąd Powiatu Onondaga nie był odpowiednim miejscem na otwieranie się. Tutaj musiałam mocno trzymać się prawdy. Musiałam mieć w gotowości wszystkie fakty, aby w każdej chwili móc je żywo odtworzyć. Tessa wspierała mnie swoją odwagą i siłą. To było mi bardziej potrzebne niż jakaś anonimowa „siostrzana” wspólnota; powiedziałam Tricii, że może odejść.

Usiadłam razem z Tessą na drewnianej ławie przed salą sądową. Ta ława przypominała mi zabudowane ławki u Świętego Piotra. Zdawało mi się, że czekamy wiele godzin. Tessa opowiadała mi o dzieciństwie w stanie Waszyngton, o przemyśle drzewnym, o łowieniu ryb i o swoim partnerze, Raymondzie Carverze. Pociły mi się ręce. Miałam krótki atak niekontrolowanych dreszczy. Słyszałam mniej niż połowę wypowiedzianych przez Tessę słów. Chyba o tym wiedziała. Właściwie nie mówiła do mnie, tylko jakby wyśpiewywała monolog-kołysankę. W końcu kołysanka ucichła.

Tessa spojrzała z irytacją na zegarek. Wiedziała, że nic nie będzie mogła zrobić. W kampusie i w świecie poezji była diwą, a tutaj kobietą bez władzy i znaczenia. Musiała czekać potulnie razem ze mną. Nasz wspólny lunch wydawał się bardzo odległy.

Od tamtego dnia, ilekroć zdarzyło mi się długo czekać na coś, czego się boję, moje zdenerwowanie rozprasza się i pozostaje tępe znużenie. Jest to nastawienie umysłu, które można streścić zdaniem: jeżeli piekło jest nieuniknione, wchodzę w traumatyczny sen.

Gdy zatem prokurator Ryan (przydzielony do sprawy, ponieważ prokurator Uebelhoer zajmowała się tego dnia w sądzie czym innym) podszedł do nas, żeby się przedstawić, Tessa milczała, a ja siedziałam ze wzrokiem wbitym w oddaloną o parę kroków windę.

Ryan miał koło trzydziestki. Jego rudawe włosy prosiły się o grzebień. Powypychana sportowa marynarka z zamszowymi łatami na łokciach wydawała się bardziej odpowiednim strojem w kampusie, skąd niedawno wyszłam, niż na sali sądowej.

Zwrócił się do Tessy per „pani Sebold”, a kiedy go poprawiła, wyjaśniając, że jest moją nauczycielką akademicką, trochę się zmieszał. Był zażenowany i jednocześnie pełen podziwu. Zerkał na nią ukradkiem, starając się ją wybadać i zarejestrować w pamięci.

– Czego pani uczy? – spytał.

– Poezji – odparła.

– Jest pani poetką?

– Owszem – rzekła Tessa. – Jakie wieści przynosi pan dla naszej dziewczyny?

Dopiero później zrozumiałam, że prokurator flirtował z Tessą, ona zaś, ze zręcznością nabytą przez doświadczenie, szybko zrobiła unik.

– Ucieszy się pani, Alice – zwrócił się do mnie – że pozwany zrezygnował z prawa wystąpienia.

– To znaczy?

– To znaczy, że jego adwokat zgodził się nie kwestionować identyfikacji.

– Czy to dobrze?

– Tak. Ale nadal musi pani odpowiedzieć na wszystkie pytania, które przygotował jego adwokat.

– Rozumiem – odparłam.

– Jesteśmy tu po to, żeby udowodnić, że to był gwałt. Że akt z podejrzanym nie odbył się za zgodą, lecz pod przymusem. Rozumiemy się?

– Tak. Czy Tessa może pójść ze mną?

– Po cichu. Proszę nic nie mówić po przejściu przez te drzwi. Pani profesor przysiadzie sobie z tyłu, koło egzekutora. A pani podejdzie do miejsca dla świadków. Ja zajmę się resztą.

Wszedł do sali przez drzwi po prawej. Na wprost nas kilka osób wysiadło z windy i skierowało się w naszą stronę. Jeden mężczyzna obrzucił nas długim, uważnym spojrzeniem. Był to obrońca, pan Meggesto.

Chwilę później egzekutor otworzył drzwi sali sądowej.

– Czekamy na panią, pani Sebold.

Postąpiłyśmy obie według wskazówek pana Ryana. Przeszłam przez salę. Słyszałam szelest przekładanych papierów.

Ktoś odkaslnął. Weszłam do boksu dla świadków i odwróciłam się.

W sali znajdowało się niewielu ludzi, a galeria dla publiczności składała się zaledwie z dwóch ostatnich rzędów. Spostrzegłam z prawej strony Tessę. Spojrzałam na nią raz. Posłała mi dopingujący uśmiech. Nie patrzyłam na nią więcej.

Pan Ryan podszedł do mnie i spytał o nazwisko, wiek, adres i inne niezbędne dane. Dzięki temu miałam czas przyzwyczaić się do stukania maszyny protokółantki i oswoić z myślą, że wszystko jest zapisywane. O tym, co przydarzyło mi się w tunelu, miałam teraz opowiadać na głos ze świadomością, że moje słowa będą później wielokrotnie czytane przez innych.

Zapytawszy jeszcze o to, gdzie doszło do gwałtu i czy było ciemno, prokurator zwrócił się do mnie z prośbą, o której mnie uprzedzał.

– Czy mogłaby pani własnymi słowami opowiedzieć o tym, co się wtedy wydarzyło?

Opowiadałam powoli, nie śpiesząc się. Ryan często mi przerywał. Spytał jeszcze raz o to, czy było ciemno, czy świecił

księżyc, czy się wyrywałam. Chciał się dowiedzieć, czy napastnik zadawał uderzenia otwartą dłonią czy pięścią, czy bałam się o swoje życie, ile pieniędzy mi zabrał i czy oddałam je chętnie, czy też nie.

Kiedy opisałam walkę przed tunelem, skierował uwagę na wydarzenia, które rozegrały się pod amfiteatrem.

– Proszę opisać, jakiej siły użył napastnik od momentu, gdy zaciągnął panią do amfiteatru, i co robiliście, zanim doszło do stosunku seksualnego.

– Najpierw przyciągnął mnie do swojej twarzy, trzymając ręce na mojej szyi, i kilka razy mnie pocałował, a potem kazał mi się rozebrać. Początkowo próbował sam zdjąć ze mnie ubranie, ale nie mógł rozpiąć paska. Kazał mi więc rozebrać się samej, co też zrobiłam.

– A kiedy kazał pani się rozebrać, czy nastąpiło to po tym, jak zagroził, że panią zabije, jeżeli nie będzie mu pani posłuszna, czy też zanim to powiedział?

– Potem... i już wtedy krwawiłam... miałam poturbowaną twarz.

– Krwawiła pani?

– Tak.

– Z powodu upadku?

– Z powodu upadku i dlatego, że mnie uderzył i pokaleczył twarz.

– Uderzył panią przed stosunkiem seksualnym, który pani opisała?

– Mhm.

– Gdzie panią uderzył?

– W twarz. Przez chwilę nie mogłam oddychać. Zaciskał mi ręce wokół szyi, podrapał mi twarz. Okładał mnie pięściami, kiedy leżałam na ziemi, i siedział na mnie, żebym nie uciekła.

– Dobrze – rzekł Ryan. – A potem, jak pani wspomniała, przez pewien czas miał kłopoty z osiągnięciem erekcji, czy tak?

– Mhm. – Zapomniałam o poleceniu sędziego, żeby mówić wyraźnie tak lub nie.

– Co się potem wydarzyło?

– Nie mógł osiągnąć erekcji. Właściwie nie wiedziałam, czyją ma, czy nie, nie znam się na tym. Ale zanim wszedł we mnie i odbyliśmy stosunek, stojąc przede mną kazał mi uklęknąć i obciągnąć mu druta.

– Czy potem nadszedł moment, kiedy uwolniła się pani od niego?

– Tak.

– Jak to się odbyło?

– Po tym, jak wszedł we mnie, podniósł mnie z ziemi i zaczął mnie ubierać, odszukał porozrzucone części garderoby, podał mi je, a kiedy się ubrałam, powiedział: „Będziesz miała dziecko, suko, i co z tym zrobisz?”.

Opisałam, jak gwałciciel mnie przytulił, przeprosił, i wreszcie puścił, by po chwili znów zawołać.

Ryan na chwilę umilkł. Kilka następnych pytań dało mi nieco wytchnienia. Co mi zabrano podczas incydentu? W co był ubrany gwałciciel? Jakiego był wzrostu? Jak wyglądał?

– Nie przypominam sobie, żeby wspomniała pani, czy był biały, czy czarny – rzekł Ryan na koniec przesłuchania.

– Był czarny – odparłam.

– To wszystko, Wysoki Sądzie.

Ryan usiadł. Sędzia zawołał: „Głos ma obrona!”, a wówczas wstał i podszedł do mnie pan Meggesto.

Obu adwokatów, którzy w ciągu tego roku reprezentowali Madisona, łączyły pewne cechy wspólne. Byli dość niscy, łysawi i mieli odpychające górne wargi. Jedną porastał zmierzwiony wąs (w przypadku Meggesta), a na drugiej zbierały się kropelki potu. Na tej ich brzydocie się skupiałam, gdy mnie przepytywali.

Czułam, że jeśli chcę wygrać, muszę nienawidzić adwokatów Madisona. Może występowali w jego obronie dla zarobku, może przypadkiem przydzielono ich do sprawy, może mieli dzieci, które kochali, albo śmiertelnie chorą matkę, którą musieli się opiekować. Nie obchodziło mnie to. Przyszli, żeby mnie zniszczyć. A ja przyszłam po to, żeby dać im odpór.

– Czy pani nazwisko wymawia się Siibold?

– Tak.

– Pani Sebold, powiedziała pani, że wieczorem, gdy wydarzył się ten incydent, przebywała pani na Westcott Street numer trzysta dwadzieścia jeden?

– Mhm.

Jego głos brzmiał potępiająco, jakbym była niedobłą dziewczynką, która skłamała.

– Jak długo przebywała tam pani owego wieczoru?

– Mniej więcej od ósmej do północy.

– Czy coś pani w tym czasie piła?

– Nic nie piłam.

– Czy coś pani paliła?

– Niczego nie paliłam.

– Czy miała pani papierosy?

– Nie.

– Nie paliła pani tego wieczoru?

– Nie.

– I nic pani nie piła w ciągu tego wieczoru?

– Nie.

Ponieważ ten trop nigdzie go nie zaprowadził, przeszedł do następnego.

– Od jak dawna nosi pani okulary?

– Od trzeciej klasy.

– Czy wie pani, jaki ma pani wzrok bez okularów?

– Jestem krótkowidzem i bardzo dobrze widzę z bliska. Nie wiem dokładnie, jaką mam wadę, ale nie jest duża. Widzę znaki drogowe.

– Czy ma pani prawo jazdy?

– Tak.

– Czy potrzebuje pani prawa jazdy?

– Tak.

– Zachowuje pani prawo jazdy?

– Tak.

Nie wiedziałam, do czego zmierza. Widziałabym sens w

pytaniu, czy wydano mi prawo jazdy pod warunkiem, że będę nosić okulary. Takiego pytania jednak nie zadał. Czy posiadanie prawa jazdy robiło ze mnie kogoś lepszego czy gorszego? Czy byłam dzięki temu zdecydowanie dorosła, co czyniło gwałt na mojej osobie mniejszą zbrodnią? Nigdy nie rozgryzłam rozumowania obrońcy.

– Czy prawdziwe jest stwierdzenie, że cały czas nosi pani okulary, żeby dobrze widzieć? – pytał dalej.

– Nie.

– Kiedy ich pani nie nosi?

– Kiedy czytam i w zasadzie kiedy wykonuję większość czynności.

Czy mogłam wyjaśnić, stojąc przed sądem, jaką toczyłam walkę z okulistą? Uważał, że noszę okulary częściej, niż potrzeba. Że ulegając pragnieniu chłonięcia informacji, rujnę wzrok i uzależniam oczy od okularów, co zresztą z czasem stało się faktem.

– Czy pani zdaniem potrzebowała pani okularów tamtego październikowego wieczoru?

Miał na myśli majowego, ale nikt go nie poprawił.

– Tak, bo był wieczór.

– Czy widzi pani gorzej wieczorem?

– Nie.

– Czy wzięła pani okulary z jakiegoś specjalnego powodu?

– Nie.

– Czy prawdziwe jest stwierdzenie, że wychodząc z akademika, zawsze nosi pani okulary?

– Nie.

– Czy tamtego wieczoru miała pani okulary z jakiegoś szczególnego powodu?

– Pewnie dlatego, że miałam je dopiero od tygodnia i podobały mi się. Były nowe.

Obrońca ożywił się.

– Nowa recepta czy tylko nowe oprawki?

– Nowe oprawki.

– Na tę samą receptę?

– Tak.

– Wypisaną przez kogo?

– Doktora Kenta z Filadelfii, niedaleko mojego rodzinnego domu.

– Czy pamięta pani, gdzie te... czy pamięta pani, kiedy to było?

– Ostatnią receptę dostałam chyba w grudniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego roku.

Czy wiedział, że dowodząc swojej racji, jednocześnie ją traci? Że moja recepta była aktualizowana pół roku przed gwałtem? Nie rozumiałam, co robi, ale zamierzałam podążać za każdym jego ruchem. Chciał mnie wciągnąć w labirynt, z którego nie mogłabym się wydostać. Byłam zdeterminowana. Czułam, że mam to, co miała Gallagher – odwagę i siłę. Czułam to w swoich żyłach.

– Mhm – odparłam.

– Z tego, co pamiętam, mówiła pani, że w którymś momencie, w trakcie szarpaniny, strącono pani okulary, czy tak?

– Tak.

– Miejsce zdarzenia było ciemne, czy tak?

– Tak.

– Proszę opisać, jak ciemno tam było?

– Nie całkiem ciemno. Było na tyle jasno, że widziałam rysy twarzy, poza tym jego twarz była bardzo blisko mojej, a ponieważ jestem krótkowidzem, a nie dalekowidzem, widzę dobrze z bliska.

Obrócił się w bok i wznosił oczy w górę. Przez moment, czując adrenalinę we krwi, przyglądałam się sądowi. Wszyscy siedzieli nieruchomo. Dla nich to była normalka. Kolejne przesłuchanie wstępne na kolejnej sprawie o gwałt. Rutyna.

– Powiedziała pani, jeżeli dobrze pamiętam, że w którymś momencie ten człowiek panią pocałował.

Był dobry, i ten ze spoconą wargą, i ten ze zmierzwionym wąsem. Zręcznie, precyzyjnie trafił mnie prosto w serce. Tamte pocałunki bolą mnie do tej pory. Wydaje się nie mieć znaczenia, ile razy odwzajemniałam je na rozkaz gwałciciela. Boli narzucona

intymność. Uważam, że słownik powinien podawać prawdę w definicji słowa gwałt. To nie jest tylko odbyty przemocą stosunek seksualny; gwałt oznacza zamieszkanie w kimś i zniszczenie wszystkiego.

– Tak – potwierdziłam.

– Mówiąc „pocałował”, ma pani na myśli „w usta”?

– Tak.

– Czy oboje staliście?

– Tak.

– Jakiego wzrostu był ten człowiek w stosunku do pani? Pocałunki były dla niego punktem wyjścia do określenia wzrostu gwałticiela.

– Był mniej więcej tego samego wzrostu, może parę centymetrów wyższy – odparłam.

– Ile pani ma wzrostu, pani Sebold?

– Metr sześćdziesiąt sześć.

– A ten człowiek był zapewne tego samego wzrostu lub parę centymetrów wyższy?

– Mhm.

– Kiedy pani tam stała i patrzyła na niego, wydawał się mniej więcej tego samego wzrostu, czy tak?

– Mhm.

– Mniej więcej takiego wzrostu jak pani?

– Tak.

Po tym, jak wypytał mnie o wzrok, zmienił ton. Nie było w nim teraz cienia szacunku. Kiedy zorientował się, że mnie nie zgnębił, przerzucił się na intensywną nienawiść. Poczułam się zagrożona. Pod każdym względem na sali sądowej, w otoczeniu profesjonalistów mogłam czuć się bezpieczna, a jednak się bałam.

– Jeżeli się nie mylę, kiedy składała pani tamtej nocy zeznanie, zaznaczyła pani w opisie napastnika, że był muskularnej budowy ciała?

– Tak.

– Że był niski i miał krótkie czarne włosy?

– Tak.

– Powiedziała pani na policji, składając dobrowolnie zeznanie pod przysięgą, że ważył około siedemdziesięciu pięciu kilo?

– Tak.

– Czy jest to najściślejsza pani zdaniem ocena wagi tego człowieka?

– Nie jestem bardzo dobra w ocenie wagi – odparłam. – Nie wiem, ile ktoś ma mięśni, a ile tłuszczu w stosunku do masy całego ciała.

– Ale pamięta pani, że powiedziała pani funkcjonariuszowi spisującemu zeznanie, że ten człowiek ważył około siedemdziesięciu pięciu kilo?

– Policjanci podali mi, ile sami mniej więcej ważą, jeden z nich ważył właśnie tyle, a ja powiedziałam, że tak, na oko tamten ważył tyle samo.

– Mówi pani, że uległa pani sugestii policjanta podającego swoją wagę?

– Nie, on tylko podał mi przykład, z którego skorzystałam. Wydawało mi się, że waży w przybliżeniu tyle samo, co tamten.

– Opierając się na tym, co powiedział policjant, oraz na bezpośrednich obserwacjach, szacuje pani wagę tego człowieka, jak zeznała pani ósmego maja, na siedemdziesiąt pięć kilogramów?

– Tak.

– Czy słyszała pani coś, co mogłoby w tym momencie zmienić pani zdanie?

– Nie.

Dostał zastrzyk energii. Wyglądał zupełnie jak chłopiec, który rozkoszuje się ostatnim kęsem ciasta. Pan Meggesto, po przegranej w potyczce o wzrok, odzyskał przewagę, ale nie wiedziałam, na czym ona polegała.

Byłam zmęczona. Robiłam, co mogłam, ale czułam, że tracę energię. Musiałam ją odzyskać.

– Twierdzi pani, jak rozumiem, że wielokrotnie została pani uderzona w twarz?

– Tak.

– I że pani krwawiła?

– Tak.

– Ze strącono pani okulary?

Z perspektywy czasu żałuję, że nie miałam możliwości powiedzieć: „Ale cały czas widziałam, nic mnie nie oślepiło”.

– Tak – odparłam.

– Czy udała się pani do lekarza ze swoimi obrażeniami?

– Tak.

– Kiedy to było?

– Tej samej nocy, zaraz po powrocie do akademika, zanim przybyłam na posterunek policji, zgłosiłam policji napad. Policjanci zawieźli mnie do szpitala Crouse Irving Memoriał, gdzie poszłam do laboratorium, a tam opatrzono mi skaleczenia twarzy i przepisano leki.

Zachowałam spokój, mówiłam sobie w duchu. Będę trzymać się faktów.

– Czy znalazła pani okulary w dniu incydentu?

– Policja znalazła okulary... Przerwał mi.

– Nie miała ich pani, opuszczając miejsce incydentu? Nie odeszła pani stamtąd w okularach?

– Zgadza się.

– Czy coś jeszcze pani pamięta?

– Nie.

Czułam się tak, jakby mnie uciszył. Obchodził się ze mną bez rękawiczek.

– Czy może pani pokrótce opisać, jak była pani ubrana piątego października?

Pan Ryan wstał i poprawił datę.

– Ósmego maja.

– Proszę powiedzieć, jak była pani ubrana ósmego maja – powtórzył pytanie pan Meggesto.

– W dzinsy Calvina Kleina, niebieską koszulową bluzkę, gruby beżowy sweter w warkocze, mokasyny i bieliznę. – To pytanie było mi wstrętne. Wiedziałam już wtedy, na miejscu dla świadka, do czego ono prowadzi.

– Czy sweter był zdejmowany przez głowę, czy zapinany z przodu na guziki?

– Zapinany z przodu na guziki.

– Nie musiała go pani ściągać przez głowę, żeby go zdjąć? Czy tak?

– Tak.

Krew się we mnie wzburzyła. Odzyskałam energię, ponieważ oczywistością dla mnie było, że moje ubranie nie ma nic a nic wspólnego z tym, dlaczego i w jaki sposób zostałam zgwałcona.

– Zeznała pani, że ten człowiek usiłował panią rozebrać, a kiedy mu się nie udało, rozkazał pani samej to zrobić?

– Tak, miałam na sobie pasek. Nie mógł się z nim uporać, stojąc naprzeciw mnie, więc sama musiałam go rozpiąć.

– To był pasek podtrzymujący dżinsy Calvina Kleina? Wymówił słowa „CaMna Kleina” z pogardą, na którą nie byłam przygotowana. Do tego więc doszło.

– Tak.

– Stał twarzą do pani?

– Tak.

– Zeznała pani, że nie mógł uporać się z nietypową sprzączką, na którą zapinał się pasek?

– Mhm.

– Zrobiła to pani na jego rozkaz?

– Tak.

Teraz musiał podjąć kolejny punkt. Wypytał mnie o nóż gwałciciela. Widziałam go tylko na zdjęciach z miejsca przestępstwa i w wyobraźni. Przyznałam Meggestowi, że gwałciciel wprawdzie groził mi nożem i robił ruch, jakby chciał go wyciągnąć z kieszeni, ale ja się wyrywałam i nigdy tego noża nie widziałam.

– Czy zgodne z prawdą jest stwierdzenie, że była pani tym wszystkim bardzo przestraszona? – spytał Meggesto, przechodząc dalej.

– Tak.

– Kiedy się pani przestraszyła?

- Kiedy usłyszałam za sobą kroki.
- Czy miała pani przyspieszone tętno?
- Chyba trochę szybsze, tak – odparłam. Nie rozumiałam, czemu mnie o to pyta.
- Czy pani to pamięta?
- Nie, nie pamiętam.
- Czy pamięta pani, że się pani przestraszyła i zaczęła szybko i płytko oddychać?
- Pamiętam, że się przestraszyłam, i zapewne towarzyszyły temu normalne fizyczne reakcje, ale nie miałam bardzo przyspieszonego oddechu.
- Pamięta pani coś jeszcze oprócz tego, że się pani przestraszyła?
- Stan umysłu? – Tak mi się to nasunęło, ponieważ sądziłam, że do tego zmierza.
- Nie – zaprzeczył – chodzi mi o doznania fizyczne. Czy pamięta pani, jak reagowało pani ciało, kiedy się pani przestraszyła? Czy drżała pani, miała pani przyspieszony puls, czy zmienił się oddech?
- Nie pamiętam żadnych specyficznych zmian, ale na pewno krzyczałam. Powtarzałam też gwałcicielowi, że zaraz zwymiotuję, ponieważ matka dawała mi kiedyś do czytania artykuły, w których radzono, aby dla uniknięcia gwałtu tak właśnie mówić.
- A więc był to podstęp, który miał odstraszyć tego człowieka?
- Tak.
- Czy dowiedziała się pani, jak ten człowiek się nazywa?
- Dokładnie kiedy czy...
- Czy dowiedziała się pani, jak ten człowiek się nazywa?
- Ja nie. – Nie byłam pewna, o co pyta. Zinterpretowałam jego pytanie tak, że pyta o to, czy znałam nazwisko Madisona w maju.
- Czy kiedykolwiek przed majem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku widziała pani tego człowieka?
- Nie.
- Czy kiedykolwiek po maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku widziała pani tego człowieka?

– Tak, widziałam go w październiku.

– Czy widziała pani tego człowieka kiedykolwiek między majem a październikiem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku?

– Nie.

– Nigdy?

– Nigdy.

– Kiedy widziała go pani po maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku?

Opowiedziałam mu o incydencie z piątego października. Podałam dokładny czas, miejsce, fakt ujrzenia gwałciciela i równocześnie rudego policjanta (później dowiedziałam się, że był to policjant Clapper). Powiedziałam, że zadzwoniłam na policję i udałam się na posterunek, żeby podać rysopis gwałciciela.

– Komu podała pani rysopis? – spytał. Pan Ryan zgłosił sprzeciw.

– Uważam, że wyszliśmy poza zakres bezpośredniego przesłuchania – rzekł. – Dalsze pytania były właściwe dla Przesłuchania Wade’a.

Nie wiedziałam, o czym Ryan mówi. Trzej panowie – pan Ryan, pan Meggesto i sędzia Anderson odbyli naradę na temat, co zostało ustalone przed przesłuchaniem wstępnym. Osiągnęli porozumienie. Pan Meggesto miał dalej zadawać pytania dotyczące aresztowania napastnika. Sędzia ostrzegł go jednak, że „za bardzo się wgłębia” w kwestię identyfikacji. Ostatnie słowa sędziego zapisane w stenogramie brzmiały „proszę się pośpieszyć”. Do dziś mam w uszach ton znużenia, z jakim je wypowiedział. Jestem pewna, że najbardziej zależało mu na tym, by zakończyć przesłuchanie i pójść na lunch.

Zdenerwowana, ponieważ nie rozumiałam podjętej decyzji ani nawet, mówiąc szczerze, nie miałam pojęcia, o czym tamci trzej rozmawiali, starałam się skupić na panu Meggesto. Cokolwiek zostało powiedziane, dostał pozwolenie, by dalej mnie atakować.

– Czy kiedykolwiek później, po tym, jak przeszła pani przez ulicę i poszła do Huntington Hall, widziała pani tego człowieka?

– Nie.

– Czy pokazywano pani jakieś fotografie?

– Nie. – Wówczas jeszcze nie wiedziałam, że nie okazano mi zestawu zdjęć podejrzanych, ponieważ policja nie dysponowała zdjęciem Madisona.

– Czy okazywano pani przestępców?

– Nie.

– Poszła pani na posterunek policji i tam dokonała identyfikacji?

– Tak.

– Po telefonie do matki?

– Tak.

– A potem poinformowano panią, że ktoś został aresztowany?

– Nie poinformowano mnie tamtego wieczoru. Poinformował mnie o tym policjant Lorenz, zdaje się we wtorek rano.

– A więc nie wiedziała pani na podstawie własnego doświadczenia, czy człowiek, którego widziała pani piątego października, i człowiek, którego aresztowano, to jedna i ta sama osoba?

– W żaden sposób nie mogłam tego wiedzieć, chyba że policja, która go aresztowała...

– Pytanie wymagało odpowiedzi tak lub nie, czy wie pani, że człowiek...

Wściekłam się, że tak mi przerywa.

– Z opisu, jaki mi przedstawiono, wynikało, że to jedna i ta sama osoba.

– Pytanie brzmi, czy pani to wie?

– Nie widziałam go od czasu jego aresztowania.

– Nie widziała go pani.

– Człowiek, którego opisałam ósmego maja, i człowiek, którego spotkałam piątego października, jest człowiekiem, który mnie zgwałcił.

– Tak pani zeznała. Jest pani przekonana, że człowiek, którego zobaczyła pani piątego października...

– Ja wiem, że człowiek, którego zobaczyłam piątego

października, jest człowiekiem, który mnie zgwałcił.

– Człowiek, który, jak pani twierdzi, zgwałcił panią, jest tym człowiekiem, którego zobaczyła pani piątego października?

– Zgadza się.

– Ale nie wie pani, czy właśnie tego człowieka aresztowano?

– Ja go nie aresztowałam, więc skąd mam wiedzieć?

– Właśnie tego dotyczy moje pytanie, pani nie wie?

– A więc nie wiem. – Co innego mogłam powiedzieć? Udowodnił, z dużą dozą dramatyzmu, że nie jestem członkiem policji Syracuse.

Pan Meggesto zwrócił się do sędziego.

– Nie mam więcej pytań.

Ale wcale nie skończył. Zostałam jeszcze na miejscu dla świadka, podczas gdy sędzia wysłuchiwał pana Meggesto, a potem omawiał z nim kwestię identyfikacji. Okazało się, że Ryan zabiegał o pojawienie się Madisona w sądzie, a teraz, kiedy Madison zrezygnował z prawa wystąpienia w sądzie, Ryan musiał już tylko udowodnić, że gwałt miał miejsce ósmego maja, a ja rozpoznałam mężczyznę, którego uważałam za napastnika. Powstało stąd zamieszanie. Ryan uważał, że skoro Madison zrezygnował z prawa wystąpienia w sądzie, Meggesto tym samym utracił prawo do roztrząsania kwestii identyfikacji. Meggesto był odmiennego zdania.

– Odraczam przesłuchanie do posiedzenia ławy przysięgłych – rzekł w końcu zmęczony sędzia.

Na podstawie ruchów wykonywanych przez Ryana i Meggesta – obaj zamknęli teczki – wywnioskowałam, że skończyli ze mną.

Poszłyśmy razem z Tessą na lunch. Zamówiłyśmy to, co jada się w północnej części stanu Nowy Jork – serowe frytki i tak dalej. Siedząc w restauracji, wdychałyśmy dochodzącą z kuchni woń tłuszczu. Tessa mówiła. Wypełniała czas rozmową. Ja gapiłam się na okazałe filodendrony, które ozdabiały i zasłaniały półki oddzielające poszczególne boksy. Byłam wyczerpana. Teraz się zastanawiam, czy Tessa zadawała sobie po cichu to samo pytanie,

które i ja sobie zadaję, odczytując na nowo protokół z przesłuchania wstępnego. Gdzie byli moi rodzice?

Chcę ich usprawiedliwić, chociaż może wcale tego nie potrzebują. W owym czasie czułam, że skoro sama podjęłam decyzję o powrocie do Syracuse, skutki tej decyzji – ponowne spotkanie gwałciciela – też powinnam ponieść sama. Teraz kusi mnie, żeby przytoczyć wszystkie możliwe usprawiedliwienia. Moja matka nigdy nie latała. Ojciec uczył. I tak dalej. Ale to tylko kwestia czasu. Matka mogła przyjechać samochodem, ojciec zaś mógł na jeden dzień odwołać zajęcia. A ja miałam dziewiętnaście lat i byłam uparta. Bałam się ich pocieszania, bałam się, że dopuszczenie do siebie uczuć mnie osłabi.

Zadzwoiłam z restauracji i przekazałam matce decyzję sędziego. Ucieszyła się, że Tessa jest ze mną, spytała, kiedy zbierze się ława przysięgłych, i wyraziła zaniepokojenie procedurą okazania – nawet takim zbliżeniem się do tamtego człowieka. Przez cały dzień denerwowała się, czekając na telefon. Z zadowoleniem przekazałam jej dobrą wiadomość – prawie tak dobrą, jakbym od góry do dołu dostała oceny celujące.

Na uczelni przerabiałam kursy tak jak wszyscy. Na pięć zajęć dwa to były warsztaty literackie, a oprócz tego trzy zajęcia obowiązkowe. Wykład Tessy. Język obcy. Literatura klasyczna w przekładzie.

Na wykładach z literatury klasycznej usypiałam z nudów. Wykładowca mówił monotonie, podręcznik miałam podniszczony, wysłużony i nieciekawym, a każda godzina nudnych zajęć ciągnęła się jak guma do żucia. Zaczęłam więc czytać. Katullusa. Safonę. Apolloniusza. I *Lizystratę*, sztukę Arystofanesa, w której mieszkanki Aten i Sparty buntują się – do czasu, aż mężczyźni w obu miastach-państwach zawrą pokój, kobiety z walczących ze sobą miast jednomyślnie podejmują bojkot stosunków małżeńskich. Arystofanes napisał tę sztukę w czterysta jedenastym roku przed naszą erą, ale przekładała się świetnie na nasze czasy. Wykładowca twierdził, że to prostacka

komedia, lecz dzięki ukrytemu przesłaniu – że zjednoczone kobiety są potęgą – sztuka ta była dla mnie bardzo ważna.

Minęło dziesięć dni od przesłuchania wstępnego. Właśnie wróciłam do akademika po lektoracie z włoskiego, na którym zupełnie mi nie szło. Nie umiałam wypowiedzieć na głos słów w taki sposób, w jaki od nas tego wymagano. Siedziałam z tyłu sali i nie mogłam się skupić na deklinacjach i koniugacjach. Kiedy wezwano mnie do odpowiedzi, wydusiłam z siebie jakąś formę z przekonaniem, że coś ona znaczy, ale profesor nawet nie rozpoznał słowa. W akademiku ktoś wsunął pod drzwi mojego pokoju kopertę. Przysłało ją biuro prokuratora z Prokuratury Okręgowej. W ten sposób dostałam wezwanie do stawienia się przed ławą przysięgłych czwartego listopada o drugiej po południu.

Zamierzałam iść na Marshall Street z Lila, kiedy wróci z zajęć. Czekając na nią, zadzwoniłam do biura prokuratora. Nie zastałam Gail Uebelhoer, która miała mnie reprezentować. Poprosiłam asystentkę, żeby powoli powtórzyła kilkakrotnie jej nazwisko. Chciałam je dobrze wymawiać. Do tej pory zachowałam karteczkę, na której zapisałam je fonetycznie. „Jubeleir albo Iibelleeir”. Ćwiczyłam wymowę przed lustrem, dążąc do naturalnego brzmienia. „Dzień dobry, pani Jubeleir, tu Alice Sebold ze sprawy Stan Nowy Jork kontra Gregory Madison”. „Dzień dobry, pani Iibelleeir... „. Pracowałam nad tym. Włoski poszedł w ką.

9.

Rankiem czwartego listopada przyjechał po mnie, pod Haven Hall, samochód służbowy. Wypatrywałam go przez oszklone ściany wejścia do akademika. Studenci zjedli już śniadanie w barze na piętrze, wzięli książki i poszli na zajęcia.

Byłam na nogach od piątej. Przedłużałam, na ile się dało, rytuały higieny. Długo stałam pod prysznicem w łazience. Nawilżyłam twarz, tak jak nauczyła mnie tego rok wcześniej Mary Alice. Wybrałam i uprasowałam części garderoby. Czułam na przemian zimne dreszcze i fale gorąca w końcówkach nerwów w okolicy mostka. Zdałam sobie sprawę, że może być to coś w rodzaju paniki, która rządziła życiem mojej matki. Przysięgłam sobie, że nie pozwolę, by rządziła moim.

Opuściłam oszklony korytarz, wychodząc na spotkanie detektywowi. Popatrzyłam mu w oczy. Uścisnęłam rękę.

– Alice Sebold – przedstawiłam się.

– Punktualna.

– Trudno zaspać w taki dzień – odparłam.

Byłam promienna, wesola, słowna. Ubrałam się w koszulę i spódnicę z grubej bawełny i pantofle Pappagallo. Rano zmartwiłam się, bo nie mogłam znaleźć cielistych rajstop.

Miałam czarne i czerwone, nieodpowiednie dla studentki dziewicy, którą spodziewała się ujrzyć ława przysięgłych. Pożyczyłam jasne rajstopy od starościny.

W samochodzie, z godłem powiatu Onondaga na przednich drzwiach, siedziałam z przodu, obok detektywa. Gawędziliśmy o uniwersytecie. Rzucił nazwami drużyn sportowych, o których nie słyszałam, i przewidywał, że stojąca od nieco ponad roku hala Carrier Dome przyniesie duże zyski regionowi. Kiwałam głową i starałam się coś odpowiadać, lecz przeszkadzało mi, że obsesyjnie martwię się o swój wygląd. O to, jak mówię. O to, jak się poruszam.

Tego dnia miała mi towarzyszyć Tricia z Centrum Kryzysowego dla Ofiar Gwałtu. Trzeba było czekać około godziny na procedurę okazania w więzieniu przy posterunku. Tym razem winda nie zatrzymała się na piętrze, które znałam, gdzie wysiadającego podtrzymuje na duchu widok zabezpieczonych drzwi i policjantów popijających kawę z kubków. Przemierzałam z detektywem i Tricią korytarze pełne ludzi. Policjantów i poszkodowanych, prawników i przestępców. Jakiś policjant minął nas, prowadząc zakutego w kajdanki mężczyznę i jednocześnie głośno opowiadając koledze wesołą anegdotę z niedawnej imprezy. Na plastikowym krześle siedziała Latynoska. Wpatrywała się w podłogę, ściskając w ręku torebkę i zmiętą jednorazową chusteczkę.

Detektyw wprowadził nas do dużej sali, gdzie prowizoryczne, nieco ponadmetrowe przepierzenia oddzielały biurka. Przy większości z nich siedzieli policjanci. Byli napięci i jakby gdzieś się śpieszyli; przyszli, żeby napisać raport albo szybko przeprowadzić rozmowę ze świadkiem, albo zadzwonić przed wyjściem na patrol czy też przed powrotem do domu.

Kazano nam siedzieć i czekać. Powiedziano, że są jakieś trudności z przygotowaniem procedury okazania. Podobno adwokat Madisona stwarzał jakieś problemy. A ja chciałam już poznać prokuratora Uebelhoer. Nie mogłam się doczekać. W otaczającej mnie męskiej atmosferze to, że jest kobietą, miało dla mnie znaczenie. Ale pani Uebelhoer właśnie zajmowała się usuwaniem przeszkód opóźniających okazanie. Denerwowałam się, że Madison mnie zobaczy.

– To niemożliwe – zapewnił detektyw. – Wprowadzimy go do pokoju z lustrem weneckim. Nie będzie nic widział.

Siedziałam i czekałam razem z Tricią. Nie dawała mi takiego wsparcia jak Tessa, ale poświęcała sporo uwagi. Wypytywała mnie o rodzinę i zajęcia na uczelni, powiedziała, że procedura okazania jest „jedną z najbardziej stresujących dla ofiar gwałtu”, i kilka razy zapytała, czy nie chcę się czegoś napić.

Myślę teraz, że odstręczały mnie od Tricii i od Centrum

Kryzysowego dla Ofiar Gwałtu ogólniki, którymi się posługiwali. Nie chciałam być jedną z osób w jakiejś grupie ani nie chciałam być z nikim porównywana. To w jakiś sposób gasiło moje przeczucie, że przetrwam. Tricia przygotowała mnie na porażkę, mówiąc, że nic się nie stanie, jeżeli coś mi się nie uda. A ja wcale nie chciałam usłyszeć tego, co mi powiedziała. Wobec przygnębiających statystyk dotyczących aresztowań i oskarżeń, czy choćby pełnego wyzdrowienia ofiar, nie miałam wyboru – musiałam zignorować statystyki. Potrzebowałam czegoś, co dawało nadzieję, jak na przykład przydzielenie mi kobiety prokuratora, a nie informacji, że w tym roku kalendarzowym sąd w Syracuse nie rozpatrywał ani jednej sprawy o gwałt.

Nagle Tricia powiedziała:

– O mój Boże!

– Co się stało? – spytałam, nie odwracając się do niej.

– Schowaj się.

Nie miałam czym się przykryć. Nachyliłam się i schowałam twarz w spódnicę. Ale oczu nie zamknęłam. Tricia wstała i zaczęła protestować.

– Proszę ich stąd zabrać – powiedziała. – Proszę ich stąd zabrać.

Policjant rzucił pośpieszne „przepraszam”.

Jakiś czas potem podniosłam głowę. Nikogo nie było. Zaszło jakieś nieporozumienie co do trasy, którą miano przeprowadzić mężczyzn wybranych do okazania. Zaparło mi dech. Czy mnie widział? Jeżeli tak, to byłam pewna, że mnie znajdzie i zabije. Nie przeoczyłby mojej zdrady – kłamliwej obietnicy, że nie doniosę na niego nikomu, że za bardzo się wstydzę.

Podniosłam wzrok.

Stała przede mną Gail Uebelhoer. Wyciągnęła rękę, a kiedy podałam swoją, uściśnęła ją mocno.

– Chwila strachu, ale zabrali ich w samą porę – rzekła. Miała krótkie, czarne włosy i czarujący uśmiech. Była wysoka i dobrze zbudowana. Prawdziwa, mocna kobieta, a nie jakaś wychudzona szczapa. Oczy błyszczały jej inteligencją. Natychmiast

nawiązałam z nią kontakt. W przyszłości chciałam być taka jak ona. Przyszła, żeby zrobić to, co do niej należy. Pragnęła tego samego co ja: wygrać.

Wyjaśniła, że za chwilę przyjrzę się ustawionym w szeregu mężczyznom, potem porozmawiamy o ławie przysięgłych i opowie mi dokładnie, czego mam się spodziewać, jak będzie wyglądała sala, kiedy do niej wejdem, ile będzie w niej osób cywilnych, jakie zadadzą mi pytania – mogą być dla mnie trudne, uprzedziła, lecz muszę na nie odpowiedzieć.

– Gotowa? – spytała.

– Tak – odparłam.

Gail poprowadziła mnie i Tricię do otwartych drzwi prowadzących do części pokoju przeznaczony dla oglądającego okazanych. W ciemnym pomieszczeniu stało kilku mężczyzn. Poznałam jednego – sierżanta Lorenza. Nie widziałam go od dnia gwałtu. Skinął głową. Oprócz niego było jeszcze dwóch mundurowych i adwokat oskarżonego, Paquette.

– Nie wiem, po co przyszła tu ta pani – rzekł Paquette, wskazując Tricię.

– Reprezentuję Centrum Kryzysowe dla Ofiar Gwałtu – wyjaśniła Tricia.

– Wiem, kim pani jest, ale uważam, że tu i tak za dużo ludzi – powiedział. Był niski, blady, łysiejący. Miał być ze mną do końca sprawy.

– To zwyczajowa praktyka – wtrącił sierżant Lorenz.

– O ile wiem, ta pani nie przebywa tutaj w oficjalnym charakterze. Nie ma formalnego powiązania ze sprawą.

Spór trwał. Włączyła się do niego Gail. Sierżant Lorenz powtórzył, że coraz częściej w sprawach o gwałt bierze udział przedstawicielka Centrum Kryzysowego.

– Jest tu z nią kobieta adwokat, to wystarczy – obstawał przy swoim Paquette. – Nie zgadzam się, żeby mój klient wziął udział w okazaniu, dopóki ta pani stąd nie wyjdzie.

Gail skonsultowała się z Lorenzem w przedniej części zaciemnionego pokoju. Potem wróciła do mnie i Tricii.

– Adwokat nie zgadza się na kontynuowanie – rzekła. – Już mamy opóźnienie z okazaniem, a ja muszę być w sądzie o pierwszej.

– Nic mi nie jest – zapewniłam. – Nic mi nie jest. Kłamałam. Czulałam się tak, jakby ktoś uderzył mnie w pierś, i zabrakło mi tchu.

– Jest pani pewna, Alice? – spytała. – Chcę, żeby pani była pewna. Możemy to przełożyć na później.

– Nie – odparłam. – Nic mi nie jest. Chcę zrobić to teraz.

Odprawiono Tricię.

Wyjaśniono mi procedurę okazania. Wprowadzą pięciu mężczyzn do części pokoju za lustrem, a tuż przed ich wejściem zapali się tam światło.

– Ponieważ po ich stronie będzie jasno, a tutaj ciemno, nie będą pani widzieć – rzekł Lorenz.

Poradził też, żebym się nie śpieszyła. Mogłam go poprosić, żeby kazał im się obrócić w lewo, w prawo albo coś powiedzieć. Powtórzył, że nie powinnam się śpieszyć.

– Kiedy będzie pani pewna – rzekł – proszę podejść i postawić wyraźny krzyżyk w odpowiedniej kratce na planszy, którą przygotowałam. Rozumie pani?

– Tak – odparłam.

– Czy ma pani jakieś pytania? – spytała Gail.

– Powiedziała „tak” – wtrącił Paquette.

Czulałam się zupełnie tak jak wtedy, gdy byłam dzieckiem. Dorośli nie mogli się ze sobą dogadać, a ja musiałam być tą grzeczną dziewczynką, która rozładowuje panujące w pokoju napięcie. Pod wpływem napięcia spłycał mi się oddech, a serce zaczęło szybciej bić. Teraz mogłabym opisać Meggestowi objawy paniki. Byłam wystraszona i przytłoczona. Ale przed chwilą powiedziałam, że jestem gotowa. Nie wypadało się wycofać.

Samo pomieszczenie budziło we mnie lęk. Nie potrafiłam oderwać wzroku od weneckiego lustra. W programach telewizyjnych po drugiej stronie weneckiego lustra jest zawsze kawałek wolnej podłogi, a dalej platforma i z boku drzwi, przez

które wchodzą podejrzani, aby ustawić się na dwóch lub trzech stopniach. Ten krzepiący odstęp oddziela ofiary od podejrzanych.

Pokój, w którym się znalazłam, nie przypominał wcale pomieszczeń pokazywanych w programach o pracy policji. Lustro zajmowało całą ścianę. Po jej drugiej stronie znajdowało się przejście niewiele szersze niż barki mężczyzny, wyobrażałam więc sobie, że gdy podejrzani wejdą i obrócą się do mnie przodem, będą stali tuż za lustrem. Miałam dzielić mniej niż pół metra kwadratowego podłogi z podejrzanym; mój gwałciciel stanie dokładnie na wprost mnie.

Lorenz wydał przez mikrofon polecenie i po drugiej stronie lustra zapaliło się światło. Pięciu Murzynów w niemal identycznych jasnoniebieskich koszulach i ciemnoniebieskich spodniach weszło i zajęło swoje miejsca.

– Może pani podejść bliżej – zachęcił Lorenz.

– To nie jest numer jeden, dwa ani trzy – powiedziałam.

– Nie ma pośpiechu – rzekła Uebelhoer. – Niech pani podejdzie bliżej i każdemu z nich dobrze się przyjrzy.

– Mogę kazać im obrócić się w lewo albo w prawo – przypomniał Lorenz.

Paquette milczał.

Wykonałam polecenie. Chociaż wydawało mi się, że mężczyźni są na wyciągnięcie ręki, podeszłam jeszcze bliżej.

– Czy może im pan kazać obrócić się w bok? – poprosiłam.

Kazano im obrócić się w lewo. Po kolei. Kiedy znów obrócili się przodem, cofnęłam się.

– Czy oni mnie widzą? – spytałam.

– Widzą jakiś ruch w lustrze, ale pani nie widzą – rzekł Lorenz.

– Wiedzą, kiedy ktoś przed nimi stoi, lecz nie wiedzą kto.

Przyjęłam spokojnie te słowa. Nie spytałam: „A któż inny mógłby tu stać?”. Nikogo innego nie było razem z nami w tamtym tunelu. Stałam przed mężczyzną z numerem jeden. Wyglądał za młodo. Podeszłam do następnego z numerem dwa. Ani trochę nie przypominał podejrzanego. Kątem oka spostrzegłam, że prawdziwe wyzwanie stanowili dwaj ostatni mężczyźni, mimo to

zatrzymałam się przy numerze trzecim na tyle długo, żeby utwierdzić się w przekonaniu o słuszności wcześniejszego spostrzeżenia. Był za wysoki, a także inaczej zbudowany. Stałam przed numerem czwartym. Nie patrzył na mnie, tylko w podłogę. Przyjrzałam się jego ramionom. Na szerokość takie, jak ramiona gwałciciela, i mocne. Kształt głowy i szyi – zupełnie taki sam jak u gwałciciela. Budowa ciała, nos, usta. Objęłam się ramionami, nie odrywając od niego wzroku.

– Alice, nic pani nie jest? – spytał ktoś.

Paquette zgłosił sprzeciw.

Czułam, że zrobiłam coś źle.

Przeszłam do numeru piątego. Zgadzała się i budowa ciała, i wzrost. I ten patrzył na mnie, prosto na mnie, jakby wiedział, że stoję za lustrem. Jakby wiedział, kim jestem. Wyraz jego oczu mówił, że gdybyśmy zostali sami, gdyby nie dzieliła nas ta lustrzana ściana, zawołałby mnie po imieniu, a potem zabił. Patrzył twardo, nieustępliwie. Zebrałam całą energię i odwróciłam się.

– Jestem gotowa – powiedziałam.

– Na pewno? – spytał Lorenz.

– Powiedziała, że jest gotowa – wtrącił Paquette. Podeszłam do planszy, którą podsunął mi Lorenz. Wszyscy na mnie patrzyli – Gail, Paquette i Lorenz. Umieściłam krzyżyk w kratce numer pięć. Zaznaczyłam nie tego, co trzeba.

Pozwolono mi stamtąd wyjść. W korytarzu zobaczyłam Tricię.

– Jak poszło?

– Numer czwarty i piąty wyglądali identycznie, jak bliźniaki – odparłam, zanim eskortujący mnie policjant w mundurze wprowadził mnie do pobliskiej sali konferencyjnej.

– Proszę pilnować, żeby z nikim nie rozmawiała – rzucił Lorenz, wtykając głowę przez drzwi. Ponieważ zdążyłam już porozmawiać, w jego głosie zabrzmiał ton wymówki.

W sali konferencyjnej próbowałam wyczytać w oczach umundurowanego policjanta, czy wybrałam właściwy numer. Ale

jego twarz pozostawała bez wyrazu. Chwyciły mnie mdłości. Zaczęłam chodzić w tę i z powrotem między stołem konferencyjnym a rzędem krzeseł pod ścianą. W gardle zupełnie mi zaschło. Właśnie wtedy nabrałam przekonania, że wybrałam niewłaściwego mężczyznę. Powiedziałam sobie, że postąpiłam pod wpływem impulsu, że za krótko przyglądałam się obu okazany, nie zastanawiając się nad przyjętymi przez nich pozami. Tak bardzo chciałam mieć to już za sobą, że nie zachowałam należytej staranności. Od dziecka wytykali mi tę wadę rodzice – że za bardzo się śpieszę, postępuję pochopnie, bez zastanowienia.

Otworzyły się drzwi i wszedł spochmurniały Lorenz. Dostrzegłam w korytarzu Gail. Lorenz zamknął drzwi.

– To był numer czwarty, prawda? – spytałam. Lorenz, duży i masywny, przypominał typowego ojca rodziny z serialu telewizyjnego, tyle że z domieszką przebojowości rodem z Północnego Wschodu. Natychmiast wyczułam, że jest mną rozczarowany. Nie musiał nic mówić. Wskazałam niewłaściwego mężczyznę. To był numer czwarty.

– Bardzo się pani spieszyło, żeby stamtąd wyjść – rzekł.

– To był numer czwarty.

– Nie mogę nic pani powiedzieć. Uebelhoer chce, żeby złożyła pani pisemne oświadczenie i szczegółowo opisała procedurę okazania. Proszę wyjaśnić, dlaczego wybrała pani numer pięć.

– Gdzie ona jest? – spytałam nerwowo. Wszystko się we mnie zapadło. Zawiodłam i teraz nastąpi koniec, myślałam. Uebelhoer zajmie się innymi sprawami, lepszymi ofiarami; nie zechce tracić czasu na zajmowanie się takim beznadziejnym przypadkiem jak ja.

– Podejrzany Madison zgodził się dostarczyć próbkę włosów łonowych – dodał Lorenz i uśmiechnął się wesoło. – Adwokat postanowił być obecny przy pobieraniu włosów w męskiej toalecie.

– Dlaczego to robi? – spytałam.

– Bo ma podstawy przypuszczać, że włosy znalezione na pani

ciele w dniu incydentu nie będą odpowiadały próbce jego włosów.

– Ależ będą – zapewniłam. – Musi o tym wiedzieć.

– Jego adwokat wziął pod uwagę reguły prawdopodobieństwa i postanowił zaryzykować. To robi dobre wrażenie, jeżeli zgłaszają się na ochotnika. Potrzebujemy pani oświadczenia. Proszę się stąd nie ruszać.

Poszedł poszukać papieru i zająć się też innymi rzeczami, o których nie miałam pojęcia. Umundurowany policjant wyszedł, zostawiając mnie samą. Zapewnił, że tu jestem bezpieczna.

W tym czasie zaczęłam logicznie myśleć: zidentyfikowałam niewłaściwego człowieka. Bezpośrednio po tym fakcie Paquette zgodził się, żeby jego klient dobrowolnie dał próbkę swoich włosów łonowych. Uebelhoer uprzedzała mnie, że adwokat pozwanego chce oprzeć linię obrony na złej identyfikacji. Przestraszona biała dziewczyna zobaczyła na ulicy Murzyna. Kiedy ten ją przyjaźnie zagadnął, połączyła go w myślach z gwałtem. Oskarżyła niewłaściwego człowieka. Okazanie miało tego dowieść.

Usiadłam przy dużym stole. Ułożyłam sobie wszystko w głowie. Pomyślałam, co mi się przed chwilą przydarzyło. Tak się bałam, że wybrałam mężczyznę, który mnie najbardziej przestraszył, tego, który na mnie patrzył. Dopiero teraz – za późno – zrozumiałam, na czym polegał trik.

Lorenz miał wrócić lada chwila. Musiałam od nowa rozpatrzyć swoją sytuację.

Po powrocie z uśmiechem powiedział, że włosy łonowe będą Madisonowi wrywane, a nie ścinane. Próbował żartować.

Spisał moje oświadczenie. Zostało w nim odnotowane, że weszłam do pokoju pięć po jedenastej, a wyszłam jedenaście po jedenastej. Szybko uzasadniłam, dlaczego wykluczyłam mężczyzn oznaczonych numerem jeden, dwa i trzy. Mężczyźni z numerami cztery i pięć byli bardzo do siebie podobni, przy czym ten czwarty miał twarz nieco „bardziej płaską i szerszą” niż podejrzany. Powiedziałam, że numer czwarty cały czas patrzył w dół, a ja wybrałam numer piąty, ponieważ patrzył prosto na mnie.

Dodałam, że czułam się ponaglana, a dodatkowo onieśmielona przez adwokata obrony, który nie wyraził zgody na obecność członkini Centrum Kryzysowego dla Ofiar Gwałtu w pokoju okazań. Zaznaczyłam, że nie miałam okazji spojrzeć w oczy numerowi czwartemu, i powtórzyłam, że wybrałam piątego, ponieważ na mnie patrzył.

W pokoju zapadła cisza, przerywana nierównym stukaniem w klawisze.

– Mam obowiązek poinformować panią, że nie udało się pani zidentyfikować podejrzanego – rzekł Lorenz.

Nie powiedział, który z mężczyzn był podejrzanym. Nie mógł mi tego powiedzieć. Ale ja i tak wiedziałam.

Odnotował, że poinformował mnie o nieudanej próbie identyfikacji, a ja oświadczyłam, co również zostało odnotowane, że według mnie mężczyźni z numerami cztery i pięć wyglądali niemal identycznie.

Do sali weszła Uebelhoer. Razem z nią jeszcze inni ludzie. Policjanci i Tricia. Uebelhoer była zła, a mimo to się uśmiechała.

– No, wreszcie mamy próbkę włosów tego drania – oznajmiła.

– Policjant Lorenz powiedział mi, że wybrałam niewłaściwą osobę – rzekłam.

– Ona uważa, że to był numer czwarty – dorzucił Lorenz.

Popatrzyli na siebie, a potem Gail zwróciła się do mnie.

– To oczywiście, że wybrała pani źle. Już on się postarał, razem ze swoim adwokatem, żeby nie miała pani szans na właściwy wybór.

– Gail – rzucił ostrzegawczo Lorenz.

– Ma prawo wiedzieć. Zresztą i tak wie – powiedziała Uebelhoer, patrząc na policjanta.

On myślał, że trzeba mnie chronić; ona zaś wiedziała, że pragnę prawdy.

– Przygotowania trwały tak długo, ponieważ Madison chciał sprowadzić przyjaciela, żeby koło niego stanął. Ktoś musiał pojechać po niego samochodem do więzienia. Starali się nie dopuścić do okazania przed jego przyjazdem.

– Nie rozumiem – zdziwiłam się. – Wolno mu poprosić przyjaciela, żeby stanął koło niego?

– Takie prawo przysługuje oskarżonemu – wyjaśniła. – Na pewnej płaszczyźnie to ma sens. Jeżeli inni stojący w szeregu nie wydadzą się podejrzanemu wystarczająco do niego podobni, może sobie kogoś wybrać, żeby przy nim stanął.

– Czy możemy to powiedzieć? – Zaświtała mi nadzieja na wyjaśnienie. Może miałam jeszcze jakąś szansę.

– Nie – odparła. – To wbrew prawom oskarżonego. Naprawdę wykręcili pani numer. W każdym okazaniu, w którym jeden z nich musi wystąpić, albo on wykorzystuje tego przyjaciela, albo ten przyjaciel wykorzystuje jego. Są podobni jak dwie krople wody.

Słuchałam jej uważnie. Uebelhoer znała na pamięć wszystkie te sztuczki, a mimo to miała w sobie tyle pasji, żeby unosić się gniewem.

– A więc te oczy...

– Jego przyjaciel nastraszył panią spojrzeniem. Wie, kiedy zatrzymuje się pani przed nim po drugiej stronie lustra, i dołuje panią. Tymczasem podejrzany spuszcza wzrok, jakby nie rozumiał, skąd się tu wziął. Jakby zgubił się w drodze do cyrku.

– I nie możemy wykorzystać tego w sądzie?

– Nie. Jeszcze przed okazaniem wystosowałam formalny sprzeciw, więc zostanie zaprotokołowany, ale to tylko formalność. Nie jest dopuszczany, chyba że podejrzany zdradzi się, że znał wcześniej powódkę.

Wydawało mi się to tak niesprawiedliwe, jakby wymyślił to człowiek bez sumienia.

– Większe prawa przyznaje się obronie – rzekła Gail. Pragnęłam faktów jak powietrza. W tamtych chwilach, gdy mogłam tak łatwo dać za wygraną, fakty były moim życiem.

– Dlatego prawnicy używają takich wyrażeń jak „uzasadniona wątpliwość”. Zadaniem adwokata obrony jest wywoływanie wątpliwości. Okazanie stwarzało duże ryzyko. Wiedzieliśmy, że może się zdarzyć to, co się zdarzyło, ale w kartotece przestępców nie było zdjęcia oskarżonego, a on sam zrezygnował z wystąpienia

w czasie przesłuchania wstępnego, dlatego nie mieliśmy wyboru. Nie mogliśmy odmówić udziału w okazaniu.

– A co z włosami?

– Jeżeli dopisze nam szczęście, zostanie stwierdzona zgodność we wszystkich siedemnastu punktach wyszczególnionych przy analizie włosa. Lecz nawet włosy pobrane z tej samej głowy mogą się różnić w tych punktach. Paquette uznał, że warto zaryzykować. Prawdopodobnie będzie utrzymywał, że tamtego dnia straciła pani cnotę z własnej, nieprzymuszonej woli, żałowała pani tego, a potem gotowa była oskarżyć każdego Murzyna, który podszedłby do pani na ulicy. Z pewnością stanie na głowie, żeby przedstawić panią w złym świetle. Nie pozwolimy na to.

– Co teraz?

– Ława przysięgłych.

Byłam nieszczęśliwa. O drugiej rozpoczął się następny etap tej podróży, a ja musiałam być gotowa, by podjąć jego trudy. Na pewno starałam się w tym czasie oczyścić umysł ze wspomnienia o porannym niepowodzeniu i nie dopuszczałam do swojej świadomości tego, jak chciał mnie przedstawić adwokat Madisona. Nie zadzwoniłam do matki. Nie miałam dla niej dobrej wiadomości, chociaż miałam sojusznika w postaci Uebelhoer. Myślałam głównie o tym, że Gail była obecna przy pobieraniu próbki włosów łonowych.

O drugiej wprowadzono mnie do poczekalni przed salą, w której zasiadała ława przysięgłych. Gail była już w środku. Nie zdążyłyśmy przedtem porozmawiać, tak jak sobie tego życzyła. Podczas lunchu pracowała nad pytaniami, a przede mną występowali jeszcze inni świadkowie. Tricia, którą zapewniłam, że dam sobie radę, wyszła zaraz po okazaniu.

Czekając przed salą ławy przysięgłych, próbowałam myśleć o zapowiedzianym na następny dzień teście z włoskiego. Wyjęłam z plecaka przykłady zdań i zaczęłam się w nie gapić. Rano zamieniłam parę słów na temat lektoratu z języka włoskiego z policjantem, który po mnie przyjechał. Żałowałam, że nie ma przy

mnie Tessy. Bardzo się bałam, żeby ona i Toby nie zniechęcili się do mnie przez to, że mogłam być dla nich ciężarem z powodu gwałtu, dlatego przykładałam się pilnie do nauki, tak jak do mojej sprawy w sądzie.

Usłyszałam kroki w korytarzu. Zobaczyłam idącą w moją stronę Gail. Szybko udzieliła mi wyjaśnień: że będzie mnie pytała o wydarzenia, jakie zaszły tamtego wieczoru, że potem przejdzie do mojej zdolności zidentyfikowania gwałticiela oraz identyfikacji policjanta Clappera. Chciała, żebym wyraźnie zaznaczyła, że wahałam się między numerem cztery i pięć, i wyjaśniła dlaczego. Podkreśliła, żebym przy żadnej odpowiedzi się nie śpieszyła i nie czuła się ponaglana.

– To będzie łatwiejsze niż przesłuchanie wstępne, proszę tylko trzymać się mnie. Może na sali wydam się pani chłodniejsza, niż jestem teraz, ale proszę pamiętać, że idziemy tam, żeby wygrać sprawę i do pewnego stopnia... cóż, wielka ława przysięgłych składa się z dwudziestu pięciu cywilów, a my występujemy przed nimi jak na scenie.

Wyszła, zostawiając mnie. Kilka minut później zostałam wprowadzona do środka. I tym razem nie byłam przygotowana na to, co zobaczę. Od miejsca dla świadka rozchodziły się w górę i na boki szerokie stopnie, na których umocowano na stałe obrotowe pomarańczowe fotele. Stopnie rozchodziły się tarasowato – im wyżej, tym szerszym łukiem. Było tam dość miejsc dla dwudziestu pięciu członków ławy przysięgłych i dla dodatkowych sędziów przysięgłych, którzy przysłuchiwali się rozprawom bez prawa do głosowania.

Takie rozplanowanie sali sprawiało, że wszyscy patrzyli z góry na siedzącego na swoim miejscu świadka. Nie było ani stołu obrony, ani stołu prokuratora.

Gail zachowywała się tak, jak uprzedzała. Stosowała taktykę adwokata w sądzie. Często patrzyła sędziom przysięgłym w oczy, gestykulowała, powoli i wyraźnie wymawiała kluczowe słowa i zwroty, żeby zostały zapamiętane. Pytania zadawała w taki sposób, żeby uspokoić zarówno mnie, jak i sędziów przysięgłych.

Mówiła mi, że sprawy o gwałt są dla nich trudne. Wkrótce sama miałam się o tym przekonać.

Kiedy spytała, gdzie mnie gwałciciel dotykał, a ja, odpowiadając, musiałam powiedzieć, że wepchnął mi pięść do waginy, wielu sędziów spuściło oczy albo uciekło wzrokiem w bok. Najbardziej jednak zakłopotano ich to, co usłyszeli chwilę potem. Uebelhoer wypytała mnie o krwawienie: ile straciłam krwi i dlaczego tak dużo. Spytała, czy byłam dziewicą. Odpowiedziałam „tak”.

Sędziowie się wzdrygnęli. Współczuli mi. Do końca przepytывania niektórzy z nich, i to nie tylko kobiety, z trudem powstrzymywali łzy. Zdałam sobie sprawę, że to, co tamtego wieczoru straciłam, nieoczekiwanie dziś działało na moją korzyść. Dzięki dziewictwu wydawałam się lepsza, zbrodnia zaś wydawała się gorsza.

Nie potrzebowałam ich współczucia. Chciałam wygrać. Ale ich reakcje sprawiły, że zaczęłam się zastanawiać nad tym, co mówię, a nie tylko podsumowywać w duchu, co zwiększa, a co zmniejsza szanse uzyskania werdyktu: winny. Szczególnie poruszyły mnie łzy jednego człowieka w drugim rzędzie. Wtedy się popłakałam. Dzięki temu też lepiej wypadłam.

Szkic, który wykonałam nocą piątego października, został włączony do dowodów i przeznaczony do identyfikacji. Uebelhoer zadawała precyzyjne pytania: czy ktoś pomógł mi w szkicowaniu, czy to mój charakter pisma, czy ktoś namówił mnie do sporządzenia notatki.

Następnie przeszła do procedury okazania. Teraz zrobiło się goręcej. Sondowała mnie jak chirurg, wydobywając każdy niuans pięciu minut, które spędziłam w tamtym pokoju. Na koniec spytała, czy byłam pewna, że rozpoznałam właściwego człowieka.

Odpowiedziałam: „nie”.

Potem spytała, dlaczego wybrałam numer pięć. Wyjaśniłam, że miał odpowiedni wzrost i budowę ciała. Powiedziałam o oczach.

Wreszcie przyszedł czas na ławę przysięgłych. Sędziowie kolejno zadawali mi pytania.

– Dlaczego nie podeszła pani do policjanta, kiedy zobaczyła go pani na Marshall Street?

– Wybrała go pani z szeregu okazanych. Czy jest pani absolutnie pewna, że to właśnie ten mężczyzna?

– Dlaczego szła pani sama wieczorem przez park? Czy zwykle chodzi pani sama?

– Czy nikt nie ostrzegł pani, żeby nie szła pani wieczorem przez park?

– Czy nie wiedziała pani, że nie powinna iść przez park po godzinie wpół do dziesiątej wieczorem? Nie wiedziała pani o tym?

– Czy mogła pani zdecydowanie wyeliminować numer cztery? Czy ani przez chwilę nie patrzył na panią?

Na wszystkie pytania udzielałam cierpliwie odpowiedzi. Na pytania dotyczące okazania odpowiadałam wprost i zgodnie z prawdą. Jednak przy pytaniach o to, co robiłam w parku albo dlaczego nie podeszłam do policjanta Clappera, drętwiałam. Oni nie rozumieli, takie miałam wrażenie. No ale byliśmy na scenie, jak powiedziała Gail.

W telewizji i w kinie adwokat nieraz prosi osobę poszkodowaną, zanim ta stanie na miejscu dla świadka, żeby po prostu mówiła prawdę. Sama doszłam do tego, że postępując w ten sposób i nie robiąc nic więcej, przegrywa się. Dlatego oświadczyłam, że byłam głupia, że nie powinnam wtedy iść przez park. Dodałam, że zamierzam coś zrobić, żeby ostrzec dziewczęta na uniwersytecie przed tym parkiem. Byłam bardzo dobra, chętnie przyjęłam na siebie winę i miałam nadzieję, że uznają mnie za niewinną.

Tamtego dnia zrobiło się ostro. Skoro Madison stanął obok przyjaciela i uciekł się do gry spojrzeń, żeby wyprowadzić mnie w pole, zamierzałam się na nim za to odegrać. Byłam autentyczna. Naprawdę byłam dziewicą. Gwałciciel przerwał moją błonę dziewiczą w dwóch miejscach. Lekarz mógł to poświadczyć. Byłam też dobrą dziewczyną, umiałam się odpowiednio ubrać i

wiedziałam, co mówić, żeby to podkreślić. Tego samego dnia wieczorem, po złożeniu zeznania przed ławą przysięgłych, w zaciszu swojego pokoju w akademiku nazwałam Madisona „skurwysynem”, tłukąc pięściami w poduszkę i w łóżko. Poprzysięgłam krwawą zemstę, jakiej nikt by się nie spodziewał po dziewiętnastolatce. Jeszcze w sądzie podziękowałam sędziom przysięgłym. Korzystałam ze swojego repertuaru: granie, przypodobywanie się, wywoływanie uśmiechu na twarzach członków rodziny. Wychodząc z sądu, czułam, że zagrałam najlepsze przedstawienie w życiu. To już nie było starcie twarzą w twarz i miałam szansę wygrać.

Wyszłam i usiadłam w poczekalni. Dostrzegłam detektywa Lorenza. Miał na oku czarną przepaskę. – Co się stało? – spytałam przerażona.

– Goniliśmy przestępcę. Uderzył mnie w oko maczugą. Jak pani poszło?

– Chyba dobrze.

– Proszę posłuchać – rzekł. Zaczął mnie niezręcznie przeproszać. Powiedział, że jest mu bardzo przykro, jeśli nie był szczególnie miły wtedy, w maju. – Mamy dużo gwałtów – dodał. – Większość spraw nie dochodzi nawet do tego etapu. Naprawdę jestem z panią.

Zapewniłam go, że zawsze cudownie się do mnie odnosił, że w ogóle wszyscy policjanci byli wspaniali. I mówiłam to szczerze.

Po piętnastu latach, gdy zbierałam materiały do tej książki, natrafiłam w jego oryginalnych służbowych notatkach na przytoczone niżej zdania.

„Ósmy maja 1981: Po przeprowadzeniu rozmowy z poszkodowaną piszący te słowa uważa, że sprawa ta, tak jak została przedstawiona przez poszkodowaną, nie jest całkowicie oparta na faktach”.

Po rozmowie z Kenem Childsem, nieco później tego samego dnia, Lorenz napisał: „Childs nazywa tę znajomość «luźną». Piszący te słowa nadal uważa, że w incydencie opisanym przez

poszkodowaną istniały okoliczności łagodzące, i proponuje, aby odłożyć sprawę ad acta”.

Dopiero po spotkaniu z Uebelhoer trzynastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego dodał: „Należy odnotować, że gdy piszący te słowa po raz pierwszy rozmawiał z poszkodowaną około godziny ósmej, ósmego maja 1981, poszkodowana wydawała się zdezorientowana, plątały jej się fakty związane z incydem i co chwila zasypiała. Teraz piszący te słowa rozumie, że poszkodowana była po bardzo ciężkich przejściach, nie spała od około dwudziestu czterech godzin, co tłumaczyło jej ówczesne zachowanie... „.

Lorenz żył w świecie, w którym nie było dziewic. Podchodził sceptycznie do wielu rzeczy, o których mówiłam, później, kiedy raporty serologiczne dowiodły, że nie kłamałam, że naprawdę byłam dziewicą, okazał mi wiele szacunku. Chyba w jakimś sensie czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. Tego ohydneho czynu, którego padłam ofiarą, dokonano w jego świecie. Świecie brutalnych przestępstw i zbrodni.

10.

Maria Flores z warsztatów Tessy wypadła z okna. W ten sposób doniósł o tym „Daily Orange”, dziennik kampusu w Syracuse. Podano jej nazwisko i przedstawiono zdarzenie jako wypadek.

Gdy studenci wchodzili do sali konferencyjnej Instytutu Anglistyki, gdzie odbywały się warsztaty, tylko parę osób przeczytało wzmiankę w gazecie. Ja nie. Z doniesienia wynikało, że Flores cudem przeżyła, choć została mocno poszkodowana w wypadku. Trafiła do szpitala.

Tessa się spóźniała. Kiedy weszła na salę, zapadła cisza. Usiadła za stołem i zaczęła zajęcia. Była wyraźnie zdenerwowana.

– Słyszała pani o Marii? – spytał jeden ze studentów. Tessa zwiesiła głowę.

– Tak – odparła. – To okropne.

– Jak ona się czuje?

– Przed chwilą z nią rozmawiałam – rzekła. – Idę odwiedzić ją w szpitalu. To zawsze jest takie trudne. Poezja.

Nie zrozumieliśmy. Co miał wspólnego wypadek Marii z poezją?

– Napisali o tym w gazecie – rzucił jeden ze studentów. Tessa spojrzała na niego raptownie.

– Podali jej nazwisko?

– Co się stało? – spytał ktoś.

Odpowiedź na to pytanie poznaliśmy nazajutrz, gdy w niemal identycznym artykule przedstawiono wypadek jako próbę samobójczą. Tym razem gazeta nie podała nazwiska. Nie trzeba było być geniuszem, żeby skojarzyć fakty.

Tessa powiedziała mi, że moje odwiedziny w szpitalu wiele by znaczyły dla Marii.

– Napisałaś bardzo mocny wiersz – dodała, nie mówiąc, co jeszcze wie.

Poszłam. Jeszcze przed moją wizytą Maria podjęła drugą, nieudaną próbę samobójczą. Przecięła przewód elektryczny koło łóżka, wydobyla ze środka druty i zaczęła się nimi drapać po przegubach. Zrobiła to, choć była częściowo sparaliżowana i leżała na lewym boku. Przyłapała ją pielęgniarka. Teraz Maria miała ręce przywiązane do łóżka.

Leżała w szpitalu Crouse'a Irvinga. Pielęgniarka zaprowadziła mnie do jej pokoju. Przy łóżku Marii stał jej ojciec i bracia. Pomachałam do Marii, która zaraz pożegnała się ze stojącymi przy niej mężczyznami. Przedstawiłam się, wyjaśniając, że chodzę z Marią na zajęcia z poezji. Mężczyźni nie byli wylewni. Pomyślałam, że są w szoku, a poza tym mogło im się wydać dziwne, że kobietę, która przyszła w odwiedziny, łączy z Marią coś, co ich, ojca i braci, z nią nie łączyło. Wyszli.

– Dziękuję, że przyszłaś – szepnęła Maria. Chciała potrzymać mnie za rękę.

Właściwie się nie znałyśmy, chodziłyśmy tylko razem na warsztaty Tessy, a do niedawna miałam do niej żal o to, że wyszła z zajęć, na których prezentowałam swój wiersz.

– Możesz usiąść? – spytała.

– Tak. Usiadłam.

– To przez ten twój wiersz – rzekła. – Wszystko mi przypomniał.

Opowiedziała mi szeptem swoje przeżycia. Mężczyzna i chłopcy, którzy przed chwilą wyszli z pokoju, gwałcili ją przez kilka lat, kiedy dorastała.

– W którymś momencie to się skończyło. Bracia dorośli i zrozumieli, że traktowali mnie źle.

– Och, Mario – westchnęłam. – Nie chciałam...

– Przestań. To dobrze. Muszę się z tym uporać.

– Mówiłaś matce?

– Oświadczyła, że nie chce o tym słyszeć. Obiecała, że nie powie ojcu, jeżeli więcej o tym nie wspomnę. Nie rozmawia ze mną.

Popatrzyłam na wiszące nad łóżkiem karty z życzeniami

powrotu do zdrowia. Maria była starościna w akademiku, więc wszystkie jego mieszkanki i przyjaciółki przysłały jej karty. Uderzyło mnie coś, co wydawało się aż nadto oczywiste. Teraz, kiedy przeżyła skok, stała się kompletnie zależna od rodziny. Od ojca.

– Powiedziałaś Tessie? Twarz jej się rozjaśniła.

– Tessa jest cudowna.

– Wiem.

– W swoim wierszu napisałaś o uczuciach, które od lat noszę w sobie. O tym wszystkim, co boję się czuć.

– Czy to dobrze? – spytałam.

– Zobaczymy – odparła, uśmiechając się słabo. Maria miała wyzdrowieć po upadku i wrócić na uczelnię.

Na pewien czas zerwała z rodziną.

Tamtego dnia jednak zażartowałyśmy, że jej skok był nie lada komentarzem do mojego wiersza i Tessa powinna jej to uznać. Potem mówiłam o sobie. Sama tego chciała, a poza tym siedząc przy niej, mogłam mówić. Opowiedziałam jej o ławie przysięgłych, o okazaniu i o Gail.

– Szczęściara z ciebie. Ja nigdy nie będę miała takiej szansy. Chcę, żebyś dopięła swego.

Cały czas trzymałyśmy się za ręce. Każda chwila spędzona razem w tym pokoju była dla nas obu bardzo cenna.

W końcu podniosłam głowę i zobaczyłam jej ojca stojącego w drzwiach. Maria go nie widziała. Tylko moje oczy.

Nie cofnął się ani nie postąpił naprzód. Czekał, aż wstanę i wyjdę. Czułam to wyraźnie, choć z daleka. Nie wiedział, co się właściwie między nami dzieje, i coś wzbudzało jego nieufność.

Do szesnastego listopada porównano „próbkę włosów łonowych pobraną od Gregory’ego Madisona” oraz „negroidalny włos łonowy wyczesany z łona Alice Sebold w maju 1981”. Laboratorium stwierdziło, że włosy pasują do siebie we wszystkich siedemnastu punktach analizy mikroskopowej.

Osiemnastego listopada Gail napisała list do użytku

wewnętrznego, celem włączenia go do akt. Nadała go dwudziestego trzeciego.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że to gwałt. Poszkodowana była dziewicą, błona dziewicza została rozdarta w dwóch miejscach. Badania laboratoryjne wykazały obecność nasienia, a lekarskie – stłuczenia i skaleczenia.

Kwestią sporną jest rozpoznanie. Gwałt miał miejsce ósmego maja 1981 roku. Poszkodowana podała policjantom dokładny opis gwałticiela, lecz nie dokonano aresztowania. Dziewiątego maja 1981 wróciła do Pensylwanii. Po powrocie na uniwersytet w Syracuse jesienią spostrzegła oskarżonego na ulicy, gdzie podszedł do niej i zagadnął: „Hej, mała, czy ja ciebie skądś nie znam?”... Poszkodowana uciekła i zadzwoniła na policję. Podczas okazania wskazała niewłaściwego mężczyznę (był łudząco podobny do oskarżonego i stał obok niego, osobiście przez niego zaproszony). Później powiedziała policjantom, że myślała, iż może to być albo oskarżony, albo ten drugi mężczyzna. Włosy łonowe oskarżonego pasowały do włosa wyczesanego z włosów łonowych poszkodowanej. Na nożu znalezionym na miejscu przestępstwa pozostał częściowy odcisk palca, lecz niedostatecznie wyraźny, by dokonać porównania linii papilarnych (wysłałam go do FBI celem wykonania dalszych testów). Laboratorium nie może określić grupy krwi na podstawie nasienia, ponieważ jest ono nasiąknięte krwią poszkodowanej.

Powodzenia. Poszkodowana jest znakomitym świadkiem.

Na Święto Dziękczynienia wróciłam do domu, do Pensylwanii. Potem przyjechałam greyhoundem z powrotem do Syracuse i któregoś dnia dostałam do akademika list.

„W odpowiedzi na pani prośbę – przeczytałam – powiadamy panią, że wyżej wymieniony pozwany został postawiony w stan oskarżenia przez wielką ławę przysięgłych”.

Ogarnęło mnie podniecenie. Stałam na środku swojego pokoiku w Haven Hall i aż się trzęsłam. Zadzwoniłam do matki i

przekazałam jej nowinę. Posuwałam się naprzód. Rozprawa wydawała się nieunikniona. Miała się odbyć lada dzień.

Byłam na zajęciach, kiedy czwartego grudnia Madison złożył oświadczenie w obecności sędziego Waltera T. Gormana. Nie przyznał się do winy, odrzucając wszystkie osiem zarzutów aktu oskarżenia. Termin przesłuchania przed rozprawą wyznaczono na dziewiątego grudnia. Reprezentujący Madisona Paquette przyznał, że „kiedyś w przeszłości” jego klient otrzymał wyrok skazujący za drobną kradzież. Strona przeciwna nie była przygotowana do odpowiedzi, więc nie można było rozważyć przewinień młodocianego Madisona. Gdy Gorman spytał młodszego prokuratora Plochockiego, który wystąpił jako mój adwokat z urzędu, ponieważ Gail przebywała w innym sądzie, czy chce coś powiedzieć w sprawie kaucji, Plochocki odparł: „Panie sędzio, nie mam akt”. Dlatego wyznaczono kaucję w wysokości pięciu tysięcy dolarów. Niesłusznie zatem od świąt do Nowego Roku wyobrażałam sobie z satysfakcją, że człowiek, który mnie napadł, siedzi w więzieniu.

Zanim wyjechałam do domu na ferie świąteczne, dostałam zaliczenie warunkowe na kursie włoskiego 101, ocenę C literatury klasycznej, B na kursie ogólnym Tessy (moja praca pisemna nie spełniła wysokich oczekiwań) oraz dwa A – za warsztaty Wolffa i Gallagher.

Spotkałam się ze Steve'em Carbonaro. Dał sobie spokój z Don Kichotem i teraz w swoim mieszkaniu niedaleko Uniwersytetu Pensylwańskiego trzymał zawsze butelkę whisky Chivas Regal. Buszował po pchlich targach w poszukiwaniu przetartych tureckich dywanów, chodził w satynowej bonzurce, palił fajkę i pisał sonety dla nowej dziewczyny, której imię – Juliet – uwielbiał. Przez okno, pogasiwszy światła we własnym pokoju, przyglądał się kochankom ekstrawertykom, mieszkającym po przeciwnej stronie ulicy. Mnie szkocka nie smakowała, a fajka wydała się głupia.

Moja siostra w wieku dwudziestu dwu lat pozostała dziewicą.

Nieraz w myślach życzyłam sobie, żeby nie była taka czysta i nietknięta. Wiem, że ona równie często wyrażała w myślach to samo życzenie. Różniłyśmy się motywacją. Ja pragnęłam jej upadku – tak to w naszym domu traktowano – żeby nie być osamotnioną. Ona zaś chciała upaść, żeby mieć więcej wspólnego z większością swoich przyjaciółek.

Czułyśmy się nieszczęśliwe, każda na swój sposób. Ona była cała, ja nie. Na początku matka żartowała, że gwałt położy kres jej naukom o dziewictwie i teraz musi mnie pouczać na temat wstrzemięźliwości. Niezupełnie jednak to wychodziło. Dziwnie wypadało, gdy matka kładła mojej siostrze do głowy stare zasady, dla mnie zaś tworzyła nowe. Przez to, że padłam ofiarą gwałtu, przeszłam do innej kategorii, i nie potrafiła już do mnie przemawiać.

Zrobiłam więc to, co robiłam w przypadku najtrudniejszych problemów: uciekłam się do wypróbowanej strategii obronnej Seboldów – drobiazgowej analizy semantycznej. Sprawdziłam w słowniku odpowiednie słowa i ich różne formy – dziewica, dziewictwo, dziewiczy, czysty, czystość. Ponieważ znalezione definicje mnie nie usatysfakcjonowały, zaczęłam manipulować znaczeniami i od nowa definiowałam słowa. W rezultacie uznałam, że nadal jestem dziewicą. Nie straciłam dziewictwa, powiedziałam sobie, zabrano mi je. A więc sama zadecyduję, co jest moim dziewictwem, i kiedy je stracę. To, co jeszcze miałam, nazwałam swoim „prawdziwym dziewictwem”. Wydawało mi się to bezdyskusyjne, podobnie jak moja odmowa spania ze Steve'em i decyzja powrotu do Syracuse.

Było jednak inaczej. Wiele z tego, co sobie obmyśliłam i na co spojrzałam ze wszystkich stron, wcale nie było bezdyskusyjne, ale wtedy jeszcze nie mogłam się do tego przyznać. Stworzyłam także bolesny wywód, dlaczego lepiej zostać zgwałconą, będąc dziewicą.

– Chyba lepiej, że byłam dziewicą, kiedy zostałam zgwałcona – mówiłam do ludzi. – Nie mam z tym żadnych seksualnych skojarzeń jak inne kobiety. To była czysta przemoc. Dzięki temu,

kiedy będę uprawiała normalny seks, wyraźnie zobaczę różnicę pomiędzy seksem a przemocą.

Ciekawa jestem, kto to kupił.

Mimo zajęć na uczelni i „występów” w sądzie znalazłam czas na to, by się zakochać. On nazywał się Jamie Waller i uczęszczał na zajęcia do Wolffa. Był sporo starszy – miał dwadzieścia sześć lat – i przyjaźnił się z innym studentem z naszej grupy, Chrisem Davisem, nawiasem mówiąc, gejem. Uznałam Jamiego, który był hetero, za osobnika na wysokim poziomie intelektualnym. Skoro czuł się tak swobodnie w towarzystwie geja, rozumowałam, równie dobrze mógł uznać, że ofiara gwałtu jest okay.

Udało mi się zrobić wszystko to, co czynią zakochane dziewczyny. Poprosiłam Lilę, żeby spotkała się ze mną po zajęciach i dobrze mu się przyjrzała. Potem w akademiku rozmawiałyśmy, jaki jest fajny. Za każdym razem, kiedy go zobaczyłam, dokładnie opisywałam Liii jego ubiór. Okazał się mistrzem stylu „niedbały uczeń”. Chodził w rozciągniętych swetrach z plamami po jajku, a z grubych sztruksów nieraz wystawały mu bokserki od Braci Brooks. Mieszkał poza kampusem i jeździł własnym samochodem. W weekendy wybierał się na narty. Miał to, czego pragnęłam – własne życie. Marzyłam o nim w chwilach samotności, a w obecności innych udawałam twardą i nieprzystępną.

Nie znosiłam swego wyglądu. Uważałam, że jestem gruba, brzydka i dziwna. Jednakże nawet gdybym nie wydała mu się fizycznie atrakcyjna, to przecież lubił ciekawe historie i lubił się upijać. Mogłam mu opowiadać historie i razem z nim pić.

Po warsztatach Wolffa Chris, Jamie i ja chodziliśmy napić się razem, a potem Jamie pytał: „No, dzieciaki, zrywam się. Co robicie w ten weekend?”. Chris i ja nie mieliśmy dobrych odpowiedzi. Czuliśmy, że odstajemy. Moje weekendy polegały głównie na czekaniu na ławę przysięgłych oraz na to, co miało później nastąpić. Chris przyznał po jakimś czasie, że on w weekendy chodzi do barów dla gejów w centrum Syracuse i

bezsukutecznie próbuje znaleźć przyjaciela. Chris i ja przejadaliśmy się i wypijaliśmy za dużo kawy, czytając dobrą poezję. Kiedy jedno z nas napisało nie najgorszy wiersz, dzwoniłiśmy do siebie i odczytywaliśmy go na głos. Czuliśmy się osamotnieni i każde z nas nienawidziło siebie. Pobudzaliśmy się nawzajem do gorzkiego śmiechu i czekaliśmy, aż Jamie, świeży i wypoczęty, wróci z weekendu w Stowe albo Hunter Mountain, by wypełnić nasze ponure, nieudane życie.

Któregoś wieczoru tamtej jesieni opowiedziałam im o gwałcie. Wszyscy troje mieliśmy nieźle w czubie. Po jakimś ***

czytaniu czy warsztacie poszliśmy do baru na Marshall Street. Było tam trochę sympatyczniej niż w większości studenckich barów przypominających mroczne pieczary.

Nie pamiętam, jak do tego doszło. Lada dzień miałam udać się na okazanie i tylko o tym wtedy myślałam. Chris był zdruzgotany, pod wpływem mojej opowieści alkohol mocniej uderzył mu do głowy. Dwa lata wcześniej zamordowano mu brata, o czym wtedy nie wiedziałam. Zależało mi na Jamiem, obiekcie moich marzeń o miłości i małżeństwie.

Żadna jego reakcja nie mogła spełnić sfabrykowanych przeze mnie eskapistycznych fantazji. Nic nie mogło ich spełnić. Nie było ratunku. Na chwilę przy stoliku zapadło niezręczne milczenie, ale Jamie znalazł na nie sposób. Zamówił kolejkę.

Jamie odjechał samochodem do mieszkania poza kampusem. Chris, który mieszkał w przeciwnym kierunku, odprowadził mnie do akademika. Położyłam się na łóżku, a pokój zawirował. Nie odpowiadało mi samopoczucie po alkoholu, choć podobało mi się, że mnie wyzwalał. Opowieść się wypsnęła, świat nie eksplodował, mogłam też liczyć na to, że stracę przytomność. Rano bolała mnie głowa i jak zwykle zwymiotowałam, lecz Jamie, jak zresztą wszyscy, lubił mnie pijaną. Dodatkowy plus: z reguły niewiele pamiętałam.

Po Bożym Narodzeniu piliśmy częściej, i to na ogół bez Chrisa.

Jamie powiedział mi, że przez dłuższy czas opiekował się śmiertelnie chorym ojcem. Teraz wrócił na uniwersytet, żeby zrobić dyplom. Wyznał też, że ma sklep z damską odzieżą w Utica i musi często tam jeździć. Wydał mi się przez to jeszcze bardziej atrakcyjny, ale najbardziej podobały mi się w nim jego szczerość i bezpruderyjność. Jadł i bekał. Sypiał z różnymi dziewczynami. Stracił niewinność o wiele wcześniej niż ja, bo jako czternastolatek, i to z dziewczyną starszą od siebie. „Nie miałem szans” – mówił, pociągając łyk piwa z butelki albo wina z kieliszka i prychnął wesoło. Żartował, opowiadając historyjki o mężach, którzy przyłapywali go ze swoimi żonami.

Czułam się trochę nieswojo, słuchając tych opowieści, bo trudno mi było uwierzyć w jego rozwiązłość. No cóż, przynajmniej miał duże doświadczenie. Nic go nie mogło zaskoczyć. W jego oczach nie byłabym dziwadłem. Jamie nie był „miłym chłopcem”. A ja właśnie za wszelką cenę chciałam uniknąć „miłego chłopca”, który uważałby mnie za „wyjątkową” dziewczynę.

Słuchał cierpliwie, kiedy opowiadałam mu o swoim życiu: o Gail, o procedurze okazania, o moim strachu przed czekającą mnie rozprawą. Żyłam z tym strachem przez długie tygodnie i miesiące po Bożym Narodzeniu. Wielokrotnie przesuwano termin rozprawy. Poprzedzające ją przesłuchanie wyznaczono na dwudziestego drugiego stycznia. Poszłam. Odwołano je, mimo to musiałam się pokazać, przygotować się z prokuratorem, Billem Mastine’em i z Gail, która była teraz w ciąży, w związku z czym przekazywała ster Mastine’owi.

Widziałam w Jamiem kogoś, kto dostrzega, że oboje przez swoje doświadczenia odstajemy od innych. Sam dużo przeszedł, opiekując się chorym ojcem, i uważał, że mnie, dziewiętnastolatkę, gwałt wyróżnia spośród rówieśniczek. Nie nakłaniał mnie jednak do przeżywania uczuć, jak chciała tego Tricia z Centrum Kryzysowego dla Ofiar Gwałtu, ale nauczył mnie pić. No więc piłam.

Skłamałam, rozmawiając z Jamiem o seksie.

Któregoś wieczoru w barze Jamie spytał mnie – niby od niechcienia – czy spałam z kimś po gwałcie. Powiedziałam „coś ty”, lecz w tej samej sekundzie poznałam po jego minie, że nie udzieliłam właściwej odpowiedzi. Rozbudowałam ją więc: „Coś ty, nie bądź głupi, oczywiście, że tak”.

– Taaak – odparł, obracając w kółko szklanę z piwem na stole.

– Nie chciałbym być tamtym facetem.

– Jak to?

– To duża odpowiedzialność. Można się bać, że coś się spieprzy. Poza tym nie wiadomo, co się zdarzy.

Zapewniłam, że nie było tak źle. Spytał, z iloma mężczyznami spałam. Wymyśliłam naprędce liczbę. Z trzema.

– W sam raz. A więc jesteś normalna. Przytaknęłam.

Piliśmy dalej. Teraz już wiedziałam, że jestem sama. Gdybym powiedziała prawdę, odrzuciłby mnie. Działałam pod naporem ogromnego ciśnienia, żeby – jak wyznałam Liii – „mieć to już za sobą”. Bałam się, że jeżeli będę długo zwlekać, to mój lęk przed seksem jeszcze wzrośnie. Nie chciałam zostać wysuszoną staruszką czy zakonnica albo mieszkać w domu rodziców i wpatrywać się w ścianę. A każda z tych ewentualności wydawała mi się całkiem realna.

Tuż przed feriami wielkanocnymi nadeszła „ta noc”.

Poszłam z Jamiem do kina. Potem upiliśmy się w barze. „Muszę się wysikać” – rzekł, nie po raz pierwszy tego wieczoru.

Kiedy był w toalecie, przeprowadziłam kalkulację. Od jakiegoś czasu zdążaliśmy do tego punktu, w którym się teraz znaleźliśmy. Zadał mi tylko jedno pytanie, które mogło podziałać jak hamulec. Ale ja skłamałam, i to skutecznie. Nazajutrz wyjeżdżał na weekend na narty, a ja planowałam spędzić kilka dni sama lub z Lila.

Wrócił do stolika.

– Jeżeli jeszcze wypiję, nie dam rady prowadzić – rzekł. – Idziesz ze mną?

Wstałam i wyszliśmy z baru. Padał śnieg. Zimne płatki

szczypały nas w rozgrzane alkoholem twarze. Staliśmy, wdychając mroźne powietrze. Płatki śniegu osiadały na rzęsach Jamiego i na sterczącej krawędzi czapki narciarskiej.

Pocałowaliśmy się. To był mokry, niedbały pocałunek, inny niż Steve'a, bardziej jak Madisona. Ale tego właśnie pragnęłam. Nakazałam sobie to pragnienie siłą woli. To jest Jamie, powtarzałam w myślach. To jest Jamie.

– To jak, jedziesz do mnie? – spytał.

– Nie wiem – odparłam.

– Tu jest zimno jak w cipie czarownicy, więc jadę do domu. Albo zabierasz się ze mną, albo nie.

– Mam założone soczewki kontaktowe – powiedziałam. Nic go nie dziwiło, był pijany i robił to już tysiąc razy.

– Więc masz taki wybór. Albo pójdziesz na piechotę do akademika i prześpisz się sama w swoim łóżku, albo ja cię tam podwiozę i zaczekam, aż wyjmiesz soczewki.

– Zrobisz to?

Zaczekał w samochodzie. Wjechałam windą na górę, poszłam do swojego pokoju i wyjęłam soczewki. Mimo późnej pory zapukałam do drzwi Liii. Otworzyła mi okryta szlafrokiem od Lanza. W pokoju było ciemno. Obudziłam ją.

– Co się stało? – spytała ze złością.

– Zdecydowałam się – odparłam. – Jadę do Jamiego. Wrócę rano. Obiecay, że zjesz ze mną śniadanie.

– Dobrze – zgodziła się i zamknęła drzwi. Chciałam, żeby ktoś oprócz mnie o tym wiedział.

Śnieg padał coraz gęstszy. Milczeliśmy, skupiając całą uwagę na drodze. Ciepły podmuch od deski rozdzielczej owiewał mi nogi. Jamie był moim przewodnikiem w wyprawie do miejsc, których nigdy nie odwiedziłam. Miałam ostatnią szansę, by się tam dostać, zanim zewrą się wokół mnie mury. Jego rozwiązłość rozbudzała mój podziw. Przechwalał się swoimi licznymi podbojami z autentyczną radością. Już wtedy domyślałam się, że podczas tych przypadkowych zbliżeń zawsze był pijany. Teraz

też. Ale to nieistotne detale. Picie. Rozwiążłość. Życie bez celu. To były jego wybory. Tak wówczas sądziłam. Nikt go nie zmuszał do picia, pieprzenia czy uciekania. Teraz, kiedy na to patrzę, widzę, że mogło być inaczej; wtedy patrzyłam przed siebie na drogę. Wycieraczki cały czas pracowały. Odsuwały śnieg na boki, tworząc na środku szyby biały szpic jak włosy na czole starej wdowy. Jechałam z normalnym mężczyzną – do tego niewątpliwie przystojnym – który zabierał mnie do swojego domu, żeby się ze mną kochać.

Nieraz wyobrażałam sobie, jak mieszka. Ale gdy dojechalśmy na miejsce, trochę się rozczarowałam. Mieszkanie nieduże, z jedną sypialnią. Rolę mebli pełniły skrzynki po mleku wypchane płytami i taśmami, a sprzęt stereo stał na dywanie. Jamie otworzył drzwi, rzucił torbę z podręcznikami na podłogę i poszedł się wysikać przy otwartych drzwiach do łazienki. Wrócił do kuchni z taką miną, jakby chciał powiedzieć: „Skoro już tu jesteśmy, zabierajmy się do rzeczy”. Stałam w korytarzyku między ciemną kuchnią a nieumeblowaną częścią mieszkalną. Sypialnia znajdowała się obok łazienki. Wiedziałam, że tam właśnie mamy się udać, że po to przyjechałam, a jednak zawahałam się. Obleciał mnie strach.

Jamie uznał, że skoro jestem u niego pierwszy raz, to powinien zaproponować mi drinka. Miał w lodówce otwartą butelkę białego wina i dwa brudne kieliszki. Odkręcił kran, potrzymał kieliszki w strumieniu wody, a potem nalał do nich wina. Wzięłam ociekający wodą kieliszek i upiłam łyk.

– Odłóż torbę – zachęcił. – Może muzyka to ułatwi, co?

Przeszedł przez pokój i przykucnął przy skrzynce z taśmami. Wziął kilka, obejrzał i odrzucił. Położyłam torbę koło drzwi wejściowych. Wybrał Boba Dylana, powolne melodie, które w moich uszach brzmiały jak marsz umarłych pogrążających łańcuchami. Nie byłam miłośniczką Dylana, ale wolałam trzymać język za zębami.

– Nie stój jak posąg – rzekł, podchodząc bliżej. – pocałuj mnie.

Coś mu się nie spodobało w moim pocałunku.

– Posłuchaj, sama tego chciałaś. Nie wycofuj się teraz. zaproponował, żebym poszła umyć zęby. Odparłam, że chętnie bym to zrobiła, ale nie mam szczoteczki.

– Nigdy nie nocowałaś u faceta?

– Nocowałam – skłamałam zakłopotana.

– I co wtedy robiłaś?

– Używałam palca – odparłam, myśląc szybko. – Myłam zęby palcem.

Jamie minął mnie, wszedł do łazienki i wziął szczoteczkę.

– Użyj tego – powiedział. – Jeżeli pieprzysz się z facetem, to możesz chyba użyć jego szczoteczki do zębów!

Przestraszona, pijana, zagubiona, uchwyciłam się tej logiki. Poszłam do łazienki i umyłam zęby. Spryskałam twarz wodą i przez sekundę martwiłam się, czy ładnie wyglądam. Spojrzałam w lustro i odwróciłam wzrok. Nie mogłam patrzeć na to, co robię. Przełknęłam ślinę, wzięłam głęboki oddech i wróciłam do sypialni.

Jamie właśnie ściągał brudne rzeczy z materaca na podłogę. Pościel była poplamiona, a kilka stłamszonych koców wylądowało bezładnie tam, gdzie zostały kopnięte. Dylan śpiewał głośniejszym głosem niż przedtem. Przy drzwiach leżały poprzewracane buty narciarskie. Jamie przyniósł do sypialni mój kieliszek i postawił go przy radiu z budzikiem na skrzynce po mleku, obok materaca.

Ściągnął koszulę przez głowę. Niewiele widziałam przedtem nagich mężczyzn. Jamie wyglądał mizerniej, niż go sobie wyobrażałam, i był piegowaty. Pasek kalesonów stracił elastyczność i opadał na spodnie.

– Zamierzasz zostać w ubraniu? – spytał. – ^a Czuję się skrępowana.

– Nie mamy na to czasu. Muszę wstać rano na hiszpański, a potem zabieram się ciężarówką do Vermontu. Zaczynamy przedstawienie.

Jakoś zaczęliśmy. Jakoś znalazłam się pod nim, gdy mnie pieprzył. Pieprzył mnie mocno. Później usłyszałam, jak

dziewczyny nazywają to „seksem dla sportu”. Trzymałam się. Kiedy szczytował, głośno prychnął i ryczał. Nie byłam na to przygotowana. Rozplakałam się. Nawet nie przypuszczałam, że potrafię tak głośno szlochać. Aż się cała trzęsłam. Wreszcie przestał wydawać swoje odgłosy i mocno mnie objął. Czułam się poniżona, ale nie mogłam przestać. Nie sądzę, aby się domyślał, że uważam go za swojego pierwszego chłopaka, lecz był dość bystry, by wiedzieć, dlaczego płaczę.

– Biedactwo – uzalił się nade mną. – Biedactwo. Zaraz potem zasnął. Leżąc pod nim, całą noc nie zmrużyłam oka.

Wczesnym rankiem znów zapragnął seksu. Najpierw mnie całował, a potem zepchnął do swojego penisa. Kiedy się tam znalazłam, nie wiedziałam, co robić.

– Nigdy przedtem tego nie robiłaś? – spytał. Spróbowałam, ale zakrztusiłam się.

– Chodź tu – powiedział, puszczając mnie.

Znów się całowaliśmy. Widocznie zaniepokoił go wyraz moich oczu, bo chwycił mnie za włosy i odciągnął głowę do tyłu.

– Słuchaj – rzekł. – Tylko się we mnie nie zakochaj. Nie wiedziałam, o co mu chodzi ani jak zareagować na takie upomnienie. Zapewniłam, że nie zrobię tego, choć nie miałam pojęcia, jak można nad tym zapanować.

Odwiózł mnie do akademika. „Trzymaj się, dziecko” – rzucił na pożegnanie. Nie chciał brać na siebie odpowiedzialności. Widać zaciążyła mu, gdy pielęgnował ojca. Poszedł na zajęcia, po których wybierał się na narty.

„Zrobiłam to” – napisałam na tablicy wiszącej na drzwiach do pokoju Liii. Wiedziałam, że śpi, i cieszyłam się z tego. Poszłam do swojego pokoju. Potrzebowałam czasu, żeby moja opowieść nabrała odpowiednich barw. Obudziłam się późnym popołudniem ze świadomością, że już mam to za sobą. Straciłam prawdziwe dziewictwo. Wszystko działało jak należy, nawet jeśli nie było idealnie, no i zostałam zaakceptowana przez mężczyznę.

Oczywiście zrobiłam to, czego mi zabronił. Zakochałam się w nim.

Ułożyłam świetną historyjkę. Sama się śmiałam ze swojej niezdarności. Upiłam się. Zadzwoiłam do Chrisa i wszystko mu opowiedziałam. Był zachwycony. „Zgarnęłaś główną nagrodę!” – zawołał. Udawałam mądrą i doświadczoną przy Liii, gdy jadłyśmy waniliowo-migdałowe lody szwajcarskiej firmy HaagenDazs. Jamie nie zadzwonił. Wytłumaczyłam sobie, że zobaczę go po świętach Wielkiej Nocy, że luzacy tacy jak my nie potrzebują pierścionków, kwiatów ani telefonów. Zapakowałam się na wyjazd do Pensylwanii. Schowałam butelkę Absolutu do najtańszej czerwonej torby podróżnej firmy Samsonite. Czułam się świetnie.

11.

Pod koniec kwietnia, miesiąc po feriach wielkanocnych, znalazłam się na Marshall Street. Było wczesne popołudnie. Nareszcie do północnej części stanu Nowy Jork przyszła wiosna – znieńska, jak zwykle. Na ziemi leżał jeszcze stary śnieg. Każdej zimy śnieg upiększał Syracuse, pokrywając chropowate brzozy i szarości budynków i dróg. Ale w kwietniu wszyscy mieli już tego dosyć i studenci z radością witali nadejście cieplejszych dni. Wkładali szorty, chociaż co chwila dostawali gęziej skórki na rękach i nogach, a dziewczęta prezentowały opaleniznę z Florydy. Na zatłoczonej ulicy czuło się zbliżający się koniec zajęć i zapowiedź dobrych czasów – pogodni i roześmiani studenci robili zakupy w uniwersyteckich sklepikach na Marshall Street.

Poszłam kupić coś siostrze. Kończyła z wyróżnieniem Uniwersytet Pensylwański. Na Marshall Street zobaczyłam idących z naprzeciwka chłopaków z korporacji z dziewczynami. Wiosenne uśmiechy rozjaśniały wszystkie twarze. Dwóch chłopaków paradowało w białych wykrochmalonych bokserkach i butach sportowych Docksider bez skarpetek. Patrzyłam na nich, bo musiałam – zajmowali całą szerokość chodnika i zwracali na siebie uwagę. Po jego zewnętrznej stronie ktoś usiłował ich wyprzedzić.

Dorastając, oglądałam serial *Bewitched*, którego bohaterka, Elizabeth Montgomery, potrafiła pstryknąć palcami i unieruchomić wszystkich oprócz siebie i męża Darrina. Małżonkowie rozmawiali dalej pośród postaci zastygłych w dziwnych pozach. Tamtego dnia poczułam się podobnie. Zobaczyłam Gregory'ego Madisona, któremu tłumek zagradzał drogę, a potem on zobaczył mnie. Cały świat stanął.

Nie wiem, dlaczego nie spodziewałam się, że coś takiego może się zdarzyć. W ogóle nie przewidywałam takiego spotkania. Wciąż wyobrażałam sobie, że jest w więzieniu albo przynajmniej

nie jest na tyle głupi, żeby przed rozprawą wchodzić na teren uniwersytetu. Kiedy zobaczył mnie w październiku, był bardzo pewny siebie. Teraz się spostrzeżliśmy, rozpoznaliśmy i kiwnęliśmy głowami. Bez słowa. Wszystko w ułamku sekundy. Rozdzielali nas szczęśliwi studenci z korporacji. Minęliśmy ich z dwu stron. Oczy Madisona powiedziały mi to, co chciałam wiedzieć. Stałam się jego przeciwniczką, już nie tylko ofiarą. Tyle zrozumiał.

Tamtej zimy zaczęłyśmy z Lila mówić o sobie, że jesteśmy klonami. Obie na tym zyskiwałyśmy. Będąc moim klonem, Lila mogła wydawać się nieco śmielsza i dziksza, niż była naprawdę, ja zaś mogłam udawać normalną studentkę, której życie obraca się wokół zajęć i wypadów na Marshall Street po jedzenie, a nie wokół sprawy o gwałt. Jako klony postanowiłyśmy poszukać lokum poza kampusem. Razem z Sue, koleżanką Liii, znalazłyśmy mieszkanie z trzema sypialniami w okolicy, gdzie mieszkało wielu studentów. Byłyśmy podekscytowane perspektywą przeprowadzki do prawdziwego domu, a ja, w przekonaniu, że do tego czasu rozprawa na pewno się skończy, czułam, że na nowym miejscu z"acznę nowe życie. Miałyśmy objąć rezydencję w posiadanie jesienią.

W pierwszym tygodniu maja pakowałam się przed wyjazdem do domu na lato. Dostałam ocenę B z zajęć z Szekspira i pożegnałam się z Jamiem. Nie miałam złudzeń, że kiedykolwiek się do mnie odezwie.

Po seminarium „Cervantes po angielsku” napisałam pracę, w której zemściłam się na micie La Manchy. Przedstawiłam nowatorską interpretację *Don Kichota* jako współczesną miejską przypowieść, przypisując Sancho Pansie rolę głównego bohatera. Sancho radził sobie w każdej sytuacji, jak dziecko ulicy, a Don Kichot nie. W mojej wersji Don Kichot tonie w kałuży przy krawężniku, myśląc, że to jezioro.

Przed wyjazdem wpadłam do Gail, zawiadomić ją o wyjeździe. Przez całą wiosnę biuro prokuratora częstowało mnie gadką „w

najbliższym czasie” i tym razem usłyszałam to samo. Gail podziękowała, że przyszedłam, i spytała o plany na najbliższą przyszłość.

– Chyba znajdę sobie jakąś pracę na lato – odparłam.

– Mam nadzieję, że wkrótce pójdziemy do sądu – rzekła. – Będziesz osiągalna, prawda?

– Nic nie jest dla mnie w tej chwili ważniejsze – zapewniłam.

Dopiero po latach zrozumiałam jej pytanie: w sprawach o gwałt niemalże oczekiwano, że poszkodowana, nawet jeśli zainicjowała dochodzenie, ostatecznie się wycofa.

– Pozwól, Alice, że o coś cię spytam – powiedziała lekko zmienionym tonem.

– Tak?

– Czy będzie z tobą ktoś z twojej rodziny?

– Nie wiem – odparłam.

Rozmawiałam o tym z rodzicami w czasie ferii zimowych, a potem jeszcze raz na Wielkanoc. Matka poruszyła ten temat z psychiatrą, doktor Graham, a ojciec niepokoił się, że dalsze przesuwanie terminu rozprawy może zepsuć mu doroczny wyjazd do Europy.

Do niedawna sądziłam, że rodzice podjęli ostatecznie decyzję, iż to ojciec będzie mi towarzyszył, ponieważ matka, której mógł się zdarzyć nieprzewidziany atak paniki, nie mogła tego zrobić. Okazało się jednak, że doktor Graham mimo wszystko doradzała jej ten wyjazd.

Podczas rozmowy telefonicznej, w czasie której matka powiedziała mi, w jaki sposób zapadła decyzja, zachowałam spokój. Zadawałam pytania jak reporter. Beznamiętnie gromadziłam informacje. Matka wyznała, że jest zła na doktor Graham, ponieważ pani doktor, oczywiście, „poparła profesjonalistę, to znaczy twojego ojca”.

– Więc tata też nie chciał ze mną iść? – spytałam, prowadząc dalej rozpoczętą przez nią rozgrywkę.

– A skąd, przecież czekała jego ukochana Hiszpania. Wyniosłam z tej rozmowy przekonanie, że żadne z moich

rodziców nie chciało towarzyszyć mi w sądzie. Mieli swoje powody, a ja je rozumiałam.

Ostatecznie postanowiono, że pójdzie ze mną ojciec. Do ostatniej chwili, gdy razem z ojcem wsiedliśmy do samolotu, zachowałam w kąciку serca nadzieję, że matka zaparkuje na długoterminowym parkingu i dogoni nas. Trzymałam wprawdzie fason, ale bardzo jej potrzebowałam i pragnęłam jej towarzystwa.

Kończąc ostatni rok nauki, Mary miała opanowane piętnaście arabskich dialektów i dostała stypendium Fulbrighta umożliwiające jej studia na uniwersytecie w Damaszku, w Syrii. Podziwiałam ją i zarazem jej zazdrościłam. Wtedy po raz pierwszy i nie ostatni zazartowałam, porównując się z nią: „Twoją specjalnością jest język arabski, a moją, jak się zdaje, gwałt”.

Mary wybijała się w nauce w stopniu dla mnie nieosiągalnym, chociaż może byłam zbyt rozproszona, żeby postarać się o” coś więcej. Prawda jednak wyglądała tak, że dla Mary nauka była drogą ucieczki. Wychowana w domu, w którym życie rodzinne skupiało się wokół problemów matki, wzorowała się na ojcu. A ten wzór wyglądał tak: nauczyć się języka innego kraju, a potem tam wyjechać; udać się gdzieś, gdzie nie docierają rodzinne problemy. Nauczyć się języka, którym nie mówi nikt z rodziny.

Nie zrezygnowałam z marzenia o szczęśliwym siostrzanym związku, jakiego pragnęła dla nas matka, lecz okoliczności zawsze sprzysięgały się przeciwko nam. Miasto Syracuse wyznaczyło termin rozpoczęcia składania zeznań na siedemnastego maja, akurat w dniu, w którym moja siostra odbierała dyplom na Uniwersytecie Pensylwańskim. Chociaż wcale tego nie chciałam, wciąż ściągałam uwagę rodziny na siebie, usuwając Mary w cień.

Porozmawiałam z Gail. Nie można było przesunąć terminu rozprawy, ale zgodzono się, by najpierw składali zeznania inni świadkowie, a ja dopiero następnego dnia. Zarezerwowaliśmy z ojcem lot na siedemnastego wieczorem. Zaraz po rozdaniu dyplomów matka miała nas podrzucić na lotnisko w Filadelfii. Umówiliśmy się, że do tego momentu całą rodziną będziemy

przeżywać uroczysty dzień Mary.

Pojechałyśmy z matką i Mary na zakupy – Mary potrzebowała sukienki na rozdanie dyplomów, a ja jakiegoś stroju na rozprawę.

Obie z siostrą odeszłyśmy od dawnego stylu ubierania się, gdy byłyśmy dziećmi i decydowała za nas matka, zdradzająca słabość do barw amerykańskiej flagi. Mary upodobała sobie ciemne zielenie i kolor kremowy, ja zaś ograniczyłam się do czerni i granatu. Jednak na czas rozprawy zrezygnowałam ze swoich gotyckich skłonności. Oddałam się w ręce matki. Wybrała dla mnie białą bluzkę, granatową spódnicę i czerwony blezer.

Szesnastego maja wieczorem spakowaliśmy się, ojciec i ja. Siedemnastego każde z nas ubrało się w swoim pokoju i przygotowało do wizyty na Uniwersytecie Pensylwańskim. Ostatni raz przejrzałam się w swoim lustrze. Miałam się w nim zobaczyć ponownie, gdy skończy się mój udział w rozprawie, niezależnie od jej wyniku. Jechałam do Syracuse, gdzie miałam się widzieć z wieloma ludźmi, lecz myślałam tylko o jednym umówionym spotkaniu. Musiałam się spotkać z Gregorym Madisonem. Otwierając drzwi pokoju, odetchnęłam głęboko. Wyłączyłam się. Byłam znowu młodszą siostrą Mary – podnieconą, radosną, żywą.

Na uroczystości ojciec miał paradować w barwach uniwersytetu w Princeton. Staliśmy całą rodziną w zatłoczonym korytarzu pod audytorium, gdzie zaaferowani ojcowie i matki poprawiali w ostatniej chwili swoim pociechom kanciaste birety na głowach, a jedna mama, przejęta rozmazanym tuszem do rzęs, zaślinionym palcem zmywała czarne kropki spod oka córki. Liczne rodziny, łącznie z dalszymi krewnymi, otaczały szczęśliwych absolwentów, błyskały flesze, onieśmielone dziewczęta i chłopcy przekrzywiali birety na głowach, żeby nie wyglądać obciachowo.

Babcia, mama i ja znalazłyśmy sobie miejsca na parterze, trochę w bok od dużej grupy absolwentów. Stałam na krześle, żeby wypatrzeć Mary. Dostrzegłam ją, uśmiechniętą, obok jakiejś

koleżanki, której nie znałam.

Po ceremonii rozdania dyplomów poszliśmy na uroczysty lunch w Klubie Wydziału. Matka napstrykała mnóstwo zdjęć, kiedy przysiedliśmy na kamiennych ławach przed klubem. Do tej pory jedno z nich stoi u niej, powiększone i oprawione. Kiedyś życzyłam sobie w duchu, żeby je schowała. Ale w końcu upamiętnia ważny dzień w życiu naszej rodziny – ukończenie studiów przez siostrę i moją rozprawę sądową o gwałt.

Nie pamiętam lotniska. Pamiętam tylko, jak szybko uroczysty dzień ustąpił przerażeniu. W Syracuse wyszedł nam na spotkanie detektyw John Murphy z Prokuratury Okręgowej. Człowiek ten, przedwcześnie posiwiał i przyjaźnie uśmiechnięty, podszedł do nas, gdy rozglądaliśmy się za znakami kierującymi do głównego terminalu.

– Pani to chyba Alice – rzekł, wyciągając rękę.

– Tak. – Ciekawe, jak mnie poznał, pomyślałam. Przedstawił się i wyjaśnił, na czym polega jego rola – miał nam towarzyszyć przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny – i zaproponował, że poniesie moją torbę. Kiedy szliśmy szybko w stronę wyjścia, poinformował nas, gdzie będziemy mieszkać, i że Gail będzie na nas czekała w kawiarni w holu.

– Chce omówić z panią zeznanie – rzekł. Nie wytrzymałam i spytałam:

– Jak mnie pan rozpoznał?

Obrzucił mnie spojrzeniem, z którego nic nie mogłam wyczytać.

– Pokazano mi kilka zdjęć.

– Domyślałam się, co to za zdjęcia. Mam nadzieję, że wyglądam lepiej.

Ojciec był spięty i szedł w pewnym oddaleniu od nas.

– Jest pani piękną dziewczyną i widać to także na tych zdjęciach – odparł Murphy. Nawet się nie zająknął. Wiedział, jakiej odpowiedzi należy udzielić, co trzeba powiedzieć.

W służbowym samochodzie w drodze do hotelu Murphy

rozmawiał z ojcem przez ramię, nawiązując z nim kontakt wzrokowy przez lustro, kiedy zwalnialiśmy na światłach i zakrętach.

– Interesuje się pan sportem, panie Sebold? – spytał. Ojciec nie interesował się sportem.

Murphy zagadnął go o wędkowanie.

Ojciec i na ten temat niewiele mógł powiedzieć, chociaż się starał. Gdyby Murphy wstawał o piątej rano, żeby czytać Cyserona, może mieliby od czego zacząć rozmowę.

W końcu zeszło na Madisona.

– Nawet kiedy oskarżony przebywa w areszcie, zawsze mogę tam pójść, podziękować, zachowywać się wobec niego przyjaźnie – rzekł Murphy. – A potem wyjść. Inni więźniowie wezmą go za donosiciela i nie przepuszczą mu tego. Zrobię to temu draniowi, jeżeli sobie pani życzy.

Nie pamiętam, jak zareagowałam. Może wcale. Zdawałam sobie sprawę, że ojciec czuje się skrepowany, moje zaś skrepowanie przy takich rozmowach znacznie zmalało w ciągu minionego roku. Lubiłam takich ludzi jak Murphy. Mówiących szybko, jasno i prosto. Nie obwijających w bawełnę.

– Gwałciciele nie są lubiani – wyjaśnił Murphy ojcu. – Nieraz dostają nieźle w kość. Najbardziej znienawidzeni są pedofile, a gwałciciele traktowani są niewiele lepiej.

Ojciec okazał zainteresowanie, ale chyba się bał. Myślę, że dla niego taka rozmowa była niesmaczna. Lubił panować nad tokiem dyskusji, w przeciwnym wypadku wycofywał się. Dlatego czymś niezwykłym było to, że w ogóle słuchał detektywa.

– Moja dziewczyna ma na imię Alice – podtrzymał rozmowę Murphy.

– Naprawdę? – Ojciec ożywił się.

– Tak. Jesteśmy razem od jakiegoś czasu. Kiedy dowiedziałem się, że i pańska córka ma na imię Alice, od razu ciepło pomyślałem o tej sprawie.

– Nam też się to imię bardzo podoba – rzekł ojciec.

Opowiedziałam detektywowi Murphy'emu o tym, jak ojciec

chciał dać mi na imię Hepzibah. Propozycja upadła tylko dzięki gwałtownemu sprzeciwowi matki.

Spodobało mu się. Roześmiał się i kilka razy powtórzył imię, aż udało mu się wymówić je poprawnie.

– Fajna historia. Miała pani szczęście.

Skręciliśmy w główną ulicę centrum Syracuse. W maju o wpół do szóstej było jeszcze jasno, ale sklepy już pozamykano. Minęliśmy dom towarowy Foleya. Pochyłe litery i stara mosiężna brama podziały na mnie krzepiąco.

Pó lewej stronie zobaczyłam markizę hotelu Syracuse. Pozostałość dawnej świetności. W starym holu panował duży ruch. John Murphy zgłosił nasze przybycie w recepcji i wskazał, gdzie jest restauracja. Zapowiedział, że pojawi się nazajutrz, o dziewiątej rano.

– Zjedzcie kolację. Gail powinna przyjść koło ósmej wieczorem. – Podał mi niebieską teczkę. – Prosiła o przekazanie pani tych materiałów. Powinna je pani przejrzeć.

Ojciec podziękował mu za odwiezienie do hotelu.

– Drobiazg, panie Sebald – odparł Murphy. – Jadę teraz zobaczyć się z moją Alice.

Zostawiliśmy bagaże w pokoju na piętrze, a potem wróciliśmy na dół. Nie czułam głodu, za to chętnie bym się czegoś napiła. W restauracyjnym barze usiedliśmy z ojcem przy małym stoliku. Zamówiliśmy gin z tonikiem. „Matka nie musi o tym wiedzieć” – zaznaczył. To był jego drink. Mając jedenaście lat, patrzyłam, jak opróżnia cały dzbanek ginu z tonikiem w dniu złożenia rezygnacji przez prezydenta Nixona. Ojciec poszedł zadzwonić do matki, która zapowiedziała, że będzie siedzieć ze swoją matką i moją siostrą i czekać na wiadomości od nas.

Kiedy ojciec odszedł od stolika, otworzyłam niebieską teczkę. Na wierzchu leżała kopia mojego zeznania z przesłuchania wstępnego. Nigdy przedtem jej nie widziałam. Przeczytałam ją, osłaniając kartkę teczką. Nie chciałam, żeby ktokolwiek z obecnych – młody biznesmen, starszy sprzedawca i jakaś wykształcona kobieta – zobaczyli, co trzymam w ręku.

Ojciec wrócił i starał się nie przeszkadzać mi, gdy wczytywałam się we własne słowa. Wyjął zabraną z domu małą książeczkę po łacinie.

– Nie wygląda mi to na pożywne danie kolacyjne! Uniosłam głowę. Nade mną stała Gail, wskazując palcem niebieską teczkę. Na trzy tygodnie przed przewidywanym terminem rozwiązania była ubrana w szeroki niebieski podkoszulek, beżowe sztruksy i sportowe buty. Miała na nosie okulary, których przedtem nie widziałam, w rękę trzymała dużą teczkę.

– Doktor Sebold, jak się domyślam – powiedziała. Punkt dla Gail, pomyślałam. Wspomniałam jej kiedyś, że ojciec ma stopień doktora filozofii i nie lubi, jak ludzie mówią do niego „mister”. Ojciec wstał i uścisnął jej rękę.

– Proszę mówić mi Bud – rzekł.

Zaproponował jej drinka, ale wolała wodę, a kiedy poszedł po nią do baru, usiadła koło mnie, przytrzymując się oparcia krzesła.

– Ojej, tobie naprawdę jest ciężko w tej ciąży! – powiedziałam.

– Święte słowa. Już nie mogę się doczekać. Sprawę dostaje Billy Mastine, ponieważ widok ciężarnej kobiety denerwuje sędziego.

Mówiła to ze śmiechem, lecz mnie wcale nie było do śmiechu. Tylko ją uważałam za swojego adwokata. To ona, młodszy prokurator, a nie prokurator okręgowy, przyjechała po godzinach, żeby omówić sprawę. Była moim kołem ratunkowym, a karanie jej za to, że jest w ciąży, wyglądało mi na kolejny manewr skierowany przeciwko kobietom.

– Doktor Husa, twój ginekolog, też jest w ciąży. W ósmym miesiącu. Paquette chyba pęknie. Tyle ciężarnych dokoła. Obrona źle wypadnie, poddając nas pytaniu krzyżowemu.

Ojciec wrócił i przeszliśmy do rzeczy. Gail przeprosiła ojca, podkreślając, że nie chce być nieuprzejma.

– Billy i ja sądzymy, że adwokat może wytoczyć ciężki argument: impotencję Madisona.

Ojciec pilnie słuchał. Bawił się przy tym cebulkami w drugim drinku, gibsonie.

– Jak mogą tego dowieść? – spytałam i obie się roześmiałyśmy. Wyobraziłyśmy sobie sytuację, w której obrona sprowadza lekarza, żeby poświadczył to stwierdzenie.

Gail wyjaśniła, że istnieją trzy kategorie gwałcicieli.

– Według wszystkich badań Gregory pasuje do najczęstszej kategorii. Jest gwałcicielem dominującym. Pozostałe typy to wściekły gwałciciel i ten najgorszy, sadystyczny.

– Możesz objaśnić to dokładniej? – spytałam.

– Gwałciciel dominujący często nie jest zdolny do utrzymania erekcji. Staje się to możliwe dopiero wtedy, kiedy poczuje, że fizycznie i psychicznie całkowicie podporządkował sobie ofiarę. Może mieć także pewne skłonności sadystyczne. Zwróciliśmy uwagę, że ten gwałciciel osiągnął erekcję po tym, jak kazał ci klęknąć i zrobić sobie loda.

Postanowiłam nie martwić się o ojca.

– Nakłamałam mu, że jest bardzo silny – przypomniałam. – A kiedy nie mógł mieć erekcji, powiedziałam, że to nie jego wina, że to ja nie jestem w tym dobra.

– Zgadza się – potwierdziła Gail. – Dzięki temu pomyślał, że cię zdominował.

Przy Gail mogłam być sobą – mówić, co chcę. Ojciec w czasie tej rozmowy siedział cały czas obok nas. Gail wyczuwała jego zainteresowanie lub zmieszanie i czasem gestem włączała go do rozmowy. Spytałam, ile lat dostanie Madison, jeżeli zostanie skazany.

– Wiesz, że zaproponowaliśmy mu przyznanie się do winy?

– Nie – odparłam.

– Dostałby dwa do sześciu lat, ale odmówił. Moim zdaniem jego adwokat jest zbyt pewny siebie. Oskarżony dostaje wyższy wyrok, jeżeli nie przyzna się do winy, a sąd uzna go za winnego.

– Ile maksymalnie może wtedy dostać?

– Za gwałt od ośmiu lat i czterech miesięcy do dwudziestu pięciu lat.

– Dwadzieścia pięć lat?

– Tak, ale może wystąpić o zwolnienie warunkowe po ośmiu

latach i czterech miesiącach.

– W krajach arabskich ucina się ludziom dłonie i stopy – wtrącił ojciec.

Gail, która miała libańskie korzenie, uśmiechnęła się.

– Oko za oko, ząb za ząb, co, Bud? – powiedziała.

– Właśnie – przytaknął ojciec.

– Czasem wydaje się to bardziej sprawiedliwe, lecz nas obowiązuje amerykańskie prawo.

– Alice zrelacjonowała mi przebieg okazania. Wydaje się niewłaściwe, że pozwany mógł poprosić przyjaciela, żeby stanął koło niego.

– Och, nie trzeba się przejmować Gregorym – rzekła Gail z uśmiechem. – Wszystko, co dostał, może jeszcze spieprzyć.

– Czy będzie zeznawał? – spytałam.

– To zależy od ciebie. Jeżeli zachowasz się tak przytomnie, jak w czasie przesłuchania wstępnego i przed ławą przysięgłych, Paquette będzie musiał powołać go na świadka.

– Co on może powiedzieć?

– Zaprzeczy. Powie, że nie było go tam ósmego maja, że nie pamięta, gdzie był. A na październik wymyślą jakąś historyjkę. Paquette nie jest głupi i nie doradzi klientowi, żeby zaprzeczył, że rozmawiał z policjantem.

– Ja powiem, że to się stało, a on powie, że nie.

– Tak. Twoje słowo przeciwko jego słowu, a to oznacza rozprawę bez sądu przysięgłych.

– Czyli?

– Czyli sędzia Gorman będzie jednocześnie sędzią głównym i ławą przysięgłych. Tego chciał Gregory. Obrona obawiała się, że okoliczności poboczne wpłyną na zdanie obywateli zasiadających w ławie przysięgłych.

Wtedy już wiedziałam, co to są okoliczności poboczne oraz że przemawiają na moją korzyść. Byłam dziewicą. On był nieznajomym. Zdarzenie miało miejsce poza budynkiem. W nocy. Miałam na sobie luźne ubranie i nie można było dowieść, że zachowywałam się prowokująco. Nie byłam pod wpływem

narkotyków ani alkoholu. Nie miałam nigdy do czynienia z policją, nie płaciłam nawet mandatu. On był czarny, a ja biała. Nie ulegało wątpliwości, że doszło do szarpaniny. Odniosłam obrażenia wewnętrzne – trzeba było zakładać szwy. Byłam młoda i studiowałam na prywatnym uniwersytecie przynoszącym dochód miastu. On był notowany na policji i odsiadywał wyrok.

Gail spojrzała na zegarek i raptem chwyciła mnie za rękę.

– Czujesz? – spytała, przykładając moją dłoń do swojego brzucha. Poczułam, jak dziecko kopie. – Mały piłkarz – rzekła z uśmiechem.

Wiem od Gail, że nie tylko ja wniosłam oskarżenie przeciwko Gregory'emu. Czekala go jeszcze sprawa o napaść z bronią w rękę na funkcjonariusza policji. W okresie po Bożym Narodzeniu, kiedy wyszedł za kaucją, aresztowano go także za włamanie.

Przejrzałyśmy protokół z przesłuchania wstępnego i kilka pisemnych zeznań pod przysięgą, złożonych w dniu gwałtu. Dowiedziałam się, że zeznawali już policjanci.

– Clapper mówił o tym, że widywał Gregory'ego w tej dzielnicy, zaznaczając, że już wcześniej miał okazję go poznać. Jeżeli Madison wystąpi jako świadek, Billy postara się to wykorzystać.

Widziałam, że ojciec łowi każde słowo.

– I będzie można użyć jego akt policyjnych?

– Nie z okresu młodocianego – odparła Gail. – To niedopuszczalne. Ale spróbujemy ustalić, że Greg miał do czynienia z policją. Jeżeli się potknie i sam o tym wspomni, wtedy możemy zadawać pytania.

Opisałam ubiór, jaki kupiłam razem z matką. Gail go zaaprobowała.

– Spódnica jest bardzo ważna – podkreśliła. – Nie zbliżam się do sali sądowej w spodniach. Gorman jest wyczulony na tym punkcie. Zdarzyło się, że wyrzucił Billy'ego z sali sądowej za kraciastą marynarkę! – Gail wstała. – Muszę donieść to do domu – dodała, wskazując brzuch. – Bądź bezpośrednia – poradziła. – Mów jasno i wyraźnie, a jeżeli poczujesz się zagubiona, popatrz

na stół oskarżenia. Będę tam siedziała.

W nocy dokuczał mi straszny ból. Tamtego roku zaczęłam cierpieć na migrenę, chociaż wtedy jeszcze nie wiedziałam, że te bóle głowy to migrena. Nie powiedziałam o nich rodzicom. Pamiętam, jak stałam w hotelowej łazience, i zdałam sobie sprawę, że migrena dopadnie mnie tej nocy. Kiedy myłam zęby i przebierałam się, czułam łomotanie pod potylicą. Przez szum wody słyszałam, jak ojciec dzwoni do matki, żeby zdać jej sprawozdanie. Po spotkaniu z Gail wyraźnie mu ulżyło.

Jednak tamtej nocy, gdy mnie coraz bardziej bolała głowa, ojciec wpadł w panikę. Najostrzejszy ból przeszywał mi oczy. Nie mogłam ich ani otworzyć, ani zamknąć. Oblewałam się potem i na zmianę to przysadałam skulona na którymś z łóżek, kołysząc się i trzymając rękoma za głowę, to znów krążyłam w tę i z powrotem między łóżkiem a drzwiami na balkon.

Ojciec nie odstępował mnie, zarzucając pytaniami.

– Co ci jest? Gdzie cię boli? Czy mam wezwać lekarza? Może zadzwonić do matki?

Nie chciałam mówić, bo to sprawiało ból.

– Moje oczy, moje oczy – jęczałam. – Tak mnie bolą, że nic nie widzę, tato.

Ojciec uznał, że powinnam się wypłakać.

– Płacz – powiedział. – Płacz.

Poprosiłam go, żeby dał mi spokój. Lecz on był przekonany, że znalazł rozwiązanie.

– Płacz – powtórzył. – Musisz się wypłakać. Płacz.

– To nie pomoże, tato.

– Ależ tak – upierał się. – Zawzięłaś się, żeby nie płakać, a tego właśnie potrzebujesz. Więc płacz!

– Nie możesz mnie zmusić do płaczu – oponowałam. – W sądzie nie wygrywa się płaczem!

Poszłam do łazienki, żeby zwymiotować, i zamknęłam mu drzwi przed nosem.

W końcu zasnął w drugim pokoju. Siedziałam w łazience to z

zapalonym, to ze zgaszonym światłem, usiłując doprowadzić oczy do normalnego stanu, działając na nie na przemian kojąco i pobudzająco. Wczesny ranek zastał mnie siedzącą na brzegu łóżku. Ból głowy powoli ustępował. Przeczytałam fragment Biblii, którą wyjęłam z szuflady stolika przy łóżku, żeby sprawdzić, czy nie zaczęłam ślepnąć.

Wciąż miałam mdłości. Gail spotkała się z nami o ósmej w kawiarni hotelowej. Przyszedł John Murphy i usiadł przy moim ojcu. Gail i Murphy wzięli mnie w obroty. Popijałam kawę i odrywałam płatki chrupiącej skórki od francuskiego rogalika.

– Proszę w żadnym wypadku nie patrzeć mu w oczy – rzekł Murphy. – Dobrze mówię, Gail?

Wyczułam, że Gail nie chce tak szybko przejść do ostrego treningu.

– Będzie patrzył na panią bardzo groźnie, będzie się starał wytrącić panią z równowagi – ciągnął Murphy. – Kiedy poproszą, żeby go pani wskazała, niech pani patrzy w stół.

– Tak jest – potwierdziła Gail.

– Pan też tam będzie? – spytałam Murphy’ego.

– Razem z pani ojcem siądziemy na galerii – odparł. – Tak, Bud?

W końcu przyszedł czas, żeby się udać do Sądu Powiatu Onondaga. Gail pojechała swoim samochodem, Murphy, mój ojciec i ja – samochodem służbowym. Mieliśmy się spotkać na miejscu.

W gmachu sądu Murphy poprowadził nas w kierunku sali sądowej, ale w połowie drogi stanął.

– Zaczekamy tutaj, aż nas zawołają – rzekł. – Jak się czujesz, Bud?

– Dobrze, dziękuję – odparł ojciec.

– Alice?

– Wyśmienicie – uspokoila go, lecz myślałam tylko o jednym. – A gdzie jest Madison?

– Dlatego was tu zatrzymałem – wyjaśnił Murphy. – Żeby

uniknąć nieplanowanych spotkań.

Gail wyszła z sali sądowej i skierowała się w naszą stronę.

– Jest Gail – powiedział Murphy.

– Mamy zamkniętą salę.

– Co to znaczy? – spytałam.

– Paquette stara się zrobić to samo, co przy okazaniu. Zamyka salę, żebyś nie mogła mieć przy sobie rodziny.

– Nie rozumiem – odezwał się ojciec.

– Nie dopuścił do obecności Tricii przy okazaniu – wytłumaczyłam tacie. – Śliski dupek. Nienawidzę go.

Murphy uśmiechnął się.

– Jak to jest możliwe? – zdziwił się ojciec.

– Oskarżony ma prawo wystąpić z prośbą o rozprawę przy drzwiach zamkniętych, jeżeli uważa, że w ten sposób pozbawi świadka wsparcia – wyjaśniła Gail. – Proszę na to spojrzeć od jaśniejszej strony. Ojciec Gregory'ego też tu jest. On także nie ma wstępu na salę sądową.

– Jak mógłby wspierać gwałciciela?

– To jego syn – rzekł cicho Murphy. Gail weszła z powrotem do sali sądowej.

– Może będzie pani łatwiej bez ojca – dorzucił pocieszająco Murphy. – O niektórych rzeczach trudniej mówić w obecności rodziny.

Chciałam spytać dlaczego, ale wiedziałam, o co mu chodzi. Żaden ojciec nie chciałby słuchać o tym, jak ktoś obcy wepchnął całą dłoń do waginy jego córki.

Detektyw Murphy i mój ojciec stali naprzeciw mnie. Murphy wyraził ojcu współczucie. Wskazał pobliską ławkę, mówiąc, że tutaj będą mogli poczekać. Ojciec miał przy sobie oprawny w skórę tomik.

Zobaczyłam z pewnej odległości, jak Gregory Madison wchodzi do sali. Przyszedł korytarzem prostopadłym do tego, na którym stałam. Patrzyłam na niego przez moment. Nie widział mnie. Szedł powoli. Był ubrany w jasnoszary garnitur. Towarzyszył mu Paquette i jeszcze jeden biały.

Po krótkiej chwili przerwałam ojcu i detektywowi Murphy'emu.

– Chcesz go zobaczyć? – spytałam tatę. Złapałam go pod rękę i obróciłam. – Jest tam, tato.

Niestety, widać było już tylko plecy Madisona, wchodzącego do sali sądowej, szarą plamę poliestrowego garnituru.

– Jest niższy, niż przypuszczałem – rzekł ojciec. Minęła sekunda, dwie. Cisza. Murphy pośpieszył z pomocą.

– Ale szeroki. Same mięśnie.

– Widziałeś jego ramiona? – spytałam tatę. Jestem pewna, że wyobrażał sobie Madisona jako olbrzyma.

Potem zobaczyłam innego mężczyznę. Był lżejszej budowy niż syn, posiwiały na skroniach. Zatrzymał się niepewnie pod drzwiami sali sądowej i po chwili zauważył naszą grupkę. Nie pokazałam go ojcu. Słowa Murphy'ego sprawiły, że inaczej patrzyłam na tamtego ojca. On zaś spojrział na mnie i wycofał się, znikając w drugim korytarzu. Na pewno uzmysłowił sobie, kim jestem. Nie widziałam go więcej, ale utkwił mi w pamięci. Gregory Madison miał ojca. Ten prosty fakt pozostał ze mną. Dwóch ojców, jednakowo bezradnych i niemających wpływu na życie swoich dzieci, przesiedziało rozprawę każdy w swoim korytarzu.

Drzwi sali sądowej otworzyły się. Stał w nich egzekutor i porozumiał się wzrokiem z Murphym.

– Pora na panią, Alice – rzekł Murphy. – Niech pani pamięta, proszę na niego nie patrzeć. Będzie siedział przy stole obrony. Kiedy się pani obróci, proszę wypatrywać Billa Mastine'a.

Egzekutor przyszedł po mnie. Wyglądał trochę jak bileter z teatru, a trochę jak wojskowy. On i detektyw Murphy kiwnęli do siebie głowami. Przekazanie pałeczki.

Wyciągnęłam rękę do ojca.

– Powodzenia – powiedział.

Odwróciłam się. Dobrze, że Murphy był z nami. Pomyślałam nagle, że gdyby ojciec chciał pójść do toalety, mógłby się tam

natknąć na pana Madisona. Murphy miał zadbać, aby do tego nie doszło. Teraz wypuściłam to, co płonęło . w moich skroniach zeszłej nocy i co wrzało pod powierzchnią przez cały rok – wściekłość.

Przerażona i roztrzęsiona przeszłam przez salę, minęłam stół obrony, sędziego na podium, stół oskarżenia i dotarłam do miejsca dla świadka. Z przyjemnością myślę, że stałam się najgorszym koszmarem Madisona, chociaż on jeszcze wtedy o tym nie wiedział. Reprezentowałam osiemnastoletnią dziewczę, studentkę. Byłam ubrana na biało, czerwono i granatowo.

Egzekutorka, pani w średnim wieku, w okularach w drucianej oprawie, pomogła mi wejść do boksu dla świadka. Odwróciłam się. Gail siedziała przy stole oskarżenia. Mastine stał. Zdawałam sobie sprawę z obecności innych ludzi, ale nie patrzyłam na nich.

Egzekutorka trzymała przede mną Biblię.

– Proszę położyć rękę na Biblii – poleciła. Powtórzyłam słowa, które słyszałam setki razy przez telewizję.

– „Przysięgam mówić prawdę... tak mi dopomóż Bóg.

– Proszę usiąść – rzekł sędzia.

Matka zawsze uczyła nas, żeby przy siadaniu skrupulatnie wygładzać spódnicę. Uczyniłam odpowiedni gest, myśląc o tym, co mam pod spódnicą i halką, a co byłoby widoczne przez cieliste rajstopy, gdybym uniosła rąbek materiału. Tego ranka, kiedy się ubierałam, napisałam na własnej skórze słowo „umrzesz”. Odcinało się ciemnoniebieskim tuszem od moich nóg, a pisząc je, nie siebie miałam na myśli.

Mastine rozpoczął przesłuchanie. Spytał mnie o nazwisko i adres zamieszkania. Skąd pochodzę. Ledwie pamiętam swoje odpowiedzi. Orientowałam się w rozkładzie sali. Wiedziałam dokładnie, gdzie siedzi Madison, ale nie patrzyłam na niego. Paquette odchrząknął, zaszeleścił papierami. Mastine spytał, gdzie chodziłam do szkoły. W którym roku ją skończyłam. Zrobił chwilę przerwy, żeby zamknąć okno, uprzednio zapytawszy sędziego Gormana, czy może to zrobić. Potem cofnęliśmy się w

czasie. Gdzie mieszkałam w maju tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego? Skierował moją uwagę na wydarzenia, do których doszło siódmego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego oraz we wczesnych godzinach ósmego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego.

Opisywałam wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, i tym razem poszłam za radą Gail – na każde pytanie odpowiadałam powoli.

– Czy powiedział coś, co miało charakter groźby, gdy pani krzyczała i gdy doszło do szarpaniny?

– Powiedział, że mnie zabije, jeżeli nie zrobię tego, co mi każe. Paquette wstał.

– Przepraszam. Nie dosłyszałem.

– Powiedział, że mnie zabije, jeżeli nie zrobię tego, co mi każe – powtórzyłam.

Po kilku minutach zaczęłam się zacinać. Mastine prowadził mnie pytaniami i teraz znaleźliśmy się w tunelu pod amfiteatrem.

– Co tam się wydarzyło?

– Powiedział mi, żebym... że jest... już wtedy zorientowałam się, że jest... że nie chce ode mnie pieniędzy.

Niepewny początek najważniejszej historii, jaką miałam w życiu do opowiedzenia. Zaczęłam zdanie, po czym urwałam, by zacząć od nowa. I nie dlatego, że nie wiedziałam dokładnie, co wydarzyło się w tunelu. Wypowiadałam na głos słowa ze świadomością, że sposób wypowiedzenia ich może zaważyć na wyniku rozprawy.

– Potem kazał mi się położyć na ziemi, zdjął spodnie, zostając w samej bluzie, zaczął pieścić moje piersi, całować je i był bardzo zainteresowany tym, że jestem dziewicą. Wypytywał mnie o to. Obmacywał moją waginę...

Zaczęłam płytko oddychać. Stojąca przy mnie egzekutorka coraz baczniej mi się przyglądała.

Mastine nie dopuścił do tego, by moje dziewictwo pozostało niezauważone.

– Proszę się na chwilę zatrzymać – rzekł. – Czy przed tamtym

momentem w pani życiu odbyła pani kiedykolwiek stosunek seksualny?

Ogarnął mnie wstyd.

– Nie – odparłam.

– Proszę mówić dalej – rzekł Mastine, cofając się. Mówiłam bez przerwy przez prawie pięć minut. Opisałam napaść, obciążanie, wspomniałam o tym, że było mi zimno, opowiedziałam o ukradzeniu ośmiu dolarów, o pożegnalnym pocałunku, o przeprosinach. O naszym rozstaniu.

– ... i wtedy zawołał: „Hej, mała!”. Odwróciłam się. „Jak ci na imię?”, spytał. Odpowiedziałam: „Alice”.

Mastine’owi zależało na precyzji. Spytał o penetrację. Spytał, ile razy do niej doszło, jeżeli więcej niż raz.

– Powiedziałabym, że z dziesięć razy, coś koło tego, ponieważ wciąż go tam wkładał, a on wciąż wypadł. To chyba się liczy, że „był w środku”? Przepraszam. Że dokonał penetracji?

Moja niewinność wprawiła wszystkich w zakłopotanie. Mastine’a, sędziego, egzekutorkę.

– A więc osiągnął penetrację?

– Tak.

Potem przyszła kolej na pytania o oświetlenie. Następnie na dowody rzeczowe w postaci zdjęć. Fotografie miejsca zdarzenia.

– Czy wskutek tej napaści doznała pani jakichś obrażeń? Opisałam swoje obrażenia.

– Czy krwawiła pani, opuszczając miejsce zdarzenia?

– Tak.

– Pokazuję pani fotografie oznaczone numerami trzynaście, czternaście, piętnaście i szesnaście. Proszę na nie spojrzeć.

Podał mi zdjęcia. Wystarczył mi krótki rzut oka.

– Czy zna pani osobę przedstawioną na tych fotografiach?

– Tak – odparłam. Odsunęłam zdjęcia na brzeg pulpitu, jak najdalej od siebie.

– Kto jest tą... ?

– Ja – wpadłam mu w słowo. Rozpłakałam się. Powstrzymywałam się, ale przez to wyszło jeszcze gorzej.

Zaczęłam się krztusić.

– Czy te fotografie oddają wiernie i dokładnie pani wygląd po napadzie wieczorem ósmego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego?

– Wyglądałam gorzej, ale fotografie są wierne. Egzekutorka poszła po szklankę wody. Sięgnęłam po nią tak niepewnie, że szklanka spadła.

– Przepraszam – powiedziałam, płacząc niepowstrzymanie. Próbowałam wytrzeć zmoczone klapy munduru egzekutorki jednorazową chusteczką z pudełka, które trzymała w ręku.

– Świetnie pani idzie, proszę głęboko oddychać – poradziła opanowana egzekutorka.

Przypomniała mi się pielęgniarka, udzielająca pomocy po gwałcie. „Dobrze, mamy kawałek tego drania”. Miałam szczęście, ludzie mi pomagali.

– Czy chce pani mówić dalej? – spytał sędzia. – Możemy zrobić krótką przerwę.

– Będę mówić dalej. – Odchrząknęłam i wytarłam oczy. Położyłam rękę na spódnicy, ściskając zmiętą chusteczkę – nie chciałam się do niej upodobnić.

– Czy może nam pani powiedzieć, jak była pani ubrana tamtego wieczoru?

– Miałam na sobie dżinsy, niebieską bluzkę, bawełnianą koszulę i beżowy sweter w warkocze, bieliznę i mokasyny.

Mastine cały czas stał obok stołu oskarżenia. Kiedy skończyłam, podszedł z przezroczystą plastikową torbą.

– Pokazuję pani dużą torbę, dowód rzeczowy numer osiemnaście. Czy zechciałaby pani popatrzeć, co jest w środku, i powiedzieć, czy zna pani te rzeczy?

Trzymał torbę, stojąc przede mną. Nie widziałam tych ubrań od dnia gwałtu. Sweter, bluzka i dżinsy matki, pożyczone tamtego popołudnia, leżały złożone jedno obok drugiego. Wzięłam torbę i przechyliłam ją na bok.

– Tak.

– Co zawiera ta torba?

– Te rzeczy wyglądają jak bluzka, dzinsy i sweter, które miałam na sobie. Nie widzę bielizny...

– A pod pani lewą ręką?

Przesunęłam rękę. Pożyczyłam od matki bieliznę. Nosiła cielistą, a ja białą. Te majtki były tak przesiąknięte krwią, że tylko jeden mały skrawek przypomniał mi o naszych upodobaniach.

– Okay. Moja bielizna – potwierdziłam. Ubranie zostało przyjęte jako dowód w sprawie. Mastine skończył wypytywać mnie o wydarzenia tamtego dnia. Ustalił, że przejrząwszy bez rezultatu fotograficzną kartotekę przestępców na policji, wróciłam do Pensylwanii.

Przenieśliśmy się do jesieni, przy czym Mastine podkreślił, że wróciłam we wrześniu na początek drugiego roku studiów.

– Kieruję teraz pani uwagę na piątego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego, a ściślej na popołudnie tego dnia. Czy pamięta pani, co się wtedy wydarzyło?

– Owszem, pamiętam jedno zdarzenie.

– Czy osobnik, który zaatakował panią w parku Thordena, jest dzisiaj w sądzie?

– Tak.

Zrobiłam coś, przed czym mnie przestrzegano. Spojrzałam Madisonowi w twarz. Utkwiłam w nim nieruchome spojrzenie. Na kilka sekund utraciłam poczucie obecności Mastine'a i Gail, zapomniałam, że jestem w sądzie.

– Zechce nam pani powiedzieć, gdzie on siedzi i jak jest ubrany – usłyszałam głos Mastine'a.

Zanim zaczęłam mówić, Madison spuścił wzrok.

– Siedzi obok mężczyzny w brązowym krawacie i ma na sobie szary trzyczęściowy garnitur – odparłam. Ucieszyłam się, że udało mi się wytknąć brzydki brązowy krawat Paquette'a i zidentyfikować Madisona po ubraniu, a nie po kolorze skóry, jak się pewnie po mnie spodziewano.

– Proszę zaprotokołować, że świadek rozpoznała oskarżonego – rzekł Mastine.

Do końca przesłuchania bezpośredniego prawie nie

spuszczając Madisona z oka. Chciałam odzyskać swoje życie.

Mastine zatrzymał się na dłużej na wydarzeniach piątego października. Musiałam opowiedzieć, jak tego dnia wyglądał Madison, co mówił. Madison tylko raz podniósł głowę znad stołu obrony. Gdy to zrobił i spostrzegł, że nadal na niego patrzę, odwrócił się, kierując wzrok na miasto Syracuse za oknem.

Mastine wypytał mnie szczegółowo o to, jak wyglądał policjant Clapper, gdzie stał. Czy widziałam, jak Madison podchodzi do niego? Z której strony? A ja dokąd poszłam?

Do kogo zadzwoniłam? Dlaczego upłynęło tyle czasu od chwili, kiedy zobaczyłam Madisona, do chwili, gdy zadzwoniłam na policję? Ach, więc dlatego trwało to tak długo, że poszłam powiedzieć nauczycielowi, że nie przyjdę na zajęcia? I najpierw zadzwoniłam do rodziców, żeby powiadomić ich, co się stało? I czekałam na przyjaciela, żeby odprowadził mnie do akademika? Wyliczając te powody, dał do zrozumienia, że właśnie tak postąpiłaby porządna dziewczyna, spotkawszy na ulicy swojego gwałciciela.

Jego zabiegi miały jeden cel: odebrać znaczenie temu, co zamierzał osiągnąć Paquette, biorąc mnie w krzyżowy ogień pytań. Dlatego Clapper był taki ważny. Jeżeli rozpoznałam Clappera, on zaś z kolei rozpoznał Madisona, nie było się właściwie do czego przyczepić. Ten główny punkt podkreślił Mastine w związku z identyfikacją. Wszyscy wiedzieliśmy – Mastine, Uebelhoer, Paquette, Madison i ja – że słabym ogniwem była procedura okazania.

Długo rozmyślałam nad tym, co powiem. Tym razem nie zamierzałam udawać, że panuję nad sobą.

Na polecenie Mastine'a uzasadniłam, dlaczego wykluczyłam tych okazanych, których już na samym początku wykluczyłam. Opisałam szczegółowo podobieństwa między numerem czwartym i piątym, wyjaśniając, że nie miałam pewności, zaznaczając piątą kratkę, a wybrałam ten numer po kontakcie wzrokowym.

– Czy w momencie, gdy zaznaczała pani numer piąty, była pani przekonana, że to jest właśnie ten osobnik?

– Nie, nie byłam o tym przekonana.

– To dlaczego zaznaczyła pani piątą kratkę? To było najważniejsze pytanie z całej rozprawy.

– Zaznaczyłam tę kratkę, ponieważ bardzo się bałam, a on patrzył prosto na mnie i zobaczyłam te oczy, a samo okazywanie wcale nie wygląda tak, jak przez telewizję, stoi się tuż przed okazanym, jakby się go miało na wyciągnięcie ręki. Spojrzał na mnie i wtedy go wybrałam.

Czułam napiętą uwagę sędziego Gormana. Odpowiadając na pytania Mastine'a, patrzyłam na Gail i starałam się myśleć o dobrych rzeczach, o dziecku pływającym w jej brzuchu.

– Czy wie pani dzisiaj, kto to był?

– Numer piąty?

– Tak – rzekł Mastine.

– Nie – odparłam.

– Czy wie pani, które miejsce zajmował oskarżony w czasie okazywania?

Gdybym powiedziała prawdę, to brzmiałaby ona tak: ledwie wybrałam numer piąty, zrozumiałam, że się pomyliłam, i bardzo tego żałowałam. I że potem wszystko: nastrój panujący w pokoju okazań, ulga na twarzy Paquette'a, mroczne przygnębienie, jakie wyczułam u Lorenza w sali konferencyjnej, potwierdzało mój błąd.

Gdybym skłamała, gdybym powiedziała „nie, nie wiem”, uznano by, że mówię prawdę, bo gubiłam się między numerami czwartym i piątym. „Identyczni jak bliźniaki” – powiedziałam do Tricii w korytarzu. „To numer czwarty, prawda?” – takie były moje pierwsze słowa do Lorenza.

Wiedziałam, że mężczyzna, który mnie zgwałcił, siedzi naprzeciwko w sali sądowej. To było moje słowo przeciwko jego słowu.

– Czy wie pani, w którym miejscu w szeregu okazanych stał oskarżony?

– Nie, nie wiem – odparłam.

Sędzia Gorman podniósł rękę. Kazał protokolantowi odczytać

ostatnie pytanie Mastine'a i moją odpowiedź.

Mastine spytał, czy był jeszcze jakiś inny powód mojego strachu i pośpiechu w czasie okazania.

– Adwokat oskarżonego nie pozwolił, żeby moja... żeby była ze mną opiekunka z Centrum Kryzysowego, wspierającego ofiary gwałtu.

Paquette zgłosił sprzeciw. Uważał, że to jest nieistotne. Mastine pytał dalej. O Centrum Kryzysowe dla Ofiar Gwałtu, o Tricię. Poznałam ją w dniu gwałtu. Podkreślił ten fakt. Wszystko to razem wyjaśniało, w jego przekonaniu, dlaczego popełniłam ten jeden jedyny błąd. Ten błąd nie powinien jednak unieważnić wydarzeń z piątego października ani potwierdzającego zeznania policjanta Clappera. Tego Mastine pragnął dopilnować.

– Czy ma pani jakiegokolwiek wątpliwości, pani Sebold, że osobnik, którego zobaczyła pani na Marshall Street, jest tym osobnikiem, który napadł na panią ósmego maja w parku Thordena?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości – odparłam. I naprawdę nie miałam.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie – rzekł Mastine, odwracając się do sędziego Gormana.

Gail mrugnęła do mnie.

– Zarządzam pięciominutową przerwę – oznajmił sędzia Gorman. – Ostrzegam panią, pani Sebold, nie wolno pani teraz z nikim rozmawiać o złożonym przed chwilą zeznaniu.

To mi właśnie obiecano – przerwę między przesłuchaniem bezpośrednim a pytaniem krzyżowym. Przydzielona mi egzekutorka poprowadziła mnie w prawo, przez drzwi, a potem krótkim korytarzem do sali narad.

Egzekutorka była bardzo miła.

– Jak mi poszło? – spytałam.

– Może pani usiądzie – zaproponowała. Usiadłam przy stole.

– Czy da mi pani chociaż jakiś znak? – spytałam. Raptem przyszło mi do głowy, że to pomieszczenie może być na podsłuchu, dla skontrolowania, czy przestrzegany jest regulamin.

– Kciuk do góry albo w dół?

– Nie mogę omawiać rozprawy. Niedługo będzie po wszystkim. Umilkłyśmy. Dobiegał mnie teraz szum z ulicy. Kiedy zeznawałam, nie słyszałam nic oprócz pytań Mastine’a.

Egzekutorka podała mi nieapetyczną kawę w styropianowej filiżance. Wzięłam ją i przytuliłam dłonie do ciepłych ścianek.

Do sali wszedł sędzia Gorman.

– Halo, Alice – powiedział. Stał po drugiej stronie stołu. – Jak ona się czuje? – zwrócił się do egzekutorki.

– Dobrze.

– Nie mówiła o sprawie?

– Nie. Prawie nic nie mówiła – potwierdziła egzekutorka.

– Czym się zajmuje pani ojciec, Alice? – spytał. Przemawiał łagodniej niż w sądzie. Lżejszym głosem, bardziej dyskretnym.

– Uczy hiszpańskiego na Uniwersytecie Pensylwańskim.

– Na pewno cieszy się pani, że jest tu dzisiaj.

– Tak.

– Ma pani rodzeństwo?

– Starszą siostrę. Mary – dodałam, przewidując kolejne pytanie. Podszedł do okna.

– Zawsze lubiłem tę salę – rzucił mimochodem. – A co robi Mary? – zainteresował się.

– Studiuje arabistykę na Uniwersytecie Pensylwańskim – odparłam. Takie łatwe pytania sprawiły mi niespodziewaną radość. – Chodzi tam bez opłat, ale ja się nie dostałam. Teraz rodzice szczerze tego żałują – zażartowałam.

– Nie wątpię – rzekł. Przed chwilą opierał się o kaloryfer, a teraz wstał i poprawił togę. – Niech pani tu jeszcze chwilę posiedzi. – Wezwiemy panią.

Wyszedł.

– To dobry sędzia – powiedziała egzekutorka.

Otworzyły się drzwi i wetknął głowę egzekutor. .

– Jesteśmy gotowi – zawiadomił.

Egzekutorka zgasiła papierosa. Żadna z nas się nie odezwała.

Byłam gotowa. Teraz albo nigdy.

Wróciłam na salę sądową i usiadłam na miejscu dla świadka. Odetchnęłam głęboko i podniosłam głowę. Przed sobą miałam wroga. Wiedziałam, że zrobi wszystko, by przedstawić mnie w złym świetle – jako głupią, pomyloną, histeryczną dziewczynę. Madison mógł teraz na mnie patrzeć. Jego człowiek wstąpił w szranki. Zobaczyłam, jak Paquette zbliża się do mnie. Patrzyłam na niego w chłodnym skupieniu: mężczyzna drobnej budowy, brzydki garnitur, krople potu na wardze. W jakimś fragmencie życia mógł być porządnym człowiekiem, lecz teraz żywiłam dla niego tylko pogardę. Madison popełnił przestępstwo, a Paquette, reprezentując go, darowywał mu je. Uosabiał siły natury, z którymi musiałam walczyć. Bez trudu wzbudziłam w sobie nienawiść.

– Pani Sebold, zeznała pani, że ósmego maja około północy weszła pani do parku Thordena. Zgadza się?

– Tak.

– Wchodziła pani z ulicy Westcott?

– Tak.

– Czy weszła pani do parku przez specjalne wejście, jakąś bramę?

– Tak. Przy parku jest szatnia kąpieliska, a przed nią chodnik. Weszłam na chodnik, który potem zmienia się w brukowaną alejkę wzdłuż basenu, i dalej szłam tą alejką.

– A więc budynek szatni stoi nad brzegiem basenu, od strony ulicy Westcott?

– Tak.

– Alejka, o której pani mówi, prowadzi przez środek parku aż na drugą stronę, czy tak?

– Tak.

– Zaczęła pani iść tą alejką?

– Tak.

– Zeznała pani dzisiaj, że wokół tego terenu stały latarnie i oświetlenie było zupełnie dobre?

– Tak.

– Czy pamięta pani, że składała pani zeznanie na ten temat w trakcie przesłuchania wstępnego?

– Tak.

Denerwowały mnie te pytania. Jak mogłabym zapomnieć? Zdusiłam w sobie sarkazm.

– Czy pamięta pani swoje słowa, że paliły się światła w okolicy szatni przy kąpielisku, ale...

– Która to strona? – przerwał Mastine.

– Strona czwarta, przesłuchanie wstępne.

– Czy to jest przesłuchanie wstępne? – spytał Gorman, unosząc plik papierów.

– Tak – potwierdził Paquette.

– Linijka czternasta. „Wydaje mi się, że są jakieś latarnie w stronę szatni przy kąpielisku, które widziałam za sobą. Było za mną ciemno, ale nie czarno”.

Pamiętałam wyrażenie „ciemno, ale nie czarno”.

– Owszem, tak właśnie powiedziałam.

– Czy ta wypowiedź nie różni się nieco od stwierdzenia, że dokoła pani stały latarnie i oświetlenie było całkiem dobre?

Wiedziałam, o co mu chodzi.

– Może stwierdzenie, że dokoła stały latarnie, brzmi bardziej dramatycznie. Było tam światło i widziałam, co widziałam.

– Moje pytanie brzmi: czy było ciemno, ale nie czarno, jak zeznała pani w przesłuchaniu wstępnym, czy też były dokoła latarnie i całkiem dobre oświetlenie, jak zeznała pani dzisiaj?

– Mówiąc całkiem dobre oświetlenie, miałam na myśli całkiem dobre oświetlenie w ciemnościach.

– Dobrze. Jak daleko w głąb parku pani weszła, zanim panią zaczepiono?

– Minęłam szatnię, potem bramę i ogrodzenie ciągnące się wzdłuż basenu, przeszłam kilka kroków za tym ogrodzeniem i wtedy zostałam napadnięta.

– Jaka odległość mogła dzielić panią od wejścia do parku, gdy zrobiła pani te kilka kroków poza ogrodzenie?

– Siedemdziesiąt metrów.

– Około siedemdziesięciu metrów? Przeszła pani w parku około siedemdziesięciu metrów, zanim panią zaczepiono?

– Tak.

– Czy ten osobnik podszedł do pani od tyłu?

– Tak.

– Chwycił panią od tyłu? I wtedy zaczęła się pani wyrywać?

– Tak.

– Długo trwała ta szarpanina?

– Tak.

– Mniej więcej jak długo?

– Kilkanaście minut.

– Potem nastąpił moment, gdy ten osobnik zabrał panią z miejsca, gdzie panią zaczepił, do innego rejonu parku. Czy to się zgadza?

– To nie był inny rejon parku, tylko kawałek dalej.

– W głąb parku?

– Nie dalej w głąb parku, tylko... tuż obok... szamotaliśmy się tuż obok tunelu i potem zabrał mnie do tego tunelu.

– Czy mogłaby pani opisać ten tunel?

Pytania padały we wściekłym tempie. Musiałam szybko oddychać, żeby nadażyć. Nie widziałam nic oprócz poruszających się ust Paquette'a i potu na wardze.

– Będę to nazywać tunelem, ponieważ ktoś mi powiedział, że to był tunel prowadzący do amfiteatru. Z tego, co widzę, nie ma tam... nie można wejść głębiej niż na jakieś trzy metry. Przypomina to bardziej pieczarę z łukowatym sklepieniem. Czoło tunelu jest wyłożone kamieniami, a wejście zamknięte furtką.

– Ile zatem ma ten tunel od furtki do ściany w głębi?

– Około trzech do pięciu metrów. Najwyżej.

– Najwyżej? – powtórzył. Zupełnie jakby robił niespodziewany unik w pojedynku na szpady. – Proszę popatrzeć na dowód rzeczowy numer cztery, który został przyjęty jako dowód w sprawie. Czy pani poznaje, co przedstawia zdjęcie?

– Tak.

– Co to jest?

– To jest dróżka, którą zaciągnął mnie do tunelu, i furtka przed tunelem, wejście przez furtkę.

– A więc jeżeli popatrzymy na to zdjęcie, gdyby poprowadził panią dalej tą dróżką, gdybym przywołał to na tym zdjęciu, czy popełnię nieściskość...

– Tunel jest za furtką albo, inaczej mówiąc, pieczara jest za furtką.

Nagle pojęłam, co jest jego celem. Całe to wypytywanie o furtkę i tunel, zasypywanie mnie pytaniami, z której strony szłam, dokąd szłam, jaka dokładnie to była odległość – po prostu starał się mnie zmęczyć.

– Czy mogłaby pani wskazać jakieś lampy czy latarnie uliczne widoczne na tym zdjęciu?

Pochyliłam się i uważnie przyjrzałam dowodowi rzeczowemu numer cztery. Skupiłam się; odczekałam chwilę, żeby sformułować odpowiedź jak równy mu przeciwnik na placu boju.

– Nie widzę żadnych świateł ulicznych poza jedną świetl – ną plamą tu na górze.

– W głębi fotografii?

– Tak.

– Czy są tam jakieś światła nieutrwalone na tej fotografii? Tak? A więc są? – rzekł tym samym niedowierzającym tonem, jakby chciał dać do zrozumienia, że naprawdę nie jestem całkiem zdrowa na umyśle. – Zabrakło ich na zdjęciu? – spytał. Uśmiechnął się do sędziego z powątpiewaniem.

– Nie ma ich na zdjęciu – powiedziałam. – A to dlatego, że zdjęcie nie przedstawia całego terenu.

Na wszystko to, czego nie powiedział wprost – na każdą jego insynuację, każdy ruch, którym coś sugerował – starałam się odpowiedzieć jasno i w sposób jak najbardziej kontrolowany.

Szybko podsunął mi następne zdjęcie.

– To dowód rzeczowy numer pięć. Poznaje pani?

– Tak.

– To miejsce, w którym została pani zaatakowana, czy tak?

– Tak.

– Czy na tym zdjęciu jest oświetlenie, jakieś sztuczne źródła światła?

– Nie. Nie widzę oświetlenia, ale tam było widać... tam musi być jakieś światło.

– Pytanie brzmi – nie ustępował – czy widzi pani jakieś sztuczne oświetlenie? Oczywiście na zdjęciu utrwalono błyski świateł policyjnych.

– Nie widzę sztucznego oświetlenia – odparłam. – Ale na zdjęciu jest tylko kamień, a trudno, żeby kamień się świecił. – Popatrzyłam na niego i obrzuciłam spojrzeniem cały sąd.

– Z tym zapewne można się zgodzić. – Odął pogardliwie usta. – Ile mniej więcej czasu spędziła pani w tej okolicy?

– Około godziny.

– Około godziny?

– Albo trochę dłużej.

– Słucham? – Przyłożył dłoń do ucha.

– Powiedziałam godzinę albo trochę dłużej.

– Godzinę albo trochę dłużej? Ile czasu spędziła pani w alejce prowadzącej do miejsca, o którym mówimy, przedstawionego na dowodzie rzeczowym numer pięć?

– W alejce około dwóch minut. Przed grotą około piętnastu minut. – Chciałam dokładnie to wyjaśnić.

– Dobrze. A więc była pani w alejce około dwóch minut?

– Tak.

– Na miejscu przed grotą, przedstawionym na dowodzie rzeczowym numer pięć, przez około piętnaście minut?

– Tak.

– Bezpośrednio w samej grocie trochę dłużej niż godzinę?

– Tak.

Byłam wyczerpana, czułam się jak na męczarniach. Nie pojmowałam rozumowania tego człowieka i chyba tak właśnie miało być.

– Zobaczyła pani tego osobnika jeszcze raz, jak mi się zdaje, tego samego wieczoru? Zeznała pani, jak pamiętam, że nastąpiło to wtedy, gdy szedł alejką?

- Tak.
- W jakiej odległości od pani się znajdował?
- Około pięćdziesięciu metrów.
- Około pięćdziesięciu metrów?

Słuchanie powtórzeń moich słów doprowadzało mnie do szału. Chciał, żebym się pomyliła.

– Tak.

– Czy można powiedzieć około połowy długości boiska do piłki nożnej?

– Powiedziałabym pięćdziesiąt metrów. Wbiłam gwóźdź, ale on go wyciągnął.

– Nie była pani wtedy w okularach, prawda?

– Nie.

– Kiedy straciła pani okulary?

– W czasie gdy...

Nie spodobał mu się kierunek mojej odpowiedzi, więc sam mi ją podsunął w odpowiedniej formie.

– W czasie szarpaniny w alejce, czy tak?

– Tak.

– A więc straciła pani okulary w ciągu pierwszych dwóch minut starcia?

Przypomniałam sobie własny podział czasu.

– W czasie bójki, która miała miejsce obok alejki.

On też sobie przypomniał.

– A więc dwie minuty była pani w alejce, potem piętnaście minut przed furtką i w ciągu tych piętnastu minut spadły pani okulary?

– Tak.

– Czy szamotała się pani w alejce, czy została pani przeniesiona w okolice furtki?

Użycie słowa „przeniesiona” w połączeniu z pchnięciem rąk w bok, jak robią to tancerze hula, oburzyło mnie. Utkwiłam wzrok w jego buty, żeby rozproszyć gniew. Przypląnęła do mnie rada Gail: „Jeżeli poczujesz się zagubiona albo się zdenerwujesz, opowiedz własnymi słowami, najlepiej jak potrafisz, co się z tobą działo”.

– Objął mnie ramionami, przytrzymując ręce po bokach, potem jedną ręką zakrył mi usta, więc właściwie mnie unieruchomił. Po moim zapewnieniu, że nie będę krzyczeć, puścił moje usta, a wtedy wrzasnęłam i zaczęliśmy się szamotać.

– Czy w tym momencie stała pani w tym samym miejscu, w którym się pani pierwotnie zatrzymała, czy też została pani przesunięta?

Nie nadawaliśmy na tych samych falach. Wsłuchiwałam się w prawdę, taką jaką znałam, i według tego mówiłam. On zaś używał wyrażeń w rodzaju „miejsce, w którym się pani pierwotnie zatrzymała”, jakbym miała wolną wolę – możliwość wyboru.

– W tym momencie szłam.

– A tamten osobnik stał za panią, czy tak?

– Tak.

– Przedstawiła nam pani dzisiaj dość szczegółowy opis. Z tego, co mi wiadomo, zeznała pani, że tamten osobnik miał od metra sześćdziesięciu pięciu do metra siedemdziesięciu wzrostu, szerokie ramiona, był niewysoki, lecz muskularnej budowy. Zeznała pani również, że... nie mogę odczytać własnego pisma... szczęka...

– Bokserska szczęka – odpowiedziałam.

– Krótki, spłaszczony nos?

– Tak.

– Migdałowe oczy?

– Tak.

– Czy oświadcza pani, że przekazała pani wszystkie te informacje policji ósmego maja?

– Ósmego maja moim zadaniem było sporządzenie portretu pamięciowego z podanych elementów twarzy.

– Czy podała pani policji, która miała szukać podejrzanego, podane nam dziś informacje?

– Mógłby pan powtórzyć pytanie?

– Czy podała pani informacje, które przed chwilą przedstawiłem, które potwierdziła pani dzisiejszym zeznaniem, czy podała pani wszystkie te informacje policji ósmego maja?

– Nie przypominam sobie, czy podałam je wszystkie, ale większość tak.

– Czy podpisywała pani ósmego maja oświadczenie, przedstawiające pani wersję incydentu?

– Tak.

– Czy odświeżyłoby pani pamięć, gdybym pokazał pani to oświadczenie i umożliwił jego ponowne odczytanie?

– Tak.

– Proszę zaznaczyć, że dokument ten jest dowodem rzeczowym obrony.

Paquette podał jedną kopię mnie, a drugą sędziemu.

– Pokazuję pani oświadczenie, żeby sama je pani przejrzała. Kieruję pani uwagę na ostatni akapit, ponieważ zawiera większą część opisu. Proszę go sobie przejrzeć, a kiedy pani to zrobi, proszę mi powiedzieć, czy odświeżyła pani pamięć, jeśli chodzi o opis, który przedstawiła pani policji ósmego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku.

Przegadał cały czas, jaki zajęło mi przeglądanie oświadczenia.

– Czy miała pani możliwość przejrzania oświadczenia?

– Tak.

– Czy mogłaby pani powtórzyć, co powiedziała pani policji ósmego maja?

– Powiedziałam: „Oświadczam, że mężczyzna, którego spotkałam w parku, jest Murzynem w wieku około szesnastu, osiemnastu lat, niskim, muskularnej budowy, ważącym około siedemdziesięciu pięciu kilogramów. Ma krótkie włosy afro. Jest ubrany w ciemnoniebieską bluzę i ciemne dżinsy. W razie schwytania tego osobnika, pragnę wnieść oskarżenie”.

– Nie ma tu mowy o szczęce, krótkim, spłaszczonym nosie ani migdałowych oczach, prawda?

– Nie – odparłam. Nie myślałam dostatecznie szybko. Jeżeli nie wymieniłam tych cech, to w jaki sposób powstał portret pamięciowy? Dlaczego policjanci tego nie zanotowali? Kiedy przedstawiono mi niedoskonałości mojego oświadczenia, nie byłam w stanie dowieść, że jego braki powstały nie z mojej winy.

Paquette zdobył punkt.

– Ponownie zobaczyła pani tego... osobnika na Marshall Street i nastąpiło to w październiku, czy tak?

– Tak.

– Na podstawie pani zeznania wnioskuję, proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, że specjalnie postarała się pani zapamiętać rysy tej osoby, aby je następnie odtworzyć w swoim pokoju?

– Tak.

– Tak więc wróciła pani do akademika i odtworzyła pani rysy twarzy zapamiętanej w czasie spotkania na Marshall Street, czy tak?

– I w czasie spotkania ósmego maja – uzupełniłam. Przewidując, do czego zmierza, dodałam spieszenie: – Nie mogłabym rozpoznać w nim mężczyzny, który mnie zgwałcił, gdyby to nie był mężczyzna, który mnie zgwałcił.

– Proszę powtórzyć. Zrobiłam to z wielką chęcią.

– Chcę tylko powiedzieć, że nie rozpoznałabym go na ulicy, jako mężczyzny, który mnie zgwałcił, gdyby nie był tym, który mnie zgwałcił. Ja już tę twarz znałam. Musiałam znać tę twarz, znać te rysy, żeby w ogóle go rozpoznać.

– Była pani na Marshall Street i widziała pani tego osobnika pierwszy raz w tym dniu. Co robił?

– Widziałam go po raz pierwszy ósmego maja, a po raz drugi piątego października.

Spostrzegłam, że Gail, która śledziła przesłuchanie pochylona nad stołem, po mojej ostatniej odpowiedzi z dumą opadła na oparcie krzesła.

– Właśnie to powiedziałem, pierwszy raz w tym dniu. Próbowałem...

– Chcę wszystko wyjaśnić, żeby nie było nieporozumień – rzekłam.

– Dobrze.

– Gdy pierwszy raz w tym dniu go zobaczyłam i zarazem miałam pewność, że to on, że to mężczyzna, który mnie zgwałcił,

przechodził akurat przez ulicę i właśnie wtedy rzucił: „Hej, mała, czy ja ciebie skądś nie znam?”, a kiedy w ogóle po raz pierwszy tego dnia zobaczyłam tego samego osobnika, stał po drugiej stronie ulicy i rozmawiał z jakimś mężczyzną w przejściu pomiędzy Way Inn i Gino's and Joe's. – Staralam się zachować maksymalną precyzję. – Najpierw zobaczyłam go od tyłu i nie byłam pewna, że to on, dopiero kilka minut później, gdy mnie zaczepił i zobaczyłam jego twarz, nabrałam pewności.

– Rozmawiał z kimś w przejściu?

– Tak.

– W jakiej odległości od miejsca, gdzie pani stała?

– Od miejsca, gdzie stałam, ale kiedy?

– Od miejsca, gdzie pani stała, kiedy go pani zobaczyła.

– Szłam, a kiedy go zobaczyłam... dzieliła nas tylko szerokość ulicy, był na chodniku, więc dzieliła nas szerokość ulicy.

– Nie odezwała się pani do niego?

– Nie.

– On też się nie odezwał?

– Powiedział: „Hej, mała, czy ja ciebie skądś nie znam?”. Paquette raptem się ożywił.

– Tak powiedział? Powiedział tak wtedy czy po tym, jak wyszedł na ulicę?

– Nie stał w przejściu – rzekłam. Chciałam kontrolować to, co teraz powiem. Nie miałam pojęcia, dlaczego Paquette tak się ożywił. Przez piętnaście lat nie dowiedziałam się, że obrona twierdziła, jakoby Madison rzucił to: „Hej, czy ja ciebie skądś nie znam” po rozmowie z policjantem Clapperem. Cofnęłam się do początku. Paquette na coś polował, a ja nie wiedziałam na co. – Rozmawiał z jakimś mężczyzną w przejściu. Zagadał do mnie, kiedy byłam po drugiej stronie ulicy, po stronie Huntington Hall, i oddalałam się od uniwersytetu. Zagadał do mnie, przechodząc przez ulicę i zbliżając się do mnie.

– I wtedy widziała go pani po raz drugi tego dnia?

– Tak. Dopiero wtedy nabrałam pewności, że to jest mężczyzna, który mnie zgwałcił.

– Wiele się wydarzyło – rzekł Paquette beztrąsko, jakby spędziła długi, pełen wrażeń dzień w wesołym miasteczku. Jakby nie mogła opowiedzieć po prostu całej historii, ponieważ nie była ona wcale prosta. – Czy skontaktowała się pani z policją i złożyła zeznanie na policji piątego października?

– Tak.

– Podpisała pani zeznanie złożone pod przysięgą?

– Tak.

– Poprosiła pani porucznika, żeby napisał, że jest pełne, dokładne i kompletne?

– Tak.

– Czy powiedziała pani na policji piątego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, że mężczyzna, którego widziała pani na Marshall Street, jest mężczyzną, który panią zgwałcił, czy też powiedziała pani, że czuje pani, iż to mógłby być ten mężczyzna?

– Powiedziałam, że to był mężczyzna, który zgwałcił mnie ósmego maja.

– Jest pani tego pewna?

Zastawiał jakąś pułapkę. Nawet ja to widziałam. Jedyne, co mogłam zrobić, to trzymać się ściśle swojej historii.

– Tak.

– Jeżeli zatem zeznanie zawiera co innego, jest nieścisłe? Znajdowałam się teraz na polu minowym; brnęłam dalej.

– Tak.

– Ale podpisała pani zeznanie?

Nie śpieszył się. Popatrzyłam na niego.

– Tak.

– Czy mogła je pani przedtem przeczytać?

– Tak.

– Czy omówiono z panią zeznanie, zanim je pani podpisała? To była udreka.

– Nie omawiali go. Dali mi do przeczytania.

– Jacy oni? – spytał zaczepnie. Zajrzał do sporządzonej przez siebie notatki. Robił przedstawienie. – Ma pani za sobą

czternaście lat nauki – rzekł. – Odczytała pani zeznanie bez problemu i wszystko pani zrozumiała?

– Tak.

– Dzisiaj zeznaje pani, że była pani przekonana o prawdziwości tamtych stwierdzeń. Nawet jeżeli w zeznaniu z piątego października nie ma...

– Poprosimy o pytanie i odpowiedź – zgłosił sprzeciw Mastine.

– Podtrzymuję – rzekł Gorman.

– Czy pamięta pani – zaczął od nowa Paquette – że w zeznaniu złożonym na policji powiedziała pani: „Miałam wrażenie, że Murzyn...”

Mastine wstał.

– Protestuję przeciw odczytywaniu zeznania przez adwokata obrony lub wykorzystywaniu tego zeznania dla zakwestionowania prawdomówności. Czytanie fragmentów zeznania jest niewłaściwe, i dlatego protestuję...

– Mógł odczytać zeznanie – rzekł Gorman do Mastine’a. – Sądzę, panie Paquette, że powinien pan sformułować pytanie mniej więcej w ten sposób: „Czy przypomina pani sobie, że składała pani zeznanie na policji dnia takiego a takiego?”, a następnie odczytać zeznanie. Bardzo proszę.

– Oczywiście – odparł Paquette. Uszło z niego trochę pary.

– Czy przypomina pani sobie, że składała pani zeznanie na policji piątego października?

– Tak.

– Czy przypomina pani sobie, że powiedziała pani na policji: „Miałam wrażenie, że ten Murzyn może być osobnikiem, który mnie zgwałcił w maju w parku Thordena”?

Wreszcie pojęłam, o co chodzi w tej zagrywce.

– Chciałabym zobaczyć kopię zeznania, żeby się upewnić – powiedziałam.

– Oczywiście, chętnie ją udostępnię. Proszę o oznaczenie zeznania Alice Sebold z piątego października jako dowodu C obrony. A panią proszę o przejrzenie zeznania i odpowiedź na pytanie, czy przypominała pani sobie, jakie podała pani wtedy

informacje.

– Dobrze – odparłam.

– Czy w tym oświadczeniu stwierdziła pani z całą pewnością...

Przerwałam mu. Uprzytomniłam sobie, że mogę mu odebrać ostatnie kilka minut.

– Powiedziałam, że w tamtym momencie „miałam wrażenie”, ponieważ widziałam go w tamtym momencie od tyłu. Nabrałam „pewności”, kiedy za drugim razem zobaczyłam jego twarz, będąc po drugiej stronie ulicy. Odniosłam „wrażenie” na podstawie budowy ciała i charakterystycznych ruchów, bo za pierwszym razem widziałam go od tyłu, a ponieważ nie widziałam wtedy twarzy, więc nie miałam „pewności”. A kiedy zobaczyłam jego twarz, wówczas nabrałam pewności, że jest to mężczyzna, który mnie zgwałcił ósmego maja.

– To oświadczenie zostało złożone po tym, jak zobaczyła go pani dwukrotnie na Marshall Street, czy tak?

– Tak. Poproszono mnie, żebym opisała całe zdarzenie w porządku chronologicznym, co też zrobiłam.

– Czy to oświadczenie odzwierciedla w jakiś sposób zmianę w pani przekonaniu z „mógłby być” na „jest”?

– Nie.

– Dziękuję.

Zachowywał się tak, jakby coś wygrał. Chciał skończyć z tą linią przesłuchania i wyrwał tyle, ile mógł. Zamącił wodę. Czy z tych zamian „wrażenia” na „pewność”, „mógłby być” na „jest” nie wynikało, że nie można mi wierzyć, bo wszystko mi się myli?

– A tak przy okazji – rzekł, zbliżając się ponownie – czy w dniu okazania w listopadzie przedstawiciele Centrum Kryzysowego dla Ofiar Gwałtu byli obecni na policji?

– Tak.

– Czy otrzymała pani poradę tuż przed okazaniem?

– Poradę?

– Czy rozmawiała pani z nimi, czy byli do pani dyspozycji?

– Tak. Jedna osoba przyszła ze mną na policję.

– Czy nadal była do pani dyspozycji tuż po okazaniu?

- Tak.
- Kobieta?
- Tak.
- Rozmawiała pani z nią przed i po okazaniu, czy tak?
- Tak.
- Czy ktoś z Centrum Kryzysowego jest dziś w tej sali?
- Nie.
- Nie ma żadnego przedstawiciela ani w sali, ani w budynku?
- Nie.

Paquette'owi nie podobało się, że Mastine wcześniej zdobył punkt, argumentując, iż sam Paquette, nie wpuszczając Tricii do pokoju okazań, przyczynił się do podważenia tej procedury jako dowodu.

- Procedura okazania odbyła się, prawda?
- Tak.
- Czwartego listopada, jeśli się nie mylę?
- Tak.
- Czy pamięta pani, że był tam obecny śledczy Lorenz?
- Tak, pamiętam.
- Czy rozpoznała go pani jako znajomą osobę?
- Tak.
- Skąd go pani знаła?
- To policjant, który przyjął moje oświadczenie ósmego maja.

– Czy kiedykolwiek wspomniał pani, że nie wierzy w prawdziwość zeznania, które złożyła pani ósmego maja?

Nie zastanawiałam się nad odpowiedzią. Ani Gail, ani Mastine nie powiedzieli mi, że Lorenz początkowo mi nie wierzył.

– Nie, nie wspomniał.

– Czy pamięta pani, że udzielał pani jakiejś rady, kiedy weszła pani do pokoju okazań?

– Powiedział, że moim obowiązkiem jest obejrzeć pięciu mężczyzn i zaznaczyć kratkę pod tym właściwym.

– Czy pamięta pani, kto jeszcze był w pokoju okazań? Odtworzyłam w pamięci obraz tamtego pomieszczenia i znajdujących się w nim osób.

– Pani Uebelhoer, stenograf sądowy, czy jak go tam nazywacie, jeszcze jeden mężczyzna, który siedział z boku i coś tam robił, no i ja.

– Czy pamięta pani...

– Tak, pamiętam pana.

Nagle zmienił ton. Zaczął do mnie przemawiać jak troskliwy ojciec. Nie ufałam mu.

– Czy pamięta pani, jak śledczy Lorenz poradził pani, żeby się pani nie śpieszyła, wszystkich obejrzała, zaznaczając, że może się pani poruszać całkiem swobodnie?

– Tak, pamiętam.

– Czy pamięta pani, jak poprosiłem śledczego, żeby wyjaśnił pani, jak...

– Słucham?

– Czy pamięta pani, jak poprosiłem śledczego, żeby wyjaśnił pani, jak posłużyć się formularzem? – Uśmiechał się niemal dobrodusznie.

– Tego nie pamiętam – odparłam.

– Ale pamięta pani, że śledczy to pani powiedział?

– Ktoś mi wyjaśnił, jak wypełnić formularz.

– Czy stała pani i poruszała się swobodnie po pokoju? – spytał już bez uśmiechu.

– Tak.

– Czy nie wydała pani polecenia, aby podejrzani po kolei wykonali jakiś ruch, zdaje się, żeby obrócili się w lewo? Pamięta to pani?

– Tak.

– Śledczy wydawał polecenie każdemu po kolei: „Numer pierwszy, obróć się w lewo”, pamięta to pani?

Przeciągał pytania, jak mógł, ale takie było jego zadanie.

– Tak.

– Co pani zrobiła na koniec tej procedury? Co się potem wydarzyło?

– Zostawiłam numery cztery i pięć i z tych dwóch wybrałam pięć, bo na mnie patrzył.

– Wybrała pani numer pięć?

– Tak. Postawiłam krzyżyk w kratce pod piątką. – Mówiłam to tysiąc razy; tak właśnie zrobiłam.

– Podpisała to pani?

– Tak.

– Czy w tamtym momencie, w tamtym pokoju wyraziła pani słowami i zwierzyła się komukolwiek ze swojego niepokoju, że to nie jest numer piąty?

– W tamtym pokoju nie odezwałam się ani słowem.

– Wiedziała pani, że oznaczając numer pięć, wskazuje pani tym samym, że to będzie czy też może być podejrzany w sprawie o gwałt?

– Tak. – Moim przewinieniom nie było końca.

– A więc dopiero po wyjściu z pokoju odkryła pani, że numer piąty nie jest tym, który powinna była pani wybrać?

– Nie. Podeszłam do mojej opiekunki z Centrum Kryzysowego i powiedziałam, że mężczyźni pod numerami cztery i pięć wyglądają identycznie, jak bliźniaki. Tak zrobiłam.

– Nie zwróciła się pani z tym przedtem do nikogo?

– Zrobiłam to w pokoju, a przedtem ich nie widziałam, więc nie mogłam tego zrobić.

Nie chciałam się nad tym zatrzymywać, żeby wyjaśnić do końca. Tym razem miałam na myśli pokój konferencyjny, a nie pokój okazań.

– Wybrała pani numer piąty?

– Tak.

– Zeznała pani, że została pani zgwałcona ósmego maja?

– Tak.

– Że nie widziała pani napastnika aż do spotkania na Marshall Street?

– Piątego października, tak.

– A więc zobaczyła go pani na Marshall Street?

– Tak.

– Był tam również policjant, czy tak?

– Tak.

– Czy podeszła pani do tego policjanta?

– Nie, nie podeszłam do niego.

– Czy poszła pani do najbliższej budki telefonicznej i zadzwoniła na policję?

– Poszłam na Wydział Filologii, gdzie miałam zajęcia, i zadzwoniłam do matki.

– A więc zadzwoniła pani do matki... – rzekł złośliwie. Przypomniało mi się przesłuchanie wstępne, jego kolega Meggesto, który delektował się słowami „dzinsy od Calvina Keina”. Moja matka, moje dzinsy od Calvina Kleina. To na mnie mieli.

– Tak.

– Potem rozmawiała pani ze swoim profesorem?

– Zadzwoniłam najpierw do matki, a potem do kilku koleżanek, żeby skontaktować się z kimś, kto mógłby odprowadzić mnie do akademika. Bardzo się bałam, a wiedziałam, że muszę iść na zajęcia. Nie mogłam nikogo złapać. Poszłam na górę do mojego nauczyciela i wyjaśniłam powód nieobecności na zajęciach. Po rozmowie z nim poszłam do biblioteki, żeby znaleźć kogoś, kto by mnie odprowadził i poszedł ze mną na policję, a potem wróciłam do akademika i zadzwoniłam do kolegi, który jest artystą, żeby pomógł mi narysować portret, czego zresztą nie zrobił. Potem zadzwoniłam na policję, która przyjechała z ochroniarzami uniwersytetu w Syracuse.

– Czy zadzwoniła pani do ochrony, żeby panią odwiozła? Rozpłakałam się. Czy wszystko było moją winą?

– Przepraszam – przeprosiłam za łzy. – Robią to tylko po godzinie piątej i w godzinach nocnych. – Odszukałam wzrokiem Gail. Wpatrywała się we mnie, jakby chciała powiedzieć: „Już prawie po wszystkim. Trzymaj się”.

– Ile czasu upłynęło od momentu, gdy zobaczyła pani tamtego człowieka na Marshall Street?

– Czterdzieści pięć do pięćdziesięciu minut.

– Czterdzieści pięć do pięćdziesięciu minut?

– Tak.

– Od tamtego momentu aż do dzisiejszego dnia nie zidentyfikowała pani pana Madisona, zgadza się?

– Nie zidentyfikowałam go w pana obecności?

– Nie zidentyfikowała go pani w czasie postępowania sądowego jako osobnika, który panią zgwałcił.

– W czasie postępowania sądowego nie, ale zrobiłam to dzisiaj.

– Zrobiła to pani dzisiaj. Ilu Murzynów widzi pani dzisiaj na tej sali?

Pośpieszyłam się z odpowiedzią, wiedząc, co insynuuje. „Ilu innych Murzynów, oprócz oskarżonego, widzi pani na tej sali?”. Odpowiedziałam:

– Żadnego.

Roześmiał się i spojrzał wymownie na sędziego, po czym zamaszystym gestem wskazał Madisona, który siedział ze znudzoną miną.

– Nie widzi pani żadnego? – spytał Paquette z naciskiem na ostatnie słowo. Zdawał się mówić: „Przecież ta dziewczyna jest niewiarygodna”.

– Widzę tylko jednego Murzyna wśród... pozostałych ludzi na tej sali.

Paquette uśmiechnął się triumfalnie. Madison też. Już nie czułam się silna. Czułam się winna z powodu rasy gwałciciela, czułam się winna, że Murzyni nie mają swoich reprezentantów wśród prawników miasta Syracuse, czułam się winna, że był jedynym Murzynem na sali.

– Czy pamięta pani, jak zeznawała pani na temat okazania przed wielką ławą przysięgłych?

– Tak, pamiętam.

– Czy miało to miejsce czwartego listopada, tego samego dnia co okazanie?

– Tak.

– Czy pamięta pani, czytam ze strony szesnastej protokołu posiedzenia wielkiej ławy przysięgłych, wers dziesiąty:

„Wybrała go pani z szeregu okazanych. Czy jest pani absolutnie pewna, że to właśnie ten mężczyzna?”.

– „Numer pięć, nie jestem absolutnie pewna. To był wybór pomiędzy numerem cztery i pięć. Wybrałam pięć, bo na mnie patrzył”.

– Sędzia przysięgły stwierdza: „A więc mówi pani, że nie jest pani absolutnie pewna, że to był właśnie ten mężczyzna?”.

– „Tak”.

– „Że numer pięć to właśnie ten mężczyzna”.

– „Tak”.

– A więc czwartego listopada nadal nie była pani pewna? Nie wiedziałam, do czego zmierza Paquette. Czułam się zagubiona. „Czy numer pięć to był właśnie ten mężczyzna? Nie byłam pewna, że numer pięć to właśnie ten mężczyzna, tak”.

– Z pewnością nie była pani pewna, że numer cztery to właśnie ten mężczyzna, skoro go pani nie wybrała.

– Nie patrzył na mnie. Bardzo się bałam.

– Nie patrzył na panią? – Cedził sylaby z bezlitosnym sarkazmem.

– Tak.

– Czy zauważyła pani coś niezwykłego ósmego maja, kiedy została pani zaczepiona, coś, o czym pani nie powiedziała, jakąś cechę, bliznę, znamię, cokolwiek, coś w rysach twarzy, zębach, paznokciach, dłoniach?

– Nie zauważyłam nic niezwykłego. Chciałam, żeby to się już wreszcie skończyło.

– Powiedziała pani, że spojrzała pani na zegarek, wchodząc do parku?

– Tak.

– Która to była godzina?

– Dwunasta.

– Czy spojrzała pani na zegarek po przyjeździe do akademika?

– Nie spojrzałam na zegarek. Zdawałam sobie sprawę, która godzina, ponieważ otaczali mnie policjanci, może nawet spojrzałam na zegarek, wiem, że był kwadrans po drugiej, kiedy wróciłam do akademika.

– Kiedy wróciła pani do akademika? Czy wezwano policję,

kiedy wróciła pani do akademika?

– Tak.

– Kiedy wróciła pani do akademika, kwadrans po drugiej, jeszcze nie było policji?

– Zgadza się.

– Przyjechała jakiś czas potem?

– Tak. Zaraz po tym, jak wróciłam do akademika. Wymęczył mnie i osłabił mój opór. Straszny sens jego taktyki polegał na tym, że choćbym nie wiem jak się starała, w końcu on był górą.

– Zeznała pani, że panią całował, zgadza się?

– Tak.

– Raz, dwa razy czy też wiele razy?

Widziałam Paquette'a. Za nim siedział Madison. Zaciekawiony. Czułam się tak, jakby razem mnie atakowali.

– Raz czy dwa, kiedy staliśmy, a potem, kiedy położył mnie na ziemi, jeszcze kilka razy. Pocałował mnie. – Drżały mi wargi i łzy spływały mi po policzkach. Nie otarłam ich. Chusteczka, którą trzymałam w ręku, nasiąkała potem.

Paquette wiedział, że mnie złamał. Dość osiągnął. Tego nie chciał.

– Czy mogę prosić o chwilę przerwy, Wysoki Sądzie?

– Tak – odparł Gorman.

Paquette podszedł do stolika obrony i naradził się z Madisonem, a potem zajrzał do żółtego prawniczego notesu i dokumentów.

Podniósł głowę.

– Nie mam więcej pytań – rzekł.

Natychmiast się odprężyłam. Wówczas jednak wstał Mastine*.

– Kilka pytań, jeżeli Wysoki Sąd pozwoli.

Byłam zmęczona, lecz wiedziałam, że Mastine potraktuje mnie możliwie najłagodniej. Głos miał zdecydowany, ale mu ufałam.

Mastine zajął się terytorium, po którym poruszał się przedtem Paquette, powracając do słabych argumentów, aby je podkreślić. Szybko zaliczył pięć punktów. Najpierw ustalił, jak było późno i jaka byłam zmęczona, kiedy składałam zeznanie nocą, po gwałcie.

Kazał mi wyliczyć, przez co przeszłam, nie śpiąc od wielu godzin. Potem podjął temat zeznania z piątego października, tego, które Paquette z taką radością mi przedstawił – „wrażenie” kontra „pewność”. Mastine ustalił, że – tak jak powiedziałam – było to zeznanie pisemne, w którym opowiedziałam o spotkaniu z Madisonem chronologicznie. Najpierw zobaczyłam go od tyłu i odniosłam „wrażenie”. Potem zobaczyłam jego twarz i nabrałam „pewności”.

Następnie spytał mnie, czy ktoś jest ze mną. Chciał zaznaczyć, że zrezygnowałam z obecności przedstawicielki Centrum Kryzysowego, ponieważ był ze mną ojciec.

– Przed salą czeka mój ojciec – wyjaśniłam. Fakt ten wydawał mi się nierealny. Gdzieś daleko, w korytarzu, siedział i czytał. Po łacinie. Nie pomyślałam o nim ani razu od chwili, gdy weszłam na salę sądową. Nie mogłam.

Mastine spytał, jak długo leżałam pod Madisonem w tunelu i w jakiej odległości była jego twarz.

– W odległości jednego centymetra – odparłam.

Następnie zadał mi kłopotliwe pytanie, którego się jednak spodziewałam, ponieważ było uzasadnione postawą Paquette’a.

– Czy mogłaby pani podać sędziemu w przybliżeniu, ilu młodych Murzynów widzi pani codziennie w czasie podróży, na zajęciach czy w akademiku?

Paquette zgłosił sprzeciw. Wiedziałam dlaczego. To trafiało prosto w jego argumentację.

– Oddalam sprzeciw – rzekł Gorman.

– Bardzo wielu – odpowiedziałam, a wtedy Mastine poprosił, żebym sprecyzowała.

– Mniej czy więcej niż pięćdziesięciu?

Odpowiedziałam, że więcej. Czułam się zażenowana, oddzielając znajomych studentów według rasy, ustawiając ich w kolumny i podliczając. Nie po raz pierwszy i nie ostatni żałowałam, że gwałciciel nie był biały.

Mastine nie miał więcej pytań.

Paquette wstał tylko po to, żeby kazać mi powtórzyć, w jakiej

odległości od mojej twarzy znajdowała się twarz Madisona w czasie gwałtu. Powtórzyłam: w odległości jednego centymetra. Starał się później wykorzystać moją pewność przeciwko mnie. Cytował tę odległość w wystąpieniu końcowym, podważając moją wiarygodność jako świadka.

– Nie mam więcej pytań – rzekł Mastine.

– Świadek jest wolny – powiedział sędzia Gorman. Wstałam. Nogi trzęsły się pode mną i czułam, że pot przesiąkł mi przez pończochy, halkę i spódnicę. Egzekutor, który wprowadził mnie na salę, teraz wyszedł na środek i czekał, by mnie z niej wyprowadzić.

Murphy zauważył, że wyszłam już na korytarz, i pomógł ojcu pozbierać książki. Egzekutor przyglądał mi się przez chwilę.

– Pracuję w tym interesie od trzydziestu lat – rzekł. – Jest pani najlepszym świadkiem, jakiego słyszałem w procesie o gwałt.

Ta chwila podtrzymała mnie na duchu przez lata.

Egzekutor wrócił na salę sądową.

Murphy pośpiesznie odprowadził mnie dalej.

– Musimy odsunąć się od drzwi. Zaraz będzie przerwa na lunch – wyjaśnił.

– Jak się czujesz? – spytał tata.

– Dobrze – odparłam. Nie widziałam w nim własnego ojca. Był po prostu kimś, kto stał obok, jak inni. Trzęsłam się i potrzebowałam usiąść. Wróciliśmy we troje do ławki, na której przed chwilą Murphy siedział z ojcem.

Mówili coś do mnie. Nie pamiętam co. Było już po wszystkim.

Gail wyszła z sali pewnym krokiem i podeszła do nas. Popatrzyła na mojego ojca.

– Twoja córka jest znakomitym świadkiem, Bud – powiedziała.

– Dziękuję – rzekł ojciec.

– Dobrze wypadłam, Gail? Martwiłam się. Paquette był taki zawzięty.

– Na tym polega jego praca. Ale wytrzymałaś jego atak. Obserwowałam sędziego.

– Jak wyglądał?

– Sędzia? Wyglądał na wyczerpanego. – Uśmiechnęła się. – Billy jest naprawdę zmęczony. Tak bardzo chciałam tam wystąpić. Do drugiej mamy przerwę, a potem pani doktor. Jeszcze jedna ciężarna!

Zupełnie jak w sztafecie. Przebiegłam długi i męczący etap, ale były następne – dalsze pytania i odpowiedzi – kolejni kluczowi świadkowie, dalsze godziny wypełnionego dnia Gail.

– Jeżeli czegoś się dowiem, skontaktuję się z detektywem – powiedziała, zwracając się do mnie. Wyciągnęła rękę do mojego ojca. – Miło było cię poznać, Bud. Możesz być dumny.

– Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach – rzekł. Dopiero teraz do niego dotarło, że wychodzimy.

Gail uściskała mnie. Pierwszy raz w życiu przytulałam ciężarną, było to trochę niezręczne, niemal afektowane, kiedy obie nachylałyśmy się do siebie tylko górną połową ciała.

– Jesteś niewiarygodna, moja mała – szepnęła.

Murphy odwiózł nas do hotelu Syracuse, gdzie się spakowaliśmy. Może nawet się przespałam. Ojciec zadzwonił do matki. Nie pamiętam tamtych godzin. Musiałam przedtem tak natężyć uwagę, że teraz zupełnie sobie odpuściłam. Wiedziałam, że moja sprawa nadal się toczy, gdy składaliśmy ubranie i czekaliśmy na Murphy’ego, który miał nas odebrać po południu. Przysiedliśmy z ojcem na identycznych łózkach. Nie mówiliśmy o tym, ale chcieliśmy jak najszybciej oddalić się od Syracuse. Zapewniał nam to samolot. Więc czekaliśmy. Murphy zjawił się dość wcześnie. Przyniósł wieści.

– Gail chciała wam to powiedzieć osobiście, ale nie mogła się wyrwać – rzekł.

Staliśmy z ojcem w wyściełanym dywanem holu, obok naszych czerwonych bagaży American Tourister.

– Dołożyli mu – oznajmił z radością. – Winny sześciu zarzutów. Odesłano go do więzienia!

Poczułam pustkę w głowie. Nogi się pode mną ugięły.

– Dzięki Bogu – rzekł ojciec cicho, jakby wyrażał podziękowanie za wysłuchaną modlitwę.

W samochodzie Murphy'emu usta się nie zamykały. Nie posiadał się z radości. Mój ojciec siedział z nim z przodu, a ja z tyłu. Ręce miałam zimne i bezwładne. Wyraźnie pamiętam, jak leżały, bezużyteczne, z dwóch stron.

Na lotnisku poszłam do telefonu, żeby zadzwonić do matki. Ojciec i Murphy przysiedli nieopodal w holu. Murphy zaproponował ojcu drinka.

Wycisnęłam numer domowego telefonu i czekałam.

– Halo – usłyszałam głos matki.

– Mamo, tu Alice. Mam wiadomość.

Stałam twarzą do ściany, obejmując dłońmi mikrofon słuchawki.

– Udało się, mamo – powiedziałam. – Winny sześciu zarzutów, z wyjątkiem zarzutu użycia niebezpiecznej broni. Odesłano go do więzienia.

Mama wpadła w szal radości. Zaczęła krzyczeć na cały dom w Paoli: „Udało się! Udało się! Udało się!”. Powtarzała to raz po raz i nie mogła się opanować.

Naprawdę mi się udało.

Murphy z ojcem wyszli z baru. Zaraz mieliśmy wsiąść do samolotu. Wiedziałam, że Madison nie wyjdzie na wolność w czasie pomiędzy uznaniem go za winnego a wydaniem wyroku skazującego. Już na sali sądowej, w trakcie odczytywania zarzutów, zakuto go w kajdanki. Dlatego Murphy był taki uradowany.

– Żałuję, że mnie przy tym nie było i nie widziałem jego twarzy.

John Murphy miał za sobą długi, udany dzień i za kołnierz nie wylewał, jak szepnął mi ojciec w samolocie. Czy można mu było to wyrzucać? Był podekscytowany, chciał uczcić zwycięstwo, jechał do swojej Alice.

Ja byłam wycieńczona. Wprawdzie nie od razu, lecz po pewnym czasie zrozumiałam, że mnie także „odesłano” i miałam

być długo „przetrzymana”.

Drugiego czerwca otrzymałam list z Wydziału Nadzoru Sądu Powiatu Onondaga. Poinformowano mnie w nim, że prowadzone jest „śledztwo przed wydaniem wyroku na młodego człowieka, którego niedawno na rozprawie sądowej uznano za winnego gwałtu pierwszego stopnia, oralizmu pierwszego stopnia i innych powiązanych zarzutów. Zarzuty te spowodował incydent, w którym została pani poszkodowana”. Po tych stwierdzeniach zapytywano mnie, czy mam jakieś uwagi co do wysokości wyroku.

Odpisałam na list. Zaleciłam wydanie najwyższego dopuszczanego przez prawo wyroku i przytoczyłam słowa Madisona, który nazwał mnie „najgorszą dziwką”. Wiedziałam, że tego roku Syracuse znalazło się na siódmym miejscu na liście miast, w których najlepiej się mieszka, jeżeli zatem – podkreśliłam – tacy ludzie jak Madison będą chodzić ulicami miasta, nie przyczyni się to do poprawy jego wizerunku. Nadzieję, że zostanę wysłuchana, wiązałam przede wszystkim ze stwierdzeniem, iż najwyższy wyrok dobrze by świadczył o tych, którzy go wydali, albowiem nie przysłużyliby się mnie, lecz ludziom, którzy ich wybrali i płacili im pensje. Wiedziałam o tym. Wykorzystałam wszystkie swoje umiejętności.

Na zakończenie listu napisałam nad swoim imieniem i nazwiskiem: poszkodowana.

Trzynastego lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku sędzia Gorman, w obecności Mastine’a, Paquette’a i Madisona, wydał wyrok. Gregory Madison dostał najwyższe kary za gwałt i oralizm: od ośmiu lat i czterech miesięcy do dwudziestu pięciu lat. Większe kary, wraz z mniejszymi, orzeczonymi za cztery pozostałe zarzuty, miały biec równocześnie.

Mastine zadzwonił, żeby mi to przekazać. Powiadomił mnie także o tym, że Gail urodziła dziecko. Poszłyśmy z matką kupić jej prezent. Kiedy po piętnastu latach zobaczyłam się z Gail,

przyniosła ten prezent ze sobą, żeby pokazać, że pamięta.

12.

Tamtego lata rozpoczęłam przemianę. Padłam ofiarą gwałtu, ale chowałam się przecież na kolorowych magazynach „Seventeen”, „Glamour” i „Vogue”. Możliwości transformacji „przed i po”, jakie przez całe życie oglądałam, nie dawały mi spokoju. Poza tym wszyscy dokoła – moja matka, siostra pracująca w Waszyngtonie przed wyjazdem do Syrii i ojciec w dalekiej Hiszpanii – zachęcali mnie, żebym zrobiła coś ze swoim życiem. „Nie chcesz przecież, żeby określał cię tylko gwałt” – mówiła matka, a ja się z nią zgadzałam.

Podjęłam pracę w niecieszącym się dobrą sławą sklepie z koszulkami, gdzie byłam jedynym pracownikiem. Na dusznym poddaszu produkowałam znaczki do przypinania i ozdabiałam techniką sitodruku koszulki dla miejscowych drużyn softballu. Mój szef, dwudziestotrzylatek, jeździł po mieście za interesami. Czasami był pijany i przychodził z kolegami pooglądać telewizję. W tamtym czasie nosiłam bardzo obszerne ubrania, sama szyłam sukienki, które nawet matka nazywała namiotami. Miałam ich wiele na zmianę w czerwcu i lipcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego. Któregoś dnia, kiedy mój szef wraz z przyjaciółmi zaczął mi dokuczać, domagając się, żebym pokazała kawałek ciała, odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Pojechałam do domu samochodem ojca, cała w różnobarwnych farbach.

Znów byłyśmy z mamą tylko we dwie, jak latem, gdy skończyłam piętnaście lat. Rozglądałam się za inną pracą – w moim dzienniku są wpisy dotyczące rozmów kwalifikacyjnych w sklepach z butami i podań do sklepu z materiałami biurowymi, ale jak w każdej dzielnicy podmiejskiej w środku lata trudno o dorywczą pracę. Mama próbowała się odchudzić. Postanowiłam iść za jej przykładem. Oglądałyśmy program Richarda Simmons'a, i kupiłyśmy rowerek treningowy. Pamiętam dietę Scarsdale'a, małe, odważone porcje steku i kurczaka, które z trudem

przełykałyśmy. „Ta dieta kosztuje majątek” – mówiła matka. Od tamtej pory nigdy nie jadłam tyle mięsa.

Ale zaczęłam zrzucać kilogramy. Siedziałam rano przed telewizorem i patrzyłam, jak otyłe kobiety płaczą razem z Simmonsem, rozpoczynając łzawą karuzelę z udziałem gościa, Simmonsa i widowni. Ja też czasem płakałam. Nie dlatego, że uważałam, iż dorównuję tuszą grubaskom na ekranie, lecz dlatego, że wiedziałam, jakie się czują brzydkie. Nie słyszałam docinków, idąc ulicą, i brzuch nie przeszkadzał mi zobaczyć własnych sznurowadeł, a mimo to utożsamiałam się z gośćmi Simmonsa jak z nikim innym. Te kobiety, choć nie zrobiły nic złego, były poddane ostracyzmowi.

Dlatego płakałam. I wsiadałam na rowerek. I nienawidziłam własnego ciała. Wykorzystałam tę nienawiść, by zrzucić osiem kilo.

Pod koniec lata, gdy ojciec wrócił z Hiszpanii, pracowaliśmy we troje w ogródku. Zgodnie z przewidywaniem to ja miałam jeździć na kosiarce. Wybuchła typowa dla rodziny Seboldów kłótnia, ponieważ się zbuntowałam. Dlaczego Mary mogła się wyprowadzić do Waszyngtonu, a potem jechać do Syrii? Ojciec nazwał mnie niewdzięcznicą. Napięcie wzrosło. Kłótnia nabierała tempa. Niespodziewanie, podczas wzajemnego przekrzykiwania się, wybuchłam płaczem. Nie mogłam powstrzymać łez. Wbiegłam do domu i na górę, do swojego pokoju. Płakałam, aż opadłam z sił, odwodniłam się, a moje oczy wraz z otaczającą je skórą pokryła siateczka popękanych naczynek.

Nie chciałam później o tym mówić. Zamykałam za sobą rozdział, którego treść stanowiły gwałt i rozprawa w sądzie.

Lila i ja przez całe lato korespondowałyśmy ze sobą. Ona też była na diecie. Nasze listy przypominały wpisy do dziennika – długie, pełne rozmyślań wypracowania tworzone po to, by podczas pisania mieć towarzystwo, a nie tylko redagować biuletyn bieżących informacji o samej sobie. Było nam gorąco, nudziłyśmy się, dwie dziewiętnastolatki spędzające wakacje w domu z

rodzicami. W rozwlekłych epistołach opowiadałyśmy o swoim życiu, o uczuciach, jakie żywiłyśmy do wszystkich po kolei, od członków rodziny poczynając, a na chłopcach, których znałyśmy ze szkoły, kończąc. Nie pamiętam, żebym opisywała jej szczegółowo rozprawę. Jeżeli to zrobiłam, listy Liii tego nie odzwierciedlają. Na początku lata dostałam pocztówkę z gratulacjami. To wszystko. Potem temat znikł i już nie wrócił.

Inni też go nie poruszali. Rozprawa stanowiła jakby bardzo solidne, ciężkie, tylne drzwi całej budowli. Każdy, kto ze mną wszedł do tego domu, rozejrzał się albo przeszedł po pokojach, z ulgą opuszczał to miejsce na zawsze. Drzwi się zatrzasnęły. Pamiętam, jak przyznałam matce rację, że w ciągu jednego roku przeżyłam cykl od śmierci do odrodzenia. Od gwałtu do rozprawy. Teraz wkroczyłam na nowy ląd i mogłam się na nim urządzić, jak chciałam.

Lila, Sue i ja snułyśmy drogą korespondencyjną plany na nadchodzący rok. Lila zamierzała przywieźć z domu kotka. Ja zawarłam pakt z matką: jeżeli poskaczę na kanapie, której nie znosiła, może uda nam się przekonać ojca, gdy wróci z Hiszpanii, żeby pozwolił mi ją zabrać do Syracuse. Na spółkę z mieszkającą niedaleko Sue zawczasu wynajęłyśmy ciężarówkę. Matka była w radosnym nastroju i wyposażyła mnie w nową garderobę. Cekał mnie przełomowy rok. Miałam teraz żyć „normalnym życiem”.

Tamtej jesieni Mary Alice pojechała do Londynu w ramach programu wymiany. Podobnie inne koleżanki. Tess poszła na urlop. Trochę za nimi tęskniłam. Moją bratnią duszą była Lila. Wszędzie chodziłyśmy razem i obmyślałyśmy szalone przedsięwzięcia. Obie chciałyśmy mieć chłopaków. Ja grałam rolę doświadczonej wobec niewinnej Liii. Przez lato uszyłam dla nas obu takie same spódnice. Ubierałyśmy się w nie i w coś czarnego, kiedy gdzieś szłyśmy.

Ken Childs czuł się zagubiony bez Caseya, który też pojechał do Londynu, więc zaczęliśmy się spotykać. Uważałam, że jest miły, a co najważniejsze – wiedział o mnie. We trójkę wybieraliśmy się na tańce do klubów studenckich w kampusie i na

imprezy organizowane przez studentów Wydziału Sztuk Pięknych. Chciałam zostać prawnikiem. Ludziom podobały się moje ambicje, więc często o nich mówiłam. Z powodu Tess chciałam pojechać do Irlandii; o tym także mówiłam. Uczęszczałam na zajęcia z poezji i prozy, ale też smakowałam wina i sery. Zapisalam się na autorski kurs poezji z Haydenem Carruthem i drugi autorski kurs z Raymondem Carverem, którego uważałam za swojego opiekuna, wyznaczonego przez Tessę.

Pewnego dnia, przypadkiem, spotkałam na ulicy Marię Flores. Na początku lata napisałam do niej triumfalny list o rozprawie, zapewniając ją, że czułam jej obecność przy sobie na sali sądowej. Wyraziłam nadzieję, że to przyniesie jej pocieszenie. Wkrótce otrzymałam odpowiedź, która sprowadziła mnie na ziemię: „Mam kłamrę na nodze. Kostka mi się zagoiła, ale chodzę z laską z powodu uszkodzonych nerwów. Skłonności samobójcze się zmniejszyły, lecz przyznam ci się, że nie całkiem przeszły”. Martwiła się, że laska utrudni jej poznawanie nowych ludzi, i wstyd jej było, że nie dokończyła kadencji starosty. Zakończyła list cytatem z Kahlila Gibrana:

„Wszyscy jesteśmy więźniami, ale niektórzy z nas mają celę z oknem”.

Przez wiele lat tego nie dostrzegałam, ale jeżeli któraś z nas miała okno, to właśnie Maria, i ona przez nie wyglądała.

Pamiętam, jak powiedziałam do Liii: „Wyszłam z tego bez szwanku. Ona nigdy nie uwolni się od gwałtu”.

Tańczyłam i zakochałam się. Tym razem w chłopcu chodzącym z Lila na zajęcia z matematyki, Stevie Shermanie. Wybraliśmy się raz do kina, potem wypiliśmy kilka drinków i wtedy opowiedziałam mu o gwałcie. Pamiętam, jak cudownie zareagował, był wstrząśnięty, przerażony, a jednocześnie mnie pocieszał. Wiedział, co mówić. Powiedział, że jestem piękna, odprowadził mnie do domu i pocałował w policzek. Myślę, że opiekowanie się mną sprawiało mu przyjemność. Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia zaczął regularnie bywać w naszym domu.

Matce też poprawiło się samopoczucie. Wypróbowywała nowe leki, elavil i xanax, a nawet terapie oparte na biorytmach, o których przedtem nie chciała słyszeć. Na horyzoncie pojawiła się terapia grupowa. Moja matka ufająca komuś innemu oprócz siebie! „Jesteś dla mnie przykładem, dziecko! – napisała. – Skoro ty tak wiele przeszłaś i wróciłaś do życia, to chyba takiej starej jak ja też się uda”.

Osiągnęłam wyjściowy punkt zero; świat był jak nowy i stał przede mną otworem.

Pracowałam w magazynie literackim „The Review” i wybrano mnie na redaktora na ostatnim roku studiów. Instytut Anglistyki poprosił mnie, bym reprezentowała go na konkursie poetyckim Glascocka, organizowanym co roku przez college Mount Holyoke.

Przed laty moja matka uciekła z Mount Holyoke, porzucając stypendium podyplomowe. Wspominała, że pobyt tam był dla niej jak wyrok śmierci. Wszystkie koleżanki wychodziły za mąż, a ona, intelektualistka, miała się udać do przybytku „zakonnice i lesbijek”.

Jechałam tam więc, aby odebrać coś w imieniu matki i zabrać głos w sprawie gwałtu. Nie wygrałam konkursu. Zająłam drugie miejsce. Zaprezentowałam *Wyrok*. Czytając wiersz na głos, aż się trzęsłam, tak wielka i prawdziwa była moja nienawiść. Jedną z juryerek, Dianę Wakoski, wzięła mnie na stronę i powiedziała, że tematy takie jak gwałt znajdują, co prawda, swoje miejsce w poezji, ale z takim wierszem nie mam szans na nagrodę w konkursie i nie podbiję szerszej widowni.

Lila i ja chodziłyśmy na głupie filmy, żeby się zabawić. Tego dnia, gdy wróciłam z Massachusetts, poszłyśmy na *Rambo* z Sylwestrem Stallone. Akurat film wyświetlano w pobliskim kinie, a bilety były tylko po pięćdziesiąt centów. Parskałyśmy histerycznym śmiechem, oglądając na ekranie sceny jak z filmu animowanego, zaśmiewałyśmy się do łez i do utraty tchu. W normalnych warunkach zapewne wyrzucono by nas z sali, ale oprócz nas w starym kinie nie było nikogo.

- Ja Rambo, ty Jane – wykrztusiła Lila, łomocząc się w pierś.
- Ja mocny mięsień, ty miękki mięsień.
- Grrr.
- Tiihii.

Pod koniec filmu usłyszałyśmy, jak ktoś głośno odchrząknął. Zamarłyśmy, wpatrzone w ekran.

- Myślałam, że jesteśmy same – szepnęła Lila.
- Ja też – odparłam.

Stłumiłyśmy śmiech, usiłując zachować pełne szacunku milczenie w czasie końcowej szaleńczej strzelaniny. Było trudno, wbijałyśmy sobie nawzajem paznokcie w ręce, przygryzałyśmy wargi... I chichotałyśmy.

Kiedy po filmie zapaliło się światło, okazało się, że jesteśmy same. Zaczęłyśmy wypuszczać z siebie to, co zatrzymałyśmy, aż natknęłyśmy się na kierownika kina.

- Myślicie, że Wietnam jest zabawny?

Kierownik był imponującej postury, lecz miał mięśnie obrośnięte tłuszczem. Kreska wąsika nad górną wargą przypomniała mi pierwszego adwokata Madisonsa.

– Nie – odpowiedziałyśmy jednogłośnie. Zagroził nam drogę do wyjścia.

- A ja słyszałem, jak się śmiałyście – rzekł.

– W filmie jest sporo przesady – powiedziała, oczekując, że zrozumie mój punkt widzenia.

– Byłem w Wietnamie – rzekł. – A wy? Lila ze strachu trzymała mnie za rękę.

– My nie, proszę pana – odparłam. – Szanujemy weteranów z Wietnamu. Nie chciałyśmy nikogo urazić. Śmiałyśmy się, ponieważ widziałyśmy męską siłę i agresję uwydatnione aż do przesady.

Patrzył na mnie, jakbym zablokowała go argumentacją, podczas gdy zablokowałam go jedynie słowami, które potrafiłam odnaleźć w sobie w sytuacji zagrożenia – popisałam się niedawno nabytą umiejętnością.

Puścił nas, ostrzegając, że nie chce nas więcej widzieć w swoim

kinie.

Nawet nie próbowałyśmy odzyskać beztroskiego nastroju. Byłam wściekła, wracając do domu.

– Kobiety mają przechłapanie – powiedziałam, dając wyraz oczywistości. – Zawsze im ktoś dokopie!

Lila nie była jeszcze gotowa pójść za mną. Starła się zrozumieć punkt widzenia kierownika kina. Ja zaś w myślach robiłam coś, co zdarzało mi się coraz częściej: podejmowałam walkę z mężczyzną. I chociaż różnie ją rozgrywałam, przegrywałam za każdym razem.

Byli dobrzy i źli mężczyźni, myśliciele i mięśniaki. Dokonywałam rozróżnień. Zaczęłam dzielić mężczyzn według tych kategorii. Dla Steve'a, który miał żylaste ciało biegacza i delikatne ruchy, liczyła się przede wszystkim nauka. Przesiadywał godzinami nad podręcznikami, aż wykuł je, rozdział po rozdziale, na pamięć. Jego rodzice, imigranci z Ukrainy, płacili żywą gotówką za edukację syna, podobnie jak zapłacili za dom i samochody. Oczekiwali zatem, że ich pieniądze nie pójdą na marne.

Uprawiając seks, zaczęłam nieświadomie okłamywać siebie. Skupiałam się wyłącznie na przyjemności Steve'a, na celu podróży, jeżeli więc zdarzały się po drodze jakieś wyboje, bolesne błyski wspomnień z tunelu, przejeżdżałam przez nie pozbawiona uczucia. Byłam szczęśliwa, gdy Steve był szczęśliwy, zawsze gotowa wyskoczyć z łóżka i pójść na spacer albo przeczytać najnowszy wiersz. Jeżeli mogłam w porę sięgnąć po swój mózg, jak po tlen, seks nie sprawiał mi aż takiej przykrości.

No i jeszcze kolor skóry Steve'a. Mogłam skupić uwagę na plamie białego ciała i zacząć. Kiedy Steve łączył delikatność z ochotą, ja prowadziłam wewnętrzną rozmowę ze sobą, podążając tą samą ścieżką. „To nie jest park Thordena, to twój przyjaciel, Gregory Madison jest w Attica, nic ci się nie stanie”. Często mi to pomagało, jak zaciskanie zębów na przerażającej przejeździe w wesołym miasteczku, gdy wszyscy dokoła świetnie się bawią.

Jeśli ty nie możesz, naśladuj i udawaj. Twój mózg przecież wciąż żyje.

Do końca roku utrwaliałam swój image pulchnej przedstawicielki New Age. Znali mnie zarówno studenci Wydziału Sztuk Pięknych, jak i poeci. Urządziłam bal, mając pewność, że goście dopiszą. Dopisali. Steve kupił płyty z tanecznymi wersjami moich ulubionych piosenek i przygotował z nich taśmy do tańca.

Mary Alice i Casey wrócili z Londynu i też przyszli. Cały dom – ze wszystkimi mieszkaniami do wynajęcia – pulsował moją muzyką i energią moich przyjaciół. Na autorskich kursach Carrutha i Carvera dostałam ocenę A, teraz chodziłam na zajęcia z poetą Jackiem Gilbertem. Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście, kiedy Gilbert także się pokazał! W kuchni, w pojemniku na śmieci piekielny poncz wzbogacał się o coraz to nowe składniki, dodawane przez pijanych balowiczów. Wrzucano do niego jak popadnie wszystkie przyprawy Liii, a do gałki muszkatołowej i kurkumy dołączały drobne przedmioty, jak na przykład widelce, oraz rośliny doniczkowe.

Niespodziewanie zjawili się jacyś nieznani chłopcy. Byli głośni, silni, a ładne dziewczyny przyciągały ich jak magnes. Na przykład Mary Alice, kompletnie już wtedy pijana. Tańce na parkiecie stawały się bardziej zmysłowe. Steve omal się nie pobił z pewnym obcym kolesiem, zbyt ostro przystawiającym się do jednej z jego przyjaciółek. Muzyka grała coraz głośniej, wysiadł jeden głośnik, skończył się alkohol. Ci najrozsądniejsi i najtrzeźwiejsi, którzy do tej pory się nie zmyli, zaczęli się wykruszać. Ja stróżowałam przy Mary Alice niczym jazgotliwy szkocki terier. Jeśli podchodził jakiś chłopak, zniechęcałam go. Groziłam tym, co budziło respekt: mężczyzną. Kłamałam, że chłopak Mary Alice jest kapitanem drużyny koszykówki i wkrótce się zjawi razem z kolegami. Jeżeli któryś mi nie wierzył, stawałam przed nim twarzą w twarz i puszczałam wiązanekę. Nauczyłam się tego od detektywów, stąd umiałam dać do zrozumienia, że żaden

mi nie podskoczy.

Mary Alice postanowiła wyjść. Znaleźliśmy razem ze Steve'em kogoś, komu ufaliśmy, że odprowadzi ją do domu. Kiedy zegnaliśmy się pod drzwiami, Mary Alice zemdląła. Stałam i wraz z innymi patrzyłam na leżącą na podłodze koleżankę. Myślałam, że udaje, więc powiedziałam: „Daj spokój, Mary Alice, wstawaj”. Jej włosy wyglądały tak pięknie, gdy upadała. Zakołysały się długą złotą falą i ułożyły malowniczo wokół głowy.

Uklękłam i zaczęłam ją trącać. Nic z tego. Nadszedł Steve, przepychając się między maruderami i obcymi. Stojący w kole chłopcy ofiarowywali się, że ją podwiozą.

Przychodzą mi na myśl w tym momencie tylko psy. Byłam jazgotliwym szkockim terierem, a potem, nie tracąc wojowniczości, nabrałam nagle nadludzkiej mocy. Nawet Steve'owi nie pozwoliłam jej nieść. Wzięłam Mary Alice na rękę – prawie sześćdziesiąt kilo – i zaniiosłam do pokoju Liii. Lila i Steve torowali mi drogę. Położyliśmy ją na łóżku. Była pijaną studentką, a wyglądała jak śpiący anioł. Przez resztę nocy pilnowaliśmy, żeby tak pozostało. Kiedy po skargach sąsiadów nadjechały wozy policyjne, impreza dobiegła końca. Steve i Lila wyprowadzili pijanych nieznajomych. Mary Alice nocowała u nas. Rano całe mieszkanie lepiło się od brudu, a za kanapą znaleźliśmy nieprzytomnego kolegę czyjegoś kolegi.

Latem, po trzecim roku, mieszkałam ze Steve'em i chodziłam na letnie kursy. Moja matka pokonała obiekcje natury moralnej i pogodziła się z faktem, że mieszkam z mężczyzną, ponieważ, jak sama to ujęła: „Miło pomyśleć, że masz ochroniarza na stałe”. Po letnich kursach po raz pierwszy zasmakowałam nauczania, pomagając na obozie dla artystycznie uzdolnionej młodzieży, zorganizowanym przez Uniwersytet Bucknella. Postanowiłam, że jeżeli nie zostanę prawnikiem, będę uczyć. W ostatecznym rozrachunku nauczanie, o czym wtedy jeszcze nie mogłam wiedzieć, miało stać się moim ratunkiem, moją drogą powrotu.

Zaczynając ostatni, czwarty rok, uczęszczałam regularnie na zajęcia z czytania poezji i prozy odbywające się na kampusie. Pracowałam także jako kelnerka w „Cosmos Pizza Shop” na Marshall Street, więc przy takim rozkładzie zajęć, w połączeniu z wieczornymi zajęciami literackimi, mało bywałam w domu. Lila nie protestowała. Miała mieszkanie dla siebie albo dzieliła je bezkonfliktowo z naszym nowym współlokatorem, Patem.

Lila znalazła Pata na Wydziale Antropologii. Był od nas młodszy o dwa lata i studiował dopiero na drugim roku. Kupował pornosy, magazyny dla fetyszystów, takie jak „Bufory” dla cyckomanów, ale płacił czynsz i nie wchodził nam w drogę. Cieszyłam się, że nie przypominał typowego cmoka z antropologii. Wysoki, szczupły brunet z włosami do ramion. Wiele dla niego znaczyło włoskie pochodzenie, lubił też szokować. Pokazał Lili i mnie wziernik, który zwinął kuzynowi ginekologowi. Przywiązał go do wyłącznika zwisającego przy lampie pod sufitem.

Do listopada tego roku jakoś się między sobą ułożyliśmy. Po dwóch miesiącach przywykłyśmy do żartów i psikusów Pata. Lubiał na przykład dotknąć którąś z nas w obojczyk i spytać: „Co to?”. Kiedy patrzyło się w dół, trącał pod brodę. Albo przynosił filiżankę kawy, a gdy się po nią sięgało, cofał rękę. Droczył się z nami, a kiedy posunął się za daleko, Lila i ja piszczaliśmy. Lila, która miała młodszego brata, powiedziała, że czuje się tak, jakby w ogóle nie wyjechała z domu.

Na kursie pod nazwą „Religia ekstatyczna” siedziałam obok Marca. Był wysokim blondynem, jak Jamie, i pod pewnymi względami różnił się od innych. Studiował architekturę krajobrazu w College’u Leśnictwa na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork, który, niczym młodsza, niesamodzielną siostrą, korzystał z zaplecza uniwersytetu w Syracuse. Marc dorastał w nowojorskiej dzielnicy Chelsea, dlatego był jak na swoje dwadzieścia jeden lat mądry i doświadczony, a przynajmniej tak mi się zdawało. Miał w Soho przyjaciół mieszkających na poddaszach. Obiecał, że mnie kiedyś

tam zabierze.

Po zajęciach z religii toczyliśmy eleganckie, a zarazem pełne pasji dyskusje wokół tematów dnia. Historia praktyk szamańskich i okultyzmu pobudzała nas do intelektualnych dociekań. Marc, który znał się na muzyce i sztuce o wiele lepiej ode mnie, dał mi nagrania Philipa Glassa. Z przekąsem wyrażał się o adorowaniu Ethel Merman przez Jacqueline Susanne. Reprezentował to, co moja matka uważała za najlepsze w Nowym Jorku – kulturę przysługującą z racji urodzenia – nawet jeśli nie miała na myśli potajemnych randek „Merm” z autorką *Doliny lalek*.

Nieoczekiwanie zapął Steve’a, jego troskliwość i zainteresowanie moimi dolegliwościami wydały mi się mniej atrakcyjne niż wyrafinowane „wszystko już widziałem, wszystkiego spróbowałem” Marca. Kiedy rzucałam żartem: „Czemu sprawa o gwałt nie zasługuje na wzmiankę w szacownym *curriculum vitae*” – Marc śmiał się i odpowiadał w tym samym tonie, podczas gdy Steve kładł mi rękę na ramieniu i mówił z całą powagą: „Wiesz, że to nie jest śmieszne, prawda?”. Marc miał samochód, telewizję kablową, dziewczyny uważały, że jest fajny. Nie wzdragał się przed piciem i palił jak komin. Przeklinał, no i, jako student architektury, rysował.

Od samego początku był ze mną szczery i otwarty. Spodobaliśmy się sobie, kiedy poznaliśmy się rok wcześniej na imprezie. Powiedział mi później, że trzech koledzy wciągnęli go do łazienki, gdy zobaczyli, że ze mną rozmawia.

– Dwa słowa, Marc. Ta dziewczyna została zgwałcona.

– I co z tego? – spytał. Popatrzyli na niego przerażeni.

– Musimy ci to tłumaczyć jaśniej?

Ale Marc okazał się zagorzałym feministą. Ojciec bezceremonialnie porzucił jego matkę dla znacznie młodszej kobiety. Jedna z sióstr była lesbijką i nazywała swoje dwa kocury „dziewczynami”, druga, prawniczka, pracowała w biurze prokuratora okręgowego na Manhattanie. Marc przeczytał więcej niż ja powieści Yirginii Woolf i zapoznał mnie z pracami Mary Dały i Andrei Dworkin. Wydał mi się rewelacyjny.

Podobnie jak ja Marcowi. Owszem, znał nazwiska i teorie, o których nigdy nie słyszałam, ale kiedy mnie poznał, byłam jedyną zgwałconą dziewczyną wśród jego znajomych. Przynajmniej z tego, co wiedział.

Z Markiem dobrze się bawiłam, a ze Steve'em szamotałam.

– Ilu ochroniarzy potrzebuje jedna dziewczyna? – spytała któregoś dnia Lila, widząc, że dwukrotnie dzwoniłam do obu.

Miałam na to tylko jedną odpowiedź. Nigdy dotąd nie cieszyłam się popularnością, aż tu raptem poczułam się rozrywana: dwóch chłopców naraz chciało się ze mną spotykać.

Nasza dawna współlokatorka Sue przygotowała foteoreportaż jako pracę dyplomową i zostawiła mnóstwo kosmetyków do makijażu. Któregoś wieczoru, kiedy Pat siedział w bibliotece, postanowiłam zabawić się w fotografa mody i zrobić Liii trochę zdjęć. Przebrałam ją. Kazałam zdjąć okulary. Podkreśliłyśmy jej oczy grubymi krechami. Nie żałowałam cieni. Miała dokoła oczu dużo granatu i czerni. Wargi pociągnięte okropnym szkarłatem. Ustawiłam ją w korytarzu mieszkania i zaczęłam pstrykać. Cudownie się bawiłyśmy, tylko we dwie. Potem kazałam jej położyć się na podłodze i spoglądać w górę albo zsunąć z ramienia koszulę do „fotki kawałka ciała”. Staralam się mówić to, co – jak przypuszczałam – mówił zawodowy fotograf, żeby wprowadzić modelkę w odpowiedni nastrój. „Jest gorąco, jesteś na Saharze, piękny mężczyzna niesie ci pina coladę” albo: „Gdzieś na Antarktyce marznie mężczyzna twojego życia. Ma ciebie na jednym jedynym zdjęciu, które pomaga mu przetrwać. To jest właśnie to zdjęcie. Pokaż seks, szczerłość i przenikliwy intelekt”. Kiedy nie robiła miny dla uzyskania odpowiedniego efektu, parskała śmiechem. Upozowałam ją przed wysokim lustrem przy drzwiach łazienki i robiłam długie ujęcie ze mną w tle. Posadziłam ją profilem, ubraną w czarne rękawiczki.

Moje ulubione zdjęcia z tamtej sesji były o wiele bardziej dramatyczne. Lila sunie na czworakach korytarzem pod moją sypialnią, otwierając szeroko ślepe oczy obwiedzione kolorami.

Teraz są to dla mnie zdjęcia Liii „przed”.

13.

Tydzień przed Świętem Dziękczynienia w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku poeta Robert Bly czytał swoje utwory w audytorium Wydziału Filologii. Bardzo chciałam go zobaczyć, ponieważ – zachęcona przez Tess i Haydena Carrutha – zaczytywałam się jego wierszami. Lila została w domu, przygotowując się do morderczego testu, którego ja, robiąc dyplom z poezji, nie musiałam się już obawiać. Pat poszedł do Biblioteki Birda.

Tess i Hayden też przyszli na spotkanie z poetą. Podobnie dziekani wydziałów. Znane nazwisko przyciągnęło widownię, która wypełniła salę po brzegi. Siedziałam pośrodku niewielkiej auli. Mój przyjaciel Chris rok wcześniej skończył studia, więc na wieczory z poezją chodziłam sama. Dwadzieścia minut po rozpoczęciu czytania ostry, kłujący ból przeszył mi podbrzusze. Spojrzałam na cyfrowy zegarek. Ósma pięćdziesiąt sześć.

Zacisnęłam zęby, żeby jakoś wytrzymać, lecz ból się nasilił. Kurcz ścisnął mi żołądek. Kiedy Bly skończył czytać wiersz, wstałam i robiąc dużo hałasu, przecisnęłam się między kolanami słuchaczy a rzędem krzeseł przede mną.

Z holu zadzwoniłam do Marca. Miał samochód. Poprosiłam, żeby przyjechał pod Bibliotekę Birda. Nie byłam w stanie pojechać autobusem. Skorzystałam z tego samego telefonu, z którego dzwoniłam dwa lata temu do rodziców, a który od tamtej pory obchodziłam z daleka. Tamtego wieczoru zlekceważyłam przesady. Marc musiał wziąć prysznic.

– Najwyżej dwadzieścia minut – zapewnił.

– Będę trzymać się za brzuch – usiłowałam zażartować. – Pośpiesz się.

Czekając przed biblioteką, denerwowałam się coraz bardziej. Działo się coś złego, ale nie miałam pojęcia co.

Wreszcie, po czterdziestu minutach, zjawił się Marc.

Opuściliśmy kampus i przejechaliśmy przez Euclid, gdzie w zniszczonych drewnianych domach mieszkało wielu studentów.

Skręciliśmy w moją ulicę. W głębi, w okolicy domu, w którym mieszkaliśmy z Lila, stało pięć czarnobiałych wozów z migającymi światłami. Policjanci kręcili się dokoła, rozmawiając z ludźmi.

Już wiedziałam.

– O mój Boże, o mój Boże! – zaczęłam jęczeć. – Marc wypuść mnie, wypuść mnie.

– Za chwilę, tylko zaparkuję i pójdę z tobą – rzekł zmieszany Marc.

– Nie, wypuść mnie już teraz.

Wjechał na jakiś podjazd. Wysiadłam. Nie czekałam na niego. W naszym domu paliły się wszystkie światła. Drzwi wejściowe stały otworem. Weszłam do środka.

W małym holu zatrzymało mnie dwóch policjantów.

– To miejsce przestępstwa. Musi je pani opuścić.

– Ja tu mieszkam – wyjaśniłam. – Czy to Lila? Co się stało?

Odruchowo zaczęłam zrzucać z siebie warstwy ubrania i upuszczać je na podłogę. Zimową czapkę, szalik, rękawiczki, kurtkę, puchową kamizelkę. Byłam rozdygotana.

W naszym salonie zobaczyłam kolejnych policjantów. Jeden z dwóch funkcjonariuszy machnął ręką do tamtych w salonie i rzucił:

– Mówi, że tu mieszka.

– Alice? – upewnił się detektyw w cywilu. Od razu go poznałam.

– Sierżant Clapper?

Kiedy wypowiedziałam jego nazwisko, policjanci przepuścili mnie dalej.

– Awansowałam na detektywa – pochwalił się z uśmiechem. – Co pani tu robi?

– Mieszkam – odparłam. – Gdzie Lila? Posmutniał.

– Tak mi przykro – rzekł.

Spostrzegłam, że teraz policjanci patrzą na mnie inaczej niż

przed chwilą. Do mieszkania wszedł Marc. Powiedziałam tym w holu, że to mój chłopak.

– Alice Sebold? – spytał jeden z nich. Odwróciłam się do Clappera.

– Ktoś ją zgwałcił?

– Tak – odparł. – W sypialni w głębi.

– To mój pokój. Jak ona się czuje?

– Jest z nią kobieta detektyw. Musimy zabrać ją na badania do szpitala. Może pani pojechać z nami. Nie bronila się.

Chciałam ją zobaczyć. Clapper się zgodził i poszedł powiadomić Lilę, że tu jestem.

Stałam, czując na sobie spojrzenia policjantów. Znali moją sprawę, ponieważ była w ostatnich latach jedną z niewielu spraw o gwałt, w której doszło do skazania. W ich świecie byłam znanym przypadkiem. Dzięki mnie Clapper awansował. Wszyscy zaangażowani w moją sprawę wyciągnęli z tego jakąś korzyść.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę. To się nie dzieje naprawdę – mówiłam w kółko do Marca. Nie pamiętam, co odpowiadał. Mobilizowałam siły, usiłując zapanować nad sobą, choć przychodziło mi to z trudem.

– Nie chce pani widzieć – oznajmił Clapper po powrocie. – Obawia się, że się załamie, kiedy panią zobaczy. Za kilka minut wyjdzie i będzie pani mogła pojechać z nimi do szpitala.

Trochę mnie to zabolalo, ale zrozumiałam.

Uprzedziłam Marca, że czeka mnie długa przeprawa – szpital, policja – powinien więc wrócić do domu i posprzątać. Zapowiedziałam, że będziemy spać u niego we troje, ja z Lila w łóżku, a on w swoim salonie.

Policjanci zabijali czas błaahymi rozmówkami. Zaczęłam chodzić w kółko. Jeden z funkcjonariuszy zebrał porzucone przeze mnie ubranie, przyniósł i położył na kanapie.

Lila wyszła z sypialni. Była zdruzgotana. Włosy miała w nieładzie, lecz żadnych śladów na twarzy. Niska, ciemnowłosa funkcjonariuszka podążała za nią.

Lila okryła się moim szlafrokiem, ale przewiązała innym

paskiem. Oczy miała bez dna – zagubione. Nie mogłabym wtedy nawiązać z nią kontaktu, choćbym się bardzo starała.

– Tak mi przykro – szepnęłam. – Zobaczysz, nic ci nie będzie. Wyjdiesz z tego tak jak ja.

Stałyśmy naprzeciw siebie i płakałyśmy.

– Teraz naprawdę jesteśmy klonami – powiedziałam. Funkcjonariuszka zachęciła nas do wyjścia.

– Lila mówi, że macie współlokatora.

– O mój Boże, Pat! – Zreflektowałam się. Zupełnie o nim zapomniałam.

– Wie pani, gdzie on jest?

– W bibliotece.

– Czy ktoś może się z nim skontaktować?

– Chcę jechać z Lila.

– Wobec tego proszę mu zostawić wiadomość. Niech niczego nie dotyka. Powinien dziś nocować gdzie indziej, bo musimy zabezpieczyć tylne okno.

– Najpierw myślałam, że to Pat robi mi głupi kawał – odezwała się Lila. – Wracając z łazienki, zobaczyłam, że drzwi do mojej sypialni bardziej niż zwykle odstają od ściany, jakby ktoś za nimi stał. Więc je pchnęłam, a on je odepchnął i tak kilka razy, aż miałam tego dość. „Daj spokój, Pat” – powiedziałam i weszłam do pokoju. Rzucił mnie na łóżko.

– Wiemy dokładnie o której godzinie – wtrąciła funkcjonariuszka. – Spojrzała na zegarek. – Była ósma pięćdziesiąt sześć.

– Właśnie wtedy źle się poczułam – skonstatowałam zaskoczona.

– Co takiego? – zdumiała się policjantka.

Nie wiedziałam, gdzie stanąć. Nie byłam ofiarą. Byłam przyjaciółką ofiary. Policjantka zaprowadziła Lilę do samochodu, a ja pośpiesznie weszłam do pokoju Pata.

Zrobiłam coś obrzydliwego. Użyłam wziernika jako przycisku do papieru. Zostawiłam wiadomość na jego poduszce, bo w pokoju panował bałagan. Miałam pewność, że w tym miejscu na

pewno zauważy list. „Pat, Lila została zgwałcona. Fizycznie nic jej się nie stało. Zadzwoń do Marca. Musisz dzisiaj nocować gdzie indziej. Przepraszam, że zawiadamiam cię o tym w ten sposób”.

Zostawiłam zapalone światło w jego pokoju i rozejrzałam się. Postanowiłam nie przejmować się Patem – nie mogłam. Pomyślałam, że szybko się otrząśnie. Najważniejsza teraz była Lila.

Jechaliśmy do szpitala w milczeniu. Siedziałyśmy z Lila z tyłu i trzymałyśmy się za ręce.

– Czuję się okropnie – powiedziała w pewnej chwili. – Taka zbrukana. Chciałabym wejść pod prysznic.

Uścisnęłam jej rękę.

– Wiem – rzekłam.

Na oddziale ratunkowym musiałyśmy czekać. Czas dłużył się w nieskończoność. Było tłoczno, a ponieważ Lila nie szamotała się z gwałcicielem, nie miała otwartych ran, mogła siedzieć i składnie mówić, więc kazano jej czekać. Kilka razy podchodziłam do pani w rejestracji i pytałam, dlaczego to trwa tak długo. Siedząc przy Lili, pomagałam jej wypełnić formularz ubezpieczeniowy. Ja przez to nie przechodziłam. Wwieziono mnie prosto z ambulansu do gabinetu lekarskiego.

Wreszcie wywołano Lilę. Poszłyśmy korytarzem i znalazłyśmy gabinet. Badanie przeciągało się, bo badającego kilkakrotnie wzywano do innych gabinetów. Trzymałam Lilę za rękę, jak kiedyś Mary Alice trzymała mnie. Łzy ciekły mi po policzkach. Pod koniec badania Lila poprosiła, żebym wyszła i poszukała znajomej policjantki. Sprowadziłam ją, a sama, roztrzęsiona, usiadłam w poczekalni.

W najgorszych koszmarach sennych nie przyśnił mi się gwałt na Lili. Ona i Mary Alice wydawały się bezpieczne. Lila była moim klonem, przyjaciółką, siostrą. Kochała mnie tak samo po tym, jak opowiedziałam jej całą swoją historię. Była resztą świata – tą niezbrukaną – a teraz znalazła się po tej samej co ja stronie. Siedząc i rozmyślając, nabrałam przekonania, że mogłam zapobiec temu gwałtowi. Gdybym szybciej dotarła do domu,

czując instynktownie, że dzieje się coś złego, gdybym w ogóle nie poprosiła jej, żeby została moją przyjaciółką. W końcu doszłam do następującej konkluzji: to powinno zdarzyć się mnie. Zaczęłam się martwić o Mary Alice.

Tak dygotałam, że objęłam się ramionami i zaczęłam kołysać się na krześle w przód i w tył. Zbierało mi się na wymioty. Cały mój świat się zawalił; wszystko, co przedtem miałam i co znałam, pogrążyło się w cieniu. Zrozumiałam, że nie mam szans na ucieczkę; odtąd tak już miało być. Moje życie i życie tych wokół mnie. Gwałt.

Przyszła po mnie policjantka.

– Lila jedzie z detektywem Clapperem na policję. Poprosiła, żebym pojechała z tobą do domu i wzięła dla niej trochę rzeczy.

Nie wiedziałam, jak się zachować. Już wtedy zakiełkowała we mnie myśl, że Lila nie wie, co robić, kiedy jestem przy niej. Znała Alice przyjaciółkę i Alice, która, będąc ofiarą gwałtu, skutecznie uporała się z jego skutkami. Potrzebowała jednej z nich, bez tej drugiej, a to było niemożliwe.

Policjantka zawiozła mnie do domu i otworzyła zaryglowane drzwi. Pat jeszcze nie wrócił. Ktoś inny zgasił światło, które zostawiłam zapalone. Pamiętałam, jak Tree i Dianę przyniosły mi nieodpowiednie ubranie, zapominając o bieliźnie. Chciałam, żeby Lila miała wygodę. Ściągnęłam dużą płócienną torbę z garderoby i pootwierałam szuflady. Zapakowałam jej całą bieliznę, flanelowe koszule nocne, kaptcie, skarpetki, spodnie od dresu, luźne koszule. Dorzuciłam książkę, a z łóżka poduszkę i pluszową maskotkę.

Ja też potrzebowałam trochę rzeczy. Już wtedy wiedziałam, że ani Lila, ani ja nigdy więcej nie będziemy spały w tym domu. Poszłam w głąb mieszkania, do swego pokoju. Zostałam zamknięte drzwi. Spytałam policjantkę, czy mogę wejść do środka.

Zmówiłam modlitwę, nie zwracając się do nikogo, i obróciłam gałkę u drzwi. Pokój się wychłodził, bo okno, przez które wszedł napastnik, było otwarte. Zapaliłam światło koło drzwi.

Moje łóżko zostało ogołoczone. Podeszłam bliżej. Pośrodku

czerwieniła się niewielka świeża plama krwi. Dokoła inne, mniejsze, jak łzy.

Lila wyszła spod prysznic, owinięta w ręcznik, i przed wejściem do swojego pokoju zabawiała się drzwiami, myśląc, że schował się za nimi Pat. Gwałciciel pchnął ją na łóżko, na brzuch. Zobaczyła zegar. W ciemnościach widziała napastnika tylko przez kilka sekund. Przewiązał jej oczy paskiem od mojego szlafroka, potem obrócił ją na łóżku, złożył jej ręce na piersiach jak do modlitwy i związał linami od bungee i kocią smyczą, którą trzymałyśmy w garderobie przy wejściu. Musiał sprawdzić całe mieszkanie, kiedy Lila brała prysznic. Wiedział, że nikogo więcej nie ma. Kazał jej wstać, przejść do mojego pokoju, i zmusił do położenia się na łóżku.

Tam ją zgwałcił. W trakcie tej napaści spytał ją, gdzie jestem. Skądś znał moje imię. Skądś wiedział, że Pat wróci o wiele później. W którymś momencie zapytał o pieniądze z napiwków, które trzymałam na komodzie, i zabrał je. Lila nie walczyła. Robiła, co jej kazał.

Narzucił na nią mój szlafrok i zostawił z zawiązanymi oczami.

Zaczęła krzyczeć, ale chłopcy mieszkający nad nami puszczali głośną muzykę. Nikt jej nie usłyszał, a nawet jeżeli usłyszeli, nic nie zrobili. Wyszła z mieszkania na dwór, weszła po schodach i zaczęła się dobijać do ich drzwi. Otworzyli jej z piwem w ręku, uśmiechnięci, spodziewając się kolejnych gości. Poprosiła, żeby ją rozwiązali i zadzwonili na policję.

Lila opowiedziała mi to wszystko w ciągu kilku następnych tygodni. A teraz odwracałam wzrok od krwi, od łóżka, od rzeczy, których dotykał gwałciciel. Od moich ubrań wyrzuconych na podłogę. Od zdjęć na biurku. Od moich wierszy. Złapałam flanelową koszulę, która pasowała do koszuli Liii, i trochę ubrań z podłogi. Chciałam zabrać moją starą maszynę do pisania Royal, ale wszystkim oprócz mnie wydałoby się to głupotą i samolubstwem. Popatrzyłam na maszynę i na łóżko.

W chwili, gdy odwracałam się, żeby stamtąd wyjść, powiew wiatru od okna zatrzęsął drzwi. Utraciłam wszelką nadzieję na

normalne życie.

Pojechałam razem z policjantką na posterunek. Wjechałyśmy windą na drugie piętro i wyszłyśmy do znajomego holu kończącego się pancerną szybą, za którą miał stanowisko dyspozytor. Dyspozytor nacisnął guzik otwierający drzwi i wpuścił nas do środka.

– Tam – rzekł jeden z policjantów, wskazując nam drogę.

Poszłyśmy dalej.

Fotograf szykował się do zrobienia zdjęcia. Lila stała pod ścianą, trzymając na wysokości piersi numer napisany – podobnie jak kiedyś mój – grubym flamastrem na odwrocie policyjnej koperty.

– Alice – zagadnął fotograf, kiedy mnie zobaczył. Położyłam worek z ubraniami na pustym biurku.

– Pamięta mnie pani? – spytał. – Zbierałem dowody w pani sprawie w osiemdziesiątym pierwszym.

– Cześć – powiedziałam.

Lila stała cały czas pod ścianą. Dwaj inni policjanci podeszli bliżej.

– Super, że pani przyszła – rzekł jeden. – Rzadko mamy okazję zobaczyć ofiarę po skazaniu napastnika. Czy jest pani zadowolona z przebiegu sprawy?

Chciałam udzielić im odpowiedzi, na jaką zasługiwali. Zwykle przecież widzieli tylko tę stronę sprawy o gwałt, którą reprezentowała zapomniana pod ścianą Lila – świeżą lub wymęczoną ofiarę.

– Tak – odparłam z poczuciem, że dzieje się coś niewłaściwego, oszołomiona nagłym zainteresowaniem. – Byliście świetni. Nie mogłabym życzyć sobie lepszych. Ale przyszłam tu dla Liii.

Oni też zdawali sobie sprawę z dziwności sytuacji. No, ale co wtedy nie było dziwne?

Ustawiali Lilę i rozmawiali ze mną.

– Właściwie nie ma na niej żadnych śladów. Pamiętam, jak

pani była poturbowana. Madison nieźle się na pani wyżył.

– A przeguby? – przypomniałam. – Związał ją. Ja nie byłam związana.

– Ale tamten miał nóż, prawda? – upewnił się policjant, przywołując szczegóły mojej sprawy.

Fotograf podszedł do Liii.

– Tak – rzekł. – Proszę unieść rękę i pokazać przegub. Właśnie tak.

Lila wykonywała polecenia. Odwracała się bokiem. Pokazywała przeguby. Tymczasem policjanci otoczyli mnie kołem, zadawali pytania, ściskali mi rękę, do mnie się uśmiechali.

Potem przyszła pora na telefony. Posadzili nas obie przy biurku w drugim kącie. Przysiadłam na blacie, a Lila przede mną na krześle. Podała mi numer telefonu rodziców, a ja go wykręciłam.

Było już późno, ale jej ojciec jeszcze nie spał.

– Panie Rinehart – powiedziałam. – Tu Alice, współlokatorka Liii. Teraz przekażę jej słuchawkę.

Oddałam telefon Liii.

– Tato – zaczęła z płaczem. Wydusiła z siebie wiadomość i zwróciła mi słuchawkę.

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę – rzekł.

– Nic jej nie będzie, panie Rinehart – zapewniłam, starając się podnieść go na duchu. – Mnie też to spotkało i nic mi nie jest.

Pan Rinehart znał moją historię. Lila opowiedziała ją rodzinie.

– Ale pani nie jest moją córką – odparł. – Zabiję skurwysyna!

Powinnam być przygotowana na ten wybuch gniewu na gwałciciela, poczułam jednak, że jest skierowany na mnie. Podałam panu Rinehartowi numer telefonu Marca. Powiedziałam, że będziemy u niego nocowały, więc tam powinien zadzwonić, żeby podać godzinę przylotu. Obiecałam, że przyjedziemy po niego na lotnisko samochodem Marca.

Lila poszła z policjantami złożyć pisemne oświadczenie. Było późno. Siedziałam na metalowym blacie i myślałam o rodzicach. Matka po dwóch latach nasilonych ataków paniki niedawno znów podjęła pracę. Teraz miałam to zniszczyć. Traciłam zdolność

logicznego rozumowania. Ciężące mi poczucie winy mogłam przerzucić tylko na znikające plecy gwałciciela, którego Lila ledwie potrafiła opisać. W takim stanie ducha podjęłam wyzwanie.

Zadzwoiłam do domu.

Telefon odebrała matka. Słyszając dzwonek telefonu późnym wieczorem, spodziewała się jednego. Wiadomości o mojej śmierci.

– Mamo, to ja, Alice.

Ojciec podłączył się do rozmowy.

– Cześć, tato – rzekłam. – Po pierwsze, nic mi się nie stało.

– O Boże – westchnęła przedwcześnie matka.

– Mogę to powiedzieć tylko wprost. Lila została zgwałcona.

– O Jezu!

Zadawali mi pytania. Odpowiadałam: „Nic mi nie jest”. „Na moim łóżku”. „Jeszcze nie wiemy”. „W pokoju przesłuchań”. „Bez broni”. „Przestańcie, nie chcę tego słuchać”.

Ta ostatnia kwestia była reakcją na zdanie, które wiele razy powtarzali. „Dzięki Bogu, że to nie ty”.

Zadzwoiłam do Marca.

– Widzieliśmy go – oświadczył.

– Co?!

– Pat zadzwonił po mnie i razem zaczęliśmy jeździć i szukać drania.

– To szaleństwo!

– Nie wiedzieliśmy, co robić – rzekł Marc. – Najchętniej zabilibyśmy gada. Pat jest wściekły, że strach podejść.

– Jak on się czuje?

– Kiepsko. Podrzuciłem go potem do domu kolegi. Chciał zostać z nami.

Wysłuchałam opowieści Marca. Obaj wychylili po kilka kieliszków, a potem objeżdżali tonące w ciemnościach pobliskie ulice. Marc miał w aucie łom. Pat rozglądał się po domach i trawnikach, a Marc to zwalniał, to przyśpieszał. Raptem usłyszeli krzyki, a potem ujrzeli mężczyznę, który wybiegł pomiędzy

domów. Dobiegł do chodnika, a gdy zobaczył samochód Marca, skręcił i zaczął iść ulicą w przeciwnym kierunku spacerowym krokiem. Marc i Pat jechali za nim. Mogę sobie wyobrazić, co mówili i co planowali.

– Pat był przerażony – powiedział Marc.

– To mógł być ktoś inny. Pomyśleliście o tym?

– Ale podobno przestępcy czasem kręcą się koło miejsca przestępstwa – odparł Marc. – No i jeszcze te krzyki, a potem jego zachowanie.

– Jechaliście za nim. Marc, nie możesz nic zrobić, takie są zasady. Pobicie kogoś nikomu nie pomoże.

– Odwrócił się i zaatakował samochód.

– Co takiego?!

– Ruszył na nas, wydzierając się na całe gardło. Omal nie narobiłem w portki.

– Przyjrzelście się mu?

– Tak. Chyba tak. To musiał być on. Stał w świetle reflektorów i wrzeszczał na nas.

Kiedy odwieziono Lilę i mnie do mieszkania Marca po drugiej stronie kampusu, nie miałam siły z nikim rozmawiać. Chciałam oszczędzić Lilę i nie dopuścić, aby dowiedziała się o wyczynach Marca i Pata. Potrafiłam ich zrozumieć, ale nie miałam już do nich cierpliwości. Przemoc rodzi przemoc. Czy nie widzieli, że prawdziwy trud pozostawiają kobietom? To kobiety pocieszały i dokonywały niemożliwego – godziły się z losem.

W sypialni Marca przebrałyśmy się z Lila we flanelowe koszule. Odwróciłam się tyłem, gdy Lila się przebierała, i przyrzekłam pilnować drzwi.

– Nie wpuszczaj Marca.

– Nie wpuszczę.

Lila położyła się do łóżka.

– Zaraz przyjdę – powiedziałam. – Będę spała od zewnętrznej strony, żebyś czuła się bezpieczna.

– A co z oknami? – spytała.

– Marc ma przy nich zasuwki. Wiesz, że wychował się w

mieście.

– Prosiłaś Craiga, żeby naprawił to okno od tyłu? – Zadała pytanie odwrócona do mnie plecami.

Pytanie to, wraz z towarzyszącym mu oskarżeniem, zabolalo mnie jak cios nożem w krzyż. Craig był gospodarzem domu. Dwa tygodnie wcześniej poszłam na górę do jego mieszkania i poprosiłam, żeby naprawił zamek przy oknie.

– Tak – odparłam. – Ale nie zrobił tego. Wyszłam z sypialni i zamieniłam parę słów z Markiem.

Jedyna łazienka w mieszkaniu mieściła się za sypialnią, przez którą trzeba było przejść. Chciałam zadbać o wszystko w najdrobniejszych szczegółach, kazałam więc Marcowi skorzystać ze zlewu w kuchni, jeżeli zachce mu się siusiu w środku nocy. Wróciłam do sypialni i wsunęłam się do pościeli.

– Pomasować ci plecy? – zaproponowałam. Lila leżała zwinięta w kłębek plecami do mnie.

– Chyba tak.

Zaczęłam masować jej plecy.

– Przestań – powiedziała po chwili. – Chcę spać. Potem chcę się obudzić i mieć to wszystko za sobą.

– Przytulić cię? – spytałam.

– Nie. Wiem, że troszczysz się o mnie, ale nie zniosę tego. Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie dotykał. Ani ty, ani nikt inny.

– Będę czuwała, aż zaśniesz.

– Rób, co chcesz, Alice.

Nazajutrz rano Marc zapukał i przyniósł nam herbatę do łóżka. Zadzwoił pan Rinehart, podając numer lotu. Obiecałam Liii, że jak najszybciej zabiorę wszystkie jej rzeczy z mieszkania. Zrobiła listę tego, co chciałyby zabrać ze sobą do domu. Zadzwoiłam do Steve'a Shermana. Musiałam podrzucić komuś swoje rzeczy. Lila miała koleżankę, do której zwróciła się z tą samą prośbą. Pakowanie i przeprowadzki – jedynie nad rzeczami Liii mogłam mieć teraz kontrolę. Chociaż w ten sposób mogłam jej trochę pomóc.

Stałam przy tej samej bramce, przy której niegdyś czekał na mnie detektyw John Murphy. Ojca Liii poznałam tego lata, gdy odwiedziłam ją w rodzinnym domu. Był potężny, lekko się garbił. Kiedy zbliżał się do mnie, zobaczyłam, że zaczyna płakać. Oczy miał spuchnięte i zaczerwienione. Podeszedł i postawił bagaże. Płakał, gdy go objęłam.

Czułam się jednak przy nim obco. Zwiedziłam tę krainę, a przynajmniej wszyscy tak myśleli. Zostałam zgwałcona, przeszłam przez rozprawę, pisano o mnie w prasie. Inni nie mieli o tym pojęcia. Pat, Rinehartowie – oni nie byli na to przygotowani.

Pan Rinehart nie był dla mnie miły. Później oświadczył nam – mojej matce i mnie – że sami uporają się ze swoimi problemami. I dodał jeszcze, że jego córka jest zupełnie do mnie niepodobna i że nie potrzebują naszych rad. Lila, jak twierdził, potrzebowała być sama.

Ale na początku, tamtego dnia, płakał w moich objęciach. Wiedziałam lepiej od niego, przez co przeszła jego córka i że nie mógł zrobić nic, aby to naprawić, bo to niemożliwe. W tamtej chwili, zanim zaczęło się obwinianie i oddalanie, był załamany. Mój błąd polegał na tym, że nie dostrzegłam, jak bardzo sama się zagubiłam. Zachowywałam się tak, jak uważałam, że powinnam: jak profesjonalistka.

U Marca Lila wstała na widok ojca. Uścisnęli się. Zamknęłam drzwi sypialni i odeszłam jak najdalej, żeby uszanować ich prywatność. W przypominającej tunel kuchni Marca na poddaszu wypaliłam jego papierosa. W myślach pakowałam cały nasz dobytek i rozdzielałam go po mieszkaniach przyjaciół. Miliony różnych myśli przelatywały mi przez głowę. Podskoczyłam, kiedy w zlewie brzęknęła łyżka.

Tamtego wieczoru pan Rinehart zabrał nas – Marca, mnie, Pata i Lilę – na kolację do „Czerwonego Homara”. Każdy mógł zjeść tyle krewetek, ile chciał, do czego pan Rinehart gorąco nas zachęcał. Pat bardzo się starał i Marc też, chociaż ten drugi wołał

syczuańskie kluski i słodki groszek. Ani Pat, ani Marc nie byli typami macho w tradycyjnym znaczeniu tego słowa; rozmowa kulała. Pan Rinehart miał zapuchnięte i przekrwione oczy. Nie pamiętam, co mówiłam. Czułam się niezręcznie. Widziałam, że Lila pragnie stamtąd wyjść. Nie chciałam oddawać jej w ręce rodziców. Pomyślałam o Mary Alice, która zaplotła mi francuski warkocz na drugi dzień po gwałcie. Wyczułam od razu, już na lotnisku, że inni ludzie, może nawet sami rodzice, będą wysuwali argumenty uniemożliwiające mi pośpieszenie Liii z pomocą. Miałam zostać wygnana. Byłam chora i zarażałam innych. Wiedziałam o tym, lecz kurczowo trzymałam się Liii. Trzymałam się tak kurczowo, tak rozpaczliwie pragnęłam dzielić z nią to wspólne doświadczenie, że moja obecność musiała ją zadusić.

Pojechaliśmy na lotnisko. Nie pamiętam pożegnania z Lila. Myślałam już wtedy o wyprawadźce, o ratowaniu tego, co mi zostało.

W ciągu doby wyprawadziłam cały nasz dobytek, Lili i mój, ze wspólnego mieszkania. Zrobiłam to sama. Marc miał zajęcia. Zadzwoiłam do Roberta Daly'ego, studenta z ciężarówką, i umówiłam się, że przyjedzie po rzeczy, kiedy zapakuję je do pudeł. Oddałam mu swoje meble – powiedziałam, żeby wziął, co zechce. Pat powłóczył nogami.

Nikt nie rozumiał mojego pośpiechu. W czasie pakowania trąciłam biodrem kuchenny stół. Mały kubek w kształcie królika, który dostałam od matki po zakończeniu rozprawy w sądzie, spadł na podłogę i rozbił się. Popatrzyłam na to, co z niego zostało, i zaczęłam płakać, ale zaraz się opanowałam. Szkoda czasu na łzy. Postanowiłam, że nie będę przywiązywać się do rzeczy. To zbyt niebezpieczne.

Swoją sypialnię opróżniłam na początku, z samego rana, a teraz, kiedy przed zapadnięciem zmierzchu miał przyjechać Robert, znów przekręciłam gałkę, żeby po raz ostatni rzucić okiem na pokój. Byłam dokładna, a mimo to znalazłam na podłodze koło komody fotografię przedstawiającą mnie i Steve'a Shermana na ganku domu latem. Byliśmy na tym zdjęciu szczęśliwi. Ja

wyglądałam normalnie. W szafie znalazłam jeszcze kartę walentynkową, którą dostałam od niego wcześniej w tamtym roku. Zarówno fotografia, jak i walentynka były stracone – należały do miejsca zbrodni.

Pragnęłam żyć jak wszyscy. Zwłaszcza na trzecim roku. Ale moje pragnienie nie miało się spełnić. Teraz to widziałam. Widocznie gwałt był moim przeznaczeniem, więc zaczęłam żyć z myślą, że będzie mnie prześladował.

Zabrałam fotografię i walentynkę. Ostatni raz zamknęłam za sobą drzwi sypialni. Ściskając w ręku pamiątki, przeszłam do kuchni. W drugim pokoju coś stuknęło. W opróżnionym wnętrzu hałas odbił się echem.

Wzdrygnęłam się.

– Halo?! – dobiegł mnie głos.

– Pat?

Weszłam do drugiego pokoju.

Pat przyniósł zieloną torbę na śmieci, żeby zapakować do niej ubrania.

– Dlaczego płaczesz? – zaniepokoił się.

Nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale kiedy o to spytał, poczułam, że mam wilgotne policzki.

– Nie wolno mi płakać? – spytałam.

– Niby tak, tylko że...

– Tylko że co?

– Spodziewałem się chyba, że się z tym pogodzisz. Zaczęłam wykrzykiwać straszne rzeczy pod jego adresem.

Nigdy się nie przyjaźniliśmy, a teraz w ogóle zerwałam z nim znajomość.

Zjawił się Robert Dały. On był jak skała. Tak go pamiętam. Podzielaliśmy upodobanie do uczciwej krytyki na warsztatach z prozy i z takim samym szacunkiem odnosiliśmy się do Tobiasza Wolffa i Raymonda Carvera. Robert mi pomagał, mimo że nie byliśmy sobie bliscy. Płakałam przy nim i nie podobało mu się, gdy go za to przepraszałam. Zabrał mój fotel, kanapę i parę innych rzeczy. Przez kilka lat – aż stało się jasne, że nie zgłoszę się po

meble – przysyłał mi kartki, zapewniając, że moje rzeczy mają się dobrze, i wyrażając żal, że się nie pokazują.

Zmieniłam się, choć o tym nie wiedziałam.

Pojechałam do domu na Święto Dziękczynienia. Steve Sherman przyjechał z New Jersey, żeby ze mną pobyc. Zanim został moim chłopakiem, przyjaźnił się z Lila – był wstrząśnięty tym, że obie padłyśmy ofiarą gwałtu. O Lili dowiedział się, kiedy akurat brał prysznic. Przyszedł mu o tym powiedzieć kolega, z którym mieszkał. Popatrzył wtedy na swojego penisa i nagle, wiedząc, że tyle przemocy dotknęło z tego powodu jego przyjaciółki, poczuł nieopisaną nienawiść do samego siebie. Chciał pomóc. Wziął na przechowanie resztę moich rzeczy i spał w wolnej sypialni. Gdy dwa tygodnie po gwałcie Lila przyjechała na egzaminy końcowe, zatrzymała się u niego. Dotrzymywał mi towarzystwa i niczym ochroniarz eskortował mnie z pracy albo z zajęć do domu.

Podział, który potem nastąpił, był chyba nieunikniony. Ludzie czuli się zmuszeni opowiedzieć się po jednej ze stron. Zaczęło się to już w dniu gwałtu, kiedy policjanci tak otwarcie okazywali mi zainteresowanie. Przyjaciele Lili zaczęli mnie unikać, patrzeć w bok, uciekać ode mnie wzrokiem. W przeddzień egzaminów do domu Steve'a przyszli policjanci, żeby okazać fotografie. Byłam w pokoju razem z Lila i dwoma funkcjonariuszami. Rozłożyli na biurku małe, portfelowe zdjęcia. Spojrzałam Lili przez ramię.

– Jednego z nich na pewno pani rozpoznaje – zwrócił się do mnie policjant.

Wstawili do zestawu zdjęć podobiznę Madisona i jego koleżki z okazań, Leona Baxtera. Z wściekłości odebrało mi mowę.

– Czy jest tutaj ten, który mnie zgwałcił? – spytała Lila. Siedziała przy biurku przede mną. Nie widziałam jej twarzy.

Wyszłam z pokoju. Zrobiło mi się słabo. Steve wyciągnął ręce i złapał mnie.

– Co się stało? – zaniepokoił się.

– Włożyli tam fotkę Madisona – wyjaśniłam.

– Ale on siedzi w więzieniu, prawda?

– Chyba tak. – Nawet nie pomyślałam, żeby o to spytać.
– W Attica – wyjaśnił policjant.
– Ona musi wybrać swojego gwałciciela, a zobaczyła tamtego, więc jest rozproszona – powiedziałam do Steve’a. – To niesprawiedliwe.

Otworzyły się drzwi. Lila weszła do salonu za policjantem, który niósł zdjęcia w kopercie.

– Zrobiliśmy swoje – oświadczył policjant.
– Widziałaś go? – spytałam Lilę.
– Coś tam widziała – mruknął policjant. Nie był zadowolony.
– Na tym skończę. Nie zamierzam tego ciągnąć dalej – zapowiedziała Lila.

– Co?

– Miło było panią spotkać, Alice – rzekł pierwszy policjant.

Uścisnął mi rękę. Jego partner też. Kiedy wyszli, spojrzałam na Lilę. Musiało być oczywiste, o co chcę ją spytać.

– To ponad moje siły – powiedziała Lila. – Chcę odzyskać swoje życie. Przyglądałam się temu, co działo się z tobą.

– „Ale zwyciężyłam – wtrąciłam bez przekonania.

– Chcę mieć to jak najszybciej za sobą.

– Nie możesz siłą woli odsunąć tego od siebie.

Czułam, że bardzo się stara. Zdała końcowe egzaminy i pojechała do domu, żeby wrócić po Bożym Narodzeniu. Planowałyśmy zamieszkać razem w domu dla studentów na studiach podyplomowych. Rodzina miała jej pożyczyć samochód, żeby mogła swobodnie dojeżdżać do kampusu. Mnie pozostawał autobus.

Nigdy się nie dowiem, co mówili policjanci do Lili w tamtym pokoju ani czy zobaczyła gwałciciela wśród okazanych jej mężczyzn. W owym czasie nie rozumiałam jej decyzji o wycofaniu skargi, chociaż myślałam, że rozumiem. Policjanci dopuszczali możliwość, że Lila została zgwałcona z zemsty. Opierali ten domysł na kilku przesłankach. Madison siedział wprawdzie w Attica, ale miał przyjaciół. Dostał najwyższy wyrok

i miał spędzić za kratkami co najmniej osiem lat. Napastnik znał moje imię. Zgwałcił Lilę na moim łóżku. Kiedy to robił, pytał o mnie. Znał mój rozkład zajęć i wiedział, że jestem kelnerką w „Cosmosie”. Wszystko to mogło świadczyć o powiązaniu z Madisonem albo też o starannych przygotowaniach przestępcy, który chciał zastać ofiarę samą. Wierzyłam i nadal wierzę, że okropieństwo tej zbrodni polegało po części na okrutnym zbiegu okoliczności. Teoria spisku wydawała mi się naciągana.

Lila nie chciała wiedzieć. Chciała się z tego wyrwać.

Policjanci przesłuchali moich przyjaciół. Poszli do „Cosmosu” i przeprowadzili rozmowy z właścicielem i z człowiekiem, który właśnie podrzucał ciasto na pizzę pod oknem. Zdarzały się inne gwałty, w których sposób działania wydawał się podobny jak w przypadku Liii. Skoro jednak Lila nie wniosła oskarżenia, jakikolwiek związek z moją osobą pozostawał bez znaczenia. Nie mieli świadka, a bez świadka nie było sprawy. Policja zaniechała śledztwa. Lila pojechała do domu i miała wrócić dopiero w styczniu. Dała mi kopię planu zajęć. Powiedziałam jej nauczycielom, dlaczego nie przystąpi do egzaminów końcowych. Zadzwoiłam do jej przyjaciół.

Moje życie uległo uproszczeniu i zaczęły dawać znać o sobie długofalowe skutki.

Pojechałam do domu na święta.

Siostra była w depresji. Ukończyła studia i dostała stypendium Fulbrighta, ale mieszkała w domu z rodzicami i pracowała w sklepie ogrodniczym. Jej znajomość języków arabskich nie przekładała się na pracę, o jakiej marzyła. Poszłam do jej pokoju, żeby ją rozweselić. W którymś momencie powiedziała: „Alice, ty po prostu nie rozumiesz, tobie wszystko przychodzi tak łatwo”. Prychnęłam z niedowierzaniem. Wyrósł między nami mur. Odsunęłam się od siostry.

Miałam teraz koszmary senne jeszcze bardziej wyraziste niż przedtem. Dziennik, który w tamtych latach dorywczo prowadziłam, jest ich pełen. Powtarzał się w nich zwłaszcza obraz zapamiętany z filmu dokumentalnego o holocauście. Kilkadziesiąt

białych, wyniszczonych ciał, z których zdarto ubranie. Buldożer spychający do otwartego, głębokiego dołu kłęb trupów spadający jedną bryłą. Twarze, usta, głęboko osadzone oczy, czaszki kryjące umysły, które dokonywały niewyobrażalnego wysiłku, aby przeżyć. A potem to. Ciemność, śmierć, brud i myśl, że jeden człowiek może walczy tam w dole o życie.

Budziłam się zrana zimnym potem. Czasem krzyczałam. Obracałam się twarzą do ściany. Następny etap: teraz już na jawie, świadomie rozgrywałam zawiłą intrygę, omal niekończącą się moją śmiercią. Gwałciciel był w domu. Wchodził po schodach. Instynktownie wyczuwał, który stopień zdradzi skrzypnięciem jego obecność. Przemierzał hol. Od frontowego okna czuło się lekki powiew. Nikt ze śpiących w innych pokojach nie zaprzeczyłby temu, gdyby się obudził. Nieokreślony zapach obcej osoby, intruza w domu, dolatywał do nich, lecz podobnie jak ciche skrzypnięcie nie był dla nich ostrzeżeniem, tylko ja wiedziałam, że coś się stanie. Potem wyczuwałam, jak otwierają się drzwi, jak ktoś wchodzi do pokoju, jak zmienia się powietrze ustępujące przed ludzkim ciałem. Daleko, pod moją ścianą, coś oddychało moim powietrzem, kradło mi tlen. Oddychałam coraz płycej i przyrzekałam sobie: zrobię wszystko, co ten człowiek zechce. Może mnie zgwałcić, poranić, odciąć mi palce. Może mnie oślepić albo okaleczyć. Może zrobić wszystko. Ja chcę przeżyć, nic więcej.

Po tym postanowieniu zbierałam siły. Dlaczego tak czekał? Powoli odwracałam się w ciemnościach. Tam gdzie w mojej wyobraźni stał żywy człowiek, tak naprawdę nikogo nie było, jedynie drzwi do szafy. To wszystko. Zapalałam światło, sprawdzałam cały dom, podchodząc do każdych drzwi i przekręcając gałkę. Byłam pewna, że drzwi ustąpią, a za nimi będzie stał i uśmiechał się do mnie tamten mężczyzna. Parę razy obudziłam tym kręceniem się matkę.

- Alice?! – wołała.
- Tak, mamo, to ja.
- Wracaj do łóżka.

– Za chwilę. Wezmę sobie tylko coś do jedzenia. Wracalam na góre do swojego pokoju i próbowałam czytać. Staralam się nie patrzeć na szafę ani nie rzucać okiem na drzwi.

Nigdy nie zadawałam sobie pytania, , co się właściwie ze mną dzieje. Wszystko wydawało mi się normalne. Zagrozenie istniało wszędzie. Nikt nie był bezpieczny. Moje życie różniło się od życia innych, nic zatem dziwnego, że zachowywałam się inaczej.

Po świętach spróbowaliśmy z Lila zacząć w Syracuse wszystko od nowa. Chciałam jej pomóc, ale też sama potrzebowalam jej pomocy. Wierzyłam, że konieczne są rozmowy. Rzuciłam „Cosmos”, żeby być z Lila po zmroku. To było łatwe – nie chcieli mnie przyjąć z powrotem. Kiedy poszłam się spytać o możliwość pracy na dzienną zmianę, właściciel potraktował mnie chłodno i z rezerwą. Ale dobił mnie człowiek podrzucający ciasto na pizzę.

– Nie rozumiesz? – rzekł. – Byli tu policjanci i zadawali pytania. Nie chcemy tu ciebie.

Wyszłam stamtąd we łzach, a na ulicy wpadłam na kogoś jak ślepa.

– Niech pani uważa, jak pani idzie – zwrócił mi uwagę potrącony.

Padał śnieg. Odeszłam z „The Review”. Autobus, którym dojeżdżałam do wynajmowanego z Lila mieszkania, często się psuł. Tessa miała urlop. Przestałam chodzić na wieczory poetyckie. Któregoś dnia trochę później niż zwykle wracałam do domu – już zapadł zmrok – i na progu domu spotkałam Steve’a. Spytał ze złością, gdzie się podziewałam. Ze złością, jakby mnie oskarżał.

– Potrzebowaliśmy czegoś do jedzenia – wyjaśniłam.

– Lila była tak przerażona, że zadzwoniła do mnie. Chciała, żeby ktoś z nią posiedział.

– Dziękuję, że przyjechałeś.

Trzymałam torbę z zakupami i trzęsłam się z zimna.

– Nie powinnaś się spóźniać. Weszłam do środka, kryjąc łzy.

Kiedy Lila oświadczyła, że nasz układ się nie sprawdza, że nie

podoba jej się mieszkanie i że wraca na kilka tygodni do domu, a potem wprowadzi się do Mony, niedawno poznanej przyjaciółki, doznałam wstrząsu. Myślałam, że będziemy dzielić wspólny los. Byłyśmy przecież klonami.

– Nic z tego, Alice – rzekła. – Nie mogę o tym rozmawiać tak, jak ty byś chciała, a poza tym czuję się tu izolowana.

W istocie tylko Steve i Marc regularnie nas odwiedzali. Obaj – choć starannie się unikali – bardzo chętnie siedzieli u nas na straży. Ale obaj byli moimi przyjaciółmi – moimi chłopakami, mówiąc ściśle – i Lila o tym wiedziała. Przychodzili przede wszystkim ze względu na mnie, żeby pomagając Lili, pomóc mnie. Tymczasem ona pragnęła się ode mnie uniezależnić. Teraz to rozumiem, ale wtedy czułam się zdradzona. Przejrzałyśmy razem płyty i inne rzeczy, stanowiące wspólną własność, nagromadzoną przez dwa razem spędzone lata. Płakałam i jeżeli chciała coś wziąć, to jej to dawałam. Dawałam jej rzeczy, o które nawet nie prosiła. Rozstawałam się z rzeczami, żeby zaznaczyć swoje miejsce w jej życiu. Czy uda mi się jeszcze powrócić do dawnego stanu? – myślałam. Jakiego stanu? Kiedy byłam dziewczyną? Studentką pierwszego roku college’u? Osiemnastolatką?

Czasem myślę, że nic nie zabolowało mnie tak, jak to, że Lila przestała ze mną rozmawiać. Całkowite zerwanie łączności. Nie odpowiadała na moje telefony, gdy wreszcie udało mi się zdobyć jej numer od przyjaciółki. Na ulicy przechodziła obok bez słowa. Pewnego razu zawołałam ją. Żadnej reakcji. Gdy zastąpiłam jej drogę, wyminęła mnie. Jeżeli towarzyszyła jej przyjaciółka, wtedy obie patrzyły z niezrozumiałą dla mnie nienawiścią, którą mimo woli wchłaniałam.

Wprowadziłam się do Marca. Za cztery miesiące miałam zostać absolwentką. Siedziałam w jego mieszkaniu, wychodząc tylko na zajęcia. Wszędzie mnie chętnie woził, ale najczęściej trzymał się z daleka. Przesiadywał do późna w pracowni architektonicznej, a czasem zostawał tam na noc. Kiedy był ze mną, nalegałam, żeby sprawdzał najlżejszy szmer i czy drzwi są porządnie zamknięte,

prosiłam też, żeby mnie przytulił.

Na tydzień przed rozdaniem dyplomów znów zobaczyłam Lilę. Byłam ze Steve'em Shermanem w centrum handlowym przy Marshall Street. Ona też mnie spostrzegła, ale zignorowała.

– Nie mogę w to uwierzyć – żaliłam się Steve'owi. – Za tydzień kończymy college, a ona wciąż nie chce ze mną rozmawiać.

– A ty chcesz?

– Tak, ale się boję. Nie wiem, co powiedzieć. Ustaliliśmy, że Steve zostanie tam, gdzie stał, a ja zacznę krążyć. Wpadłam na Lilę.

– Lila – powiedziałam. Nie była zaskoczona.

– Właśnie się zastanawiałam, czy będziesz próbowała ze mną porozmawiać.

– Dlaczego nie chcesz?

– Bardzo się różnimy, Alice – odparła. – Przykro mi, że cię zraniłam, ale musiałam zrobić krok naprzód w swoim życiu.

– Przecież byliśmy klonami.

– To tylko słowo, którego używałyśmy.

– Z nikim nie byłam tak blisko.

– Masz Marca i Steve'a. Czy to ci nie wystarczy? Jakoś przeszliśmy od tego pytania do życzeń z okazji rozdania dyplomów. Ponieważ wybrałam się ze Steve'em do pobliskiej restauracji na szampana z sokiem pomarańczowym, zaproponowałam, żeby do nas dołączyła.

– Może mnie tam zobaczysz – rzuciła tajemniczo i odeszła.

Wbiegłam do księgarni, przed którą stałyśmy, i kupiłam dla niej tomik poezji Tess *Instrukcja do podwójności*. Napisałam w środku coś, czego dokładnie nie pamiętam. Coś głupawego, ale prosto z serca. Że zawsze może na mnie liczyć, wystarczy zadzwonić.

Rzeczywiście spotkaliśmy ją w restauracji. Była podchmielona i miała do towarzystwa chłopca, w którym się podkochiwała. Nie chciała się do nas dosiąść, tylko stanęła przy naszym stoliku i rozmawiałyśmy o seksie. Powiedziała mi, że dopasowała sobie

diafragmę, i że miałam rację, seks jest wspaniały. Byłam teraz jej widownią, nie przyjaciółką, nie powierniczką. A ona robiła to, co robiła – udawała światu, że świetnie sobie radzi. Zapomniałam dać jej książkę. Wyszli.

W drodze do domu minęliśmy ze Steve'em inny, elegantszy studencki lokal. Zobaczyłam w nim Lilę z chłopakiem i jakimiś ludźmi, których nie znałam. Kazałam Steve'owi poczekać i wbiegłam do środka z książką. Wszyscy siedzący przy stoliku unieśli głowy.

– To dla ciebie – powiedziałam, podając Liii prezent. – Książka.

Przyjaciele Liii roześmieli się, bo stwierdziłam oczywistość.

– Dziękuję – odparła Lila.

Podeszła kelnerka przyjąć zamówienie na drinki. Chłopak Lili cały czas mi się przyglądał.

– Napisałam coś w środku – dodałam. Popatrzyła na mnie, kiedy przyjaciele zamawiali drinki.

Myślę, że litowała się wtedy nade mną.

– Później przeczytam, dziękuję. To pewnie dobra książka.

Nigdy więcej nie widziałam Lili.

Nie poszłam na uroczystość wręczenia dyplomów. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym w tym uczestniczyć, świętować, patrzeć na Lilę i jej przyjaciół. Marc musiał oddać jakąś pracę. U niego nauka jeszcze się nie skończyła. Steve poszedł na rozdanie dyplomów. Mary Alice tak samo. Wyjaśniłam rodzicom, że chcę jak najszybciej wyjechać z Syracuse. Zgodzili się ze mną. „Im szybciej, tym lepiej” – stwierdzili.

Zapakowałam resztę rzeczy do wynajętego srebrnego chryslera new yorkera. Firma wynajmująca samochody nie miała akurat nic mniejszego. Jechałam do Paoli tą landarą, przewidując, że widok takiego auta wywoła u rodziców salwę śmiechu.

Pożegnałam się z Syracuse. No i dobrze, pomyślałam. Zamierzałam wstąpić jesienią na Uniwersytet Houston. Napisać pracę magisterską z poezji. Chciałam w czasie nadchodzącego lata wymyślić sobie od nowa. Nigdy nie widziałam Houston, nigdy

nie byłam na południe od Tennessee, ale wiedziałam, że tam musi być inaczej. Gwałt nie będzie mnie tam prześladował.

Skutki

John dostał pięścią w twarz na jesieni tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku. Stałam przed „De Robertis” na Pierwszej Alei, czekając, aż wróci z tanią heroiną, którą wciągaliśmy. Mieliśmy swój rytuał. Zawsze sobie przypominaliśmy, że jeżeli on zniknie na dłużej, wtedy za nim pójdę i narobię krzyku. Plan był nieprecyzyjny, lecz pomagał odsunąć myśl, że wydarzenia mogłyby wymknąć się spod naszej kontroli. Tamtego wieczoru było zimno. Ale wszystkie tamte dni zlewają się w jeden ciemny ciąg. O to mi zresztą wtedy chodziło.

Rok wcześniej opublikowałam w „The New York Times Magazine” relację o gwałcie, napisaną w pierwszej osobie. Wystąpiłam w tym artykule z gorącym apelem, żeby ludzie mówili o gwałtach i wysłuchiwali tego, co mają do powiedzenia ofiary. Dostałam mnóstwo listów. Uczciłam to czterema działkami w towarzystwie zaprzyjaźnionego Greka, niegdyś mojego studenta. Potem zadzwoniła Oprah Winfrey, zainteresowana artykułem. Zaprosiła mnie do swego programu. Byłam przykładem ofiary, która się odegrała. Razem ze mną wzięła udział w programie inna, która niby się nie odegrała. Opór Michelle, podobnie jak Lili, nie pozostawił widocznych śladów. Wątpię jednak, czy Michelle po powrocie do domu wciągała heroinę.

Nie ukończyłam studiów podyplomowych w Houston. Nie podobało mi się miasto, przyznaję, ale jeśli mam być szczerą, to ja sama nie nadawałam się, żeby tam mieszkać. Spałam z dziesięcioboistą i z kobietą, kupowałam marychę na tyłach supermarketu, upijałam się z innym studentem, który rzucił studia – wysokim facetem z Wyoming – i czasami, bądź w objęciach dziesięcioboisty, bądź przy facecie z Wyoming, który siedział i patrzył, płakałam, zawodząc histerycznie, czego nikt, łącznie ze

mną, nie potrafił zrozumieć. Sądziłam, że tak działa na mnie Houston – życie w gorącym klimacie, gdzie jest za dużo robactwa i gdzie kobiety noszą za dużo koronek i falbanek.

Przeniosłam się do Nowego Jorku i zamieszkałam w osiedlu dla ubogich mniejszości etnicznych na rogu Dziesiątej i C. Moja współlokatorka, Zulma, pochodziła z Puerto Rico i w tym mieszkaniu wychowała swoje dzieci. Teraz wynajmowała wolne sypialnie. Lubiła wypić.

Pracowałam jako hostessa w „La Fondue” na środkowym Manhattanie, a potem trafiła mi się praca nauczycielki w College[^] Huntera (dzięki rozmowie z pijanym klientem baru „Chata Wawa Króla Tuta”). Zostałam adiunktem. Nie miałam odpowiednich stopni naukowych i tylko rok doświadczenia (jako asystentka w Houston), ale komisja kwalifikacyjna miała nóż na gardle i nieobce jej były nazwiska Tess Gallagher i Raymonda Carvera. Podczas rozmowy wstępnej piętnaście minut zajęło mi przypomnienie sobie słowa „teza”, istotnego elementu tematu eseju – co jest przecież podstawą każdego kursu kompozycji literackiej. Kiedy zadzwonił przewodniczący komisji i Zulma podała mi telefon, moje zdumienie nie miało granic – picie skończyło się szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Moi studenci trzymali mnie przy życiu. Mogłam zapomnieć o sobie, poznając ich losy. Byli wśród nich imigranci, członkowie mniejszości etnicznych, dzieci ulicy, kobiety powracające do nauki po przerwie, ludzie na etatach, byli narkomani i rodzice samotnie wychowujący dzieci. Ich opowieści wypełniały mi dzień za dniem, a ich kłopoty z przyswajaniem wiedzy zajmowały wieczory. Pasowałam do nich tak, jak nie pasowałam do żadnego innego środowiska od czasu gwałtu. Moja opowieść bladła przy ich opowieściach. Ktoś szedł po trupach pobratymców, żeby uciec z Kambodży. Ktoś patrzył, jak stawiają pod ścianą i rozstrzeliwują brata. Ktoś samotnie chował upośledzone dziecko, utrzymując się z kelnerskich napiwków. Były też gwałty. Dziewczyna, którą wykorzystywał w ten sposób ojciec, zresztą duchowny. Dziewczyna zgwałcona w mieszkaniu studenta (policja nie

uwierzyła w jej skargę). Dziewczyna, która była wojującą, wytatuowaną lesbijką, a w moim gabinecie załamała się, opowiadając o zbiorowym gwałcie.

Lubię myśleć, że opowiadali mi swoje historie, ponieważ nigdy nie kwestionowałam prawdziwości ich słów, wierzyłam im całkowicie. Przypuszczali zapewne, że nie miałam żadnych tego typu doświadczeń. Byłam biała i pochodziłam z klasy średniej. Uczyłam w college'u. Mnie nie mogło spotkać nic przykrego. A ja byłam tak spragniona pocieszenia, że nie przejmowałam się jednostronnością tych kontaktów. Słuchałam niczym barmanka, a moja pozycja – podobnie jak pozycja człowieka za barem – zapewniała mi bezpieczny dystans. Byłam uchem, a tragiczne historie z życia moich studentów leczyły mnie. Stopniowo jednak zaczęłam się na nie uodparniać. W końcu dojrzałam do tego, żeby przemówić, i wtedy napisałam artykuł do „The New York Timesa”. Część studentów go przeczytała. Mocno ich to poruszyło. Inni obejrzel program Oprah Winfrey i usłyszeli, jak opowiadam – ja, nauczycielka angielskiego – o gwałcie, którego padłam ofiarą. Przez kilka następnych tygodni spotykałam na ulicy dawnych studentów, którzy wyrażali swój podziw dla mnie, mówiąc „nigdy nie przypuszczałem, wie pani...”. Wiedziałam. Bo byłam biała. Bo wychowałam się na przedmieściu. Bo bez mojego nazwiska ta opowieść pozostałaby fikcją, a nie faktem.

Przepadałam za heroiną. Picie miało swoje minusy, mianowicie ilość, jaką trzeba było pochłonać, by popaść w otępienie, a poza tym nie lubiłam smaku alkoholu ani wiążących się z nim wspomnień – o to postarała się matka. Po kokainie chorowałam. Paralizujące kurcze powaliły mnie raz na podłogę klubu „Piramida”. Rastafarianie i białe dziewczyny tańczyli wokół mojego skulonego ciała. Zrobiłam to jeszcze parę razy, żeby się upewnić. Ecstasy, grzybki i kwas? A kto chciał spotęgować nastrój? Moim celem było go zniszczyć.

Odzyskiwałam przytomność w dziwnych miejscach. Na pustych placykach, w zaułkach, w Atenach. Któregoś wieczoru

ocknęłam się w małej traktierni w Grecji. Przede mną na talerzu leżały srebrne rybki. Obok dwóch mężczyzn zgarniało chlebem oliwę z talerza. Wróciliśmy razem do domu na wzgórzu. Wymieniono imię mojego greckiego studenta, ale jego samego nie zobaczyłam. Paliliśmy „czarną smołę”, czyli meksykańską heroinę, a potem znów wyszliśmy. Jeden z mężczyzn się ulotnił, a drugi chciał się ze mną przespać. Bo występowałam w amerykańskiej telewizji.

W tym samym domu, na którego tyłach jacyś przybysze dawali sobie w żyłę, okryłam się czyjąś marynarką, ponieważ było mi zimno. Ktoś schował do kieszeni marynarki używaną igłę. Ukłuła mnie. Przeraziłam się, pomyślałam o aids, a potem zrobiłam coś, w czym byłam dobra: zagrałam w totolotka. To przecież Grecja. Jak wysokiego mogłam się tu spodziewać ryzyka?

Po miesiącu wróciłam do Stanów. Napisałam dla „New York Timesa” reportaż z podróży, który ukazał się na wiosnę, kiedy ludzie planują urlopy. Znowu poleciałam do Europy z innym dawnym studentem, Johnem. John razem z przyjacielem, przez kuzyna tego przyjaciela, zorganizowali tanie bilety do Amsterdamu. W Holandii wsiedliśmy na haju do nocnego pociągu jadącego do Berlina. Upadał mur berliński. Kiedy dotarliśmy do betonowej ściany oddzielającej Zachód od Wschodu, było już po północy. John i Kippy przystąpili do akcji. Pożyczyli kilof od ochrypłych z radości Niemców i na zmianę rozbijali mur. Ja trzymałam się z boku. To nie było moje państwo i byłam jedyną kobietą pośród mężczyzn. Podszedł do mnie jakiś Niemiec, zaproponował papierosa, butelkę, powiedział coś do mnie, złapał za tyłek. Z muru patrzył na nas wschodnioniemiecki strażnik graniczny.

Jakiś czas potem pobito Johna w Nowym Jorku. Zniknął na dłużej niż zwykle. Pamiętam, jak wyszedł zza rogu. Zobaczyłam, że zgubił okulary i ma zakrwawiony nos. Był zdenerwowany.

– Dostałeś? – spytałam.

Pokiwał głową. Nic nie mówił. Zaczęliśmy iść.

– Oberwałem – rzekł po chwili.

Ten incydent, podobnie jak igła w Atenach, przeraził mnie. Rodziło się pytanie: Do czego to dojdzie? Od tamtej pory nie chciałam, żeby John sam kupował narkotyki, i wyraźnie mu to powiedziałam. Starał się tego nie robić, ale czasami, gdy nie mogliśmy wytrzymać, szedł.

Było coraz gorzej, aż wreszcie na wiosnę tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku, tuż po przeprowadzce do mieszkania przy Siódmej Ulicy, coś się we mnie zmieniło. Zdawałam sobie sprawę z tego, że coś jest ze mną nie tak, choć jeszcze nie wiedziałam co. Wylegiwałam się w łóżku. Znów miałam apetyt, jak kiedyś w college'u, i nosiłam stare flanelowe koszule nocne. Pudła po przeprowadzce stały nierozpakowane. John pracował na okrągło. Czuł się przy mnie źle. Kiedy przychodził, wysyłałam go po czekoladowe ciasteczka. Przytyłam. Przestałam się przejmować swoim wyglądem i tym, jak szybko mogę dojść do klubu. Chciałam się uleczyć, ale nie wiedziałam jak.

Zadzwoił kolega, z którym znaliśmy się od szkolnych lat, żeby powiedzieć, że napisano o mnie w książce. Został lekarzem i pracował w Bostonie. Autorka książki *Uraz i powrót do zdrowia*, dr Judith Lewis Herman, zacytowała mój artykuł z „New York Timesa”. Zaśmiałam się. Sama chciałam napisać o sobie książkę, tylko jakoś nie potrafiłam się do niej zabrać. A teraz, niemal dziesięć lat po gwałcie na Lili, moje nazwisko pojawiło się w przypisie w cudzej książce. Myślałam o tym, żeby ją kupić, ale wydanie w twardej oprawie było za drogie, a zresztą uznałam, że mam już to wszystko za sobą.

W ciągu następnego półrocza przestałam się widywać z Johnem, zapisałam się do ośrodka sportowego, znalazłam sobie terapeutę. John nadal brał. Chwilami pragnęłam jego powrotu tak rozpaczliwie, że robiłam upokarzające rzeczy. Błagałam. Wiedziałam, że się zabija. Pierwsza Aleja stała się linią, której nie chciałam przekroczyć. Siła przyciągania mojego dawnego środowiska okazała się tak wielka, że nie mogłam się oprzeć

okazji wyjazdu na dwa miesiące do Kalifornii, do wiejskiej kolonii artystów.

Kolonia Artystów Dorland Mountain, położona w górach, w zacofanej rolniczej części Kalifornii, oferuje chętnym maksymalny prymityw. Stoją tu chaty z żużlowych bloków i sklejki. Nie ma elektryczności. Budżet jest więcej niż skromny.

Kiedy przyjechałam, wyszedł mi na spotkanie Robert Willis. Bob. Siedemdziesięciolatek w białym stetsonie, wranglerach i płóciennej dżinsowej koszuli. Siwy, o niebieskich oczach, małomówny, lecz pełen kurtuazji.

Zapalił mi lampę gazową, na drugi dzień zajrzał do mnie i zawiózł do miasta po zakupy. Mieszkał tam od dawna, poznał wielu ludzi, którzy przewinęli się przez kolonię. Choć może się to wydać dziwne, zostaliśmy przyjaciółmi. Opowiadałam mu o Nowym Jorku, a on opowiadał mi o Francji. Mieszkał tam przez pół roku, pełniąc funkcję dozorca w stadninie koni. Pewnego wieczoru, gdy siedzieliśmy w jego chacie przy rozprasającej mrok lampie gazowej, powiedziałam mu o gwałcie na mnie i na Liii. Słuchał w milczeniu, dwukrotnie wtrącając tylko kilka słów. „To musiało boleć”. „Niektórych rzeczy nie da się zapomnieć”.

Z kolei Bob zaczął snuć wspomnienia z czasów drugiej wojny światowej. Mówił o tym, jak służył w piechocie i jak stracił wszystkich kolegów. Wiele lat później, zimą tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku, we Francji, wyglądał przez okno na rosnące pod nim drzewo.

– Nie wiem, co mi się stało – rzekł. – Patrzyłem na to drzewo za oknem setki razy, a wtedy zacząłem szlochać jak dziecko. Padłem z płaczem na kolana, jak nigdy w życiu. Czułem się idiotycznie, ale nie mogłem się powstrzymać. W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że oplakuję kolegów, że nigdy przedtem tego nie robiłem. Byli pochowani na włoskim cmentarzu, pod podobnym drzewem. Przedtem tego nie zauważyłem. Kto by pomyślał, że wydarzenia sprzed tylu lat mogą mieć taką siłę?

Przed moim odjazdem zjedliśmy razem pożegnalną kolację. Przygotował „wojskowe warzywa” – podgrzaną kukurydzę i pomidory z puszki – i bekon. Piliśmy tanie wino.

Dorland nawet w dzień wyglądało niesamowicie. Nocą w atramentowych ciemnościach błyskało tylko kilka gazowych i naftowych lamp rozsianych na wzgórzu. Kiedy po kolacji siedzieliśmy na ganku chaty Boba, zobaczyliśmy coś jakby światła ciężarówki na polnej drodze łączącej kolonię z autostradą.

– Chyba mamy gościa – rzekł Bob.

Raptem światła zgasły. Nie słyszeliśmy żadnych odgłosów.

– Zaczekaj tu – polecił Bob. – Pójdę sprawdzić. Poszedł na tyły chaty po strzelbę, którą tam chował przed zamieszkującymi kolonię humanistami o delikatnych nerwach oraz przed zarządem Dorland.

– Przejdę do drogi naokoło, przez zarośla – szepnął.

– Zgaszę światło.

Stałam na ganku nieruchomo. Wyczulona na najlżejszy szmer, nasłuchiwałam, czy nie zatrzeszczy żwir pod oponą, czy nie trzaśnie gałązka. Wyobrażałam już sobie, że ludzie jadący ciężarówką unieszkodliwili albo zabili Boba, a teraz zbliżają się do chaty. Ale przecież przyrzekłam Bobowi, że się nie ruszę.

Jakiś czas potem zaszeleściły liście na tyłach chaty. Zadrżałam.

– To ja – dobiegł mnie szept Boba w ciemnościach. – Nie ruszaj się.

Patrzyliśmy na drogę. Nie zobaczyliśmy więcej reflektorów ciężarówki. Bob spenetrował chaszczę z wierną Shady, malamutem skrzyżowanym z wilkiem, i znów zapaliliśmy gazową lampę. Oboje byliśmy podnieceni, kilkanaście razy powtarzaliśmy sobie przebieg zdarzenia, dzieliliśmy się spostrzeżeniami, mówiliśmy o zagrożeniu i o tym, jak je można wyczuć. Byliśmy szczęściarzami, bo wojna i gwałt dały nam coś, czego nie mieli inni: szósty zmysł, który aktywował się, gdy wyczuwaliśmy niebezpieczeństwo zagrażające nam albo tym, których kochaliśmy.

Wróciłam do Nowego Jorku, ale nie do East Village. Za dużo wspomnień. Wprowadziłam się do chłopaka, który mieszkał przy ulicy Sto Szóstej, między Manhattanem a Columbus.

W ciągu minionych dziesięciu lat rodzice dwukrotnie odwiedzili mnie na moim gruncie. Matka stanęła w moim mieszkaniu i powiedziała: „Nie powiesz mi chyba, że chcesz w ten sposób spędzić resztę życia”. Mówiła o nieruchomościach i wielkości mieszkania, lecz gdy przyszło mi powtarzać jej słowa, nabierały dla mnie zupełnie innego znaczenia.

Tamtej jesieni rzuciłam heroinę. Znowu piłam i paliłam papierosy, ale to robili wszyscy. Kupiłam książkę doktor Herman. Ukazała się w miękkiej oprawie. Tłumaczyłam sobie, że powinnam prowadzić rejestr wszystkich przypadków pojawienia się mojego nazwiska drukiem.

Herman przytoczyła dwa zdania z mojego artykułu na początku rozdziału pod tytułem: „Rozłączenie”. Zdania te brzmiały tak: „Kiedy zostałam zgwałcona, straciłam dziewictwo i otarłam się o śmierć. Porzuciłam wtedy wcześniejsze przekonania o funkcjonowaniu świata i o tym, na ile byłam w nim bezpieczna”. Fragment ten pojawiał się na pięćdziesiątej pierwszej stronie trzystustronicowej książki. Zanim ją kupiłam, jeszcze raz, w księgarni, przeczytałam te słowa opatrzone moim nazwiskiem. Dopiero gdy jechałam metrem do domu, dotarło do mnie, że zostałam zacytowana w pierwszej części książki zatytułowanej *Uraz i powrót do zdrowia*. Postanowiłam naprawdę ją przeczytać, a nie tylko zachować na pamiątkę.

Ci ludzie nie mają normalnego, podstawowego poziomu czujnej, lecz spokojnej uwagi. Mają natomiast podwyższony podstawowy poziom rozbudzenia: ich ciała są zawsze czujne, przygotowane na niebezpieczeństwo. Mają także nadmiernie wyostrzone reakcje na niespodziewane bodźce... Ludzie z pourazowymi zaburzeniami emocjonalnymi dłużej zasypiają, są bardziej wrażliwi na hałas i częściej budzą się w nocy. Można zatem powiedzieć, że traumatyczne wydarzenia wpływają na kondycję ludzkiego systemu nerwowego.

Książka, w której znajdowałam takie zdania, stała się najbardziej pasjonującą lekturą mojego życia: czytałam o sobie. Czytałam także o weteranach wojennych. Niestety, mój mózg znów zaczął pracować na podwyższonych obrotach. Przesiedziałam tydzień w głównej czytelni nowojorskiej biblioteki publicznej, układając fabułę powieści, w której pourazowe zaburzenia emocjonalne stanowiłyby wielką zrównującą siłę, łączącą podobnie cierpiących mężczyzn i kobiety. Ale czytając cudze opowieści, szybko straciłam zapał do ich intelektualnej obróbki.

Pewien zbiór napisanych w pierwszej osobie wspomnień z Wietnamu czytałam od nowa wiele razy, trzymając go w rezerwie. Zagłębiając się we wspomnienia tych mężczyzn, zaczęłam przeżywać silne emocje. Poruszyła mnie zwłaszcza jedna historia, opowieść bohatera. Człowiek ten brał udział w ciężkich działaniach wojennych i widział, jak padają jego koledzy. Zniósł wszystko ze stoickim spokojem. Natychmiast przypomniał mi się Bob.

Weteran wrócił do kraju, został odznaczony, znalazł pracę. Po paru latach załamał się. Coś w nim pękło. Bohater nie wytrzymał. Stał się człowiekiem dzięki temu, że się rozsypał. Opowieść urywała się niedokończona. Ten człowiek gdzieś żył, pracował nad sobą. Nie jestem religijna, ale modliłam się za niego i za Boba.

Przeczytałam książkę Herman od deski do deski. Nie był to magiczny lek, ale przynajmniej coś na początek. Chodziłam też do dobrej terapeutki. Rok wcześniej użyła wyrażenia „zaburzenia pourazowe”. Wtedy je zlekceważyłam, jako żargon psychologów. Jak zwykle przeszłam trudną drogę: napisałam artykuł, artykuł przytoczono w książce, kupiłam książkę i rozpoznałam siebie w opisanych historiach choroby. Cierpiałam na pourazowe zaburzenia emocjonalne, lecz uwierzyłam w to dopiero wtedy, gdy sama do tego doszłam.

Kiedy mieszkałam na Sto Szóstej, mój chłopak pracował do późna w barze, a ja spędzałam wieczory samotnie, najczęściej oglądając telewizję. Wynajmowaliśmy mieszkanie w starej kamienicy w nie najlepszej dzielnicy. Na tyle było mnie stać z pensji asystentki. Żyłam z kratami w oknach, zza których wieczorami regularnie dobiegał terkot broni automatycznej. W okolicy posługiwano się najchętniej tech9.

Któregoś wieczoru włączyłam toster, jednocześnie parząc kawę w maszynce. Przepaliłam bezpiecznik. Skrzynka z bezpiecznikami znajdowała się w suterenie. Musiałam wyjść na ulicę i zejść ciemnymi schodami w dół. Zadzwoiłam do mojego chłopaka. Był opryskliwy. Przed chwilą zwałił się do baru tłum. „Czego chcesz ode mnie? Weź latarkę i załatw to sama albo siedź po ciemku. Taki masz wybór”.

Uznałam, że zachowuję się jak bezradna idiotka. Wykorzystałam coś, czego nauczyłam się na terapii – „wewnętrznej mowy” – żeby przygotować się psychicznie do wykonania zadania. Dochodziła jedenasta. Wytłumaczyłam sobie, że to i tak lepsza pora niż druga w nocy. Moja wewnętrzna mowa okazała się błędna, łagodnie rzecz ujmując.

Zeszłam dwa podesty niżej, wydostałam się na ulicę, skręciłam za róg, przelazłam przez żelazną bramkę z zardzewiałym zamkiem, który przestał się otwierać, pokonałam prowadzące w dół zewnętrzne schodki i zapaliłam latarkę. Wsunęłam klucz do dziurki, otworzyłam drzwi. Od środka zasunęłam zasuwkę i stałam przez chwilę pod ścianą. Serce mi łomotało. W pozbawionej okna suterenie było ciemno choć oko wykol. Poświeciłam latarką po przeciwległej ścianie, skąd prowadziły tunele piwnic. Poznałam dobytek Dominikańczyka, eksmitowanego przed paroma miesiącami. Zapiszczały zdenerwowane szczury, gdy strumień światła ujawnił ich obecność. Skup się, powiedziałam do siebie, czując chłód szklanego bezpiecznika w dłoni. Wtem usłyszałam jakiś szmer. Zgasiałam latarkę.

Odgłosy dobiegały z zewnątrz. Spod drzwi. Ludzie.

Nasłuchując przez drzwi hiszpańsko-angielskiej mieszaniny słów, zrozumiałam, że będę musiała chwilę poczekać. Stałam o krok od drzwi, na które mężczyzna pchnął kobietę. „Pieprz się ze mną, suko!” – wrzasnął. Cofnęłam się, pozostając jednak w pobliżu skrzynki z bezpiecznikami, bo wydawało mi się to lepsze niż zapuszczanie się w mroczne pomieszczenia ślepej sutereny. Mój chłopak powiedział mi, że kiedyś mieszkał tu siostrzeniec gospodyni. Był ćpunem i któregoś wieczoru ktoś przyszedł i go zastrzelił.

– Dlatego gospodyni już nie wynajmuje mieszkań Dominikańczykom – wyjaśnił.

– Przecież sama pochodzi z Dominikany.

– Tutaj nic nie ma sensu.

Za drzwiami mężczyzna stękał, a kobieta nie wydawała żadnych odgłosów. Wreszcie skończyli. Odeszli. Mężczyzna zawołał do kobiety po hiszpańsku, naśmiewając się z niej.

Dopiero teraz dopuściłam do siebie prawdziwy strach. Zmieniłam korek i zebrałam siły na powrót. Moim jedynym celem było teraz dotarcie do bezpiecznego miejsca, a na pewno bezpieczniej było w kamienicy na górze niż tu, na dole, w ciemnicy ze szczurami, z duchem zamordowanego ćpuna i z drzwiami, o które przed chwilą opierała się dziewczyna, gdy rznął ją mężczyzna.

Udało mi się dotrzeć do mieszkania.

Tamtego wieczoru postanowiłam opuścić Nowy Jork. Pamiętam, jak czytałam, że wielu mężczyzn powracających z Wietnamu pociągały wiejskie rejony Hawajów lub bagna Everglades na Florydzie. Przypominali sobie środowisko, które znali najlepiej, w którym ich reakcje wydawały się bardziej naturalne niż w podmiejskich domach rozsianych po całym kraju, gdzie nie było aż tak bujnej roślinności. Widziałam w tym sens.

Mieszkałam w podłych dzielnicach, z wyjątkiem Park Slope w Brooklynie – chociaż i tam sąsiad z dołu bił swoją żonę. Nowy Jork stał się dla mnie miejscem przemocy. W życiu moich studentów, w życiu ludzi na ulicy przemoc była codziennością. Jej

wszechobecność upewniała mnie, że tu pasuję. Moje zachowanie i sposób myślenia, moja podwyższona czujność i koszmary senne miały sens. Zaletą Nowego Jorku było to, że nie udawał bezpiecznego miasta. W najlepszy dzień żyło się tu jak w środku wielkiej rozróby. Ci, którym udawało się to przeżyć rok po roku, mieli powód do dumy. Po pięciu latach zyskiwało się prawo do przechwałek. Po siedmiu człowiek zaczynał pasować. Mnie udało się przeżyć dziesięć lat, mogłam więc powiedzieć, że zapaściłam korzenie w East Village, biorąc pod uwagę, ile średnio ludzie tutaj wytrzymywali. I nagle, ku zdziwieniu wszystkich znajomych, wyjechałam.

Wróciłam do Kalifornii. Przejęłam obowiązki Boba w Dorland, kiedy stamtąd wyjechał. Mieszkałam w jego chacie i dbałam o jego psa. Wychodziłam na spotkanie przyjezdnym i oprowadzałam ich po kolonii, pokazywałam, jak rozpala się ogień w piecu, i straszyłam szcziuroskoczkami, kuguarami oraz duchami podobno nawiedzającymi te okolice. O sobie mówiłam niewiele. Nikt nie wiedział, skąd pochodzę.

Czwartego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku siedziałam w chacie i pisałam. Zapadł zmierzch. Wokoło żywej duszy. Mieszkańcy kolonii pojechali razem do miasta. Była ze mną tylko Shady. Nie napisałam wiele w ciągu ostatnich dwóch lat ani w ciągu dwóch miesięcy, które spędziłam w kolonii Dorland. Wydawało mi się nie do pojęcia, że musiało upłynąć tyle lat, żebym pogodziła się z gwałtem na mnie i na Lili, ale zaczęłam oswajać się z myślą, że widocznie musiało. Ogarnęło mnie trudne do opisanie uczucie. Piekło się skończyło. Miałam przed sobą tyle czasu, ile dusza zapragnie.

Shady wbiegła do chaty i oparła mi łeb na kolanach. Bała się.

– Co się stało, kochanie? – spytałam, głaszcząc ją po łbie.

Wtem i ja usłyszałam – coś jakby grzmot zapowiadający letni deszcz.

– Chodźmy zobaczyć, co się dzieje – powiedziałam. Wzięłam ciężką czarną latarkę i zgasłam lampę.

Spod chaty mogłam ogarnąć wzrokiem szeroką przestrzeń. Na

ganku stał jeden fotel. W oddali zobaczyłam ognie sztuczne, częściowo przesłonięte ciemnym zboczem góry. Uspokoiałam Shady i usiadłam na fotelu.

Pokaz fajerwerków ciągnął się długo. Shady cały czas trzymała pysk na moich kolanach. Wzniosłabym toast, ale nie miałam czym.

– Udało nam się, mała – szepnęłam do Shady, masując jej bok.
– Wszystkiego najlepszego z okazji Dnia Niepodległości.

W końcu nadszedł czas, aby ruszyć w drogę. W nocy przed opuszczeniem Dorland przespałam się z przyjacielem. Nie uprawiałam seksu przez rok. Sama narzuciłam sobie celibat.

Kochaliśmy się krótko, niezdarnie. Wcześniej poszliśmy na kolację i wypiliśmy po kieliszku wina. Patrzyłam w świetle lampy naftowej na jego twarz, myśląc o tym, że nie ma w niej nic z brutalności. Kiedy rozmawialiśmy później przez telefon – ja ze Wschodniego Wybrzeża, a on z Zachodniego – zgodnie przyznaliśmy, że było w tym zbliżeniu coś szczególnego. „To było niemal dziewicze – powiedział. – Jakbyś pierwszy raz w życiu uprawiała seks”.

W jakimś sensie tak było, w innym było to niemożliwe. Ale lata mijają i żyję teraz w świecie, w którym współistnieją dwie prawdy, w świecie, w którym trzymam w dłoni piekło i nadzieję.

Podziękowania

Słowo „szczęściara” znaczy dla mnie „błogosławiona”. Błogosławieństwem są ludzie, których spotkałam w swoim życiu.

Glen David Gold, moja jedyna miłość.

Aimee Bender i Kathryn Chetkovich, moje rozkoszne tytanki. Wspaniałe pisarki, wspaniałe czytelniczki, wspaniałe przyjaciółki.

Mój mistrz, Geoffrey Wolff, który zobaczył pierwsze czterdzieści stron i powiedział: „Musisz napisać tę książkę”, a potem czytał dalej, z piórem w ręku.

Ambasador Wilton Barnhardt, który w najczarniejszej, płaczącej godzinie rzekł: „Przyślij mi tę książkę, do cholery! Zaniosę ją swojemu agentowi!”.

Gail Uebelhoer. Po piętnastu latach nie wahała się ani chwili. Jej pomoc przy zbieraniu materiałów miała zasadnicze znaczenie.

Pat MacDonald. Wszystko zaczęło się na trzynastym piętrze.

Emile Jarreau. Kiedy pisałam, nauczył mnie znaczenia słowa „ból”. Brzmi ono mniej więcej tak: „Powtórz to jeszcze ze trzy razy!”.

Natombe, moja pomarszczona muza. Codziennie rano czuwała koło mnie na dywaniku, rezygnując z ukochanych spacerów.

Eithne Carr. Dzielna.

Pragnę także podziękować instytucjom, które zapewniły mi utrzymanie bądź poświęciły czas. Oto one: Hunter i FIND/SVP w Nowym Jorku, The Millay Colony for the Arts, The Ragdale Foundation, a zwłaszcza Dorland Mountain Arts Colony oraz program Master of Fine Arts na Uniwersytecie Kalifornii, Irvine.

Dziękuję mojemu agentowi, Henry’emu Dunowowi, za to, że po czterdziestu minutach pochwał, kiedy powiedziałam, iż nadal uważam, że mnie odrzuci, zrozumiał doskonale stan mojego umysłu.

Jane Rosenman, mojemu wydawcy. Mam nadzieję, że przez wiele lat będę zostawiać ślady szminki na jej butach.

Przyjaciołom, którzy pojawiają się na kartach tej książki, oraz kilku innym, którzy się w niej nie pojawiają: Judith Grossman, J.

D. Kingowi, Michelle Latiolais, Dennisowi Paoli, Orren Perlman i Arielle Reade. Wasze wsparcie przepełnia mnie wdzięcznością.

Mojej siostrze, Mary, i mojemu ojcu, zawzięcie udziału w przedstawieniu i wytrzymanie nieuniknionych ciosów. Zawsze byli przeciwnikami publicznego prania brudów – mimo to pozwolili mi uprać większą ich część.

Na koniec jestem winna niekończące się podziękowanie mojej matce. Była i jest moją bohaterką, moim sparingpartnerem, moją inspiracją, moją ostrogą. Od samego początku – mam tu na myśli swoje przyjście na świat – wierzyła we mnie. Było ciężko, mamo. Oto moja opowieść.